

# SOLMAZ KÂMURAN

POWIEŚĆ DLA  
WIELBICIELI SERIALU

**WSPANIAŁE  
STULECIE**

# KIRAZE

*Droga do sultańskiego haremu*



SOLMAZ KÂMURAN

# KIRAZE

*Druga do sultańskiego haremu*

Przełożyła z tureckiego  
Danuta Chmielowska



Tytuł oryginału: *Kirâze*  
Projekt serii: © İNKILAP KİTABEVİ 2016  
Projekt okładki: MARIUSZ BANACHOWICZ  
Fotografia na okładce: © 1001NIGHTS/ISTOCKPHOTO  
Redakcja i przypisy: ZESPÓŁ REDAKCYJNY  
WYDAWNICTWA AKADEMICKIEGO „DIALOG”  
Korekta: ELŻBIETA SPADZIŃSKA-ŻAK  
Skład: KRZYSZTOF CHODOROWSKI  
First published in 2000 by Inkilâp Kitabevi Yayin Sanayi ve  
Ticaret AŞ, Istanbul  
© 2000 Inkilâp Kitabevi Yayin Sanayi ve Ticaret AŞ  
© 2000 Solmaz Kâmuran  
© 2000 Kalem Agency  
All rights reserved  
Polish translation © Wydawnictwo Akademickie Dialog Anna  
Parzymies sp. z o.o.  
Polish edition © Publicat S.A. MMXVI (wydanie elektroniczne)  
Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.  
Tłumaczka otrzymała w 2014 r. nagrodę ZAiKS-u za wybitne  
osiągnięcia w dziedzinie przekładu literatury z języka tureckiego.  
ISBN 978-83-245-8237-2



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**PUBLICAT S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



## SPIS TREŚCI

### Zasady wymowy głosek tureckich

#### I

21 marca 1492 roku

31 marca 1492 roku

30 kwietnia 1492 roku

7 maja – 1 sierpnia 1492 roku

17 września 1494 roku

22 lutego 1495 roku

17 lipca 1498 roku

1 maja 1499 roku

28 lipca 1499 roku

1 września 1499 roku

18 sierpnia 1503 roku

26 listopada 1504 roku

14 lipca 1505 roku

25 sierpnia 1508 roku

14 września 1509 roku

8 listopada 1509 roku

1 czerwca 1510 roku

II

25 kwietnia 1512 roku

25 sierpnia 1515 roku

25 września 1517 roku

8 września 1520 roku

22 października 1520 roku

28 grudnia 1522 roku

29 sierpnia 1526 roku

12 kwietnia 1529 roku

24 kwietnia 1529 roku

24 kwietnia 1529 roku

2 maja 1529 roku

18 marca 1532 roku

18 października 1532 roku

18 października 1532 roku

20 grudnia 1534 roku

12 marca 1535 roku

4 stycznia 1536 roku

21 czerwca 1536 roku

28 sierpnia 1536 roku

14 kwietnia 1538 roku

III

30 września 1539 roku

22 września 1541 roku

7 września 1543 roku

6 września 1544 roku

6 maja 1547 roku

22 listopada 1551 roku

24 sierpnia 1554 roku

13 kwietnia 1558 roku

26 września 1562 roku

2 marca 1564 roku

9 stycznia 1567 roku

#### IV

20 kwietnia 1568 roku

10 października 1569 roku

22 czerwca 1572 roku

1 stycznia 1575 roku

2 listopada 1579 roku

8 kwietnia 1581 roku

28 października 1583 roku

29 listopada 1585 roku

5 kwietnia 1589 roku

22 czerwca 1592 roku

#### V

10 września 1592 roku

27 stycznia 1593 roku

28 września 1595 roku

14 grudnia 1596 roku

18 czerwca 1598 roku

Przypisy



## ZASADY WYMOWY GŁOSEK TURECKICH

Alfabet turecki przyjęty w 1928 roku ma 29 znaków. Znak oznacza jeden dźwięk. Głoski wymawia się jak w języku polskim z wyjątkiem:

C c – jak polskie „dź”,

Ç ç – jak polskie „cz”,

ğ – jak polskie „j” między samogłoskami przednimi; jak dźwięczne „h” ukraińskie między samogłoskami tylnymi (tylko zwarcie krtaniowe),  
np. ağaç – drzewo (wymowa – a;acz),

İ i – jak polskie „i”, ale krótsze,

I ı – jak polskie „y”, ale bardziej tylne,

J j – jak polskie „ż”,

L l – jak polskie „l” po samogłoskach przednich; jak „ł” zbliżone do „ł” teatralnego po samogłoskach tylnych,

Ö ö – jak francuskie „eu”, np. w wyrazie „deux”, lub niemieckie „ö”, np. w wyrazie „schön”,

Ş ş – jak polskie „sz”,

Ü ü – jak francuskie „u”, np. w wyrazie „sur”, lub niemieckie „ü”,  
np. w wyrazie „für”,

V v – jak polskie „w”,

Y y – jak polskie „j”.

Uwagi:

– ğ nie występuje na początku słowa,

– â – „a” wymawiane znacznie dłużej.

I  
21 MARCA 1492 ROKU

**Stambuł**

Miasto nie sprawiało wrażenia, że zaledwie dziesięć dni temu pokryte było śniegiem. Wiosna nadeszła niespodziewanie, bez zaproszenia, ukazując się w lekko uchylonych drzwiach jak upragniony gość. Bez pukania, nagle... nieoczekiwanie.

Gałęzie śliw, które jeszcze poprzedniego dnia były nagie, przez jedną noc, już o świtaniu, pokryły się malutkimi, białymi kwiatkami; ogrody poweselały tysiącami kielkujących z ziemi czerwonych i żółtych tulipanów, różowych i fioletowych hiacyntów.

Troszczący się od tysięcy lat o swoich mieszkańców Stambuł, otoczony błękitnymi wodami Złotego Rogu, Bosforu, Morza Czarnego i Marmara, pokrył się świeżą zielenią; przebijała się z każdej szpary między kostkami bruku wokół Wieży Galata aż po najdalsze krańce siedmiu wzgórz.

Wschodzące słońce, niczym wielka ognista kula, wyłaniało się zza wzgórz Üsküdaru i wydawało się, że płomienie ognia ogarnęły wspaniałą kopułę Ayasofyi<sup>[1]</sup>. Wraz z tym jakby boskim znakiem z setek minaretów jeden za drugim wznosiły się głosy *Allah-u ekber, Allah-u ekber*<sup>[2]</sup>, odbijając się o niebiosą.

Konstantynopolis, Konstantaniyye albo, jak się teraz mówi, Stambuł, dziękując Bogu, witał nastający świt. Powoli budziły się domy, ulice, bazary. Olbrzym wypełniony ludźmi przybyłymi z czterech stron świata znowu nabierał życia.

Kolosa otoczonego wkoło murami ożywiały też kamienne akwedukty ciągnące z daleka wodę. Powoli budziły się pałacyki na brzegach Bosforu oraz Kâııthane<sup>[3]</sup>; domy z zakratowanymi oknami, dachami pokrytymi czerwoną dachówką, schowane za wysokimi murami w Fatih<sup>[4]</sup> i Eyüp<sup>[5]</sup>; kamienne budynki w kolorach białym, jasnoniebieskim i żółtym na wzgórzu Pera<sup>[6]</sup>; drewniane wille na Balta, Hasköy, Eminönü<sup>[7]</sup>; uwijali się wśród nich tragarze, otwierały się urzędy, targowiska, kryte bazary i hale targowe, a na obrzeżach miasta ożywały zrujnowane, zaniedbane dzielnice.

Dla wielu osób dzień zaczynał się jeszcze wcześniej. Na przystaniach Langa i Kadırğa cumowały obok siebie liczne galery i galeasy; okręty wypełnione przyprawami, szkłem, tkaninami zakupionymi w Indiach, Chinach i Francji lekko kołysały się w porannym wietrze. Na tych statkach o dziobach z kasztelami, które upiększały galiony będące dziełem zdolnych rzemieślników i czarujące wizerunkami lwów morskich i syren z drewna, brązu, innych metali, a nawet złota, jeszcze przed świtem rozpoczynali pracę marynarze tysiąca narodowości. Jeden, wylawszy na pokład wodę zaczerpniętą z morza, czyścił go wielką szczotką, inny naprawiał żagle, jeszcze inny wymieniał liny. Zawodzące mewy to wznosiły się, to opadały na rozbijające się o brzeg fale. A sięgał on daleko, aż po pasma gór o ośnieżonych szczytach.

Nieopodal portu Langa wznosiła się twierdza Yedikule<sup>[8]</sup>. Yedikule... Jej nazwa przywoływana choćby we wspomnieniach mroziła krew w żyłach... W pobliżu twierdzy po kryjomu rozprawiali prości garbarze w swych małych warsztatach. Siedmiu podróżnych, którzy dopiero co przybyli do miasta, zostało zatrzymanych pod pretekstem dżumy w znajdującym się obok pomieszczeniu przeznaczonym na kwarantannę. Mężczyźni byli przygnębieni, przestraszeni.

Nie tylko oni się martwili, obawiali o życie. Tego ranka, kiedy budził się dzień, przyprowadzono do sławnej twierdzy zakutych w kajdany jeszcze trzech skazanych... Nie było więzienia w Stambule, w którym by ich nie znano. Najpierw więzienie stoczni na Kasımpaşa<sup>[9]</sup>, następnie Kara Kule w twierdzy Rumeli Hisarı<sup>[10]</sup>, wreszcie też Yedikule.

Kilku złodziei ukrywających się w jednym z sadów poza murami w świetle wschodzącego słońca prostowało nogi i ręce zdrętwiałe w nocnej wilgoci. Kto wie, może będzie to ich ostatni dzień. Jeszcze w zeszłym tygodniu jeden z nich został złapany i powieszony u wejścia do Topkapı<sup>[11]</sup>. Ku przestrodze zwłoki, mimo że wydawały już odrażający zapach, nadal wisały na swoim miejscu.

Słońce było coraz wyżej. Im bardziej się wznosiło, tym szybciej ożywiało się miasto i rosła liczba ludzi na brukowanych ulicach.

Dużo czasu upłynęło już od powrotu greckich rybaków, którzy

wyciągnąwszy ostrożnie sieci zarzucone w Sarayburnu<sup>[12]</sup>, podążali na swe stanowiska, meandrując między brzegami Złotego Rogu. Ryb nie brakowało, kosze wypełnione były po brzegi barbatami, cinekoplami, tasergalami. Przypływający w większości na jednomasztowych łódkach rybacy natychmiast rozpalali margały<sup>[13]</sup>, a roztaczający się wokół delikatny zapach dymu wywoływał uczucie głodu. Wśród tłumu, dzwoniąc szklankami, przechadzali się sprzedawcy sorbetów. Na ladach leżały sterty świeżutkich warzyw i owoców z całego dosłownie świata. Podobnie z ciżbą ludzką. Kogóż tu nie było? Z okolicy Galata Kulesi przybyli Genuieńczycy w rzucających się w oczy ozdobnych ubraniach i mężczyźni z Pery, którzy w większości szczycili się kozimi bródkami. W kapeluszach z szerokim rondem i frędzlami przechadzali się zadufani w sobie Wenecjanie, ponadto nieliczni Anglicy, Francuzi, Węgrzy, Rosjanie. Większość przyszła tutaj na zakupy, greccy restauratorzy zawzięcie targowali się z rybakami na brzegu przy Tophane<sup>[14]</sup>. Pozostali natomiast nie byli zainteresowani zakupem towarów, a zdobyciem wiadomości dla swojego kraju. Po chwili jedni mieli napełnione siatki, a inni głowy, powróciwszy więc do swych domów, sadowili się na balkonach, skąd, jak z lotu ptaka, aż do upojenia mogli się cieszyć widokiem radosnego miasta. Marmarą, Bosforem, Kız Kulesi<sup>[15]</sup>, wyspami, przeciwną stroną Złotego Rogu...

A kiedy już mówimy o przeciwnej stronie Złotego Rogu... Był tam całkiem inny świat. W domach ciągnących się wzdłuż całego brzegu, od Sarayburnu po Balat<sup>[16]</sup>, zamieszkiwało tysiące Żydów, Greków, Ormian, także parających się handlem. Mężczyźni dawno już wyruszyli do swoich sklepów na Kapalıçarşı – Krytym Bazarze... Jubilerzy, krawcy, hafciarze, sprzedawcy fajerwerków, wyrobów cukierniczych, materiałów, wytwórcy beczek, koszy i dywanów, doświadczeni rzemieślnicy ulokowani przy wejściu na bazar, w blasku pomarańczowego światła, w huk, stukocie wyrabiający naczynia z miedzi... Krążyli wśród tłumu nosiwoda, pisarze listów, jak też policjanci często kontrolujący wagi. Oto rzemieślnik, wplątany w nieczyste interesy, prowadzony na odbycie kary. Otrzyma całe dwadzieścia batów.

    Nie sposób zliczyć interesantów wchodzących do urzędów wokół

Krytego Bazaru i z nich wychodzących. Z wielu statków przycumowanych w porcie te, które przy płynęły z okolic arabskich pustyń, wypełnione były towarami dostarczonymi na grzbietach wielbłądów; teraz rozładowywano je, wykorzystując garbate plecy tragarzy. Następnie wspinali się oni cierpliwie w kierunku Beyazitu<sup>[17]</sup>. Wokół roztaczał się zapach goździków, kminku, czarnego pieprzu, cynamonu.

Nozdrza zarabiających na życie w Silahhane<sup>[18]</sup> czy Tophane<sup>[19]</sup> palił proch. Ci półnaczy mężczyźni pracowali w pocie czoła. Wytwarzali kule, konstrukcje do nowych łodzi, a ciężkie młoty, uderzając o metal, wydawały dudniące odgłosy.

Na hipodromie janczarzy ćwiczyli przy wtórze bębnow, brzęk pałaszy mieszał się z okrzykami żołnierzy. Tuż obok kurz wzniecony przez pędzących sipahów<sup>[20]</sup> wzbijał się na wysokość Dikilitaşu<sup>[21]</sup> przywiezionego z Egiptu przez cesarza bizantyjskiego Teodozjusza całe tysiąc czterysta lat temu. Znajdująca się za nim kolumna z brązu z dwoma wężami symbolizowała tajemniczy taniec.

Kręciło się tu mnóstwo ludzi; plac, gdy patrzyło się nań z daleka, przypominał nieustannie falującą żywymi kolorami zamkniętą przestrzeń. Pośród wypełniającego go tłumu znajdowała się też grupa zwierząt. Trzepoczące skrzydłami różnobarwne ptaki w klatkach, niedźwiedzie prowadzone za obręcz przecignięte przez nos, tygrysy trzymane na łańcuchach oplatających szyje, dokazujące na tysiąc i jeden sposobów małpy... Stado wron i kani wzbijało się w niebo. Od czasu do czasu mężczyźni w turbanach rzucali im jedzenie. Na murach zalegały jedne przy drugich olbrzymie rude i bure prądkowane koty... One także czekały na pokarm. Nie brakowało też psów, które machając ogonami, szukały swojego przydziału.

Czy jedynie zwierzęta biegały za kawałkiem chleba? Żebracy w łachmanach, unosząc otwarte dłonie, czekali na jałmużnę. Pełno ich było przy wejściach do kościoła, synagogi, meczetu. Dla wierzących nie brakowało miejsc czczenia Boga. Ale najbardziej zatłoczone były meczety. Skoro tylko muezzini zaczęli z minaretów nawoływać do modlitwy, zaraz wypełniały się mężczyznami w turbanach, którzy w rękach trzymali różańce. Meczety Eyüp Sultan, Fatih, Mahmut Pasza,

Molla Zeyrek, Ayasofya. Było ich tak dużo jak gołębi pluskających się w kroplach spadającej wokół fontann wody. Słowo „Allah” wypowiedane z pokłonem w czasie modlitwy przyprawiało zagorzałych niewiernych o gęsią skórę ze strachu przed dniem Sądu Ostatecznego.

W Stambule było mnóstwo nagrobków, które jak niemi i spokojni świadkowie obserwowały ten zgiełk spod wysokich platanów, cyprysów, świerków...

W samym rogu Targu Niewolnic rósł platan, a na środku stała wielka kolumna. Kto wie, ile widziało to drzewo? Na siódmym wzgórzu Stambułu, na placu Arcadia wystawiano tysiące młodych niewolnic różnych narodowości: Czerkieski, Gruzinki, Rosjanki, Hiszpanki, Greczynki... Zewsząd dochodził furkot nargili brzuchatych sprzedawców z nahajkami u boku, przycupniętych na plecionych ze słomy taboretach. Rozpierała ich pycha, bo cokolwiek by mówić, towar był dobrej jakości.

Jeśli chodzi o dziewczyny, to część z nich płakała, część milczała jak zaklęta, część tępym wzrokiem rozglądała się dookoła. Wokół nich krążyli przybyli z pałacu eunuchowie i handlarze z pełnymi kieszeniami. Kastraci, poinformowani o zjawieniu się nowej grupy niewolnic, spieszyli się, by zdążyć przed innymi i w pomieszczeniach sąsiedniego kamiennego budynku wybierać, dokładnie je oglądając, począwszy od paznokci u stóp, a na uzębieniu skończywszy. Tak naprawdę dziewczęta wystawione na placu nie miały już szansy dostać się do pałacu. Ci, którzy po długich targach decydowali się na kupno, otwierali sakiewkę i sprawnie liczyli złoto. Potem wsadzali dziewczynę do lektyki, pokrzykując na tragarzy. Mężczyźni, którzy nieśli ten ciężar na swoich barkach, ruszali biegiem prosto na Çemberlitaş, a potem stamtąd do Aksaray, Kumkapı, Lâleli, Çarşamba, Çukurbostan<sup>[22]</sup> ...

Pałac to był inny świat, poczynając od ogrodu, wyróżniał się nigdzie indziej niespotykaną elegancją i bogactwem. Imponujące kwiaty, szumiące fontanny, ujęcia zimnej wody płynącej bez ustanku... Natomiast wnętrza wyłożone były najcenniejszymi dywanami perskimi, udekorowane fajansami, ręcznie wyrabianymi parawanami, atłasami, aksamitem, brokatami, jedwabiami...

Setki ludzi pracowało w pałacu osmańskiego sułtana. Cieśle, nosiwody, rzeźnicy, cukiernicy, pszczelarze, kominiarze, kucharze,

pobielacze cyną, nadzorcy niewolnic, ogrodnicy, muzycy, nauczyciele, służba. I kobiety, kobiety haremu... Tysiące kobiet...

Jeśli chodzi o sułtana, właściciela haremu, to nie każdy mógł go zobaczyć. Ważne było to, z kim on chciał się widzieć. Rzadko uśmiechnięty sułtan o smagłej cerze, wyróżniający się z otoczenia dosyć wysokim wzrostem, gdy kończył posiedzenie Dywanu<sup>[23]</sup>, zagłębiał się w lekturze ksiąg o tematyce filozoficznej lub kosmografii, pisał wiersze albo przywoływał do siebie trupę Karagöza<sup>[24]</sup> z Bursy. W młodości bawił się do upadłego, zażywając wszystkich przyjemności do tego stopnia, że czasami sprowadzał na siebie gniew ojca; obecnie porzucił ten tryb życia, nie wyciągał już ręki po wino. Nie opuszczał też żadnego odprawianego nabożeństwa, a nawet jeśli wyglądał na surowego, to dzięki dawanej jałmużnie, budowie szpitali i otwieraniu bezpłatnych jadłodajni zdobył rozgłos i uznanie na całym obszarze państwa osmańskiego.

W każdy piątek, kiedy dosiadając konia w otoczeniu wezyrów, paszów i eunuchów jechał na nabożeństwo do Ayasofyi, lud się tratował, aby móc go przez chwilę zobaczyć. Takim oto był człowiekiem Beyazıt II<sup>[25]</sup>, syn zdobywcy tego miasta, Mehmeda II<sup>[26]</sup>. On, nazwany władcą siedmiu światów, był jedynym właścicielem wielkiego imperium i Stambułu, najpiękniejszego z pięknych miast, które liczyło siedemdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców.

Oto przebudziło się teraz to niezwykle miejsce na świecie i zaczynało kolejny nowy dzień. Pośpiesznie, niecierpliwie, hałaśliwie...

**Toledo**

Rachela de Toledo westchnęła: to miasto wygląda na zupełnie opuszczone. Nikogo nie było na wąziutkich, wybrukowanych uliczkach, przez które biegła. Może gdyby panowała noc, bałaby się tej ciszy i samotności. Sklepy z dokładnie pozamykanymi okiennicami, domy otoczone wysokimi murami, przytulone jedno do drugich, o ciemnych fasadach... Gdyby potężny mężczyzna rozpostarł na którejś z nich ramiona, mógłby zadzwonić do dwóch furtek ogrodowych jednocześnie. Poza tym wszystkie bramy były jednakowe. Poczerniałe drewno, żelazne kołatki w formie dłoni zawieszane pośrodku na kółkach zardzewiałych

od wieloletniej wilgoci... Kołatki z mosiądzu w kształcie dłoni kobiecych trzymających małe kulki z brązu... Dłoni o ładnych paznokciach i szczupłych, długich, lekko wygiętych palcach.

„Zupełnie jak ręce mojej matki”... W tym momencie przemknęła jej przed oczami twarz rodzicielki. Wydało się jej, że usłyszała słowa: „Nie powinnaś wychodzić sama na ulicę, szczególnie teraz... Ty też wiesz o wydarzeniach w Sewilli. Czterej młodzi mężczyźni... Nie chodź do synagogi, nie zbliżaj się do kościoła...”. Zadrżała. Na szczęście ukazujące się od czasu do czasu zza wysokiego muru marcowe słońce ogrzewało jej plecy. W świeżo obsypanych kwiatami gałęziach śliwy ćwierkał jakiś ptak. Zaczęła biec szybciej. Powinna już być nad brzegiem rzeki.

Rachela była smukłą dziewczyną, wszyscy uważali, że jest podobna do ojca. Jak on szczupła, wysoka, z rudawymi włosami i zielonymi oczami. Przypominała go też z charakteru; oboje byli łagodni, nie lubili kłótni, zamieszania. Uwielbiali samotne spacer, czytanie książek, marzenia. Jej starszy brat Haim natomiast przypominał matkę. Ciemny, o ostrych rysach twarzy i zdecydowanym usposobieniu... Czasami Rachela sądziła nawet, że chyba woleli w ten sposób ukryć swą łagodność, uważając ją za słabość. To oni byli najważniejsi w domu. Silni i uparci, zawsze stawiali na swoim. Natomiast jej młodszy brat, Avram, nie przypominał ani matki, ani ojca. Był dzieckiem z kręconymi czarnymi włosami i wielkimi ciemnymi oczami o długich rzęsach. W domu nie było słyhać małego Avrama. Często chorował i całymi dniami, a nawet miesiącami leżał w swoim pokoju. Kolejno to matka, to ojciec spędzali przy nim noce. Kiedy czuł się lepiej, nogi zawijano mu w koc zrobiony na drutach przez babkę, brano go na ręce i sadzano latem na podwórzu, a zimą przy nasłonecznionym oknie. Mały Avram siedział tam cichutko, spoglądał na chmury i ptaki. Ani razu nie bawił się do utraty tchu z żadnym kolegą. Z kolei Haim nie przychodził do domu, jak Bóg przykazał; można było policzyć na palcach dni, kiedy nie wracał poraniony to tu, to tam, po jakiejś bijatyce. Matka, choćby nie wiedzieć jak złościła się na niego, zawsze swemu starszemu synowi wybaczała. To on był ulubieńcem Estery de Toledo. Tworzyli w domu dwie niepodobne do siebie pary:



matka z synem i ojciec z córką.

Pomiędzy tymi dwoma przeciwstawnymi biegunami znajdował się ukochany przez wszystkich, wymagający pomocy i miłości, cichy, cherlawy Avram. Mimo wszystko rodzina de Toledo była szczęśliwa i spełniona.

Kiedy Rachela wspominała Avrama, ogarniał ją dziwny nastrój. Tak, kochała go, ale w sercu rodziło się jeszcze jedno uczucie, inne od braterskiego... Patrząc na swego braciszka, poza siostrzaną miłością odczuwała odpowiedzialność matki, kobiety. Chłopiec o chudziutkich rękach i nogach, z ciemnymi, wielkimi oczami w bledziutkiej twarzy sprawiał, że w człowieku narastała chęć opieki, przytulenia go. Rachela bardzo mu współczuła, budził w niej nieustanne poczucie litości... Avram był jak mały Jezus na rękach Marii.

Zbliżając się do placu, na którym stał kościół, drgnęła na odgłos dzwonu. Ciekawe, z jakiej okazji to nieoczekiwane świętowanie? Poza tym usłyszała też jakieś głośnie krzyki, ale nie były to odgłosy modłów. Może rzeczywiście nie powinna tam iść. Ze strachu, nie wiedząc, co się dzieje, natychmiast skręciła do ogrodu najbliższego domu. Nie minęło jeszcze sześć miesięcy, jak Pintowie wyjechali z Toledo, a ich dom i ogród wyglądały tak, jakby opuścili je co najmniej sto lat temu. Nie została nawet jedna cała szyba w tym budynku z czerwonej cegły, który nie zwracał już uwagi jak dawniej, stojąc w otoczeniu suchych traw i zwiędłych kwiatów, niegdyś będących oczkiem w głowie doñi Sary. Kiedy Rachela z uwagą rozglądała się po tym zaniedbanym miejscu, dostrzegła hiacenty, swoje ulubione kwiaty. Schyliła się i zerwała jeden. Ślicznie pachniał. Ciekawe, gdzie teraz może być doña Sara?... W Lizbonie, Wenecji, Antwerpii, a może Stambule?...

Dźwięk dzwonu stawał się coraz bardziej natarczywy. Zarzuciła szal na głowę, wachając hiacynt, przeskoczyła przez murek z tyłu ogrodu i zaczęła biec. Oddaliła się od kościoła i domów. Wszystko pozostało w tyle. Przed nią strome zbocze jak zielony dywan schodziło ku rzece Tag, której woda była jeszcze bardziej zielona. Tag pięknie otaczał okolice Toledo, z białutką pianą na powierzchni płynął, szemrząc piosenki o miłości.

– Jestem zakochana! – wykrzyknęła głośno. Szal odrzuciła

na ramiona, rękę z hiacyntem wzniosła do góry i zaczęła nią wymachiwać. – Kocham, kocham cię, Mosze!

Czekający na nią pod wierzbą po prawej stronie mostu Mosze Nahmiyas zaczął biec ku niej z radością, obserwując schodzącą ze wzgórza dziewczynę, i nie słysząc wykrzykiwanych przez nią słów, szeptał to samo: „Kocham, kocham...”.

## Granada

W kościele panował chłód, ale nie było bardzo zimno. Ta wielka budowla sprawiała wrażenie, jakby wszystko było w niej słychać, nie tylko szept, ale nawet myśli – najmniej ważny człowiek na tym świecie nie uchodził uwagi Boga. Jezus w nieskończonym śnie wisiał na krzyżu. Maria smutna, pogrążona w bólu... Nikt w takim otoczeniu nie mógł się czuć bezgrzeszny. Ani ubrana na biało leciwa zakonnica modląca się pod ścianą ozdobioną złotymi freskami, ani klęczący zaraz za nią, jeszcze starszy od niej rabin, ani obserwujący ich z podniesionymi głowami świadkowie tej uroczystości, królowa Izabela i młody król Ferdynand, nie mogli się pozbyć tego wrażenia.

W tym dniu osiemdziesięcioletni don Abraham Senior, stając się katolikiem, jak żaden chrześcijanin doznał wyjątkowego uczucia, smakując święte wino. Tak, było jak krew.

Sądził, że Bóg mu wybaczy. Może w ten sposób będzie mógł zapobiec wysiedlaniu Żydów z ich domów. Jeżeli nawet zostanie przeklęty... Jeżeli nawet zamiast Senior będą go nazywać Sone Or (Tombak)...

Z ust obecnych jednocześnie padło „Amen”. Ceremonia chrztu dobiegła końca.

Stary człowiek na ugiętych kolanach zbliżył się do królowej Izabeli i pochylił przed nią.

– Moja królowo – szepnął – a Wasze słowo?

Twarz kobiety była spięta. Jej chudą szyję oplatał łańcuszek ze zwisającym bursztynem w kształcie krzyża. Ujęła pod rękę Ferdynanda i przed wyjściem odwróciła się, mówiąc:

– Don Senior, pomyślimy, gdy przyjdzie na to czas.

Chór zaintonował nową pieśń religijną.

Stary Abraham, dawny żyd, świeży chrześcijanin, utkwiał pełne łez oczy w sklepieniu kościoła w oczekiwaniu, że spadnie gwiazda, która ocali jego duszę, niwecząc ciało. Z nadzieją złożył ręce. Płomienie świec drżały coraz intensywniej. Wpadające do uszu głosy odbijały się echem. W oczach mu pociemniało i osunął się na ziemię.

**Toledo**

– Nie możesz mi tego proponować.

Estera de Toledo chyba już po raz setny wycierała ścierką oblepione ciastem ręce.

– Estero, czy mógłbym chcieć czegoś, co byłoby złe dla nas, dla ciebie? Dlaczego nie rozumiesz? Nie ma o czym mówić. Jeśli nie zrobisz tego, co powiedziałem... Umrzemy. Zabiją nas. Musimy póki czas opuścić to miejsce. Dla naszych dzieci.

Kobieta, nie patrząc mężowi w oczy, skierowała się do kuchni.

– Nie – odpowiedziała, nim wyszła z pomieszczenia. – Nie chcę tego nawet słyszeć. Jestem córką rodziny, która mieszkała tu od setek lat. Jestem Estera de Toledo. Mój ojciec, dziadek, jego ojciec, przodkowie... Stąd pochodzimy i to wszystko należy do nas. Ja jestem tu dłużej niż Izabela. Przecież któregoś dnia skończy się to szaleństwo. Nigdzie nie wyjedziemy.

Dawid, ogarnięty tak wielką złością, że miałby ochotę zgruchotać trzymany w ręku kubek, odezwał się, nie wyjawiając jednak swych emocji:

– Nie rozumiem cię. Zupełnie, jakbyś tylko ty była tutejsza. Czy my także nie pochodzimy z szacownej rodziny? Czy chcesz, aby naszego syna Haima zabito tak jak tych w Sewilli? No, zrozum wreszcie... Poza tobą, mną może nie być zbyt wielu z dziada pradziada Hiszpanów, ale właścicielami tego wszystkiego są oni. Zrozumże wreszcie... Nie możemy spokojnie poruszać się po naszym kraju, mieście ani nawet ulicy, przy której mieszkamy. Każdego dnia ktoś nowy wtrącany jest do więzienia, torturowany, zabijany. Kto wie, ile rodzin, opuściwszy swe domy, wyemigrowało do tej pory. Czyż oni nie mają duszy? Ci, co zostają, nawet jeśli wywracają się im wewnątrz, przechodzą na katolicyzm. W tych dniach miał się ochrzcić don Abraham; jedynie

dlatego, by móc uratować nas, rodzinę, wszystkich. Podobno biedak umiera z żalości.

– Podobno chciał nas ochronić... Czy ty w to wierzysz? On myśli tylko o sobie i swoich pieniądzech... Od lat był ich człowiekiem. Umiera z bólu duszy... Ale jakoś jeszcze nie umarł... A niechby zdechł czym prędzej.

– Estero, błagam cię, zgoda, nie musimy zostać katolikami, ale na wszelki wypadek pojedźmy na jakiś czas do Portugalii, potem, tak jak mówisz, gdy wszystko się uspokoi, wrócimy. Pomyśl o dzieciach, pomyśl o mnie, proszę.

Kobieta podeszła do siedzącego przy stole męża, wyjęła mu z dłoni kubek, spokojnie odstawiła go na bok i objęła mężczyznę. Oparła głowę o jego pierś i tak, jakby chciała przytulić dziecko, kołysząc się, szeptała:

– Nie bój się, Dawidzie, to minie. A bo to pierwszy raz?

Mężczyzna zamknął oczy, dotknął obejmujących go rąk, pieścił drobne palce kobiety, pocałował.

– Nie powinniśmy się bać – rzekł. – Trzeba zadbać o siebie, moja królowo, o naszych troje dzieci... Teraz jednak sytuacja jest bardzo poważna, Izabela i Ferdynand postanowili nas zniszczyć.

W tej samej chwili usłyszeli łomot do bramy ogrodu. Może z powodu wcześniejszej rozmowy przez chwilę zamarli w bezruchu. Coraz mocniej walono w bramę. Dawid wstał i nie pokazując się, wyrzwał przez wąziutkie zakratowane okno.

– Idę! – krzyknął.

– Co się stało, kto to? – spytała z niepokojem żona.

– Nie bój się, to tylko don Salvatore i doña Graziella – odparł, schodząc po schodach.

Estera pobiegła za nim. Gdy tylko otworzyła się drewniana brama i ukazało się słabo oświetlone podwórze porośnięte licznymi drzewami tworzącymi zagajnik, wpadło zadyszane małżeństwo z sąsiedztwa. Nie dając właścicielowi domu czasu na przywitanie ich i zaproszenie do środka, oboje krzyknęli jednocześnie:

– Czy nie słyszeliście, czy nie słyszeliście? – Zanim Dawid zaryglował bramę, wysunął głowę i rozejrzał się po ulicy. Następnie powoli domknął oba skrzydła.

Twarz sąsiadki była bardzo blada, kobieta objęła Esterę.

– Co my teraz pocniemy? – szlochała.

Jej mąż natomiast powtarzał:

– Musimy uciekać i to jak najszybciej, sytuacja robi się straszna.

Estera, nie czekając, poprowadziła ich do stołu w rogu podwórza i zapytała:

– Czyżbyśmy o czymś nie słyszeli? Co się dzieje?

Napełniwszy kubek wodą z dużego dzbana, podała go kobiecie.

– Niech się pani uspokoi, doña Graziella – powtarzał Dawid. –

Uspokójcie się.

Zwrócił się do męża sąsiadki:

– Co się stało, Salvatore, co was tak przerażyło?

Salvatore był drobnym, dosyć pulchym mężczyzną o czarnych krzaczastych brwiach, które nadawały jego bladej twarzy nieco komiczny wygląd. Ze zmartwienia pociągał co chwila nosem, a pot perlił się na jego szerokim czole.

– Dzisiaj wzięli następnych czterech młodzieńców, mój przyjacielu, a czy wyobrażasz sobie, gdzie oni są teraz? Przed Inkwizycją...

– Boże chroń lud Izraela – krzyknęła Estera. – Haim, Haim!...

Pobiegła do drzwi. Dawid i Salvatore przytrzymali ją. Doña Graziella przyłożyła ozdobioną licznymi pierścionkami rękę do serca, jakby spodziewając się ataku, i ostatnim wysiłkiem powiedziała:

– Nie bój się, Estero. Nie bój się. Między nimi na szczęście nie ma ani Haima, ani Mosze. Ale... – Jej oczy ponownie wypełniły się łzami, spojrzała przed siebie, wyjęła z kieszeni pofałdowanej spódnicy chusteczkę i wytarła nos, nie mogąc mówić dalej.

Jej mąż, powtórzysz „ale”, starał się dokończyć przerwane w połowie przez żonę zdanie. Widać było, że bardzo przy tym cierpiał. Strzelał palcami, głęboko oddychał, usiłując dojść do siebie. Po chwili kontynuował:

– Ale... to może się zdarzyć w każdej chwili, nie wiadomo, co czeka nas jutro.

Dawid wprawdzie milczał, tylko kiwał głową na znak, że podziela te słowa. Patrzył na żonę, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „No

widzisz, słuchaj”.

Estera otuliła się szczerze szalem w kolorze bakłażana i unikając wzroku męża, spoglądała w niebo. Chmury na tle błękitu szybko zmieniały kształty. Lekko siwiejące włosy zebrała na karku, wydawało się, że rysy jej twarzy jeszcze bardziej się wyostrzyły.

– Podjęliśmy decyzję, przenosimy się do Portugalii – oznajmił po chwili Salvatore. – Stamtąd pojedziemy do Edirne albo do Stambułu.

Tęgawa Graziella pokiwała głową. Przeciągnęła ręką po kręconych włosach bujnie okalających jej twarz, poruszyła złotymi kolczykami w kształcie koła. Mężczyzna pochylił się do przodu i już nie strzelając palcami, zginał je tylko i prostował.

– Posłuchamy rabina Sarfati. On wiele lat temu przewidział, że do tego dojdzie. Nawoływał więc z dalekiego Edirne, zapraszał nas na ziemi osmańskie. Mamy do niego zaufanie.

Tym razem odezwał się Dawid, który niewiele mówił od przyjścia sąsiadów.

– Wiem – powiedział. – „Tutaj każdy pod swym drzewem figowym i powojem może żyć w spokoju” – wyrecytował – czyż nie tak?

Estera dodała:

– Ale my tutaj mamy nasze drzewa figowe, powój, dom. – I spytała: – Jakże to zostawić i iść w tak dalekie nieznane miejsce? Poza tym wierzę, że ta sytuacja ulegnie zmianie, że wszystko minie.

– Nie – odrzekła Graziella. – Wiem, czuję, to nie przejdzie. Wyjadę z dziećmi i z mężem, zrobię to, nawet jeśli miałabym się rozchorować. Wy też jedźcie z nami, póki nie będzie za późno, co ty na to, siostrze?

Estera nie odpowiedziała.

– Dopiero co upiekłam bojo<sup>[27]</sup>, przyniosę je – to mówiąc, skierowała się ku wejściu do domu.

Dzwony ponownie zaczęły bić, ptaki na drzewach przestraszone wzbiły się w powietrze.

Salvatore zwrócił się do Dawida proszącym tonem:

– Przekonaj ją, mój przyjacielu. Bądź pewny, że za kilka miesięcy będzie już za późno. Pomogę ci. W Stambule też założymy drukarnię. Może będzie lepiej niż tutaj... Kto wie? Stambuł jest podobno pięknym miastem. Posłuchaj mnie.

Dawid wstał. Był wysokim, szczupłym, lekko zgarbionym mężczyzną. Włosy w większości mu wypadły, czubek szpiczastego nosa miał zawsze czerwony jak ludzie nadużywający wina. Ale on w żadnym wypadku nie pił. Był człowiekiem spokojnym, bardzo przywiązany do domu, żony, dzieci. Bijąc się z myślami, chodził tam i z powrotem po niewielkim ogrodzie. Nagle odwrócił się do Salvatore, swojego sąsiada, a jednocześnie współnika, mówiąc:

– To wszystko wiem doskonale, ale Estera nie chce wyjechać. Przywiązana jest do ojcowizny, wspomnień. Jeśli ona nie zechce opuścić domu, nie mogę nic zrobić.

Znów zaczął nerwowo chodzić. Potem wrócił do rozmowy, jakby mrużąc do siebie:

– Całe Toledo wie, jak uparta jest Estera, czyż nie tak?

– Oczywiście – potwierdziła doña Graziella. – Nawet cała Kastylia. Ale może... Może znajdzie się sposób, by ją przekonać.

Wyglądało na to, że żona Salvatore już się uspokoiła, westchnęła głęboko; przyglądała się uważnie domowi, podwórzu, drzewom, jakby widziała je po raz pierwszy.

– Właściwie to ją rozumiem. Kto z nas chce stąd wyjeżdżać? Te miejsca przecież były obecne przy naszych urodzinach, wzrastaniu, małżeństwach i przychodzeniu dzieci na świat. Poza Toledo nie mogę nawet marzyć o innym miejscu. Ale niestety musimy wyjechać. Tak, Estera jest bardzo trudną kobietą, przekonać ją może tylko Haim. Słucha wyłącznie jego, swojego starszego syna, na innych nie zwraca uwagi.

Salvatore spojrział z niesmakiem na żonę, nie chciał urazić przyjaciela. Dawid machnął ręką na znak, że nic się nie stało, po czym zapytał:

– Kiedy ruszacie?

– Gdy tylko pozalątwiam sprawy, najpóźniej za dwa miesiące – odpowiedział Salvatore.

Dzwony zaczęły ponownie bić, a przerażone tymi dźwiękami ptaki i tym razem frunęły w górę.

W tej chwili weszła Estera, z tacy, którą niosła, unosiła się para.

– Nikt poza tobą nie umie przyrządzać takich bojo – odezwała się Graziella. – Ach, ze zmartwienia i pośpiechu zapomniałam zapytać, jak

się czuje Avram?

Estera wzruszyła ramionami.

– Ech, tak sobie, jednego dnia lepiej, drugiego gorzej.

Dawid podniósł głowę i spojrzał w stronę pokoju, w którym spał syn.

– Akurat śpi, według mnie teraz jest lepiej, nadeszła wiosna, wydobrzeje. Tak jest co roku. Bardzo słaby, delikatne dziecko. Cokolwiek byśmy robili, wciąż nie jest taki silny jak jego starszy brat.

Salvatore poklepał przyjaciela po nodze.

– No, nie martw się, Dawidzie, on ma dopiero siedem lat, zobaczysz, do czasu bar micwy<sup>[28]</sup> wydobrzeje i będzie zdrowym młodzieńcem. Pamiętasz, z Mosze w tym wieku też były kłopoty. Podobnie z Abrahamem. Sytuacja zmieniła się, kiedy skończyli dwanaście lat – obaj wyrosli w końcu na zdrowych ludzi. To wszystko normalne, przecież to jeszcze dziecko...

– Tak, ale całymi nocami kaszle, jest blady, nie ma apetytu. Jego matka każdy ranek spędza w kuchni, by przygotować mu ulubione potrawy. A on je jak ptaszek. Dlatego Rachela poszła zbierać grzyby dla brata z nadzieją, że mu zasmakują. Nad brzeg Tagu. Nie chcieliśmy na to pozwolić, ale ta strona miasta jest jeszcze bezpieczna, mało cudzoziemców tu zagląda. Tak w ogóle to współczuję dzieciom, słyszą jedynie „tu nie idź, tam nie idź”. W strachu mija im dzieciństwo, młodość...

Graziella była kobietą o zmiennych nastrojach, z apetytem zjadała ziemniaczane bojo i mrużąc, potwierdziła:

– Tak. Tam jest bezpiecznie. Oni mają inne sprawy na głowie, nie interesują ich łąki, pastwiska. Raczej zajmują się nami, naszymi sklepami, domami, synagogami, pieniędzmi... Łąki są bezpieczne. – Wzięła z tacy jeszcze jedno bojo. – Mówicie, że nasza Rachelka poszła nazbierać grzybów dla brata, jakież dobre serce ma to dziewczętko. Poza tym jest piękna... W końcu poženimy ich w Stambule z naszym Mosze.

Dawid zakaszał, Salvatore spojrzał na żonę, jakby chciał ją upomnieć, że to nie najlepszy moment, aby poruszać ten temat. Już otworzył usta i miał coś powiedzieć, ale Estera go uprzedziła:

– A my stąd nie wyjedziemy – stwierdziła. – Tak więc ożenicie, ale



z inną dziewczyną. Rachela wyjdzie za mąż tutaj, na ziemi naszych przodków, zgodnie z naszymi obyczajami. Podobnie też Haim i Avram założą tu rodziny...

Haim, wbiegając na wzgórze, krzyczał:

– Zabiję cię, mały Nahmiyasie! Jeśli jeszcze raz dostanę cię w swoje ręce, to nie tylko będzie leciała ci krew z garbatego nosa, lecz wypruję ci wnętrzności, ty nic niewarty rozrabiako!

Nagle zatrzymał się, wyczerpany i zły, rzucił się na ziemię, przywarł do niej twarzą, jakby chciał ją w niej ukryć. Kilka razy uderzył głową o murawę, skubiąc ją rękami. Potem szybko się podniósł.

– Zabiję cię, przysięgam.

Z wściekłości płynęły mu łzy. Odwrócił się i spojrzał prosto w dół, w stronę Tagu.

– Strzeż się, Rachelo, nie ruszaj się z tego miejsca, ja też cię wypytam o to, co robiłaś! – krzyczał ze wszystkich sił.

Tymczasem schowana za wierzbą Rachela trzęsła się ze strachu. Kiedy upewniła się, że Mosze zniknął z horyzontu, napięcie ją opuściło i zaczęła łkać. Ten Haim to naprawdę zły, zazdrosny, łobuz. Co niby się stało? Posiedzieli trochę, razem patrzyli na płynącą wodę, co w tym złego?... I tak wszyscy wiedzieli, że w przyszłości się pobiorą. Mosze wziął ją za rękę i jeden jedyny raz pocałował w policzek, to wszystko. I „kocham cię, aż do końca, do końca” – wyszeptał. Czy to była zbrodnia? Skąd wziął się tu ten Haim. Wystarczył jeden jego cios, a z ust i nosa Mosze poleciała krew.

– Maszeruj, idziemy do domu, mam z tobą do pogadania – mówiąc to, Haim schodził obok siostry ze stromego skalnego wzgórza; od czasu do czasu odwracał się, jeszcze pokrzykując: – Ty Nahmiyasie, brudasie, włóczęgo!

Gdy doszli do brzegu rzeki, pochylił się i obmył wodą zimną jak lód swą poczerwieniałą ze złości twarz; nadal się trząsał.

– Kim ty jesteś? Jak możesz myśleć o flirtach, kiedy wszyscy mają takie zmartwienia? Będiesz się miała z czego tłumaczyć – podniesioną pięścią zagroził Racheli. Wciąż miał na palcach krew z nosa Mosze. Ponownie schylił się i umył ręce. – Idź – ponaglił. – No szybciej, prosto do domu, nieodpowiedzialna dziwaczko, zalotnico.

Rachela natychmiast zareagowała z wściekłością. Zabolęła ją słowo „zalotnica”. Podniosła z ziemi kamień, rzuciła w stronę brata i nie patrząc nawet, gdzie trafiła, pobiegła przed siebie. Jednocześnie krzyczała, ile sił w płucach:

– Haim, życzę ci, żebyś zdechł, życzę ci, żebyś zdechł i żebym zobaczyła to na własne oczy...

Szał zsunął się jej z głowy, rudawoblond włosy opadły na szczupłe plecy; to przewracając się, to podnosząc, biegła na wzgórze, na którym leżało przypominające gniazdo jastrzębia Toledo, z synagogami, kościołami, domami.

Haim podniósł leżący obok niego kamień, który wybił niewielką dziurę w ziemi, i rzucił go do wody. Wiadomo było, co robi ojciec, gdy się na nią rozzłości. Już znów miał krzyknąć „chodź tutaj”, ale zobaczył, że nagle siostra, zdenerwowana i wystraszona, sama zaczęła się cofać w jego stronę. Na twarzy Racheli malowała się groza, nie można było zrozumieć, co mówi. Haim rozejrzał się wokoło i dostrzegł schodzącą z góry liczną grupę ludzi. W rękach trzymali krzyże; nawet jeśli nie sposób było ich rozpoznać, bo byli ubrani na czarno i brązowo z kapturami na głowach, to nietrudno się było domyślić, kim są. Przemknęło mu przez myśl, by uciec, ale nie mógł tak postąpić, nie mógł zostawić Racheli bez pomocy. Co miał robić? Jak mógłby ochronić siebie i siostrę? Rozejrzał się uważnie. Splątane gałęzie stojących niedaleko ogromnych wierzb wpadały do wody, a w ich pniach można było ukryć nawet łódkę. Zaraz za drzewami rosła gęsta trzcina.

Kiedy zadyszana Rachela podbiegła do niego, natychmiast pchnął ją ku tamtemu miejscu.

– Idź tak daleko, jak będziesz mogła, i przede wszystkim nie odzywaj się – powiedział śpiesznie. – Co ma być, to będzie...

Dziewczyna dzwoniła zębami z przerażenia.

– A ty? – spytała. – Nie idziesz?

– Zajmę się nimi, uciekaj, dogonię cię – polecił. – No biegnij, i to szybko, wróć do domu i opowiedz o wszystkim.

Kiedy pierwszy ubrany na czarno człowiek, odłączywszy się od grupy, zszedł na brzeg rzeki i złapał za szyję jej starszego brata, Rachela skryta w szuwarach była już dosyć daleko, ale nadal mogła

obserwować napastników.

Haim, mimo że stawiał dzielnie opór, nie mógł już nic zrobić. Mężczyźni trzymanymi w rękach krzyżami bili młodzieńca po plecach, głowie, całym ciele i łamali je na nim.

– Zabójca Jezusa!... Świnia pijąca krew chrześcijan! – krzyczeli. – Będziesz się tłumaczył przed Inkwizycją, ty nikczemniku, ty brudny Żydzie...

Twarz Haima pokryła się krwią, leżał w wodzie między kamieniami, był jak odrętwiały po ciosach, które na niego spadły. Kilku osobników z grupy, przybyłej z jego powodu, zaczęło szukać Racheli. Powinien coś zrobić, by ratować siostrę. Najpierw na kolanach, potem stanąwszy, ostatkiem sił starał się wyprostować i chociaż znalazł się wśród tyłu napastników, udało mu się zrobić kilka kroków, lecz kiedy natrafił na niewielki spad, zachwiał się i w tej samej chwili, kopnięty w kark, potoczył się w białą pianę zielonej rzeki Tag.

Rachela szklanymi od łez oczami patrzyła, jak zakrwawione ciało brata osuwa się do wody. Aby zagłuszyć szloch i zawodzenie, usiłowała wcisnąć w usta obie dłonie naraz. W uszach dźwięczały wypowiedziane tak niedawno słowa: „Życzę ci, żebyś zdechł, życzę ci, żebyś zdechł i żebym zobaczyła to na własne oczy”. Osunęła się w miejscu, gdzie stała, z głową opartą o kłodę długi czas leżała bez ruchu w błotnistej wodzie. Ten stan omdlenia przeszkodził złoczyńcom w jej złapaniu. Mimo że grupa przez dłuższy czas przeczesywała teren w poszukiwaniu dziewczyny, z nastaniem nocy dała spokój i poszła tam, skąd przyszła.

W tę noc 21 marca córka de Toledów Rachela i ich syn Haim nie wrócili do domu.

31 MARCA 1492 ROKU

**Granada**

*Z woli Bożej Król Ferdynand i Królowa Izabela jako władcy Kastylii, Leonu, Aragonii oraz innych prowincji przynależnych do korony przekazują życzenia zdrowia i pomyślności każdemu, którego list dotyczy, wszystkim Żydom, kobietom i mężczyznom bez względu na wiek, żołnierzom, zarządcom twierdz, rycerzom, duchownym, hrabiom, markizom, książętom i księciu Juanowi i zawiadamiają o tym,*

co następuje.

*Jak wiadomo, nasz kraj częściowo zamieszkują źli chrześcijanie, grzeszący przeciw naszemu katolickiemu Kościołowi, którzy zaakceptowali judaizm. W dużej mierze przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt bliskiego obcowania ze sobą chrześcijan i Żydów. Z tego powodu, mając nadzieję na naprawienie tej sytuacji, w 1480 roku wydaliśmy zarządzenie skierowane do miast i miasteczek położonych na terenach objętych naszą władzą i rozkazaliśmy wyznaczenie Żydom osobnych dzielnic oraz utworzenie w nich sądów inkwizycyjnych. Ten przepis stosowany był przez dwanaście lat i dzięki temu złapano wielu winnych.*

*Inkwizycja powiadomiła nas, że szkody zadawane światu chrześcijańskiemu nadal uporczywie są kontynuowane. A dzieje się tak, ponieważ nasi duchowni bracia nie przestali obcować z Żydami, którzy oddalają ich od świętego Kościoła katolickiego i za wszelką cenę nawracają na judaizm.*

*Ci Żydzi wpajają chrześcijanom swoje zasady życia, zapraszając ich na uroczystości religijne, ucząc swoich zasad, namawiając do obrzezania dzieci, rozdając książeczki do nabożeństwa, nauczając o dniach, w których się nie je ciasta, i innych świętach, oraz o regułach odżywiania zgodnych z wytycznymi Mojżesza. Potajemnie wmawiają naszym braciom katolikom, że nie ma innej drogi jak judaizm. Że to prawda przyznawali wielokrotnie w sądach ci, którzy zboczyli z drogi, jak również sami Żydzi. I fakt ten budzi poważny niepokój świętego Kościoła katolickiego.*

*Według naszej wiedzy skutecznym zapobieżeniem temu zastraszaniu i panującemu złu będzie całkowite przerwanie kontaktów chrześcijan z Żydami, oddalenie ich od siebie, i dlatego wydaliśmy rozporządzenie o dokonaniu czystki i wydaleniu ich ze wszystkich wsi, miasteczek i miast prowincji Andaluzji, mając nadzieję, że stanie się to nauczka dla mieszkańców innych prowincji, którzy zmagają się i zrezygnują ze stosowania takich praktyk. Dowiedzieliśmy się jednak, że wspomniani Żydzi mimo tych wszystkich działań kontynuowali zbrodnicze występki, starając się zniszczyć katolicyzm. A ponieważ chcemy wspomóc naszą świętą wiarę i ukochany nasz Kościół, nie mamy innego wyjścia. Jeżeli nie zlikwidujemy w zarodku skierowanej przeciw*

*nam i wciąż żywej przyczyny tej strasznej, zdradzieckiej agresji, to bez wątpienia bardzo na tym ucierpimy. Głównym sprawcą są Żydzi i środkiem zaradczym będzie usunięcie ich wszystkich z całego terytorium królestwa. Usunąć trzeba wszystkich, ponieważ nie mamy możliwości wyluskania jedynie tych, którzy wprowadzali zamęt, bo, czy się tego chce, czy nie, te ogniska niepokoju są reakcją ludu i powodują zagrożenie bezpieczeństwa narodu w królestwie. To jedyna metoda, ażeby dotrzeć do tych, którzy pracują nad zniweczeniem wiary chrześcijańskiej, ilukolwiek by ich było, czy będą to pojedyncze osoby współpracujące z Żydami, czy grupy Żydów. Należy usunąć poza nasze granice część społeczeństwa przyczyniającą się do tego typu szkodliwych praktyk, to jedyny sposób na tych, którzy szkodzą wierze chrześcijańskiej.*

*Z tego powodu, zasięgnąwszy opinii u ludzi nauki, Wysokiego Sądu, Rycerzy Królewskich, Rady Królewskiej i innych, postanowiono, że wszyscy Żydzi, kobiety i mężczyźni, opuszczą nasze królestwo z zakazem powrotu. Podkreślamy: znajdujący się w obrębie naszej hegemonii wszyscy Żydzi, kobiety i mężczyźni, bez względu na wiek, zabierając ze sobą swe córki, synów, służące i krewnych, zmuszeni są do trzydziestego lipca wyjechać i niech zapomną o powrocie. Jeśli po tej dacie znajdzie się na naszej ziemi Żyd, który nie zastosował się do polecenia, lub jeśli złapany zostanie jakiś Żyd, który z jakiegokolwiek powodu ponownie postawił nogę na terenie naszego królestwa, będzie natychmiast stracony i przypadnie mu cały majątek.*

*Ponadto powiadamy: Jeżeli na terenie naszego królestwa, po trzydziestym lipca, ktokolwiek ukrywać będzie Żyda, z całą stanowczością zostanie ukarany i zajęty zostanie jego majątek.*

*Żydzi, w określonym już terminie, mogą swobodnie sprzedawać ziemię, domy, wszystko, co do nich należy. Zgodnie z prawem i zasadami sprawiedliwości nikt nie może im pod tym względem przeszkadzać, a jeśli znajdą się osoby występujące przeciw królewskim uchwałom, zostaną ukarane.*

*Wydajemy zgodę Żydom, którzy chcą wywieźć poza królestwo drogą morską lub inną należący do nich majątek, poza cennymi surowcami, takimi jak złoto i srebro, na które od 1480 roku zgodnie z królewskim rozporządzeniem nałożono zakaz wywozu. Wszyscy*

*konsulowie, sędziowie, rycerze, osoby pochodzące ze znamienitych rodów, urzędnicy oraz zarządcy wsi i miast znajdujących się na terenie królestwa zobowiązani są rozkaz zrozumieć i odpowiedzialni są za wprowadzenie go w życie. Niestosujący się do prawa będą karani i przepadnie im majątek.*

*Zobowiązuje się władze lokalne, by rozkaz ten przekazać w taki sposób, aby dotarł do każdego, ogłaszając go od najmniejszego po największy plac królestwa. Ten przepis musi być wprowadzony w życie w podanym wcześniej terminie, bez wywoływania niepokojów i sprzeciwów. Ci, którzy się do niego nie zastosują, będą karani z konsekwencją odebrania majątku.*

*Polecamy też przekazanie do pałacu podpisanego sprawozdania z wyników wprowadzenia w życie niniejszego rozporządzenia.*

*Ogłoszono w mieście Granada, trzydziestego pierwszego marca 1492 roku.*

*Podpisali: Ja, Król; ja, Królowa; spisujący polecenia Juan de Coloma – sekretarz Króla i Królowej.*

30 KWIETNIA 1492 ROKU

**Toledo**

Rachela po tym, jak znaleziono ją nad ranem nieprzytomną na brzegu Tagu wśród szuwarów, czterdzieści dni leżała w łóżku, nie odzywając się, a nawet nie otwierając oczu. Cały czas płakała, po policzkach bezszelestnie płynęły łzy. Mosze odwiedzał ją codziennie. Siadał na brzegu łóżka, też nic nie mówił, okrywał ją, ujmował w swoje dłonie rękę dziewczyny. W każdy piątkowy wieczór zapalał siedem świec w menorze<sup>[29]</sup> ustawionej na niskim stoliku przy drzwiach. Okadzał też pomieszczenie kminkiem, goździkami i innymi słodkimi zapachami... Razem ze wszystkimi bez przerwy modlił się o jej powrót do zdrowia. Z nikim jednak nie rozmawiał, bo sam też cierpiał.

Przyjaciele Haima, Żydzi z Toledo i niektórzy katolicy, mimo poszukiwań nie znaleźli go, przepadł jak kamień w wodę. Porwał go Tag z białą pianą na powierzchni zielonej wody. Śmierć to święty nakaz Boży, ale gdy jedno z młodych ma siedemnaście lat, drugie czternaście, to ten fakt, skazujący ich na poświęcenie, musiał wywołać

sprzeciw.

Siedmiodniowa żałoba była stanowczo za krótka dla Dawida, a zwłaszcza dla Estery. Jej śniada twarz pociemniała jeszcze bardziej, kok na karku niespodziewanie posiwiiał. Nawet dla Avrama nie wchodziła do kuchni. Siadywała zawsze w tym samym miejscu na wąskich schodach przy drzwiach na podwórzu, wpatrywała się w gniazda pozostałe jeszcze z poprzedniego roku po wędrownych ptakach, tkwiące w rozgałęzieniu naprzeciw ogrodowego muru. Były puste, zostało jeszcze trochę czasu do ich przylotu. Zazieleniły się gałęzie drzew pokryte pąkami, ociepliło się, a nawet zrobiło się gorąco, ale serce Estery pozostawało jak skute lodem. I w domu de Toledów nie było śladu szczęścia, które mogłoby je ogrzać.

Salvatore Nahmiyas, odchylając kołatkę zamocowaną na drewnianej bramie, trzy razy delikatnie zastukał. Mosiężna dłoń kobiety trzymająca kulkę z brązu omal nie wypadła mu z ręki. Grubymi palcami porządnie przytwierdził chwiejące się gwoździe, wzmacniając mocowanie kawałkiem podniesionego z ziemi papierka. Dotknąwszy mezuzy<sup>[30]</sup>, pomodlił się:

– Mój Boże, chroń nas wszystkich...

Drzwi otworzył Dawid i przywitał go uśmiechem:

– Wejdz, przyjacielu.

– Witaj, Salvatore – załamana Estera podniosła się z trudem z miejsca, jakby dźwigała tysiącletni ciężar.

Mężczyzna, trzymając w jednym ręku kapelusz, który przed chwilą zdjął z głowy, postąpił do przodu, sprawiając wrażenie zakłopotanego, a drugą ręką dał znak kobiecie, żeby nie wstawiała. Zbliżył się do Avrama, który siedział na ławce pod bluszczem i wymachiwał w powietrzu drewnianym mieczem. Z uczuciem pogłaskał dziecko po kręconych włosach.

– Eee, jak się czujesz, mój rycerzu? – spytał. – Wkrótce nadejdzie bar micwa, wytrzymaj...

Avram podniósł miecz, zatoczył nim jeszcze większe koło, uśmiechnął się.

Kiedy on walczył z wydumanymi wrogami, pozostali milczeli. Byli zatroskani, szukali słów, żeby zacząć rozmowę. Pierwszy odezwał się

Dawid:

– Mosze też jest tutaj. Na górze, przy Racheli.

– Jak ona się czuje, lepiej?

– Stan zdrowia się poprawia, ale biedna ciągle płacze. – Dawid potarł swój szpiczasty, czerwony nos.

– To minie, Dawidzie – powiedział Salvatore, ocierając pot z czoła.

– Minie. Niebo ześle lekarstwa na cierpienia, które nas dosięgły, wierz mi.

Krzaczaste, grube brwi Dawida uniosły się do góry.

– Czy to znaczy, że wyjeżdżacie? – zapytał.

– Tak, wyjeżdżamy pojutrze rano, ale możemy poczekać na was w Portugalii. Tak jak powiedziałem, z nieba zawsze przyjdzie pocieszenie. W Stambule życie może być całkiem inne. Zaczniemy wszystko od nowa, podobno jest tam bardzo ładnie, mówią, że królowie, to znaczy sułtani, też są dobrymi ludźmi.

– Wyjechać, nie mam nawet takiej nadziei. – Dawid z niepokojem spojrział na żonę. Kobieta ponownie utkwiała wzrok w pustym gnieździe na drzewie. Schylił się do przyjaciela: – Po wypadku z Haimem... – Pokiwał głową bezradnie.

– Ojciec – odezwał się Avram – my też pojedźmy do Stambułu, urządzimy tam bar micwę.

Estera wstała i weszła do domu.

Salvatore duszkiem wypił stojącą przed nim lemoniadę.

– Wiesz, że trzydziestego pierwszego marca podjęli już decyzję o wysiedleniu nas, ogłoszą to wszystkim na początku miesiąca i potem zostaną tylko trzy miesiące, będzie bardzo ciężko. Podobno don Izaak Abravanel i inni z naszego środowiska starają się negocjować. Chodzą słuchy, że mają w pałacu wystąpić z obroną, ale tak naprawdę to nie sądzę, by moja sytuacja uległa zmianie. Musimy wziąć sprawy w swoje ręce. Od nowa stworzyć przyszłość, jeszcze raz, jak zawsze. Jest to zadanie nas wszystkich, moje, twoje... Drogi przyjacielu, rozumiem, jak bardzo cierpisz... Miałeś dorosłego syna, straciłeś dziecko, które z trudem wychowałeś. Ale, Dawidzie, masz jeszcze dwoje dzieci, masz obowiązki wobec Boga. Musisz chronić te niewiniątka. Jedźcie z nami albo zaraz potem. Będziemy tam na was czekać. W czerwcu ruszymy



nad Gibraltar, a potem statkiem popłyniemy do Stambułu.

– Nie mogę niczego obiecać, Estera wciąż czeka na Haima. Biedna Estera... Moja Rachela też w okropnym stanie... Avram...

– Dawidzie, musisz posłuchać mojej rady, to nie są żarty – powtórzył Salvatore, wstając. – Nie mamy innego wyjścia, no nic, wstąpimy do was przed wyjazdem. Przyszedłem po Mosze, niech mi pomoże w pakowaniu. Mamy mnóstwo bagaży, wszystko, co mieliśmy, zamieniłem na skóry i materiały. Dianie, nie pozwalają zabrać za granicę pieniędzy, tego, co zdobyliśmy w pocie czoła. Położyli rękę na wszystkim, co do nas należy, na naszym życiu i majątku. Boże, wspomóż nas.

W tym czasie Estera i Mosze weszli na podwórze.

– Jak Rachela? – spytał mężczyzna, kładąc rękę na ramieniu syna. Chłopak nic nie odpowiedział, patrzył przed siebie.

– Już lepiej, ale opadła z sił – oznajmiła Estera.

Dawid przełknął ślinę.

– To też dziecko – odparł. – Niewinne dziecko i tak jak my cierpi za niepopelnione grzechy.

Estera, nie rzekłszy słowa, ponownie weszła do domu. Salvatore lekko popchnął syna w stronę bramy.

– Dawidzie, zawsze jestem gotów ci pomóc – powtórzył przed wyjściem.

Dawid przez chwilę patrzył za odchodzącymi. Słońce niemiłosiernie nagrzewało już bruk wąziutkich uliczek Toledo, a przecież nie nadeszło jeszcze lato. Młoda jaszczurka, wygrzewająca się przy zawiasach przytrzymujących ich bramę, przestraszona szybko podbiegła do starszych.

– Tatko – zawołał do ojca Avram. – Czy urządzimy mi bar micwę w Stambule?

– A dlaczego by nie? – odparł z uśmiechem Dawid. – Może nawet w pałacu sułtańskim. Ale teraz biegnij do kuchni, zjedz, żebyś był silny, zaraz do ciebie dołączę.

Avram radośnie wstał, a wchodząc do środka, zawołał:

– Mamo, mamó! Tata podobno wyprawi mi bar micwę w pałacu.

Dawid ponownie potarł szpiczasty, czerwony nos, wytarł go,

zakaszał i zdecydowanym tonem zawołał.

– Estero, Estero, chodź tu na chwilę...

## Granada

– Wasza Królewska Mość, dziękujemy stokrotnie za wyrażenie zgody na wygłoszenie przez nas ostatniej mowy w imieniu społeczności żydowskiej, którą reprezentuję ja, Izaak Abravanel, z moimi przyjaciółmi. Hrabiowie, markizowie, rycerze, damy, szanowne osobistości pałacu... To nie jest sytuacja przydająca Żydowi honoru, kiedy jest on zmuszony błagać o zapewnienie bezpieczeństwa braciom-współwyznawcom.

Jednak jeszcze większym wstydem jest odnieść sukces przez wyrzucanie z tej ziemi ludzi, nie zapewniwszy ochrony Króla i Królowej Kastylii, Aragonii i całej Hiszpanii.

Mam ogromną trudność w zrozumieniu, jakim zagrożeniem dla Kościoła katolickiego są żydowskie dzieci, kobiety i mężczyźni. To wielkie pomówienie.

Czy my was unicestwiamy?

W rzeczywistości jest przecież odwrotnie. Czy to nie wy w swoim rozporządzeniu nakazaliście takim jak my, Żydom, żyć w osobnych rejonach kraju? Czy nie odebraliście nam praw społecznych i innych przynależnych z mocy prawa? Czy nie postanowiliście zmusić nas do noszenia oznak, które przydają jedynie wstydu? Czy nie uciskaliście nas wysokimi podatkami? Czy nie prześladowaliście Żydów bez litości, stawiając ich przed Inkwizycją i poddając niekończącym się dniem i nocą przesłuchaniom? Chcę podkreślić jeden punkt, przedstawiając go każdemu, kto mnie teraz słucha: Dzisiaj w tym miejscu występuję w ich imieniu i nie będę milczał.

Boże, który znajdujesz się w niebie, słuchaj mego głosu, i wy też posłuchajcie, Królowo i Królu Hiszpanii, ponieważ ja, Izaak Abravanel, mówię do was. Ja i moja rodzina wywodzimy się od króla Dawida. W mych żyłach płynie, co wyznaję z dumą, prawdziwa krew królewska, krew Mesjasza.

W imieniu wszystkich niewinnych i bezgrzesznych Izraelitów sprzeciwiam się winom wymienionym po kolei w tym ohydny akcie.

Wina i grzech leżą po waszej stronie, nie naszej. Wasz dokument pełny niesprawiedliwych zarzutów przyczyni się do zakończenia waszego panowania. I ten rok, o którym marzyliście, że będzie rokiem hiszpańskiego zwycięstwa, w historii okaże się okresem wstydu dla Hiszpanii.

Honor jest nagrodą dla indywidualnej cnoty i w tym tkwi godność budzącego szacunek Króla i Królowej. Nieszczęsny błąd popełniony przez kogoś bez znaczenia i bez imienia idzie wyłącznie na jego rachunek i spycha go w nicość. W innym przypadku miecz katowski nieprzystający pochodzeniu arystokratycznemu, obnażający niedoskonałość Króla i Królowej, na zawsze wysadzi ich z tronu historii. Znane jest powiedzenie, które głosi, że im znaczniejsze imię osoby popełniającej błąd, tym staje się on poważniejszy.

Błędy mogą być naprawione, jeśli się je wcześniej rozpozna. Jeżeli jedna z obluzowanych cegieł budowli zostanie natychmiast umocowana, to dalej będzie służyć całej konstrukcji. Jeśli błąd na czas zostanie wykryty, można go naprawić. Widzę jednak, że religijna nadgorliwość przyćmiewa wam rozum i nie pozwala ujrzeć rzeczywistości taką, jaką ona jest. Wasz akt wkrótce otworzy drogę nieszczęściom, których nie da się cofnąć.

Tak, Królowo i Królu, słuchajcie mnie uważnie: błąd, wasz błąd wpędzi wszystkich w tragedię, w jakiej Hiszpania jeszcze nie brała udziału. A odpowiedzialni za to będziecie jedynie wy.

Wojsko jest odzwierciedleniem siły fizycznej kraju, natomiast sztuka i literatura są światłem dobroczynnej siły twórczej. Tak, muzułmanów, których uważacie za niewiernych, zniszczyliście, wykorzystując mistrzostwo sztuki wojennej waszej armii. Staliście się jedynymi sędziami na waszej ziemi, zgoda, ale czy udało się wam w tych wojskowych głowach rozjaśnić mroczne umysły? Jakim prawem wasza Inkwizycja za jednym razem spaliła i obróciła w popiół tysiące ksiąg? Jakim prawem wasi księża niweczą wspaniałe biblioteki arabskie będące własnością całej ludzkości? Kto im na to pozwolił? Kto pozwolił? To wy, Wasze Wysokości, Król i Królowa. Wy...

Wy nie dajecie wiary nauce, jedyne, co budzi wasz respekt, to siła. Natomiast u Żydów jest inaczej. My wierzymy w naukę, czujemy do niej

szacunek. W naszych domach, synagogach mamy to na uwadze. Przez całe życie człowiek się uczy. Zdobywanie wiedzy jest naszym nałogiem, jest podstawą naszego istnienia, i według mędrców po to właśnie człowiek zstąpił na ziemię. Można dobrze zrównoważyć to nasze umiłowanie nauki z waszym uwielbieniem siły. My, będąc pod waszą ochroną, żylibyśmy bezpiecznie, wy natomiast, korzystając z naszych doświadczeń, kierowalibyście państwem bardziej światłym, bogatym. To byłoby pożyteczne dla obu stron.

Wydajemy się wam bezsilni, ale wasz lud z powodu tych niespotykanych zarządzeń będzie jeszcze cierpieć. Cenę za wasze obecne zachowanie zapłaci następne pokolenie. Czciecie siłę oręża, będziecie zdobywcami, zagarniecie złoto i inne bogactwa, każdego waszym mieczem rzucicie na kolana. Ale nadal będziecie wspomniani jako armia analfabetów. Nie zdobędziecie szacunku, postrzegając jako osobliwość religię, filozofię innych ludzi. W przyszłości każdy będzie czuł nienawiść do Hiszpanii, będzie się od niej odwracał. Powie: „Mogli mieć taką świetlaną przyszłość, ale zniweczyli ją własnymi rękami”.

I pewnego dnia Hiszpania zada sobie pytanie: „Co myśmy zrobili? Dlaczego do tego doprowadzono?”. I wtedy Hiszpanie obejrzą się za siebie, będą domagać się prawdy. A wielcy mędracy jako przyczynę upadku wskażą dzień dzisiejszy. Wskażą was, Króla Ferdynanda i Królową Izabelę... jako tych, którzy przyczynili się do zakończenia Złotego Wieku Hiszpanii i stworzyli Inkwizycję, i którzy wyrzucili Żydów i Arabów, zasłaniając się ochroną Kościoła katolickiego.

Wasz dekret jest dowodem słabości wiary chrześcijańskiej. Trwająca od wieków polemika między dwiema religiami, którą tak się kłopotacie, wydaje się kończyć pozytywnie dla religii żydowskiej.

Wy teraz, zamiast dyskutować, uciekacie się do innej metody, takiej, która nigdy nie będzie zaakceptowana przez Boga. Traktujecie Żydów jako źródło zagrożenia, wyrzucacie ich, pozbawiając domów oraz ziemi.

To na ziemi hiszpańskiej ostatnie przyznane nam prawo. Zdaję sobie sprawę, że moje słowa wybrzmiewają w ostatniej minucie wolności. Jako przedstawiciel zbiorowości żydowskiej w Hiszpanii chcę powiedzieć coś jeszcze, co również nie przypadnie wam do gustu.

Posłuchajcie, Królu i Królowo Hiszpanii, dzisiaj znaleźliście się wśród tych, którzy rzucają przekleństwo na naród izraelski, wyrządzając wielką krzywdę Żydom. Nie zapominajcie jednak, że w przeszłości było wielu królów i wiele królowych, którzy chcieli nas unicestwić, ale to oni znikli, myśmy natomiast przetrwali. Kiedy opuścimy te strony, będziemy żyć dalej. Ponieważ dokądkolwiek się udamy, Bóg będzie z nami. Nie zapomnijcie, Królu Ferdynandzie i Królowo Izabelo, że ręce Boga dosięgną również was i ukarzą za nienawiść, którą nosicie w sercu.

Twórcy Inkwizycji, przeklinam was. Przez pokolenia mówić się będzie, aż do końca świata, o waszym bezgranicznym zaślepieniu i prostactwie. Tyle że honorowa postawa Żydów okaże się ważniejsza niżli wasz wstręt i zwykłe chamstwo.

Wyrzucicie nas, usuńcie z ziemi, którą ukochaliśmy bardziej niż wy.

Będziemy was, Królu i Królowo Hiszpanii, pamiętać dokładnie tak, jak pamiętamy tych, którzy nam wyrządzili w przeszłości wielkie zło. Weźmiemy odwet na kartach ksiąg historycznych. Wasze imiona będą splamione do końca świata, a tego nie uczyniłaby wam żadna armia.

Was i waszego strasznego dekretu nigdy nie zapomnimy.

7 MAJA – 1 SIERPNIA 1492 ROKU

**Cała Hiszpania**

Don Abranavel nie przekonał królowej Izabeli i króla Ferdynanda. Na nic więc zdało się przejście całej jego rodziny na katolicyzm. Mimo że królestwo potrzebowało pieniędzy, odrzucono propozycję społeczności żydowskiej popieraną przez samego przewodniczącego Rady Inkwizycji Torquemadę o przyjmowaniu opłat za możliwość powrotu. W każdym razie pałac hiszpański był pewny, że przywłaszczy sobie majątek wyrzuconych Żydów. Zresztą pieniądze z pozostawionych dóbr tych, którzy do chwili obecnej zmuszeni zostali opuścić kraj, i tak przyniosły niemały dochód skarbowi państwa. I teraz dzięki tym kwotom Hiszpania miała rozwinać żagle ku lepszej przyszłości, nowym horyzontom. Może Żyd Krzysztof Kolumb, który stał się katolikiem, myślał już o wypłynięciu na Ocean Atlantycki swymi trzema statkami: Santa Maria, Pinta i Niña? Hiszpania widziała swoją przyszłość

w poszukiwaniu nowych ziem. Hiszpańscy Żydzi także...

Bijąc w bębny i docierając do placyków najmniejszych wiosek, ogłoszono dekret królewski i tym samym około pięćdziesięciu tysięcy rodzin, liczących w sumie dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób, zrozumiało, że nic już im innego nie pozostało, jak tylko salwować się ucieczką.

Przez całe trzy miesiące zakurzone gościńce wypełniali piesi, jeźdźcy i wozy. Każdy, ładując ze swego majątku tyle, ile mógł zabrać, na plecy, wóz albo konia, wyruszał w długą drogę. Ponieważ zabronione im było wywozić poza Hiszpanię złoto, srebro, a nawet metalowe monety z wybitą pieczęcią, większość z nich to, co posiadała, zamieniła na towary, z nadzieją, że będzie je można spieniężyć, aby przeżyć w nowym miejscu.

Droga była długa, niełatwa. Robiło się coraz goręcej. W ciągu dnia słońce prażyło niemiłosiernie, zaś w nocy panował chłód. Duże grupy paliły ogniska, aby się ogrzać. Natomiast te mniejsze, kilkusobowe, nie robiły tego ze strachu i niepokoju, że w każdej chwili mogą paść ofiarą napaści rozbójników, Inkwizycji czy fanatyków. Wędrowcy starali się usnąć, przytulając się jeden do drugiego, w zacisznym miejscu pod drzewem lub wielkim kamieniem.

Obawy nie były bezzasadne. Często utrudniano rodzinom nawet poszukiwanie nowego miejsca postoju. Konni żołnierze króla i królowej zatrzymywali grupy i szczegółowo przeszukiwali zarówno rzeczy, które Żydzi mieli ze sobą, jak i ich samych od stóp do głów. I jeśli przy którymś znaleźli choćby najmniejszy kawałek złota, to jego właścicielowi natychmiast jednym uderzeniem miecza ścinali głowę albo wieszali go na najbliższym drzewie. Nie zwracano uwagi na łzy dzieci. Ale też nie mało było wśród żołnierzy i takich, którzy przyjmowali łapówki. Dlatego niektórym Żydom, choć ryzykowali życie, udało się potajemnie wywieźć poza Hiszpanię drogocenny towar.

Jednym z największych niebezpieczeństw, które trwożyły tych ludzi wyrzuconych ze swych okolic i siedzib, byli zbójce – co najmniej tak samo bezlitośni jak jeźdźcy z pałacu. Zachłanni, przywłaszczali sobie co popadnie, bez względu na wartość, czasem nawet ściągali z nóg starszce znoszone buty albo zabierali kocyk niemowlęcia... Kiedy byli

mocno pijani, nie tylko kradli, lecz także otumanieni rzucali się na kobiety i dziewczyny. W drodze zasztyletowano wielu ojców, inni ze zmiażdżoną kamieniem czaszką tracili życie, broniąc honoru rodziny.

Wygnańcy, którzy wpadli w ręce tych zbirów podczas ucieczki w góry, zbliżając się do wiosek i miasteczek, napotykali na zdecydowany opór i obrzucani byli kamieniami. Matki, choć nie akceptowały bezprawia, w jakim przyszło im żyć, zmuszały swych dobrze ułożonych synów do zachowania spokoju. Wielu bowiem w wyniku takich akcji było zabijanych bez skrpułów albo oddawanych Inkwizycji pośród płaczu i lamentów najbliższych.

Długi konwój wydłużał się jeszcze bardziej, w miarę jak przyłączali się do niego następni wysiedleńcy z wsi, miasteczek i miast leżących na trasie. Wśród starców i niemowląt, którzy nie wytrzymywali tych trudów, rosła liczba zmarłych. Podczas gdy na początku członkowie grupy dzielili się wszystkim, to stopniowo, wraz z pogarszaniem się warunków życia, zaczęli bez litości występować przeciwko sobie. Bardzo często wybuchały kłótnie o kromkę chleba czy szklankę wody. Mężczyźni wszczynali bójkę, kobiety wymyślały, dzieci płakały. W tych ciężkich chwilach nie pomagały słowa żydowskich duchownych ani nawet formuły religijne. Nie wiadomo dlaczego jeden drugiego zaczął oskarżać i podejrzewać. W końcu zabrakło wytrzymałości i cierpliwości. Najcięższe czasy nastąpiły dla nawróconych na katolicyzm. A przecież oni zmuszeni byli do takich wyborów, aby uciec przed duchownymi z Inkwizycji, nie pozostać bez ziemi, uratować życie swoje i dzieci. Jaka szkoda, że nawet po latach nic nie odmieniło ich losu, nie dość, że wyrzuceni zostali z Hiszpanii, to również przeklinali ich ziomkowie.

Ci ludzie przez trzy miesiące przeżywali piekło, aby wyzwolić się spod jarzma hiszpańskiej nienawiści. Poza tym jechali w nieznane. Opuściwszy Granadę, Walencję, Kordobę, Sewillę, ci lepszego zdrowia odpływali na statkach ku brzegom północnej Afryki, a stamtąd mieli kontynuować podróż, by spróbować szczęścia na ziemiach należących do Osmanów. Wśród nich było też wielu muzułmanów maghrebskich, którzy w styczniu po przegranej poddali się Ferdynandowi i Izabeli. Ci, którzy żyli bardziej na północy, w Barcelonie, Vitorii, Huesce, Balaguer, Berdze, Figueres, przez porty nad Morzem Śródziemnym i potem nad

kanalem La Manche udawali się do Anglii, Francji, Holandii, Włoch. Jeszcze ciężiej było tym, którzy zamieszkiwali środkową część Hiszpanii. Ci z Toledo, Guadalajary, Salamanki, Segowii, Madrytu, zmagając się z tysiącem trudności, przemierzali w piekącym słońcu nieurodzajne równiny i skalne urwiska, by za wszelką cenę przedostać się do Królestwa Portugalii, które za ciężkie pieniądze wydało zgodę na ich pobyt.

Do tych, którzy zmuszeni zostali podjąć tę podróż, należeli również Rachela i jej rodzina.

Mniej więcej miesiąc po opuszczeniu przez Nahmiyasów Toledo oni też wyruszyli w drogę. Mieli się spotkać z nimi w Lizbonie. Początkowo Estera zarzekała się, że nawet jeśli miałaby umrzeć, to nie opuści domu i będzie czekała na powrót syna. Ale po rozmowie z rabinem nie sprzeciwiała się już planom męża. Z domu w zasadzie niczego ze sobą nie wzięli. Dawid za radą Salvatore wszystkie pieniądze zainwestował w skóry. I tak, załadowawszy je na wóz wraz z kilkoma workami jedzenia i ubrań oraz paroma pojemnikami z wodą, pożegnali rodzinne strony. Avram usadowił się obok ojca, śpiewał głośno, wymachując drewnianą szablą. Estera i Rachela oparły się plecami o bagaże i rozglądały w milczeniu. Matka od chwili śmierci Haima nie zamieniła z Rachelą ani jednego zbędnego słowa.

Przejechali bramę główną Toledo i skierowali się prosto na wypalony słońcem step. Mieli dołączyć do wozów, które wyruszyły dwa dni wcześniej. Dawid poganiał konie biczem, Avram zaś wymachiwał szablą w powietrzu. Tag pozostał za nimi. Estera łkała, wpatrując się w zieloną, spienioną wodę.

– Mój syn – jęknęła – Haimie, matka odjeżdża, zostawiając cię tutaj.

Rachela wyciągnęła rękę w stronę dłoni matki, ale kobieta cofnęła ją, jakby niespodziewanie jej kościste palce dotknęły ognia; twarz odwróciła w drugą stronę, dając w ten sposób do zrozumienia, że był to nieprzemyślany odruch. Rachela zamarła w bezruchu. W głowie rozbrzmiewały jej własne słowa: „Haimie, życzę ci, żebyś zdechł, życzę ci, żebyś zdechł i żebym zobaczyła to na własne oczy...”. Palilo ją wielkie poczucie winy, sumienie cierpiało katusze. To się stało z jej



winy, jej i Mosze... Matka ma rację i już nigdy jej nie pokocha. To było gorsze, niż wpaść w ręce Inkwizycji. Być z dala od delikatnych uścisków matki, jej miłości, akurat kiedy się tego najbardziej potrzebuje...  
W dodatku siedząc przy niej.

Ojciec, jakby czytał w jej myślach, trzaskając biczem, obrócił się i z miłością spojrzął na Rachelę. Zdawał się mówić: „To wszystko minie, moja córko, bądź cierpliwa”. Ale matka szlochała, że Haim odszedł i zniknął w otchłani wód. A ona przecież chciała śmierci brata... Rachelę przytknęła oczy, czuła się grzeszna, jakby na nią spadała odpowiedzialność za wszelkie zło na świecie. Nawet nie mogła marzyć o Mosze. Skończyło się, wszystkie piękne uczucia, piękne przeżycia dobiegły kresu i właśnie te wspomnienia powinna na zawsze zakopać w grobie, nawet ich nie jest godna. Mimo to dotknęła ręką policzka, tak jak to zrobił Mosze, kiedy ją pocałował. „Kochać będę aż do końca mych dni, aż do końca”.

Ciągle jechali, bez wytchnienia, nikogo jednak nie spotykając. Ruszali w drogę, zanim jeszcze wstało słońce, zatrzymywali się, gdy zachodziło. Za dnia, w skwarze, posuwali się naprzód przez pusty step; na niebie sępy zataczały kręgi, na górskich szczytach, wyglądających, jakby im ścięto wierzchołki, nie rosło nawet jedno drzewo. Ziemia spalona słońcem, przytłaczający upał. Kiedy zapadała noc, gleba i kamienie oddawały wchłonięty za dnia żar tak intensywnie, że w końcu wilgoć przenikała wszystkich na wskroś, aż do szpiku kości. Zapasy stopniowo się kurczyły. Estera co dzień przygotowywała taki sam placek: zrobiony ze szczypty mąki, wody i soli. Woda też była na wyczerpaniu. Tag już dawno pozostał za nimi. Góry stawały się coraz wyższe. Dawid od czasu do czasu zatrzymywał wóz, wdrapywał się na wzniesienie i rozglądał po okolicy. Ale wokoło nie było nikogo, wydawało się, że zgubili drogę. Zgodnie z przewidywaniami powinni się już zbliżać do granicy Hiszpanii. Stracili poczucie czasu, jak również drogę prowadzącą do Portugalii. I nadal jechali w nieznaną.

Pewnego dnia na horyzoncie pojawiły się konie wzniesające tumany kurzu. Avram, znów wymachując szabelką, zatoczył nią koło i krzyknął:

– Oto oni, niech żyją! – Ale nie było im do śmiechu.

Dawid zmarszczywszy brwi, patrzył uważnie.

– To jeźdźcy królowej – wyszeptał. – Zmobilizujcie się, bądźcie spokojni, nie rozmawiajcie. – I ściągnął lejce, zatrzymał wóz.

Jeźdźcy stanęli przed nimi, było ich pięciu. Ten na czele podniósł głowę i ściągnął cugle, tak że koń stanął dęba. Konie tych, którzy stali za nim, rżały, grzebały kopytami w ziemi; te należące do de Toledów czyniły zresztą podobnie... Zadufany w sobie czarnobrody żołnierz, patrząc pogardliwie przymrużonymi oczami, kilkakrotnie okrążył wóz stępa, po czym zbliżył się do swych kolegów.

– Żydzi – oświadczył... zupełnie, jakby mówił o budzącej odrazę padlinie. – Zejdźcie z wozu – krzyknął. – Pokażcie swoje rzeczy, wszystkie!

Dawid spojrział na żonę i córkę, dał znak głową, by wykonały rozkaz. Sam też zeskoczył i wziął na ręce Avrama.

Jeźdźcy natychmiast zajęli się workami zawierającymi ubrania i skóry. To, co im wpadło w ręce, rozrzucali na prawo i lewo, a przy tym dziurawili i rozdzierali mieczami, niwecząc przyszłość rodziny de Toledo. Czarnobrody, nadziawszy na koniec miecza ulubiony szal Racheli, wykrzykiwał:

– Jak się nazywasz, Żydzie?

Dawid, pocierając koniec szpiczastego nosa, spokojnie odpowiedział:

– Dawid.

Człowiek zaśmiał się.

– Podobno na imię ma Dawid, może być Dawid, Mosze albo Haim...

Cała piątka parsknęła szyderczym śmiechem. Twarze Estery i Racheli, pobladłe ze strachu, wykrzywił grymas bólu.

– Powiedz nam, Dawidzie, ile masz przy sobie złota?

– Stosujemy się do rozkazów królowej. Nie posiadamy ani złota, ani srebra.

– Czyżby? Znaczy nie macie pieniędzy, to dlaczego wędrujecie przez odludne miejsca, dlaczego zboczyliście z głównej drogi, co ukrywacie? No już, wyciągaj, pokaż, bo jak nie, to zaraz wam grób tu urządzę.

- My tylko zgubiliśmy drogę.
- Zaraz wam ją wskażę. Przeszukać ich.

Dwóch jeźdźców natychmiast silnie chwyciło Dawida; inny podbiegł do Estery, najmłodszy natomiast podszedł do Racheli i ścisnął ją mocno.

– Zostawcie nas, nie mamy nic do ukrycia – szlochała Estera.

– Kobieto, bądź cicho! – wrzasnął mężczyzna i ją odsunął. W tym momencie Avram, wywijając swą drewnianą szabelką, rzucił się na niego:

– W imię królowej!

Jeździec, odtrącając Avrama, zaśmiał się:

– Na dobrego Żyda wychowałeś, Dawidzie, swojego syna – rzekł.

– Patrz, on nadal się czuje poddanym królowej. – Odwrócił się do kolegów: – Najlepiej zrobimy, zabierając stąd dziecko, niech się wychowa we właściwy sposób, skoro jego ojciec nie ma pieniędzy – po czym przyciągnął Avrama, biorąc go w ramiona.

Kiedy przeszukiwana Estera usłyszała, że zamierzają odebrać jej syna, drżąc na całym ciele, zaczęła wrzeszczeć jak opętana:

– Zostawcie, zostawcie mojego syna!

W tym czasie jeden z nich, wskazując na Rachelę, zawołał:

– Ta dziewczyna coś ukrywa!

Rzeczywiście, córka de Toledów mocno zaciskała ręce wokół wielkich kieszeni spódnicy.

Twarz Dawida pobladła, rozszerzyły się jego zielone oczy.

– Rachelo – szepnął.

Czyżby córka nie posłuchała go i zabrała ze sobą pozostały po babce złoty naszyjnik? Estera natomiast była pewna, że Rachelę chowa złoty łańcuszek, który dostała od Mosze w dniu urodzin. Oboje wbili w nią wzrok. Rachelę opierała się napastnikowi, który nie mając innego wyjścia, złapał za kieszeń spódnicy i ją rozdarł. Dał się słyszeć odgłos upadającego metalu na rozgrzane od słońca kamienie znajdujące się u jej stóp. Dawid zamknął oczy, przekonany, że to już koniec. Avram kręcił się w ramionach czarnobrodego, wykrzykując:

– W imię królowej, w imię królowej...

Estera w lipcowym słońcu stała sztywno jak rzeźba lodowa.

Wstrzymała oddech, nie przełykała nawet śliny.

Jeźdźcy się śmiali. Rachela spojrzała na matkę i ojca.

– To do naszego nowego domu – wykrztusiła.

Na ziemi leżała kołatka, zdjęta z bramy domu w Toledo. W dłoni natomiast miała rękę kobiety z mosiądzu trzymającą małą kulkę z brązu...

– Nieznośna dziewczyna – krzyknął czarnobrody mężczyzna, kopnął kołatkę i postawił Avrama na ziemi. Estera zanosiła się płaczem.

Jeźdźców, gdy nie znaleźli tego, czego szukali, ogarnęła wściekłość. Chcącego podbiec do żony Dawida powalili na ziemię kopniakiem. Jeden z nich, nieco otyły, zawołał do pozostałych:

– Zostawcie ich, wystarczy, mamy mnóstwo roboty, wracamy na główną drogę, tam są pieniądze!

Wskoczyli na konie, któryś się schylił po Avrama, by wziąć go ze sobą, ale grubas ponownie krzyknął:

– Zostaw tego żydowskiego bękarta, jeszcze nim się będziemy zajmować? No jedź już...

I ścisnąwszy konie ostrogami, pognali je tam, skąd przybyli.

Estera osunęła się na ziemię i szlochała:

– Mój Boże, mój Boże, przebacz mi. Zapomniałam o dzieciach, zapomniałam, że jestem matką, a swoją duszę wypełniłam nienawiścią...

Dawid przytulił mocno żonę. Rachela drżąc, schyliła się, podniosła z ziemi mosięzną kołatkę i przytuliła do serca. Avram nadal wołał za oddalającymi się końmi:

– W imię królowej, w imię królowej!

Po kilku minutach gruby jeździec, najwidoczniej zawróciwszy, znalazł się ponownie obok płaczących, obejmujących się, wspólnie odmawiających modlitwę członków rodziny. De Toledowie zamarli ze strachu na jego widok. Ale tym razem w zachowaniu mężczyzny było coś dziwnego, z jego twarzy nie biła wrogość, której się spodziewali.

– Dawidzie, przyjacielu – mówił pospiesznie. – Macie całe cztery dni, spiesz się, natychmiast zawróć wóz w prawo, nie przystawaj aż do wschodu słońca. Jedź w tym kierunku, rano znów zobaczysz rzekę Tag i stamtąd zmierzaj bez zatrzymywania prosto ku zachodowi słońca. Dotrzesz do Portugalii.

Jak szybko przyjechał, tak i zawrócił konia. Dawid zawołał za nim:  
– Jak masz na imię, jak masz na imię?

Mężczyzna, popędzając konia, odwrócił się:

– Jose, Jose Marciano! – krzyknął i zniknął w kurzu wzbitym przez końskie podkowy.

De Toledowie uspokoili się; nie zważając na zmęczenie i zimno, żar, pragnienie ani głód, niestrudzenie jechali w kierunku wskazanym przez jeźdźca i na cztery godziny przed pierwszym sierpnia przybyli do Portugalii. Przez całą drogę Estera obejmowała ramionami córkę i ani przez chwilę nie rozluźniła uścisku. Pozostało im odnaleźć Nahmiasów.

To jednak okazało się niemożliwe. Kiedy zapukali do drzwi domu o musztardowej elewacji i żaluzjach pomalowanych na kolor cynamonowy, stojącego przy jednej z wąskich, bocznych uliczek Lizbony, podano im list, w którym było napisane:

*Dawidzie, mój przyjacielu, minęło już dziesięć dni, odkąd wyruszyliśmy w drogę, sprawy nie idą po naszej myśli. Z Portugalii wyjeżdżamy bezpieczniejszą trasą, mam nadzieję, że list dotrze do ciebie na czas i ty obierzesz tę samą drogę. My jedziemy do Saragossy, stamtąd do Perpignan. W porcie wsiądziemy na czekający na nas statek do Sambułu. Sułtan osmański zaprasza nas. Dzielnica, w której zamieszkamy, nazywa się podobno Balat, tam będziemy na was czekać. Wspólnie znów uruchomimy drukarnię, modlę się o to. Niech nam Bóg pomoże. Twój przyjaciel Salvatore, 14 maja 1492, Aranjuez*

W czasie gdy rodzina de Toledo czytała w Lizbonie ten list, Nahmi-yasowie przygotowywali się do zamieszkania w drewnianym domu w dzielnicy Balat.

Dawid jeszcze tego samego wieczoru sprzedał konie i wynajawszy za uzyskane pieniądze mały pokój dla rodziny, zszedł do portu.

17 WRZEŚNIA 1494 ROKU

**Stambuł**

Jesień chyba zawitała dziś do Sambułu. Duszące gorąco lata niespodziewanie zamieniło się w przyjemne ciepło. Nieruchoma zieloność łączyła się z błękitem, aż po horyzont, przypominając hasło z krzyżówki „niebieski atlas, w który nie wbije się igła”.

We wrześniowym blasku domy Üsküdar i Galaty oraz żagle statków wpływających do portu i wyruszających z niego przybierały kłujący w oczy śnieżnobiały kolor.

Jaskółki już dawno opuściły kraj. Natomiast bociany dopiero zaczynały myśleć o wylocie. Tysiące ptaków, jedne trzepocząc skrzydłami, inne zataczając łagodnie kręgi, tworzyły na niebie coś w rodzaju długiej szarawej chmury. Jeden koniec tej ruchomej ptasiej armii zaczynał się na tyłach Yedikule, a drugi sięgał Kayışdağı. Przylatując tutaj, zataczały bez przerwy koła, zatrzymywały się, czekając na pozostałe. Tak, oto bociany znów szykowały się do odlotu, rozprostowywaniem, machaniem skrzydeł przygotowywały się do długiej i trudnej drogi do ciepłych krajów. Ten widok przypominający misterium religijne obserwowali mieszkańcy Stambułu, a nawet i sam sułtan.

Rada Sułtańska rozpoczyna się zwykle odpowiednią ceremonią zaraz po namazie<sup>[31]</sup> i w ten piękny jesienny dzień zebrała się w ogrodzie pałacu. Żółte, pomarańczowe, różowe i białe chryzantemy z lekko czerwieniejącymi liśćmi kasztanowców i wielkich platanów stworzyły nową, zabawną mozaikę barw. Mimo niezbyt ciepłej pogody Beyazit II, mając od młodości poetycką duszę, właśnie tu zarządził zebranie. Rozmarzonymi oczami spoglądał na drzewa, kwiaty i stada przelatujących nad wzgórzem bocianów. Wydawał się znużony otaczającymi go ludźmi, jakby zapragnął, by jak najszybciej zostać sam na sam z przyrodą, aby móc ją podziwiać.

Jednak był to dzień bardzo znaczący dla Divan-ı Hümayun<sup>[32]</sup>. Nowy papież Aleksander Borgia wysłał po raz pierwszy do imperium osmańskiego swego posła i za chwilę George Bochiardo miał stanąć przed sułtanem. Wielki wezyr, wezyrowie, strzelec wyborowy, główny finansista, sędziowie-duchowni z urzędu şeyhülislama<sup>[33]</sup>, sędziowie, właściciele ziemscy – wszyscy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na wyznaczonych poduchach. Odpowiedzialni za nosze, sierżanci i woźni zajęli miejsca po obu stronach. Żołnierze sułtańscy ze sznurami w rękach i pałaszami przy pasie stali w pogotowiu w głębi podwórza.

Przed chwilą sprawdzano dokumenty finansowe i podjęto uchwały o nowych podatkach. Pisarze bez ustanku protokołowali wypowiedzi.

Sułtan od czasu do czasu ruchem ręki uciszał zabierających po kolei głos wezyrów, oznajmiał swoją decyzję. Na to ci, krzyżując ręce na piersiach i mówiąc „Wasz rozkaz jest dla nas święty”, przechodzili do następnego tematu.

Po przedyskutowaniu wielu spraw i podjęciu odpowiednich postanowień przyszła pora na posła.

Bochiardo z szacunkiem pokłonił się przed sułtanem i przekazał podarunki. Beyazit z przyjemnością patrzył na błyszczące złociście jedwabie, atłasy, zegar zdobiony drogimi kamieniami i porcelanowy komplet stołowy, ale zebrani w większości nie przywiązywali do tego wagi. Tłumacz pochodzenia włoskiego z Galaty natychmiast zaczął przekładać pełne szacunku i pozdrowień pisma papieskie, które przywiózł wysłannik. *Stojący na czele świata chrześcijańskiego pochyla się przed wielkim sułtanem Imperium Osmańskiego z podziwem i szacunkiem i zawiadamia, że zawsze jest po jego stronie, zrobi wszystko, co w jego mocy, dla kontynuowania współpracy. Brat Cem<sup>[34]</sup> jest pod naszym patronatem i nadzorem, sułtan nie powinien mieć pod tym względem żadnych wątpliwości. Zawarte porozumienia będą kontynuowane bez zmian.*

Kiedy padło imię Cema, twarz Beyazita posmutniała. Pokiwał głową. Spojrzał uważnie na mówiącego szybko, w obcym języku posła. Ten zaś, łysy, o szczupłej twarzy, kiedy zorientował się, że patrzy na niego sułtan, spuścił wzrok i kontynuował:

– Ale może tej umowie nada się nowy kształt z korzyścią dla obu stron.

Sułtan poruszył się oburzony.

– Co znowu chce zasugerować ten Aleksander, zamierza zmienić umowę? – zapytał.

– Panie nasz, papież nie ma takiego zamiaru, wręcz przeciwnie, chce z wami zawrzeć korzystniejsze porozumienie.

– Cóż to takiego? Mów szybko, nie kombinuj.

– Aleksander Borgia uważa, że jeśli chcecie, to możemy dalej trzymać Cema za czterdzieści tysięcy duka<sup>[35]</sup>, ale jeśli nie, to będziecie mogli, wpłacając jednorazowo trzysta tysięcy duka, spowodować, że zakończymy sprawę. Waszego brata możemy już na zawsze

zlikwidować. W ten sposób wy pozbędziecie się tego obciążenia, a my wam okazemy nasze przywiązanie.

– Trzysta tysięcy? To duże pieniądze.

– To prawda, miłosierny sułtanie, ale proszę wziąć pod uwagę, że płacenie przez następne lata po czterdzieści tysięcy w złocie będzie dla was jeszcze kosztowniejsze. Policzcie, ile już dotychczas wydaliście. W tej sprawie papież ma gotowe plany, które tylko czekają na to, by je wprowadzić w życie. Szczypta pewnego proszku dodana do jedzenia natychmiast zlikwiduje problem. Jedyna trudność polega na tym, że może to zrodzić pewne wątpliwości w Europie. Król Francji tylko czeka na okazję, by zaatakować papieża. Spogląda na Neapol, Mediolan, a nawet Rzym. Najlepiej byłoby znaleźć bardziej bezpieczne wyjście. I tutaj Jego Ekscelencja papież uważa, że aby tę sprawę zakończyć, powinniście wysłać umyślnego człowieka. Na przykład moglibyście do brata przysłać fryzjera...

Beyazita ta nieoczekiwana propozycja jednocześnie ucieszyła i zdziwiła.

– Mój brat popełnił wielki błąd. Mimo wszystko okazaliśmy mu litość, nie odebraliśmy mu życia. Na wygnaniu też się nim opiekujemy. Jako starszego brata smuci mnie konieczność podjęcia takiej decyzji, ale rzecz dotyczy istnienia naszego kraju, pamięci ojców, kontynuacji tradycji osmańskiej. Tylko że..., tylko że... żądane trzysta tysięcy w złocie to przecież majątek. Ale przemyślimy sprawę i udzielimy odpowiedzi szanownemu papieżowi.

Beyazit dał znak ręką posłowi, że może odejść. Mężczyzna, cofając się, opuścił pomieszczenie. Sułtan zwrócił się do swego defterdarbaşı<sup>[36]</sup> z pytaniem:

– Co ty na to, mamy takie pieniądze?

Minister dobrze wiedział, jak propozycja papieża ucieszyła władcę.

– Zawsze mamy z tym problem, mój panie, ale kiedy chodzi o bezpieczeństwo państwa i jego kontynuację, to nawet góry się przewraca i wstrzymuje bieg rzeki, a jakieś wyjście musi się znaleźć – odparł.

Słyszając to, Beyazit wziął głęboki oddech i zapytał:

– A fryzjer?



Na to jeden z wezyrów, wysuwając się do przodu, rzekł:

– Mój sułtanie, odpowiedni do wykonania tego zadania jest dozorca Mustafa.

– Kto to taki, Mustafa?

– Jeden z nawróconych z Galaty, skończył Enderun<sup>[37]</sup> i od lat pełnił z wielkim poświęceniem służbę u naszego pana, to osoba, na której można polegać...

– Zaraz mi go tu przyprowadźcie.

Natychmiast jeden z czawuszów<sup>[38]</sup>, a w rzeczywistości Grek umieszczony w pałacu sułtańskim przez samego papieża, został posłany po Mustafę. Ta intryga w tajemnicy planowana była od miesięcy wraz z Aleksandrem i teraz oczy wezyra rozpromieniły się na myśl o złocie, które miało mu przypaść w udziale.

– Sułtanie nasz – zagadnął nieśmiało jeden z wezyrów. – Czy podjąłeś jakąś decyzję co do pomocy muzułmanom Beni Ahmar<sup>[39]</sup>, którzy w Andaluzji znaleźli się w okrutnych rękach chrześcijańskiej pary Ferdynanda i Izabeli?

– To nasi bracia współwyznawcy, naszym obowiązkiem jest im pomóc, ale jak wiadomo, nie mamy floty, która mogłaby tam dotrzeć.

– Mój sułtanie, nasi bracia tego samego wyznania niezmiernie cierpieli w Hiszpanii po zniszczeniu ich państwa. Wy przyjęliście z otwartymi rękami Żydów z Walencji, Kastylii, Katalonii i innych. Daliście domy, pracę, umożliwiliście osiedlenie się na waszych ziemiach ludziom, których wyrzucił Ferdynand. A ci to przecież muzułmanie. Jeśli im nie pomożecie, wszyscy tam wyginą.

– Racja, ale Żydzi przybyli do nas własnym sumptem, nie żądali pieniędzy, odwrotnie, przywieźli je. Ferdynand, wyrzucając ich, popełnił karygodny błąd. Żydzi dla nas są wielką szansą i jeszcze nam się przysłużą. To ludzie bogaci, mający fach w rękę. Natomiast lud Beni Ahmar już taki nie jest, oni oczekują, że popłyniemy po nich i ich zabierzemy. Nie mając statków, nie jesteśmy w stanie tego zrealizować. A jeśli teraz postanowimy stworzyć flotę, narazimy się na wielkie koszty. Gdyby nie pojawiła się sprawa mojego brata, może i podjęlibyśmy się tego zadania, ale teraz ważne jest zapewnienie kontynuacji i przyszłości państwa osmańskiego. Muzułmanie Beni

Ahmar będą musieli jeszcze trochę poczekać.

Wezyr bez słowa spuścił głowę.

Na chwilę zapadła cisza, po czym odezwał się nişancıbaşı<sup>[40]</sup>.

– Panowie, jeden z Żydów, mianowicie Ibn Nahmiyas z Kastylii, od miesiąca oczekuje na osobiste przyjęcie go przez miłościwie nam panującego. Może dzisiaj...

Beyazit przerwał mu, pytając:

– Czego on może chcieć?

– Za waszym przyzwoleniem chce założyć drukarnię.

– Drukarnię, a to co znowu?

– Drukarnia, mój panie, to miejsce, w którym odpowiedni mechanizm sam drukuje tekst, a nie pisze się ręcznie na papierze.

We wszystkich krajach Europy metoda ta jest już wykorzystywana.

– Dobrze, a czemu ta drukarnia służy?

– Łatwiej się pisze, dokumenty i wiedza zostają zachowane na wieki i każdy ma do nich dostęp. Nie chodzi tylko o alfabet, jeśli się chce, to mogą być drukowane różne formularze, także rysunki.

– Niech Bóg broni, rysunki. Nasza religia nie pozwala nam na to. To przecież grzech.

– Nasz Żyd, panie, nie będzie chciał drukować rysunków, a tylko przygotowywać druki, w istocie podobno zajmował się tym jeszcze w Hiszpanii. Jeśli chcecie, on sam najlepiej opowie wam o drukarni.

– No to wprowadź go, niech przedstawi sprawę, zobaczymy, o co chodzi.

Kiedy Salvatore stanął przed sułtanem, trząśł się cały z emocji. Ukląkł, pochylając się nisko ucałował rąbek płaszcza Beyazita i z pełnymi łez oczami, po turecku, choć z obcym akcentem, wielokrotnie dziękował sułtanowi osmańskiemu za pozwolenie na zamieszkanie rodziny na jego terytorium. Beyazit był bardzo zadowolony z tej wzruszającej sceny.

– Już wstań, szanowny Ibn Nahmiyasie, i opowiedz, w czym rzecz – zachęcił zaciekawiony. – Co to znowu za urządzenie, ta twoja drukarnia?

Salvatore spędził mniej więcej pół godziny w obecności sułtana. Beyazit długo dopytywał się o to, co zamierza robić, czym jest drukarnia

i do czego się przyda. W końcu wydał zgodę, ale pod jednym warunkiem: drukować się będzie wyłącznie w jego alfabecie. Drukowanie literami arabskimi pozostaje stanowczo zabronione i jest grzechem. Zresztą Salvatore nie miał takiego zamiaru.

Z radością wracał do domu na Balat. Z emocji, chociaż nie było zbyt gorąco, spływał potem. W jego oczach Stambuł wydał się jeszcze ładniejszy, jeszcze żywszy. Galata, Złoty Róg, Kızkulesi, Üsküdar... Przemierzające się tam i z powrotem pomiędzy dwoma brzegami żaglówki i łodzie... To miasto naprawdę było fascynujące.

Czuł się szczęśliwy, udało mu się zapewnić rodzinie nowe życie. Jednak niespodziewanie, gdzieś w głębi duszy, poczuł ból. Przypomnił sobie o współniku, przyjacielu Dawidzie. Ciekawe, gdzie byli, od dwóch i pół roku nie miał od niego ani jego rodziny żadnej wiadomości. Pytał każdego, nikt jednak nie wiedział, co się im przytrafiło. Ale Nahmiyas nie tracił nadziei. Nadal na ziemię osmańską napływali Żydzi, może im się również udało.

22 LUTEGO 1495 ROKU

**Watykan**

– Moja miłości – wyszeptała do ucha młodzieńca dziewczyna, dotknęła je wilgotnymi wargami i delikatnie ukąsiła.

Kręcone blond włosy były tak długie i sprężyste, że otaczały jej drobne, nagie ciało niczym futro z soboli. Jedną ręką chłopak gładził jej krągłe biodra, drugą głaskał miękkie włosy. Nagle objąwszy ją w pół, przekręcił tak, że znalazła się pod nim. Dziewczyna, odpychając równie piękne jak jej ciało mężczyzny spoczywające na niej z lubością, szepnęła przymilnym tonem:

– Nie dokazuj, wystarczy, muszę już iść.

Jej zielone oczy błyszczały, nozdrza małego noska na białoróżowej twarzy nabrzmiały w uśmiechu, a między mocno czerwonymi ustami ukazywały się lśniące jak perły białe zęby. Na policzkach, kiedy się śmiała, pojawiały się dołeczki. Młodzieniec podobny do bóstwa, z głową tonącą w jasnych lokach, usilnie prosił:

– Nie, nie pójdziesz.

Dziewczyna oswobodziła się i przesunęła na bok.

– Muszę iść, nasz ojciec czeka na mnie – oznajmiła.

– Przecież nasz ojciec, to znaczy szanowny papież, może jeszcze trochę zaczekać.

– Nie sądzę, Cezarze, jest bardzo zmęczony. Muszę się nim zająć, jutro znów przyjdę, daję słowo. Wiesz, że nie mieszkam już z mężem. Uwolniłam się od tego drania, ojciec wkrótce da mi rozwód. Na nic się zdało to moje małżeństwo. Jak widzisz, królowi Francji Karolowi udało się dotrzeć aż tutaj. Jest już od pewnego czasu w Rzymie... Dzisiaj po południu przejmie Cema i podobno wyjedzie.

Młoda kobieta wstała z łóżka i zaczęła się pośpiesznie ubierać. Przyglądający się jej z zachwytem mężczyzna zwany Cezarem, uważany przez wszystkich za najprzystojniejszego młodzieńca w Rzymie, odezwał się:

– Jak sądzisz, Lukrecjo, co zrobi nasz papież z pieniędzmi, które dostanie za Cema?

– Nie wiem, podobno ma dać pewną część Michałowi Aniołowi na realizację nowych planów związanych z Bazyliką Świętego Piotra. Część z nich dostanie zapewne Pinturicchio, który ozdabia pokoje Borgii. A resztę zużyje na wzmocnienie swej pozycji, mamy dużo wrogów, a przed nami jeszcze przygotowania do obchodów.

Dziewczyna, włożywszy na głowę ozdobioną złotym haftem delikatną koronkę, pochyliła się nad ustami starszego brata, pocałowała go i wyszła na zewnątrz. Cezar wtulił głowę w poduszki; zamierzał się zdrzemnąć.

– Wielce szanowny książę – papież Aleksander VI, Hiszpan z pochodzenia, zwracając się do sułtana Cema, po raz pierwszy użył tego wyrafinowanego zwrotu – wielce szanowny książę, czy życzycie sobie wyjechać z Karolem, królem Francji?

Osmański książę, przetrzymywany już trzynaście lat w Europie, który przeżył różnego rodzaju niewolę, smutnymi oczami spoglądał to na papieża, to na króla Francji.

– Nigdy nie dano mi odczuć, że jestem księciem. To nie ma znaczenia, jeśli trzeba, niech zabierze mnie król Francji, w przeciwnym razie mogę pozostać tu nadal w niewoli – odpowiedział.

Aleksander, jakby te słowa zrobiły na nim wrażenie,

ze wzburzeniem wykrzyknął:

– Broń Boże, czy uważacie, że traktowano was tak, jakbyście byli w niewoli? Obydwaj jesteście książętami. Ja nie mam innej funkcji, jak tylko pośredniczyć między wami w charakterze tłumacza.

Cem wzruszył ramionami. Karol VIII, patrząc na niego z szacunkiem, powiedział:

– Mój książę, po południu zabiorę was i wyjadę. I tak skończy się wasze cierpienie.

Papież zaśmiał się, by rozładować napiętą atmosferę.

– No, widzicie? – Rozejrzał się dookoła. – Bądźcie zatem szczęśliwi, idźcie, przygotujcie się. Umyjcie się, ogólcie, Mustafa wam pomoże.

Cem pożegnał się z nimi i wyszedł z salonu.

Papież, jakby zmartwiony tym, co się przed chwilą wydarzyło, pokiwał głową. W wystawnym salonie pewny siebie król Francji spacerował od ściany do ściany.

– Wielebny ojczy, jaka była przyczyna, że daliście Izabeli prawo Patronato Real<sup>[41]</sup>? – zapytał.

– A co może być innego niż to, że jest prawdziwą katoliczką?

– Nie wiem, myślałem, że może wpłynął na to fakt, że jesteście Hiszpanem don Rodrigo De Borja y Doms. Dzięki temu prawu, którym ją obdarzyliście, Hiszpania we wszystkich poddanych krajach będzie przedstawicielką Kościoła i się wzbogaci.

Aleksander udał, że nie słyszał, jak Karol wyliczał jego imiona po hiszpańsku i spokojnym głosem odpowiedział:

– Kolumb poszukuje nowych terenów, Izabela wspiera go w tych poczynaniach z wielkim poświęceniem. Któż zaprzeczy, że jest dobrą katoliczką? Przecież Patronato Real nie tylko jej przypadło. Skorzysta na tym również Portugalia. Manuelowi też dano upoważnienie do przejmowania nieruchomości i reprezentowania Kościoła w koloniach. Oni tam, a wy tutaj jesteście bardzo silni, wielmożny królu, czyż nie tak?

– Natomiast wasza potęga, Ekscelencjo, starczy na jedno i na drugie...

Król odstawił kieliszek z winem na podsuniętą przez lokaja złotą

tacę. Kręcąc głową, odmówił drugiej kolejki i oświadczył:

– Wychodzę. Tak jak mówiliśmy, przyjdę po południu po Cema. – Ucałował pierścień widniejący na środkowym palcu dłoni papieża, po czym opuścił komnatę.

Cem usiadł w wydzielonym dlań apartamencie pałacu watykańskiego, czynił ostatnie przygotowania. Prócz Celala Beja i powiernika Sinana był przy nim jeszcze urzędnik Haydar Bej.

– Ach – westchnął – szkoda, że nie ma z nami Sadiego, mojego najlepszego przyjaciela... – Oczy wypełniły mu się łzami. – Jakimż zdolnym był poetą, jakim dobrym przyjacielem... Wielki błąd popełniłem, wysyłając go ponownie do Anatolii. Z mojego powodu nieszczęśnik został wrzucony do morza z kamieniem u nóg. A teraz w końcu jedziemy do Francji, tyle że bez niego. To moja wina i to od samego początku. A moja biedna matka, żona... One też cierpią w Kairze. Wszystko to stało się z mego powodu. Nie powinienem się starać o tron osmański.

– Panie mój, nie mów takich rzeczy – zaproponował Sinan Bej. – Jeśli nawet nic byście nie robili, to i tak wasz starszy brat nie pozwoliłby wam żyć. Sami widzieliście, jak bezlitośnie i bezzwłocznie kazał zabić księcia, którego zatrzymał za was jako zakładnika. A także Sadiego i wezyra Gedik Ahmeta Paszę... Przestańcie się tak trapić. Na szczęście udacie się do Francji, ma tam dojechać wasza matka i cały harem. No wystarczy, teraz niech waszą twarz rozjaśni uśmiech.

– Słusznie – przytaknął Celal Bej. – Sinan Bej ma rację, uśmiechnijcie się, po południu wyjeżdżamy. Uwolnimy się wreszcie od tego okropnego miejsca. W życiu nie widziałem tak obrzydliwego pałacu. Tutejsi mieszkańcy okropnie się prowadzą. Mieszka tu papież, jeden z największych bezwstydników, i jego dzieci. Swoją córkę podsyła to temu, to tamtemu i poświęca w imię utrzymania władzy politycznej. Otacza się luksusem, bogactwem, obrazami... Ale jaka szkoda, ci ludzie mimo wystawnego życia są tak ubodzy duchem.

Urzędnik Haydar Bej, uprzątając ze stołu dokumenty, po raz pierwszy wtrącił:

– Gdyby Karol, kłaniając się nisko, nie przybył aż do Rzymu, nie wiadomo, do czego ten człowiek byłby wobec nas zdolny. Właściwie

nigdy nie sądziłem, że będę za coś dziękował niewiernemu, ale oto składam podziękowania królowi Francji.

– Mimo swojej silnej pozycji on też jednak zadeklarował lojalność wobec papieża, przyrzekł mu posłuszeństwo, co wy na to? – spytał Sinan Bej.

Sułtan Cem machnął ręką.

– Polityka... – odparł. – Polityka to taka rzecz, że w każdej chwili zabójca może zostać zamordowany, a niedoszła ofiara może okazać się mordercą. Oni uważają, że takie postępowanie jest dla nich korzystne. A jeśli chodzi o nas, to nadal obawiam się o swoją przyszłość. Nie wiem, na ile mogę być pewien Karola. I jaka szkoda, że nie zdołam nic na to poradzić. Wyrzuceni stąd, dokądś się udajemy. Oby wszystko skończyło się pomyślnie.

W tym czasie do pokoju wszedł Mustafa. Był tak potężny, że każdy nazywał go Wielkim Mustafą. Trzymał w ręku białą miskę i brzytwę, aby ogolić sułtana. Pozdrowił zebranych i pokłonił się. Sułtan Cem siedział na fotelu przy oknie.

– No, Wielki Mustafu, zrób szybko, co do ciebie należy. Będiesz ty wolny i ja też będę... – powiedział.

Mustafa na chwilę zamarł, wnet jednak się opanował, zawiązał na szyi księcia ręcznik i spienił wodę w miseczce.

Tego dnia o zachodzie słońca wśród osób, które towarzyszyły sułtanowi Cemowi i królowi Francji Karolowi w drodze do Neapolu, brakowało jednego człowieka. Wielki Mustafa przepadł, zniknął z pola widzenia. Mimo że go szukano, nie odnalazł się. Sułtan Cem, chcąc nie chcąc, musiał opuścić Watykan. W rzeczywistości nie było się czym martwić. Mustafa znajdował się w bezpiecznym miejscu. Siedział w eleganckim salonie papieskim i z rozkoszą się uśmiechał, zerkając na leżące przed nim sakiewki pełne złota.

– Zostało mu najwyżej czterdzieści osiem godzin – oznajmił. – Może nawet i mniej, zatrutą brzytwą przeciągnąłem tuż przy uchu, tak że nawet nie poczuł. Teraz zapewne dostał już gorączki.

Aleksander wzniosł rękę i przypatrywał się kielichowi wina, które w płomieniu świecy lśniło jak bursztyn.

– Mało brakowało, a skompromitowałbym się przed osmańskim

sułtanem, jeszcze trochę, a ten nędzny Karol zburzyłby mi wszystkie plany. Ale to nic, w końcu załatwiliśmy Cema. Przekaż Beyazitowi ukłony i pozdrowienia ode mnie, powiedz, że zawsze jestem gotów do współpracy z nim, że zjednoczona siła nas obu może powalić na kolana całą Europę. Kiedy wyruszasz w drogę?

– W ciągu kilku godzin będę gotowy, nie mam tu już nic do roboty.

– Tak... Myślę, że kiedy wrócisz, sułtan hojnie cię wynagrodzi.

Wypełniłeś przecież zleczone ci zadanie.

– Dał słowo, że uczyni mnie drugim wezyrem.

– Jestem pewien, że zostaniesz wielkim wezyrem.

Mustafa zebrał sakiewki i schował za pas.

– Pójdę już, muszę się przygotować do podróży – stwierdził.

Ucałował pierścień papieża, a ten go pobłogosławił.

Kiedy wychodził, najpiękniejsza z najpiękniejszych, Lukrecja Borgia, weszła do środka. W stroju o szerokich rękawach, przybranym kwiatami, i w zwojach tiulu przypominała motyla.

Na jej widok Aleksander wyszeptał:

– W końcu znów mogłaś przyjść, moja księżniczko. Czy tej nocy możemy nie pójść na słuchanie madrygałów? Jestem taki zmęczony, że...

Dziewczyna podbiegła do niego, przytuliła się, objęła go rękami i pocałowała. Papież usiadł, przymknął oczy, nieco się osunął.

– Z Cemem sprawa załatwiona – powiedział. – Po tym wszystkim już nie będzie żadnych problemów, Karol też odjechał. Mogę się teraz zająć sprawami Włoch.

Stojąc za fotelem, dziewczyna delikatnie pieściła twarz mężczyzny.

– Jestem pewna, ojcze, że potrafiśz załatwić wszystko.

– Potem muszę zebrać siły, aby dokończyć przygotowania do obchodów świętego Jubileuszu Tysiącpięćsetlecia Świata Chrześcijańskiego. Powinny być niezapomniane. Nikt nie może zapomnieć Aleksandra Borgii. Nikt nie może zapomnieć...

– O to też jestem spokojna – szepnęła dziewczyna. – Ciebie nikt nie zapomni, ojcze.

Jej delikatne dłonie wędrowały po karku i ramionach mężczyzny. Aleksander oddychał coraz szybciej, zacisnął powieki i chwyciwszy córkę za rękę, pociągnął je w dół, najpierw na wysokość brzucha, potem



ku pachwinom, tak by w końcu oparła je na stwardniałym wzgórku między udami. Lukrecja po cichu spełniała jego oczekiwania, zresztą jak zawsze.

## **Lizbona**

Tej nocy Wielki Mustafa wyruszył w drogę do Stambułu statkiem wypływającym z Pescary. Jak na zimny luty Morze Śródziemne i tak było spokojne.

Ale statek Impavido wyruszający z portu Lizbony czekała trudna noc. Dziwnym zbiegiem okoliczności było nadanie mu tej nazwy, która po hiszpańsku znaczy „nieznający strachu”. Wypłynąć w morze w taki zimowy wieczór stanowiło naprawdę akt wielkiej odwagi, choć można było sądzić, że to brak wyobraźni pozwolił podjąć taką decyzję. Atlantyck w najmniejszym stopniu nie przypominał Morza Śródziemnego, był jak porywczą kobieta na chwilę przed wybuchem gniewu. Wody, których granatowa barwa przechodziła w czerń, unosiły się niewielkimi, ale często nadchodzącymi falami. Okrążyły, jaśniejący księżyc w pełni to ginął, to się wyłaniał spoza szarych chmur.

Wnętrze małego statku wypełnione było do granic możliwości żydowskimi i muzułmańskimi emigrantami. Kilka lat minęło od ucieczki do Portugalii, przed gniewem Izabeli i Ferdynanda, tysiące rodzin, przekonanych, że uniknęły już niebezpieczeństwa. Wkrótce jednak, po zaprzysiężeniu nowego króla, zostały zmuszone do opuszczenia swej tymczasowej ojczyzny. Król Manuel, namaszczony przez samego papieża, niezadowolony z wyrozumiałości i uległości okazywanej Żydom przez ojca, przyjął odwrotną postawę. On również, podobnie jak Izabela i Ferdynand, nie chciał ich na swoich ziemiach.

Nowy układ sił politycznych, związany z narodzinami kolonializmu w Europie, skazał hiszpańskich Żydów na ponowną wędrówkę. A przecież w ciągu ostatnich trzech lat, pełni optymizmu, z różnym szczęściem, osiedlili się na tych ziemiach. W ogrodach posadzili kwiaty, przywykli do eleganckich ulic Lizbony i jej mieszkańców... I oto znów, zostawiając wszystko za sobą, w środku zimy wyruszali w nieznane.

Rodzina de Toledo też była wśród nich. Estera, dowiedziawszy się,

że Avram wraz z innymi żydowskimi dziećmi w jego wieku może zostać wysłany na odległą Wyspę Świętego Tomasza, wpadła w panikę i nie czekając świtu, podjęła decyzję o opuszczeniu Portugalii. Straciła przecież Haima, nie wyobrażała sobie życia bez Avrama. Takiego obrotu spraw się nie spodziewali. Wprawdzie zaraz po przybyciu do Lizbony zasięgaliby języka w kwestii wyjazdu do Stambułu, ale że nie otrzymali zadowolających odpowiedzi od znajomych, nie przeczuwając żadnego zagrożenia, postanowili tutaj osiąść. Nawet jeśli Dawid nie zarabiał dużo, to dzięki sprzedaży przywiezionych skór zapewniał byt rodzinie, Estera zajmowała się uprawą ogródka, który założyła w podwórzu za domem, Avram znalazł nowych przyjaciół i nikt by nie powiedział, że wcześniej chorował, bo przez trzy ostatnie zimy czuł się doskonale, nieszczęśliwa była jedynie Rachela. Biedna dziewczyna nie mogła zapomnieć ani Haima, ani Mosze. Całymi dniami w milczeniu pomagała matce; wieczorami siadała przed kamienną ogrodową bramą przyozdobioną płaskorzeźbami przedstawiającymi rybę, rozgwiazdy, ostrygi i linę, słuchając dobiegających z odległych dzielnic dźwięków gitar i wzruszających pieśni miłosnych. W takich chwilach obejmowała twarz rękami. „Bezgranicznie kocham, do końca życia”. Głos Mosze dźwięczał jej w uszach. Wprawdzie Rachela skończyła już osiemnaście lat, ale nie okazywała zainteresowania żadnym z uganiających się za nią młodzieńców z dzielnicy. Jej myśli nadal zaprzętała pozostawiona w Toledo pierwsza miłość, tylko że dziewczyna tam już nie mieszkała, a Mosze był w Stambule i Rachela pragnęła jak najszybciej się znaleźć u jego boku.

Z tego powodu, kiedy opuszczali dom w Lizbonie, najmniej zmartwiona, a wręcz uradowana była wyłącznie ona. Szybko ubrała brata, spakowała rzeczy, które mogła udźwignąć. Nie zapomniała też włożyć do torebki uwiązanej w pasie kołatki zdjętej z bramy wejściowej domu w Toledo: kobiecej ręki z brązu trzymającej mosiężną kulkę...

Statek, skrzypiąc, płynął po ciemnych wodach. Małe, bystre fale stopniowo stawały się coraz większe, spieniona woda zalewała nadburcie. Żagle zwinięto, wioślarze z trudem utrzymywali wiosła. Niebo i woda tonęły w ciemnościach. Stary, niewielki stateczek jak skały na morzu to się wynurzał, to ginął między falami. Przy każdym jego

uniesieniu głośniejsze stawały się modlitwy stłoczonych do ostatnich granic ludzi. Marynarze klęli, mając ręce pełne roboty. Dwa wielkie maszty kładły się wraz ze statkiem to na jedną, to na drugą stronę, jakby za chwilę miały się przełamać.

Każdy, kto żyw, krył się w bezpiecznym, jak uważał, miejscu. Najwięcej ludzi tłoczyło się w malutkich pomieszczeniach przypominających mysie nory. Nie milkły jęki i zawodzenia. Nawet najdzielniejszym trudno było znieść odór wymiocin, o czym świadczyły ich zmienione oblicza.

Estera przyłożyła rękę do czoła syna. „Ma wysoką gorączkę”, stwierdziła. Avram leżał cicho, nieprzytomny, na kolanach matki. Dawid, bezsilny i załamany, kiwnąwszy głową, również wyciągnął rękę w stronę jego twarzy.

– Musimy wytrzymać, nie mamy innego wyjścia, wszystko się skończy, kiedy świt nastanie – wyszeptał.

Rachela przytuliła się mocno do swojej torby. Tym razem, na tym skrzypiącym stateczku, podejmowali walkę z falami.

– Pomyśl, Estero – odezwał się Dawid. – To też szczęście, że dostaliśmy się na ten statek. Jakkolwiek by było, jego właściciele to porządni ludzie. Bo są też podobno i tacy, którzy biorą każdego na pokład, a potem, zaraz po przekroczeniu granicy z Portugalią, zmuszają do oddania im biżuterii albo, co gorsza, zabijają podróżnych jednym pchnięciem w brzuch. Słyszeliśmy też, że wrzucają ludzi do morza, zabrawszy wcześniej ich pieniądze. Ci tacy nie są, zobaczysz, dowiozą nas zdrowych do Maroka, potem udamy się do Włoch, a stamtąd już niedaleko, jak na wyciągnięcie ręki, do Stambułu. Obiecuję, skończy się nasza udręka. Wszystko będzie w porządku... Salvatore dawno już założył nową drukarnię i czeka na nas, jestem tego pewien.

– Wszystko to przeze mnie – mruknęła Estera. – Powinniśmy zdecydować się na wyjazd już wtedy, kiedy mówił o tym Salvatore, i dawno bylibyśmy na miejscu. Głupio się upierałam.

– Nie trap się, moja królowo – szepnął Dawid. – To nie twoja wina. Po prostu należysz do osób mocno związanych z ojcowizną, i tyle. Przywiązanych do domu, ziemi...

Położył dłoń na ręce żony dotykającej czoła Avrama, ścisnął z czułością jej smukłe palce. Drugą ręką lekko objął Rachelę. Córka przytuliła się do ojca i oparła mu głowę na ramieniu. Ona też wierzyła, że przewyciężą wszelkie kłopoty i rozpoczną nowe życie. Jutro wyjdzie słońce, zacznie się nowy dzień, a wraz z porankiem powróci nadzieja.

W tej samej chwili rozległy się trzaski. I zaraz potem lament z pokładu. Statek najpierw się wzniosł, aby natychmiast opaść, jakby miał już na zawsze pozostać pod wodą. Wszystko było zalane. Zarówno marynarze, jak i podróżni zaczęli przeraźliwie krzyczeć. Trzaski następowały jedne po drugich. Ludzie modlili się w głos. Każdy w swoim języku błagał Boga o ratunek z tej katastrofy: żydzi z Hiszpanii, muzułmanie z Maghrebu i chrześcijańscy marynarze, ale fale się rozszalały. Już ani Jezus, ani Mojżesz, ani Mahomet nie mogli nic poradzić. I w końcu statek z wielkim hukiem przełamał się na połowę. Pęknięcie biegło akurat przez środek ładowni. Rachelę szybko chwycił brata. Estera i Dawid w mgnieniu oka znikli w otchłani.

Dziewczyna o niczym nie myślała, ani o matce, ani o ojcu, ani nawet o Bogu... To zanurzała się, to wypływała spod spienionych fal. Zimna, słona woda zalewała jej usta, fale miały ją bezlitośnie na wszystkie strony. Wczepiła się mocno w Avrama, powoli jednak traciła siły. Poza wyciem wiatru nie było słyhać ani modlitw, ani krzyków... Na wpeł przytomne rodzeństwo długi czas unosiły fale ciemnego, wzburzonego morza.

Następnie wokoło zapadła cisza, ale to, co się miało stać, już się stało, i teraz woda zdawała się uspokajać. Księżyc wyłonił się zza chmur, najwyraźniej zbliżała się pora jego zachodu, bo utworzyła się bezkresna srebrna poświata ciągnąca się aż po horyzont. Rachelę przeszył dreszcz aż do szpiku kości, ale nie tylko zimno było jego przyczyną. Przestraszyła się księżycyca, wydało się jej, że powłóczyłszy blask metalicznej tarczy prowadzi prosto ku śmierci.

Po powierzchni wody pływały mniejsze i większe deski. Chwyciła mocno jedną z nich, tę, która była najbliżej. Bez zastanowienia, instynktownie, trzęsącymi się i posiniałymi rękami odnalazła pasek od sukienki i przerzuciwszy go przez Avrama, przywiązała brata i sama położyła się na desce. Pragnęła tylko jednego: by nastał ranek. Gdyby

już świtało... Czy nadejdzie ranek?

Trzęsa się, niesamowicie zimno przenikało jej ciało. Wstrząsały ją nieustanne dreszcze. Ciało Avrama było lodowate. Mocno go objęła. Na środku tego bezkresnego morza wydawali się zjednoczeni ze śmiercią. Poza bratem nie miała już nikogo. Tracąc świadomość, pomyślała, że leżą w ciepłym, rodzinnym łóżku.

17 LIPCA 1498 ROKU

**Stambul**

Był tak gorący i wilgotny dzień, że trudno było oddychać. Mimo wczesnych godzin porannych nad morzem Marmara unosiła się lekka mgła – znak, że wraz z nadejściem południa żar się wzmoże.

Aby więc wykończyć na czas zleczone im prace, Mosze i jego ojciec już z samego rana udali się do drukarni. W końcu stali się w Stambule znanymi i budzącymi zaufanie właścicielami zakładu. Wszystko szło po ich myśli. Minęło sześć lat, odkąd opuścili Toledo. Już też nie wspominali tak często Hiszpanii jak niegdyś, zaraz po przyjeździe. Matka Mosze, Graciella, przyzwyczała się do Stambułu, jakby mieszkała tu od czterdziestu lat, podobnie zresztą jak jego brat Abraham. Nahmiasowie czuli się szczęśliwi w tym rządonym przez muzułmanów mieście, w którym egzystowało tysiąc i jeden narodów. Życie w wyznaczonej im dzielnicy upływało w spokoju. W zasadzie nie mieli żadnych problemów. Jedynie Mosze cały czas myślał o Racheli. Rodzice naciskali, żeby się ożenił, ale bezskutecznie, po prostu nie chciał. Od lat wypytywał każdego przyjeźdnego z Hiszpanii o rodzinę de Toledów, lecz nikt niczego nie wiedział o ich losie. Ale też nikt nie mówił o ich śmierci. Wobec tego nadzieja nie umarła. Nieoczekiwanie mogli się zjawić. Kto wie, może dzisiaj. Spojrzał na zamglony horyzont, policzył dokładnie wpływające do portu statki. Tak, może przyjadą dziś. Dlaczego by nie?

Kiedy Salvatore spostrzegł swego syna marzycielsko zapatrzonego w dal, pokiwał tylko głową i już o nic nie pytał. Ból serca minie, tego był pewny, ale kiedy? Właściwie nie miał wątpliwości, że gdyby Mosze zgodził się na ślub, zajął się dziećmi i rodziną, wspomnienia szybciej by się zatarły. Jednak teraz nie wydawało się to możliwe

do zrealizowania. Myśli jego syna niewątpliwie nadal zaprzętała Rachela. Rebeka, córka sąsiadów Altamirów, była śliczną, miłą dziewczyną i od dawna dawała do zrozumienia, że Mosze się jej podoba. Salvatore zauważył, że synowi schlebiało jej zainteresowanie, ale dotrzymywał przyrzeczonej wierności. Tak, nie powinien wywierać presji na swoje dziecko, wcześniej czy później mu przejdzie. Gracielli też to wytłumaczy.

– Mosze! – zawołał. – Jeśli chcesz, zrób sobie chwilę przerwy, synu, straszny dziś upał.

Pogrążony w myślach chłopak, usłyszawszy głos ojca, odwrócił wzrok od morza.

– Tak, ojczy – odezwał się. – Bardzo gorąco, nie było tak do tej pory, męcząca pogoda. A przy tym duża wilgotność.

– Turcy nazywają ją *eyyam-ı bahur*.

– Co? *Eyyam-ı bahur*? A co to znaczy?

– Zdaje się, że to są dni, w których wyjątkowo mocno paruje woda. Z powodu gorąca na jej powierzchni tworzy się warstwa pary. Po czym się ulatnia... Starzy ludzie mówią, że takie upały potrwają z dziesięć dni.

– A więc powiedz, że nie mamy wyjścia i musimy jakoś przetrwać.

– To prawda, synu, życie jest ciężkie, bardzo ciężkie.

Mosze nie odpowiedział, wrócił do przerwanej roboty, podniósł jeszcze tablicę pełną wypukłych liter i położył obok urządzenia o wielu cylindrach.

Naraz dał się słyszeć rozemocjonowany głos:

– Salvatore, Salvatore, jesteś tam?

Ojciec Nahmiyas wyszedł na zewnątrz i spojrzał w stronę, skąd dobiegało wołanie. Od razu rozpoznał wdrapującego się na wzgórze Ahrida, rabina synagogi, lecz towarzyszącego mu człowieka widział po raz pierwszy. Pomachał w ich kierunku. Rabin i ten drugi, sapiąc, weszli do środka. Mosze i Salvatore wskazali z wielkim szacunkiem miejsce do siedzenia i zaproponowali szklankę sorbetu wiśniowego.

– Witajcie, rabinie, jak również i wy.

Szczupły, niski mężczyzna szeroko i ciepło się uśmiechnął; wyglądał dosyć ciekawie, jak ktoś, kto dopiero przyjechał w te strony.

Duchowny żydowski pokiwał głową.

– Wciąż jeszcze nie przywykłeś, Salvatore – powiedział. – Nie zwracaj się do mnie „rabinie”. Przecież słyszałeś, że Turcy zabronili używać tego tytułu, może się to źle skończyć, czy wciąż jeszcze nie odnalazłeś się w nowej sytuacji?

– Przepraszam, macie rację, tak mi się powiedziało.

– Na wszelki wypadek uważaj. Patrz, kogo wam tu przyprowadziłem, to don Izaak Sarfati, niedawno przyjechał z waszych stron.

Salvatore ujął rękę gościa w swoje obie dłonie i potrząsając nią uradowany, mówił:

– Witajcie, witajcie.

Mosze zwrócił natychmiast uwagę na słowa „z waszych stron” i wtrącił się do rozmowy:

– Don Sarfati, jaką drogą tu przyjechaliście?

– Synu, to wstyd, daj spokój gościowi, niech odpocznie – zganił go ojciec, ale mężczyzna uśmiechnął się życzliwie.

– Nic nie szkodzi – odrzekł. Upił łyk soku i kontynuował: – Młodzińcze, przez Lizbonę, ale aby tu dotrzeć, przebyliśmy bardzo ciężką, bardzo trudną drogę...

Serce chłopaka zaczęło walić młotem, może on wie, gdzie jest Rachela, może coś słyszał.

– De Toledo – wyjąkał. – Rodzina de Toledo, czy ją znacie?

Tym razem Salvatore nie przeszkodził synowi w rozmowie. Sam był ciekaw. Mężczyzna zamilkł, spuścił wzrok, po chwili podniósł głowę, a w jego oczach zaśniły łzy.

– Jaka szkoda, nie wszystkim nam się poszczęściło – wyszeptał.

Mosze zawołał zniecierpliwiony:

– To znaczy co się stało, co z nimi?

Don Sarfati odpowiedział z wahaniem:

– Statek, na który wsiedli trzy lata temu, zatonął niedaleko Maroka i nikt się nie uratował.

Mosze oniemiał.

– Nie! – wykrzyknął i wybiegł na zewnątrz.

Salvatore zamarł w bezruchu. Duchowny modlił się, don Sarfati ze zrozumieniem położył dłoń na ramieniu drukarza Nahmiyasa.

## Edirne

Tego lata jakby ubyło wody w rzekach Tundza i Marica. Wszakże już od miesięcy nie spadła nawet kropla deszczu. Mówiło się, że w głębi kraju z powodu suszy i gorąca popękała ziemia. Mieszkańcy Edirne dla ochłody spędzali całe dnie pod wiekowymi drzewami rosnącymi wzdłuż drogi do Karaağaç. Wierzby spuściły w dół gałęzie ku strumykowi płynącemu wzdłuż drogi. Poza dźwięcznymi głosami biegających kilkorga dzieci nie było nic słyszeć, każdego, kto skrył się w cieniu, ogarniało rozleniwienie.

Podobnie postępowali prawie wszyscy mieszkańcy miasta. Zakratowane okna drewnianych wykuszy muzułmańskich domów o szerokich bramach, jak również żaluzje białych kamiennych budynków żydowskich i ormiańskich o podwójnych schodach też były dokładnie pozamykane. Często polewano się wodą wydobywaną z wyłożonych kamieniem studni piwnicznych na tylnym podwórzu. Kwiaty w ogrodach powiędły: gwiazdy, goździki, bratki, petunie... Upał nie przeszkadzał jedynie słonecznikom. Pola rozciągające się wokół miasta pełne były ich żółtych kwiatów, a każdy miał wielkość talerza. Niektórzy nazywali je kwiatami słońca i może rzeczywiście nimi były, bo przypominały słońce.

W zasadzie Edirne słynęło z tulipanów, ale sezon na nie już minął; tylko wiosną nie można było się nasycić widokiem mieniących się kolorów.

Wszyscy władcy osmańscy bardzo lubili Edirne. Beyazıt także... Parę miesięcy w roku przebywał w Nowym Pałacu<sup>[42]</sup> zbudowanym przez ojca sułtana Mehmeda.

Tuż przed nadejściem eyyam-ı bahar przygotowywano harem do drogi i wraz z całą służbą tutaj właśnie przybywano. Sułtan uwielbiał oglądać to piękne miasto, wchodząc do Pałacu Cihannüma, wznoszącego się na podobieństwo twierdzy ponad jedno- i dwupiętrowymi budynkami tworzącymi ogromne podwórze, i wyznał bliskim, że w ten sposób najlepiej odzyskuje siły.

Ale tego dnia nie miał wiele czasu na odpoczynek, w marmurowym salonie z chłodzącą powietrze fontanną wspaniałego



Kasr-ı Hümayün<sup>[43]</sup> w kompleksie Nowego Pałacu Koca Mustafa Ağa prowadził burzliwą rozmowę z kapucıbaşı<sup>[44]</sup>.

– Ago, nadszedł dla Osmanów odpowiedni czas. Otworzyła się droga na Zachód. Ponieważ wydaliśmy za męża i córkę nieżyjącego brata Cema, i moją córkę, jedną w Egipcie, drugą zaś w Persji, to w tamtej stronie świata, czyli na Wschodzie, nie mamy obecnie problemów. Bałkany też mogą być nasze. Dalmacja, Zara, Mora i tak się znajdują pod naszą kontrolą. Jedynie Wenecja zaprzęta nasze myśli. Do tego Zankiniego, posła, nie mam krzty zaufania. Włosi w każdej chwili mogą wywołać awanturę, więc zanim oni zrobią jakiś ruch, musimy uczynić, co do nas należy. W każdym razie Jego Ekscelencja papież ostrzegł mnie i dzięki temu podpisaliśmy z nimi traktat pokojowy po łacinie: w ten sposób bez wstydu będziemy mogli go zerwać, gdy tylko nam się spodoba. Już teraz podejmijmy środki ostrożności. Co ty na to?

– Mój wielki sułtanie, macie zupełną rację. I ja sądzę, że musimy wkrótce rozprawić się z Republiką. I nie zareaguje na to ani Mediolan, ani Neapol, ani Florencja. Nasze porachunki z Wenecją mogą być im nawet na rękę. Uniżony sługa Mustafa jest na wasze rozkazy.

Beyazıt wstał, przeszedł się tam i z powrotem szybkim, zdecydowanym krokiem, następnie zatrzymał się wprost przed agą, wbił wzrok w jego oczy i rzekł:

– Mustafo Paszo.

Kapucıbaşı wzdrygnął się na słowo „Pasza”.

– Tak, Paszo, rozkazuję ci, jedź i zakończ wszelkie konieczne przygotowania, niniejszym mianuję cię namiestnikiem Rumeli. Aby dać nauczkę tym Wenecjanom, szybko zbierzesz żołnierzy i od strony lądu otoczysz Inebahti<sup>[45]</sup>. Z pomocą Boga do tego czasu gotowa już będzie flota, a wraz z tureckim korsarzem Kemalem Reitem i jego przyjacielami, którzy włączą się do służby osmańskiej, zdobędziemy w końcu rozgłos. Jak Bóg da... Przekazuję tobie i Iskenderowi Paszy opiekę nad terytorium lądowym. Idź zatem, nie trać czasu, pokaż, co potrafisz.

Koca Mustafa Pasza, schyliwszy się ku posadzce, ucałował rąbek szaty Beyazıta, mówiąc przy tym:

– Mój wielki sułtanie, oby tylko Allah nie zawstydził mnie przed wami.

Cofając się, wyszedł na zewnątrz. Kiedy znalazł się na podwórzu, temu postawnemu mężczyźnie z radości i emocji zakręciło się w głowie. W tej samej chwili przypomniał sobie również słowa papieża: „Pewnego dnia zostaniesz wielkim wezyrem, jestem tego pewien”. Tak, a dlaczego by nie? Czy ktoś przypuszczał, że któregoś dnia fryzjer Niko, syn biednego greckiego rybaka z Galaty, będzie namiestnikiem Rumeli? Koca Mustafa Pasza z dumą wypiął pierś, wyglądał teraz na jeszcze potężniejszego. Kiedy tak szedł władczy krokiem, znajdujący się w pobliżu ludzie ze strachu kłaniali się z szacunkiem i pozdrawiali go, przykładając rękę do głowy. „Dzisiaj namiestnik Rumeli, jutro wielki wezyr” – mrucał do siebie, zмирzając w stronę Bab-1 Hümayun<sup>[46]</sup>.

Kiedy dopiero co mianowany pasza opuszczał Yeni Saray<sup>[47]</sup>, przez jego tylną bramę od strony rzeki Tundza wchodził Kemal Reis, który też niezwłocznie starał się dostać przed oblicze Beyazita.

Sułtan szczerze się ucieszył na widok zbliżającego się bruneta o smagłej cerze, silnego żeglarza. Jak rzadko kiedy uśmiechnął się, pokazując białe zęby.

– Chodź no, podejdźże, Kemal Reisie! – zawołał. – Witaj, zmęczony jesteś, siadaj, no siadaj.

Marynarz, skłoniwszy się przed sułtanem, usiadł „po turecku” na poduszce znajdującej się u jego nóg. Służba natychmiast przyniosła sorbet.

Beyazit oparł się plecami o tron i podparł ręką policzek.

– Opowiadaj, Reisie, co słyhać – zachęcił. – Co robią nasi w stoczni w Gelibolu<sup>[48]</sup>, na jakim etapie są prace?

– Burak Reis, Kara Hasan Reis, Herek Reis, wszyscy oni są waszymi sługami, mój wielki sułtanie. Zatrudnieni w stoczni, poczynając od kapitanów, a na zwykłych pomocnikach kończąc, od sterników po krawców szyjących żagle, od grenadierów po pracowników zajmujących się uszczelnianiem pakułami szpar między deskami statku, od cieśli po kanonierów, wszyscy pracują bez wytchnienia. Jest dużo galer, fregat i statków patrolowych z żaglami i wiosłami. Poza galeasami innych zmartwień nie mamy. Galeony<sup>[49]</sup> i barki są w trakcie produkcji. Jak wam już wiadomo, w tej chwili gotowe są cztery sztuki galeonów.

– Ładnie, ładnie... A statek patrolowy z żaglami i wiosłami?  
– Mój sułtanie, ponieważ ten dwupiętrowy statek płynie przy użyciu wiosła i żagli, wiecie, jak ważny będzie dla nas; jednak budowa jest trudna, a cena wysoka.

– Natychmiast wydam rozkaz stoczni Emini, by przekazali odpowiednią ilość złota. Chcę mieć dwa takie okręty; jeden dla ciebie, drugi zaś na rozkazy Buraka Reisa. Mają być ukończone jak najszybciej. Musicie być gwiazdą Inebahtı. Trzeba zamknąć sprawę Wenecji. Ufam tobie i twoim przyjaciółom. Jesteście przecież marynarzami, przed którymi drży Morze Śródziemne, co to dla was garstka Wenecjan?

– Macie rację, mój sułtanie, kiedy flota będzie gotowa, natychmiast przystąpimy do działania.

Beyazıt z zadowoleniem kiwał głową.

– Idź zatem i odpocznij trochę, Kemal Reisie – polecił życzliwie.  
– Wprawdzie Gelibolu nie jest tak daleko stąd, ale i nie blisko, odpocznij nieco, najedz się, ogarnij, potem wrócisz do stoczni.

Kelam Reis podniósł się, jeszcze raz ucałował koniec płaszcza sułtańskiego.

– Za waszym pozwoleniem, panie, chcę wrócić natychmiast – poprosił. – Nie mamy ani chwili do stracenia. Człowiek może swój żołądek napełnić i na koniu, skończmy szybko powierzone zadanie, a będzie jeszcze dużo czasu na odpoczynek.

Beyazıt ponownie się uśmiechnął, pokazując białe zęby, naprawdę lubił tego muskularnego korsarza. Był pewny, że Kemal Reis i jego przyjaciele wzmocnią flotę wojenną. Turcy nie powinni być gorsi od Wenecjan, Genuńczyków, Portugalczyków czy Hiszpanów.

– Ty wiesz lepiej, Reisie – odparł. – Skoro tak mówisz... jedź zatem, szczęśliwej drogi.

Kemal Reis tak jak przyszedł, tak i szybkim krokiem oddalił się sprzed oblicza władcy; naprawdę chciał jak najszybciej znaleźć się w stoczni i dokończyć budowę floty. Dla niego, przyzwyczajonego do życia na statku i działalności pirackiej, przebywanie na lądzie nie miało najmniejszego sensu. Chciał wypłynąć, znów wziąć udział w wojnie na morzu, i to możliwie szybko.

Imponująca, wyłożona niebieskimi i zielonymi kafelkami brama miasta jak zwykle pełna była tłoczących się ludzi, zupełnie jakby upał nie miał wpływu na bieg ich życia. Beduini otuleni warstwami materii, aby uchronić się przed słońcem, z odsłoniętymi jedynie oczami; mężczyźni w długich strojach, z turbanami na głowach; cudzoziemscy handlarze w przeróżnych ubraniach; karawany wielbłądów z garbami objuczonymi towarami i jadłem, wieśniacy na mułach, którzy zeszedli z gór na targ, przepychając się jeden przez drugiego do Fezu – świętego miasta muzułmanów... Pewien podstarzały, garbaty Arab w długiej białej szacie, przysiadłszy pod szerokimi arkadami, odpoczywał, opierając plecy o chłodny mur, a obok niego kucnął w podobnym ubraniu chłopiec o czarnych jak smoła oczach. Mężczyzna pochylił się do stojącego przed nim wiadra, wyjął szmatkę, mocno ją wycisnął, po czym przyłożył sobie na kark i czoło. Dziecko marudziło, nie dając spokoju starcowi. Staralo się wymóc parę groszy, by kupić sobie choć jednego daktyla w miodzie na pobliskim straganie. Podstarzały człowiek nie wyglądał na zachwyconego. Chłopiec wymachiwał drewnianą szabelką, a kiedy co i rusz zahaczał nią o ubranie mężczyzny, ciągnąc je w różne strony, ten, nie spojrzawszy nawet, pchnął go nogą. W końcu jego cierpliwość się wyczerpała; rozżłoszczony, krzyknął, wskazując przechodzącą obok nich zgiętą wpół kobietę w czerni z trudem niosącą na plecach kosz:

– Dostyc tego, jeśli dalej będziesz nieznośny, oddam cię tej Żydówce, pójdiesz prosto do żydowskiej dzielnicy Mellah...

Chłopczyk zamarł w bezruchu, po czym zapytał:

– A co to Mellah?

Mężczyzna znowu zanurzył w wiadrze szmatkę, po czym porządnie wycisnął ją obiema rękami.

– Mellah – powiedział – to bardzo złe miejsce.

Wyciągnął przed siebie chude ramię, wskazując rozpościerający się przed nimi pustynny żółtawy teren; w tumanie kurzu można było dostrzec zniszczone baraki, które tworzyły w dali szarawą plamę.

– Mellah to... Tamtejsi Żydzi solą ucięte głowy, aby nie zaśmierdły w tym upale, głowy takich niegrzecznych dzieci jak ty.

Mały się przestraszył, spojrzął na domy w oddali, na zgiętą wpół

kobietę, na daktyle i już cichutko przykucnął przy starcu. Kobieta na chwilę przystanąła i czuli, że na nich patrzy, choć nie było widać jej twarzy spod chusty okrywającej głowę. Chłopiec jeszcze bliżej przysunął się do swego opiekuna.

W tym momencie z minaretów zaczęły coraz wyraźniej dochodzić dźwięki ezanu<sup>[50]</sup>. Mężczyzna podniósł się i polecił:

– Chodź już, idziemy. Nadszedł czas modlitwy.

Przeszli przez szeroką bramę i wtopili się w tłum na bazarze.

Kobieta postawiła kosz na ziemi i uważnie przyglądała się odchodzącym. Mały mocno trzymał za rękę starca, promienie słońca padające na białą szatę ukazywały pod nią jego chude nóżki. Szedł, znów wymachując szabelką. Kobieta jęknęła i z powrotem zarzuciła kosz na plecy. Ruszyła w dalszą drogę, płacząc.

– Avram, Avram – szlochała. – Avramie, mój śliczny braciszku...

Rachela od dwóch i pół roku była na marokańskiej ziemi. Samiuteńka, bez rodziny... Po owej strasznej nocy, kiedy otworzyła oczy, okazało się, że się znajduje w jakiejś wiosce nieopodal Tangeru, w biednym domu hiszpańskiego Żyda. Po wielu tygodniach, kiedy wydobrzała, Alegria opowiedziała jej, że rybacy, spostrzegłszy ją i sztywne zwłoki Avrama, w pierwszej chwili myśleli, że to jakaś wielka ryba... Przez cały rok chodziła codziennie na niewielki grób, w którym jej braciszek, pogrążony w wiecznym śnie, leżał na skalistym pagórku nad brzegiem morza. Matka i ojciec spoczywali natomiast w głębinach oceanu. Haima porwały i poniosły spienione fale zielonej rzeki Tag. Mosze... Mosze nie był już nawet marzeniem. Wszystko, co piękne, co sprawiało jej radość i dawało szczęście, pozostało daleko w tyle. Rachela nie wiedziała nawet, dlaczego akurat ona żyje.

Kiedy Alegria i jej mąż Amran oświadczyli, że należy się przenieść, bez słowa ruszyła z nimi w drogę. Rachela nie miała nawet najmniejszej torby do niesienia, jedyną rzeczą, jaką posiadała, była schowana w płóciennym woreczku przywiązany sznurkiem w talii mosiężna dłoń kobiety trzymająca kulkę z brązu. Zupełnie jak ręka matki, dłoń o długich, wąskich palcach...

Aby uciec przed napastliwymi Portugalczykami, bez wytchnienia maszerowali dniami, tygodniami, miesiącami, aż wkroczyli na pustynię.

Część z tych, którzy wyruszyli razem z nimi, zmarła z chorób i wyczerpania, a część padła ofiarą dzikich zwierząt. Napotkani po drodze ludzie to dawali kromkę chleba, to wyrzucali ich kopniakami. W końcu przywędrowali do samego Fezu.

Znaleźli schronienie w dzielnicy Mellah, a dokładniej – w rozpadających się lepiankach postawionych na dziwnej słonawej ziemi. Muzułmańscy Arabowie nie wpuszczali Żydów do świętego miasta, ale przynajmniej pozwalali im żyć, choć w biedzie i ciężkich warunkach. To prawda, że niektórzy z tamtejszych mężczyzn, aby zarobić pieniądze, dla uniknięcia smrodu posypywali solą pozostawione na placach ścięte głowy skazańców. Żydzi mieszkali na tej słonej ziemi... Rachela, choćby nie wiedzieć jak długo myślała, nie mogła zrozumieć, dlaczego tak jest. Poddała się losowi, podobnie jak na oceanie, kiedy płynęła na desce z ciałem brata.

Od pewnego czasu jej ciało stało się nieczułe, serce też obumarło... Ale dzisiaj wzruszyła się, widząc tego małego chłopca z drewnianą szabelką w ręku. Jakże przypominał Avrama... Starła ręką spływające po policzku łzy. Już prawie doszła do dzielnicy Mellah, Alegria machała jej z daleka ręką. Rachela szła, utykając, i patrzyła dokoła szklanymi oczami.

Kiedy postawiła kosz na ziemi, przyjaciółka spytała:

– Gdzie byłaś? Siadaj tutaj, napij się wody, odsapnij trochę, moje śliczne dziewczę.

Rachela przysiadła tam, gdzie stała, rozwiązała chustkę na głowie, łąpczywie piła z kubka, który podała jej Alegria. Potem oparła się plecami o mur i przymknęła oczy. Miała wrażenie, że chmara much zaatakowała jej wnętrze. W pewnej chwili poczuła, jakby jej usta, nos, uszy wypełniły setki bzyczących czarnych much, z powrotem naciągnęła na głowę chustę i zakryła nią twarz.

– Już nie mogę znieść tego brudu, gorąca – wyszeptała. – Mam wszystkiego dosyć, chcę umrzeć.

Alegria spojrzała na nią wzrokiem pełnym miłości.

– To już niedługo – powiedziała. – Naprawdę niedługo... Wkrótce pojedziemy do Neapolu, kiedy tylko uzbieramy trochę pieniędzy. Wytrzymaj jeszcze odrobinę, Rachelko.

Dziewczyna z rezygnacją wzruszyła ramionami.

Alegria zabrała się do opróżniania kosza i mówiła dalej:

– Podobno Neapol jest bardzo piękny, król też dobry, zobaczysz, poczujesz się tam zupełnie inaczej, wyruszmy najpóźniej we wrześniu.

Ułożyła przed sobą rząd wyciągniętych z kosza woreczków.

– Mąka, kuskus... Ooo, jest nawet trochę cukru. Bardzo dobrze.

Dużo bojo? Dużo kaszy... Zajmę się tym, a ty idź, ogarnij się, w pokoju postawiłam wiadro z wodą, umyj się, odśwież, wkrótce nastanie zmierzch. Wiesz przecież, że Biba urzęduje dzisiaj wieczór henny<sup>[51]</sup>.

Ledwie zdążymy się przygotować, mam jeszcze pójść do niej i pomóc w przyrządzeniu şakşuka<sup>[52]</sup>.

Rachela ponownie wzruszyła ramionami i nie odpowiadając, odeszła prosto ku rozpadającej się lepiance.

Wieczór henny, wesele, małżeństwo... Bojo, kuskus, şakşuka... Biba, Amran, Alegria... Rzuciła się na słomianą matę rozłożoną na ziemi i zaczęła łkać. Naprawdę już miała dosyć.

Biba, w kebire, sukni ślubnej zgodnie z wielowiekową tradycją sprawionej jej przez ojca, z różowymi policzkami i błyszczącymi oczami stała, błagając:

– No, Rachelo, przyjdź też, co ty robisz.

Ale Rachela nie mogła się zdecydować, nie zniosłaby śmiechu i zabawy, więc udając ból głowy, zbyła dziewczynę. Była tak chuda, tak blada, że przekonała ją bez trudu. Zresztą Biba w tym szczęśliwym dla siebie dniu i tak nie miała dla niej zbyt wiele czasu.

Wieczór henny już dawno się zaczął. Do uszu Racheli dochodziły piosenki śpiewane przez dziewczynę o piskliwym głosie:

*Mój księciu, przystojny księciu*

*Księciu, panie mojego serca*

*Weź mą rękę, stań się gospodarzem mego domu*

*Mój księciu, przystojny księciu.*

Odgłos śmiechów jak echo niósł się tego wieczoru po bezkresnej pustyni. Wstała, wyszła przed drzwi i siadła na drewnianym schodku. Blade światła Fezu, miasta, w którym nie dawało się zamieszkać, mrugały do niej z oddali. Podniosła głowę i spojrzała na niebo, świeciło na nim tysiące gwiazd. Nie słyszało się nic poza odgłosami

dochodzącymi z domu na tyłach Mellah, w którym odbywało się przyjęcie. Wszyscy byli w domu weselnym. Widocznie można być szczęśliwym mimo trudów życia i takiej biedy. Ale Rachela nie mogła. Westchnęła.

– Boże, czego jeszcze chcesz ode mnie? – szepnęła pełnym trwogi głosem. – Czyż nie zabrałeś mi już wszystkiego? Wszystkiego...

W tym momencie jakaś silna ręka niespodziewanie zaatakowała Rachelę od tyłu, zaciskając się na jej ustach, druga chwyciła ją w tali i bez wahania wciągnęła do środka. Dziewczyna dygotała z przerażenia, ale się nie broniła, nie miała żadnych szans. Owinięty w czarną materię mężczyzna, któremu widać było jedynie ciemne oczy, rzucił ją na ziemię, zadarł spódnice i całym ciężarem ciała legł na niej. Dyszał, materiał zakrywający jego usta obłuźnił się i gorący oddech palił jej twarz. Nagle między nogami poczuła ból nie do wytrzymania, sięgający brzucha, serca. Wydawało się, że się rozpada na kawałki, kawałeczki, ostatnim wysiłkiem ugryzła zaciskającą się na jej ustach dłoń, mężczyzna z bólu uniósł ją do góry. Rachela, krzycząc na cały głos, w słabym świetle świecy dostrzegła przekrwione, błyszczące oczy i palce wymachującej w powietrzu, ociekającej krwią ręki. Lewa dłoń mężczyzny miała sześć palców. To nią uderzył Rachelę w twarz, tak mocno, że myślała, iż straciła wzrok. Nie widziała już ani gwiazd, ani księżycy... Świat Racheli de Toledo przybrał kolor czerni.



1 MAJA 1499 ROKU

**Merilla**

Kobieta trzymająca w ramionach mały tobolek i przyciskająca go mocno do piersi, otulona od stóp do głów wyblakłą brązową materią, podeszła do bramy wejściowej posiadłości, przypominającej starorzyską świątynię, której pilnowali dwaj uzbrojeni strażnicy.

Jeden z mężczyzn z czarną brodą i szablą u boku krzyknął:

– Odejdź, kobieto! Tu nie możesz żebrać.

– Czeka na mnie señora Miro, przyszedłam się z nią zobaczyć, nie żebrzę – odpowiedziała.

Mężczyzna zaśmiał się grubiańsko.

– Chcesz powiedzieć, że szacowna señora Miro, żona najbogatszego w Merilli kupca, cię oczekuje?...

Miał drwiący wyraz twarzy. Podkrecając końce szpiczastych wąsów, mówił dalej:

– Nie żartuj, jeszcze powiedz, że jesteś jej bliską przyjaciółką. Co?

Drugi strażnik też dogadywał:

– Cha, może jest zaproszona na obiad, patrz, ma przy sobie jakieś prezenty.

Wyciągnął rękę w stronę wyświechtanego, poplamionego tobołka. Kobieta przycisnęła go mocniej do siebie i cofając się ze strachu, zawołała:

– Tego nie dotykaj! Przysięgam, señora Miro mnie oczekuje, ukarze was za to, co robicie.

To rozdrażniło strażników.

– Włóczęgo jedna – odparł ten wyższy – odejdź, i to szybko, zanim dostaniesz kopniaka, wynoś się, ty żebraczko.

Kobieta, ściskając tobolek, podniosła wzrok ku wznoszącemu się na marmurowych kolumnach, przystrojonymu kwiatami balkonowi i uparcie powtarzała: „Czeka na mnie”. Mówiła coraz głośniejsze.

Niższy strażnik, wyciągając szablę z przytroczonej w pasie pochwy, wykrzyknął:

– Jeśli w tej chwili nie odejdiesz, starucho, pozbawię cię głowy.

Kobieta cofnęła się, mężczyzna końcem szpady dotknął tobołka,

gdy nagle dał się słyszeć płacz dziecka. Strażnicy oniemieli.

W tej samej chwili zabrzmiał też głos:

– Co się tam dzieje?

Strażnicy odwrócili się bez namysłu i spojrzeli w górę. W jednym z okien widać było młodą, ładną, elegancko ubraną kobietę.

Mężczyzna wysokiego wzrostu zwrócił się do niej:

– Pani, ta żebraczka...

Młoda dama, dostrzegłszy stojącą na dole kobietę z płaczącym dzieckiem, przerwała mu w pół słowa:

– Puśćcie ją, niech wejdzie – rozkazała.

Strażnicy natychmiast się rozstąpili.

Po dziesięciu minutach kobieta ubrana w żebracze łachmany, już bez tobołka, opuściła dom. Do woreczka, który trzymała na piersiach, schowała całe pięć złotych monet. Niemal młodzieńczym krokiem spieszyła do portu, na czekający na nią statek, który za chwilę miał rozpiąć żagle, by popłynąć do Neapolu. Natomiast señora Miro, która obserwowała oddalającą się przez jedno z okien gustownie urządzonego salonu, z miłością całowała płaczące dziecko, tuląc je w ramionach.

Straciwszy z oczu kobietę, odwróciła się w stronę drzwi i powiedziała czule:

– Nie płacz, mój drogi, nie płacz, zaraz cię nakarmimy. Maria, Maria, chodź tu szybko!

Do salonu weszła młoda kobieta ze związanymi na karku włosami i uśmiechniętą twarzą. Złożyła ukłon swej chlebodawczyni. Nie wyglądała na specjalnie zdziwioną widokiem niemowlęcia w ramionach pani.

– Słucham panią – odezwała się.

Ze szczęścia głos señory Miro przeszedł w świergot:

– Idź do kuchni i tak jak ustaliłyśmy, przywołaj żonę ogrodnika.

Mój Krystian jest bardzo głodny, niech szybko da mu pierś. Przynieś też gorącą wodę, umyjemy dzieciątko, musimy je też ładnie ubrać, zanim przyjdzie jego ojciec.

Maria spojrzała na niemowlę i uśmiechnęła się.

– Jaki ładny chłopczyk, niech się dobrze chowa, moja pani.

Zawołam Vivian. W jej piersiach jest tyle mleka, że wykarmi nie jedno

czy dwoje dzieci, ale i z tuzin.

Dziecko znów zaczęło płakać, wrzeszcząc wniebogłosy.

Zaniepokojona señora Miro powtórzyła:

– Idź już, Mario, szybko przyprowadź Vivian, mój biedny Krystian stracił cierpliwość.

– Jak pani każe – odparła Maria i wybiegła na zewnątrz.

Señora Miro, przytuliwszy policzek do twarzyczki małego, szeptała:

– Mój wielki Jezu, dobry Jezu... Dziękuję ci za wszystko, sprawiłeś, że dostałam Krystiana, dzięki ci za to.

Nie wiedząc, jak uspokoić płaczące dziecko, zaczęła chodzić z nim po salonie. Kiedy dziękując Bogu i obejmując z nieznanym jej uczuciem wzruszenia i emocji niemowlę, szeptała mu słodkie słówka, nagle do pokoju wszedł potężny, lekko szpakowaty mężczyzna o śniadej cerze i surowym wyrazie twarzy. Kobieta radośnie podbiegła do niego.

– Spójrz, Marceliuszu, spójrz tylko, w końcu mamy dziecko, nasze dziecko.

Mężczyzna rzucił okiem na żonę i niemowlę w jej ramionach, po czym, najwyraźniej zmęczony, siadł na kanapie przy kominku i polecił:

– Ucisz je, proszę.

Przepełniona szczęściem kobieta nie zwracała uwagi na brak zainteresowania ze strony męża.

– Uspokoi się, zaraz się uspokoi – powiedziała. – Mój malutki jest głodny, za chwilę ucichnie, nie spodziewaliśmy się ciebie tak wcześnie. Czyż nie tak, Krystianie?

– Co, Krystian? To znaczy, że na imię ma Krystian?

– Nie, ja go tak nazwałam.

– Czy jest już chrzczony?

– Oj, ma dopiero tydzień.

Mężczyzna znów spojrzał na dziecko.

– Czy ci nie mówiłem, żebyś wzięła trochę większe dziecko?

Co najmniej sześciomiesięczne. A czy obejrzałaś go porządnie z każdej strony? Czy to aby nie kaleka?

– Czyż nie widzisz, jakie to zdrowe dziecko?

– To niemowlę cię zaślepiło, nie obejrzałaś go, prawda?

Kobieta objęła dziecko.

– Widać, że jest zdrowe – powtórzyła.

Mąż wstał i zdecydowanym, ostrym głosem rozkazał:

– Raffaello, rozwiąż te powijaki.

Kobieta, położywszy dzieciątko na kanapie, zaczęła je rozwijać.

Kiedy poluźniła mocno ściskające go szmaty, chłopiec najwyraźniej doznał ulgi i przestał płakać. Mężczyzna dokładnie przyglądał się drobnym rączkom, nóżkom, wzdętemu brzuszku, z którego nadal sterczał kikut pępownicy.

Rafaella z zachwytem go obserwowwała.

– Nie może być, czyś ty, kobieto, oszalała? – Marceliusz nagle krzyknął z przestraszeniem. – Toż to żydowski bękart, jak mogłaś to zrobić, czym prędzej go odeślij.

Przerażona kobieta nie mogła zrozumieć, o co chodzi.

– Dlaczego żydowski? – spytała.

– Nie widzisz? Jest obrzezany.

Rafaella natychmiast pochyliła się i zerknęła między nogi niemowlaka. Tak, to była prawda, mały został już obrzezany, a takie praktyki u dopiero co narodzonych dzieci stosowano jedynie u Żydów.

Mimo to powiedziała:

– Nie. Nie odeślę go. To moje maleństwo. Co to za różnica, że jest obrzezane.

Mężczyzna ze złością zaczął jej wymyślać.

– Nie życzę sobie, nie dam nazwiska jakiemuś żydowskiemu bękartowi, zrobisz, co każę. Dla ciebie nie zbrukam domu ani rodziny. Dostyc, zakończmy tę komedię. Natychmiast wyrzuć to żydowskie nasienie, chueto<sup>[53]</sup>!

Kobieta odparła lodowatym tonem:

– Nie nazywaj mnie chueta. Twoi przodkowie to też Żydzi, zresztą tak jak wszyscy na Majorce. Jak szybko o tym zapomniałeś.

Oczy Marceliusza Miro z wściekłości omal nie wyszły z orbit, słowa żony jak zatruty sztylet wbiły się w jego serce. Podeszedł do niemowlęcia i chwyciwszy je za nogi, podbiegł do okna.

– Jeśli ty nie wyrzucisz go z mojego domu, ja je wyrzucę, zobacz.

Rafaella, krzyżąc ze strachu, usiłowała wyrwać mu dziecko z rąk.

– Nie rób tego, nie czyn mnie nieszczęśliwą, błagam cię,

Marceliuszu, zostaw je!

Mężczyzna, nieprzejęty tymi słowy, kontynuował ostrym głosem:

– Przechrzta, co? Żyd, co? Jeszcze zobaczysz.

Niemowlę całe już posiniało. Kobieta wrzeszczała jak opętana:

– Nie rób tego, błagam cię, nie rób, daję słowo, że go odeślę!!!

Mężczyzna, słysząc te słowa, uspokoił się, odetchnął głęboko, wciągnął dziecko do środka i wzdrygając się ze wstrętem, podał je żonie. Kobieta ze szlochem chwyciła nagie dzieciątko. Przy drzwiach spotkała nadchodzącą Marię z białutkimi ręcznikami przewieszonymi przez ramię i miską wody w ręce. Ze zdziwieniem spojrzała na swoją panią. Rafaella z oczami pełnymi łez zapytała:

– Gdzie Vivian?

– Podobno jest w stajni z mężem, posłałam po nią, zaraz ma być, moja pani.

Kobieta, nie odpowiedziawszy, pobiegła w stronę stojącej na tyłach ogrodu stajni.

Kiedy Vivian i jej mąż Juan dostrzegli biegnącą chlebodawczynię z płaczącym dzieckiem na ręku, stanęli jak dwa słupy soli.

– W imię Jezusa i jego świętej Matki, błagam was, weźcie to dziecko – poprosiła zadyszana Rafaella.

Juan podsunął jej krzesło, mówiąc:

– Proszę, señora, uspokójcie się.

Vivian podała swojej pani szklankę wody i wzięwszy od niej niemowlę, natychmiast owinęła je w leżący obok kawałek płótna.

Rafaella poczuła się trochę lepiej.

– Mój mąż go nie chce, o mało go przed chwilą nie zabił, proszę, zaopiekujcie się nim – błagała. Zdała sobie jednak sprawę, w jakiej sytuacji się postawiła wobec swoich podwładnych i zdenerwowana tłumaczyła: – To znaczy na razie...

Vivian i jej mąż spojrzeli na siebie. Juan odparł:

– Uczynimy, co każesz, señora, ale sama wiesz, że mamy czwórkę dzieci i jak trudno nam je wychowywać.

Rafaella, nie widząc innego rozwiązania, spojrzała im prosto

w oczy i powtórzyła:

– To tylko chwilowo.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparła Vivian. Po czym zwróciła się do męża: – Może zawieszysz je na wieś... Kora Ana zaopiekuje się, jest bardzo uczynna, prawda, Juanie? Jeszcze gdyby jej dać trochę pieniędzy... – Spojrzała wymownie na swoją panią.

Rafaella, niewiele myśląc, odpięła z szyi łańcuszek ze szmaragdowo-bursztynowym krzyżem i podała go kobiecie.

– Natychmiast go tam zawieź, Juanie – poleciła. – Natychmiast, zanim zauważy to mój mąż.

Wstała, otrzepała suknię, poprawiła włosy, spojrzała raz jeszcze na dziecko i ciężkim krokiem, przygarbiona, podążyła do białego domu na marmurowych kolumnach. Naraz odwróciła się i zawołała:

– Nazywa się Krystian... Krystian.

– To dziecko jest bardzo głodne, nakarmię je – powiedziała Vivian do szykującego konie męża.

Mężczyzna przytaknął, kiwając głową.

Niemowlę z apetytem ssało obfitą pierś kobiety. Nagle Vivian krzyknęła:

– Aaa! Jego lewa dłoń ma sześć palców!

Mężczyzna odparł ze śmiechem:

– Czy to źle? Zobaczysz, będzie miał w życiu więcej niż my. No, nakarm tego podrzutka, zawiozę go na wieś.

28 LIPCA 1499 ROKU

**Zatoka Lepanto (Inebahtı)**

„Kemal Reis... Kemal Reis...” Kiedy Alban Armenio, dowódca floty weneckiej, w skład której wchodziły najnowocześniejsze na owe czasy okręty wojenne, usłyszał to imię w kontekście żaglowca wojennego należącego do floty osmańskiej, stacjonującej przy wyspie Brodano, ciarki przeszły mu po plecach. „Kemal, Kemal, nikczemnik, morderca, bękart” – mamrotał do siebie ze złością. A więc nadszedł czas zemsty. To znaczyło powstrzymanie Turków osmańskich przez Wenecjan, jak również unicestwienie przez Albana rozpasanego korsarza Kemala. Ten wyłysiały Turek wiele lat temu na Morzu Śródziemnym

spalił trzy okręty, przejął zbrojnie całą załogę, skradł przewożony towar, a Alban w tym zamieszaniu cudem ocalał życie. Ale teraz przyszła kolej na niego.

W ostatnich latach flota wojenna Wenecji urosła w siłę. Liczyła sto sześćdziesiąt okrętów. W większości były to galeony, wielkie dwupiętrowe galeony wyposażone w armaty. Poza tym należały do niej dwadzieścia dwa różne okręty francuskie i dwa z Rodosu. Od momentu, kiedy nadeszła wiadomość, że Beyazıt tworzy nową flotę, pracowano z jeszcze większym samozaparciem i determinacją.

Do Osmanów należały same galeasy. Poza tym nie przywykli oni do walki na morzu ani nie mieli odpowiedniego wyszkolenia. Natomiast Wenecjanie przewyższali ich pod każdym względem. Admirał Antonio Grimani cumował tu swój okręt, jego rywal, równie sławny admirał Loredano, też z piętnastoma okrętami przyплыł z Korfu, aby włączyć je w skład republikańskiej floty wojennej. Wydaje się, że nie był to czas na konfrontację. Wenecjanie byli zdecydowanie lepsi i gdyby nie korsarze, to zmagania z Osmanami wydawałyby się zabawą. Armenio, komendant nowoczesnego okrętu, był przekonany, że szybko uporają się ze sprawą. Własnymi rękami miał ścisnąć gardło Kemala. Przywołaawszy do siebie zastępców, wskazał na znajdującą się w dali fregatę, po czym natychmiast obrócono ster w tym kierunku.

To nie był jednak ten Kemal, o którym myślał Alban Armenio, a inny Kemal – z Yenişehir. Na żaglowcu wojennym Buraka Reisa znajdowali się też Kara Hasan i Herek Reis. Natomiast okręt Kemala Reisa cumował w zatoce nieco dalej. Armia składająca się z wielu tysięcy sipahów i janczarów z Anatolii i Rumeli na rozkaz sułtana Beyazıta od miesięcy już oblegała tereny od strony lądu. Iskender Pasza wraz z Mustafą Paszą prowadzili ostrzał armatni Inebahtı. Mury trzech twierdz wznoszących się schodkowo nad miastem podziurawione były jak sito. Ale ponieważ wciąż nie nadciągała pomoc od strony morza, Turcy jeszcze nie opanowali ostatecznie celu. Z powodu złej pogody flota morska pod dowództwem Küçük Davut Paszy dopiero teraz mogła dotrzeć na miejsce.

Wróg Albana, Kemal Reis, swymi skośnymi oczami przyglądał się siłom konkurenta. Jego ogolona głowa błyszczała w palących

promieniach słońca, zabawiał się kolczykiem w uchu i podkręcał czarne, długie wąsy. Ubrany był w sięgający do pasa, fioletowy wyszywany kaftan bez kołnierza, z długimi rozciętymi rękawami, i czerwone szarawary. Nerwowo dotykał rękojeści miecza zawieszzonego w pasie, pocierał znajdujący się na ręku tatuaż z wizerunkiem ryczącego lwa. „Wenecjanie” – pomrukiwał... W zasadzie znał ich wszystkich, ich możliwości, wiedział, czego może się po nich spodziewać. Był pewny, że to on ich pokona, gdy przyjdzie mu z nimi walczyć. Osmańska flota wojenna dysponowała wystarczającą liczbą okrętów; może galeonów i fregat było niewiele, za to Turcy mieli dużo galeasów, co nie było złe, bo dzięki nim mogli się szybko przemieszczać. Problemem pozostawał brak doświadczenia Lewantyńczyków w walce morskiej. Jednak pod tym względem Kemal Reis ufał swoim przyjaciółom korsarzom. Mieli wygrać bitwę, musieli wygrać. W dużym namiocie rozstawionym na górskiej hali Inebahtı takiej wieści oczekiwał sułtan Beyazit. Kemal mu przyrzekł, że zajmą port i miasto.

Nagle dostrzegł weneckie okręty płynące prosto na żaglowiec dowodzony przez Buraka Reisa. Przyjaciel miał dać sobie radę sam, Kemal Reis bowiem zamierzał zaatakować później.

Inebahtı pograżyło się w kłębach dymu, wokół nie było nic widać.

Kiedy okręty Albana Armenio zbliżały się do statku Buraka Reisa, ten przywitał je deszczem kul armatnich. Dwa pięciusetosobowe statki weneckie karaka<sup>[54]</sup> stanęły w płomieniach jeszcze przed rozpoczęciem ataku. Albanowi pociemniało w oczach, lecz odważnie sunął naprzód. Spostrzegłszy go, admirał Loredano zaczął płynąć na pomoc. Teraz dwa wielkie, po tysiąc osób liczące okręty znalazły się po obu stronach mniejszego statku. Wenecjanie, niewiele myśląc, zarzucili haki, wyciągnęli szpady i po chwili byli już na pokładzie u Buraka Reisa. Odgłosy walki na miecze i szpady mieszały się z ludzkim wrzaskiem. Każdy w swoim języku wykrzykiwał pokrzepiające słowa. Burak Reis i przyjaciele wołali „Allah, Allah” i zacięcie walczyli z weneckimi żołnierzami.

Niemniej ich sytuacja stopniowo się pogarszała. Nieprzyjaciel miał przewagę liczebną i co chwila kolejny Lewantyńczyk albo padał na pokład, albo leciał do morza. Przed chwilą Burak Reis zauważył



zwisające z nadburcia zwłoki Kemala Beja. Zginął też Herek Reis. Burak swym mieczem zabijał każdego, kto znalazł się w zasięgu jego pałasza, ścinał głowę jednego, po czym obracał się i już innemu wypruwał bebechy. Jednak jako doświadczony korsarz wiedział, że ta sytuacja wkrótce się odmieni. Gdyby to było dawniej, po prostu natychmiast uciekłby, ale teraz, jako jeden z dowódców floty osmańskiej, nie mógł tak postąpić. Walcząc, zastanawiał się jednocześnie, co można jeszcze zrobić. Przy najbliższej nadarzającej się okazji przywołał do siebie Kara Hasana. Mężczyzna podszedł, wymachując mieczem.

– Idź do ładowni – polecił Burak – wyciągnij na pokład szmaty zamoczone w nafcie i tłuszczu. Następnie podpal te dwa żaglowce.

Kara Hasan też należał do odważnych, lecz odpowiedział:

– Buraku Reisie, wówczas... Wówczas my także spłoniemy.

Burak, kładąc na ziemię kolejnego Wenecjanina, mruknął:

– No to spłoniemy, Kara Hasanie. Ich podpalimy, sami się spalimy – dorzucił.

Hasan odkrzyknął:

– Niech ci Bóg wybaczy, Buraku – po czym wzniósł w powietrze miecz i pobiegł do ładowni spełnić rozkaz. Po chwili przy pomocy jeszcze dziesięciu marynarzy podpałił nieprzyjacielskie statki. Wielkie słupy płomieni wzbity się w niebo, elementy konstrukcji palącego się żaglowca z trzaskiem spadały do wody. Od czasu do czasu wybuchały skrzynki z prochem. Wszystko wokół przesłonił gęsty dym i czuć było zapach spalenizny. W końcu statek wojenny jednego z najlepszych żołnierzy floty osmańskiej Buraka Reisa też ogarnęły płomienie. Trzy okręty stały w ogniu. Kilka godzin później pragnący śmierci Kemala Reisa Alban Armenio sam stracił życie, a wraz z nim zginęło jeszcze tysiące, między innymi Burak Reis, wierny towarzysz życia i przyjaciel Kemala Reisa.

Walczący po drugiej stronie Inebahtı Kemal Reis bez trudu uporał się z wrogiem, nie zdążył jednak przybyć z pomocą przyjacielowi i teraz ze swego pokładu przyglądał się płonącym statkom oczyma pełnymi łez. Szkoda wielka, że nic już nie mógł uczynić.

Nie tylko on patrzył na wielki wąż ognia pośrodku morza. Przyglądał mu się też admirał Antonio Grimani, który już od dziecka

zazdrościł sukcesów admirałowi Loredano. Z rozmysłem nie popłynął na pomoc przeraźliwie krzyczącym, płonącym Wenecjanom; w głębi duszy cieszył się, że los uwolnił go od Loredano. Ograniczył się do wystrzelenia kilku kul w stronę okrętów Kemala Reisa, po czym wydał załogom rozkaz odwrotu na Korfu. Francuzi i ci przybyli z Rodosu, widząc jego postawę, zmienili kierunek i ruszyli na otwarte morze, również rezygnując z walki.

Turcy opanowali zatokę Inebahti i w efekcie zajęcie warowni przyszło już bardzo łatwo. Gdy nieprzyjaciel przejął kontrolę na morzu, żołnierze twierdz Peritorio, Oremazio i Neo Kastrą stracili ostatnią nadzieję na zwycięstwo.

– Stawianie oporu już nic nie da. Straciliśmy Inebahti – powiedział do stojących przy nim żołnierzy dowódca Zuano Mori.

1 WRZEŚNIA 1499 ROKU

### **Plaskowyż Lepanto (Inebahti)**

Nastał zmierzch, powiał lekki wiatr, ale nadal było gorąco. Sułtan Beyazit stał przed swoim namiotem, przyglądał się rozpościerającemu w dole Inebahti i wznoszącym się to tu, to tam płomieniom i słupom dymu. Zwrócił się do stojącego obok Mustafy Paszy:

– Dobra robota, Paszo.

Potem, odwracając się do zarządcy Anatolii Sinana Paszy, oznajmił:

– Ty też się sprawdź.

– Jesteśmy na wasze usługi. Obyśmy mogli ci jak najdłużej służyć, sułtanie – odpowiedzieli obaj mężczyźni jednym głosem.

Sułtan przez pewien czas z zadowoloną miną przyglądał się morzu i dopiero co zajętemu miastu.

– Iskender Pasza, od miesiący bohatersko walcząc, przejął kontrolę nad tym regionem. Potem miało być już łatwiej. To tutaj miano się bić do momentu, aż nie zostanie ani jeden kościół, w którym nie nawołuje się na ezan, ani jedna twierdza bez powiewającej flagi świata osmańskiego.

Mustafa Pasza uspokajał sułtana:

– Panie nasz, na wszystkie wieże twierdz wciągnięte zostały nasze

flagi, kościoły natychmiast zamieniono na meczety, rano się w nich modliliśmy. Proszę być spokojnym.

– Czy naszym poległym zorganizowano ceremonie religijne? Straty są bolesne, paszowie, bardzo bolesne... Burak Reis, Hasan Reis i wielu janczarów, Lewantyńczyków, sipahów... Chcę, by od teraz wyspa Brodano zwała się wyspą Buraka Reisa...

– Jak rozkażecie, nasz panie – oświadczyli jednogłośnie paszowie. Beyazit wbił wzrok w ciemniejący horyzont, wyciągnął rękę i zapytał:

– Czy tam jest państwo niewiernych Włochów?

Na co Sinan Pasza odpowiedział:

– Tak, sułtanie, jest we wskazanym przez was kierunku, za waszą zgodą i tam zawiesimy naszą flagę.

Beyazit smutnym głosem wyszeptał:

– To miejsce, gdzie nasz brat połączył się z Bogiem. No nic, dobrze, że w końcu odebraliśmy jego zwłoki, wprowadzie po pięciu latach... Dzięki Bogu zrobiliśmy, co do nas należało, teraz leży w Bursie, w grobowcu, wraz z naszymi przodkami.

Paszowie, poruszając lekko ustami, natychmiast przystąpili do modlitwy, obiema dłońmi przeciągając po twarzy. Oczy Mustafy Paszy jakby zasnuł cień.

Beyazit przez chwilę milczał, przyjrzał się raz jeszcze okolicy, głęboko zamyślił, a następnie zdecydowanym tonem oświadczył:

– Paszowie, rozkazuję w jak najkrótszym czasie na dwóch końcach zatoki Inebahtı wybudować dwie twierdze. Jedną na Mora, drugą po stronie Rumeli. W ten to sposób będzie się bronić zatokę przed niewiernymi.

– Macie słuszność, panie, jutro niezwłocznie przystąpimy do budowy.

– Jeszcze, jeszcze... Chcę mieć tego samego typu okręty, co Wenecjanie. Mustafo Paszo, ty będziesz za to odpowiedzialny, zbuduj zaraz stocznię i skonstruuj czterdzieści sztuk takich jednostek. I to szybko.

Mustafa Pasza zdawał sobie sprawę, że nie jest to zadanie łatwe, ale bez cienia sprzeciwu natychmiast odparł:

– Rozkaz, nasz sułtanie.

Beyazit przymknął oczy, wciągał powietrze, wzdychając z rozkoszą.

– Jak się czuje Ibrahim Pasza? – zapytał.

– Panie nasz – odezwał się Sinan Pasza. – Gubernatorowi Ibrahimowi Paszy, który spoczywa na łożu boleści, wysłaliśmy już tę dobrą nowinę, modlił się za was. Wielka to szkoda, że nie zdoła się podnieść z posłania; to gorąco, choroba i wiek tak go osłabiły. Nie wiem, czy do jutra wydobrzeje. Wszyscy duchowni są u niego w namiocie. Recytują Koran.

– Nasz Pasza to zacny człowiek, niech Allah ma go w opiece. Oddał wielkie usługi Osmanom. Jeśli umrze jeden człowiek, państwo będzie trwać dalej. Trzeba już teraz pomyśleć o jego następcy.

Nadzieja wypełniła serca dwóch paszów. Mustafa bez wahania powstał i wypiął pierś. Sinan nie chciał dać po sobie niczego poznać, ale też nerwowo przygryzał wąsy. Sułtan odwrócił ku nim głowę i patrzył. Potem niskim głosem, jakby mówiąc do siebie, oznajmił:

– Nasz zięć jest Chorwatem... Poza tym ma doświadczenie, jeśli chodzi o urząd gubernatora, w swoim czasie wychował się w Halomiće<sup>[55]</sup>, przydał się w tej wojnie, ale... – przerwał, stanął, jeszcze raz spojrzął krótko Mustafie w twarz, potem znów zrobił kilka kroków. – Gubernia Mora Halil Pasza... Iskender Pasza... Yakup Pasza... Iskender miał niemało obowiązków. Wzdłuż Tagu nie znajdziesz ani jednego niewiernego, który nie trząsłby się ze strachu na dźwięk jego imienia.

Obaj generałowie, nie znajdując słów, milczeli. Było oczywiste, że czekali, aż sułtan wymieni ich imiona. Przecież wielki wezyr to po sułtanie najważniejszy urzędnik w państwie osmańskim. Beyazit pomruczał coś pod nosem, przeszedł kilka kroków, przystanął, przeciągnął ręką po brodzie, po czym udał się prosto do swojego namiotu.

– Przyślijcie do mnie Mesiha Paszę – rzucił na odchodnym.

W tym momencie marzenia mężczyzn się rozwiały. Ucałowawszy rąbek sułtańskiego płaszcza, oddalili się, by spełnić polecenie.

Beyazit uśmiechał się do siebie, usadawiając się na wygodnej, uszytej z atlasu i weluru poduszce.

– W stolicy należy ogłosić święto – polecił stojącemu obok białemu eunuchowi. – Niech lud tego kraju zabawi się z okazji zwycięstwa, niech zorganizują pokazy sztucznych ogni, parady z pochodniami, niech biednym rozdane zostanie jedzenie. Niech każdy się naje do syta, wybawi i niechaj się modli za... sułtana.

## **Stambuł**

Kiedy sułtan osmański wydawał rozkaz przygotowania uroczystego festynu, Salvatore Nahmiyasa rozpieęły emocje związane z jednym z najważniejszych wydarzeń jego skromnego życia, to jest weselem syna. Mosze, straciwszy w końcu nadzieję na spotkanie z Rachelą, zgodził się na ożenek z Rebeką. Zresztą wcale nie wyglądał na niezadowolonego. Rebeka była miłą, ładną dziewczyną o łagodnym usposobieniu i najwyraźniej całym sercem kochała Mosze. Salvatore był szczęśliwy, syn też miał być szczęśliwy, to nie ulegało wątpliwości. Rozsądnie postąpił, przywożąc rodzinę do Stambułu, uchronił ją i siebie od gniewu Inkwizycji. Za każdym razem, wspominając Toledo, czuł w głębi duszy ból, nie mógł zapomnieć tego, co przeszli. I jeszcze to, co przytrafiło się de Toledom. Uważnie zwijając w rulon ketubę<sup>[56]</sup>, szepnął:

– Biedny Dawid.

– Gdzie się podziałeś, Salvatore, przyjdźże, za chwilę zaczyna się wesele, czekamy tylko na ciebie.

To była Graziella. Starannie uczesała kręcone włosy i narzuciła na głowę ozdobioną cekinami chustę. Miała na sobie długą kamizelkę, obrzeżoną ciemniejszą plisą w odcieniu ciepłej żółci przechodzącej w pomarańcz, a pod spodem nosiła niebieską suknię. Od czasu przybycia do Stambułu po dzień dzisiejszy żona nie przytyła. Nadal wyglądała ładnie i pociągająco.

– Dobrze, dobrze, już idę – odparł Salvatore, owijając ketubę w kawałek czerwonego weluru. – Wiesz przecież, że to bardzo ważny dokument. – Wymownie potrząsnął rulonem.

– Umowa małżeńska – powiedziała żona ze śmiechem. – Uważasz, że się nie domyśliłam? To najważniejszy skarb kobiety...

Salvatore oparł czubek języka o podniebienie i zalotnie się

uśmiechając, spytał:

– A słowa przysięgi nie są ważne?

– Ależ ważne, oczywiście, że ważne... Ale każda kobieta szuka konkretnego zabezpieczenia, czyż nie tak? – odrzekła. – To korzystne też dla mężczyzny, po prostu wie, za co ponosi odpowiedzialność. Nie postąpi nierozważnie, chodząc to tu, to tam, nie będzie bujał w obłokach, chcąc spełnić swoje marzenia może kosztem rodziny...

Salvatore, kiwając głową, znów się uśmiechnął.

– Niech Bóg sprawi, by żaden mężczyzna nie zapomniał o swoich powinnościach. Bo czy my mamy inne zadanie, jak chronić nasze kobiety i dzieci? Nawet po śmierci musimy sprawować kontrolę, widzisz, jakie to poważne obowiązki, Graziello.

Kobieta przechyliła lekko na bok okrągłą twarz, a w jej oczach zaiskrzyły ogniki jak u dziecka. Uśmiechnęła się. Potem pociągnęła mężczyznę za ramię.

– No przecież na nas wszystkich ciąży obowiązek wychowania, Nahmiyasie – powiedziała. – Chodźmy już, czekają na nas, gwiazdy się pokazały.

Mąż i żona zgodnie postąpili ku drzwiom.

Salvatore, planując tradycyjną ceremonię ślubną, postanowił, że odbędzie się ona późnym wieczorem w ogrodzie przy domu. Ślub pod rozgwieżdżonym niebem zapewni hojność Boga i przyniesie szczęście.

Gwiazd na niebie było naprawdę mnóstwo. Wieczór był ciepły, wokoło rozchodził się zniewalający zapach rosnącego pod murem jaśminu, zmieszany z wonią kapryfolium i posianej w rogu melisy. Na podwórzu stały po jednej stronie kobiety, po drugiej mężczyźni, rabin zaś pośrodku i rozmawiał z ojcem Altamirą. Graziella poszła po syna czekającego w małym pokoju. Salvatore zbliżył się do rabina i podał mu ketubę. Bez słowa ścisnął po przyjacielsku rękę syna i mocno klepnął go po plecach. Następnie wyszli na zewnątrz, a przez furtkę znajdującą się po drugiej stronie podwórza weszła Rebeka; parę kroków za nią postępowali jej matka i ojciec.

Twarz miała zasłoniętą lekkim tiulem obszytym koralikami i cekinami, czoło przecinała złotobarwna szeroka opaska ozdobiona błyszczącym kawałkiem złota. Po obu stronach głowy zwisały długie

sznury z kamieniami koloru niebieskiego, zielonego i czerwonego. Rebeka nosiła bluzkę z zielonego jedwabnego weluru, a na niej kamizelkę z krótkimi rękawami, haftowaną złotą nitką; na ramionach zarzucony miała szal też wyszywany połączoną nicią. Wyglądała przepięknie i bogato z okazałym diademem w kształcie ptaków i kwiatów na czubku zakrytej tiulem głowy, grubym złotym łańcuchem, kolia z prawdziwych pereł, długimi kolczykami i bransoletami na przegubach rąk. Żeby się nie potknąć, podtrzymywała sukienkę rękami o smukłych palcach. Schyliła głowę.

Obie rodziny stanęły przed rabinem. Następnie matki i ojcowie rozłożyli nad głową pana młodego chustę z kremowego muślinu, przytrzymując ją z czterech stron, a panna młoda po siedmiokrotnym obejściu ogrodu wdzięcznym krokiem podeszła do przyszłego męża i stanęła bez ruchu.

Rabin donośnym głosem rozpoczął modlitwę, następnie odczytał ketubę i podał panu młodemu złotą obrączkę. Ten drżącymi dłońmi nałożył ją na palec panny młodej, następnie podniósł jej welon. Rabin wyciągnął do młodych kieliszek wina, oboje wypili po łyku, potem Mosze zbił kieliszek, rzucając go na podłogę. Wszyscy goście wykrzyknęli „na szczęście”. A więc pobrali się w obecności Boga, gwiazd i wszystkich kochających ich osób. Rebeka i Mosze, zmierzając do przygotowanego dla nich pokoju, przechodzili przez pełne kobiet i mężczyzn podwórze i rzucali w tłum ziarna pszenicy, prosa, jęczmienia i ryżu.

Zanim weszli do domu, młodzi mężczyźni, chwyciwszy się za ręce, wyskoczyli na środek podwórza i, śpiewając piosenki, zaczęli tańczyć. Kobiety natychmiast pobiegły do kuchni, by rozpocząć serwowanie pieczołowicie przygotowanych weselnych dań. Na stołach było wszystko: różne przystawki, ciasteczka, placek maślany, jajka na twardo, paszteciki porowe, suflet warzywny, potrawa ze śliwek i kabaczków w oliwie, ryba w dzikich śliwkach... Każdy jadł, pił, bawił się, spragniony szczęścia i śmiechu... Rozweselony Salvatore, trącąc się z teściową syna kieliszkiem, jej oraz zgromadzonym wokół przyjaciółom opowiadał anegdotę:

– Pewien bogaty Rzymianin zwrócił się do duchownego: „Mówisz,

że Bóg stworzył świat, to co robi od tego czasu do dzisiaj ten twój Bóg?”. Na to duchowny: „Namawia pary do ożenku”. Rzymianina zdziwiła ta odpowiedź i żartobliwym tonem zauważył: „Swatanie, cha, a więc to tak? A bo to trudne? Ja też potrafię”. Poszedł do domu, przywołał do siebie niewolników i służących i popatrzawszy na nich, ustawił po jednej stronie kobiety, po drugiej mężczyzn, po czym połączył ich w pary i zawołał: „No cóż, pożeń was”. Następnego ranka zapukała do drzwi pokoju jedna z tych kobiet, które poprzedniego dnia wyszły za mąż; potargana, ze szramą na policzku. „Panie – szepnęła – rób, co chcesz, ale oddal mnie od tego mężczyzny, nie pasujemy do siebie” – prosiła. Rzymianin się zgodził i ją odesłał. Kiedy usiadł do śniadania, stanął przed nim niewolnik z poturbowaną twarzą. „Panie – powiedział – rozłącz mnie z tą okropną babą”. Rzymianin znów się zgodził, tak że w końcu, do południa, rozwiódł jeszcze trzy niewolnice z tych, co to je poprzedniego dnia wydał za mąż. W południe, akurat kiedy z gośćmi miał zasiąść do wina i oddać się przyjemnościom, pojawili się nowi niezadowoleni niewolnicy kręcący się po domu ze smutnymi twarzami. Rzymianin rozczulił się nad nimi. „Rozwodzę was wszystkich, idźcie, sami sobie wyszukajcie żony” – powiedział.

Kiedy tylko Salvatore skończył opowiadać, zjadający się smaczными potrawami ojciec Altamira zaśmiał się serdecznie.

– No cóż – powiedział – no cóż, ponieważ my, Żydzi, te sprawy zdecydowanie pozostawiamy Bogu, nie zgłaszamy do nikogo pretensji.

Siedząca obok niego żona zwróciła się do Grazielli Nahmiyas:

– No widzisz, teściowo – zachichotała. – Zobacz, o czym rozmawiają mężczyźni.

Ten wrześnieowy ślub pod rozgwieżdżonym niebem, któremu towarzyszył śmiech i wesołe piosenki, przez lata wspomniano w dzielnicy Balat jako symbol szczęścia doznanego po długich latach udręki.

18 SIERPNIĄ 1503 ROKU

**Watykan**

Rzym od tygodnia huczał od przerażającej plotki. Siedemdziesięciosiedmioletni Aleksander VI, który przygotowywał



uroczyste obchody trzynastolecia swojego pontyfikatu, walczył o życie. W każdej chwili spodziewano się jego śmierci. W kołach zbliżonych do Watykanu mówiło się, że papież i jego syn Cezar, po zjedzeniu kolacji z kardynałem Adrianem Corneto, nabawili się sensacji żołądkowych, dostali wymiotów i biegunki i ciężko się rozchorowali, a ponieważ Cezar był młody, doszedł do siebie w ciągu kilku dni, natomiast Aleksander w żaden sposób nie mógł wydobrzcć i nadal bardzo cierpiał. Według krążącej wśród ludu plotki nie był to przypadek. Ojciec i syn, obaj o wybujałej ambicji, dla których ważne były jedynie pieniądze i wpływy, przygotowali plan zlikwidowania kardynała, usiłującego przeszkodzić im w prowadzeniu rozlicznych intryg i ciemnych interesów, ale tym razem sprawy nie poszły po ich myśli, a nawet wszystko obróciło się przeciwko nim.

Kiedy kardynał otrzymał zaproszenie na kolację, czuł, że coś się przeciw niemu knuje, nie mając jednak możliwości odmowy ani rezygnacji, z bijącym sercem skierował się do słynnych komnat Borgiów.

Papież przywitał starszego mężczyznę wylewnie, siedząc w żółtej komnacie urządzonej z przepychem złoconymi meblami. Na ścianach wisiały wspaniałe obrazy o tematyce religijnej, a sufity ozdobione były przez słynnego malarza Pinturicchio. Jakiś czas rozmawiali jak dwaj najlepsi przyjaciele nieznający nieporozumień. Papież przedstawił motywy nadania Ferdynandowi i Izabeli Patronato Real, a jednocześnie narzekał na nielojalność Hiszpanów, którzy przejęli ostatnio Neapol, wobec papieżstwa. Całkiem jasne było, że Aleksander VI nie mógł niczego już nakazać.

Pałac urządzony był z takim przepychem, że kardynał poczuł się jakby uwięziony w kuferku z biżuterią. Taka przesada nie przystawała osobie duchownej. I kiedy papież zaczął mówić o konieczności zmniejszenia wydatków Watykanu, zamiarze przeznaczenia pieniędzy już nie na luksusy, a zgodnie z zasadami religii, na cele dobroczynne, Corneto otworzył usta i oniemiał ze zdziwienia. Aleksander tego wieczoru zachowywał się inaczej niż zwykle. Nawet napłynęły mu do oczu łzy, gdy mówił o swym zmarłym młodo synu Juanie. Martwił się też o niemającą szczęścia w małżeństwie Lukrecję, najpiękniejszą

z pięknych, powiedział kardynałowi, że również z trzeciego męża nie jest zadowolona. Kardynał natomiast o Lukrecji słyszał coś zupełnie innego. Dziewczyna podobno była w rękach ojca i brata zabawką, gdy zaś dwa lata temu urodziła dziecko, całe Włochy huczały, że jego ojcem jest jeden z nich. Prawdą było jednak to, że chorego, spoczywającego na łożu boleści drugiego męża Lukrecji zabił z zazdrości jej starszy brat Cezar. Ta rodzina była z gruntu niemoralna, Aleksander dla pieniędzy własnymi rękami zgładził księcia osmańskiego Cema, taki to był morderca. Ale jego zwierzenia z trosk, problemów i skrytych myśli, wypowiedane drżącym głosem, ze smutkiem malującym się na twarzy, tak czy inaczej wywierały wpływ na słuchającego. W pewnym momencie kardynał nawet zawstydział się, że zwątpił w niego.

Gdy rozmowa miała się ku końcowi, dołączył do nich Cezar, ukochany syn Aleksandra, książę Romagna, naczelnny komendant straży papieskiej, zięć francuskich Nawarrów, inaczej zwany Il Valentino, najprzystojniejszy w Rzymie. Ten młody mężczyzna swym szczególnie miłym wyglądem ujmował wszystkich. Nie tylko powierzchownością, lecz także cechami charakteru zwracał na siebie uwagę. Cezar o dwóch obliczach był bezlitosny. To miało się do czynienia z leniem, który nie wychodził z łóżka, to znów z kipiącym energią, nieśpiącym dwa dni młodzieńcem. Jednego dnia się nie odzywał, drugiego nie przestawał mówić. Wtapiając się w tłum, wdawał się w pogawędki z żebrakami, głaskał po głowach biednych, a potem własnymi rękami popełniał morderstwo. Ulubionym jego zajęciem było poniżanie ludzi znajdujących się w trudnej sytuacji. Wysoko zaszedł, korzystając z pozycji ojca, nie było sprawy, której by się nie podjął dla spełnienia jedyne go celu, jaki stanowiło stworzenie państwa Borgiów. I w tej chwili był u szczytu możliwości. Właśnie śledząc jego postępowanie, Machiavelli mógł napisać swoje sławne dzieło *Książę*. Taki to właśnie był Cezar. Siejący strach, śmiertcionośny, pałający żądzą, zachłanny... Kardynał nigdy nie lubił ojca ani syna, a nawet czuł do nich odrazę, a wiedział przy tym, że oni to samo czują do niego.

Cezar, podobnie jak jego ojciec papież Aleksander, okazywał serdeczność, wypytując Corneto o zdrowie. Następnie przeszli do jadalni. Tego wieczoru Borgiowie byli niezwykle gościnni i wylewni.

Kiedy tylko zasiedli do stołu, na znak dany przez Cezara Burchard, wierny sługa papieża i zarazem sekretarz, zaczął nalewać wino z dwóch wielkich, błyszczących, srebrnych karafek.

Ręka kardynała w żaden sposób nie mogła podjąć stojącego przed nim kieliszka z weneckiego szkła, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że Borgiowie zaprosili go na kolację, aby go otruć. Nie wiedział jednego, jaki wybrali sposób: czy truciznę dodano do jedzenia, czy do napoju? Nie miał możliwości wymiany talerzy, ale wytężając myśli w strachu przed śmiercią, nagle wskazał stojący nieopodal parawan.

– Jaki piękny obraz – zauważył. – Tylko dlaczego Jahja trzyma Świętą Księżę nie w prawej, a w lewej ręce?

Borgiowie, nie spodziewając się takiego obrotu sprawy, skierowali wzrok we wskazaną stronę, a Aleksander wstał nawet od stołu i dokładnie przyglądał się obrazowi. Cezar podążył wzrokiem za ojcem, a wtedy kardynał, korzystając z okazji, w mgnieniu oka z powodzeniem zamienił karafki.

– Nie, w prawym ręku – powiedział Aleksander, wracając na swoje miejsce.

– A, faktycznie, mam kłopoty ze wzrokiem – odparł przepaszająco Adrian ściszone głosem. – Co zrobić, starość...

Zaczęto posiłek. Cezar, uśmiechając się zdradziecko, napełnił kieliszek kardynała czerwonym winem; jego twarz przybrała dziwny wyraz. Adrian Corneto tego wieczoru starał się jak najmniej jeść i pić. Natomiast Cezar, a szczególnie jego ojciec, nie żałowali sobie wina.

Po kolacji stary kardynał poprosił o pozwolenie opuszczenia pałacu, tłumacząc się koniecznością przygotowania wystąpienia na jutrzejsze zebranie. Kiedy wsiadał do czekającego nań przed drzwiami powozu, głęboko westchnął. Wydawało się, że zapobiegł nieszczęściu.

Zanim jeszcze wrócił do domu, ciała Borgiów zaczęło przenikać nieznane uczucie pieczenia. Po kilku godzinach twarze im zbladły, wili się w straszliwych boleściach. Burchard natychmiast wezwał lekarzy. Tym razem żądza morderstwa Borgiów obróciła się przeciwko nim. Własnymi rękami przygotowali zatrute wino, następnie sami je wypili, i to w dużej ilości, z niekłamaną przyjemnością...

Po trzech dniach Cezar z zawrotami głowy, ledwo trzymając się na nogach, wstał z łoża. Gdy tylko zobaczył ojca, zrozumiał, że nie pozostało mu już wiele czasu, więc wynajawszy ludzi, bez cienia skrupułów wyniósł z pałacu watykańskiego co tylko się dało z cennych rzeczy. Borgia zdawał sobie sprawę, że przyszły papież nie będzie ich przyjacielem i nie opowie się za jego zatrzymaniem. Możliwość korzystania z dóbr watykańskich należała już właściwie do przeszłości. A wyjście z tej sytuacji będzie bardzo trudne. Nawet nie spojrzął ostatni raz na ojca, którym wstrząsały konwulsje. Burchard od lat był niemy świadkiem watykańskich intryg. Cezara, Lukrecję i Aleksandra znał bardzo dobrze. Widział straszne rzeczy, słyszał okrutne słowa. Ktoś inny na jego miejscu ucieszyłby się z takiego obrotu sprawy, ale on był naprawdę przekonany, że jego chlebodawcy padli czyjąś ofiarą. Według Burcharda papież był człowiekiem sumiennym, znającym się na sztuce, wrażliwym, łaskawym, jedynie słabostki utrudniały mu życie... jak również dzieci.

W na wpół oświetlonym pokoju Borgia, schwyciwszy swymi pomarszczonymi dłońmi prześcieradło, cierpiał, skręcając się z bólu; miał zamknięte oczy, a na łysą głowę wystąpiły wielkie krople potu. Kiedy lekarze oświadczyli, że nic nie da się już zrobić, zebrani opuścili pomieszczenie i w salonie obok, pijąc wino i nieznacznie się uśmiechając, oczekiwali jego śmierci.

Niespodziewanie papież otworzył oczy, mówiąc coś niewyraźnie. Burchard pochylił się ku jego ustom.

– Powiedzcie, panie, mówcie – szepnął.

– Lukrecja, biedna Lukrecja – zacharczał Aleksander.

To były jego ostatnie słowa, głowa opadła na bok.

I oto zakończyło się tajemnicze i niesłychane, pełne dziwnych zachowań i nawyków, wyniosłe życie Borgii, które w żaden sposób nie przystawało do pełnionej przez niego funkcji papieża.

Wierny sługa wyszedł na korytarz i powiadomił zgromadzonych za drzwiami zakonników. Zaczęto dyżurować przy ciele zmarłego, by uchronić je przed znieważeniem. Okazało się to jednak niemożliwe. Żołnierze, dowiedziawszy się o śmierci, przybyli na miejsce i odtrącając mnichów, zaczęli wynosić cenne rzeczy, których nie zdążył zabrać jego

pierworodny syn. Rzucano wyzwiskami, byli i tacy, którzy zamierzali bezcześcić ciało. Burchard obserwował ich z wielkim smutkiem i robił wszystko, co było w jego mocy, by zapewnić bezpieczeństwo zwłokom. Tak jak od lat, za życia papieża... Pijani mężczyźni doprowadzili Burcharda do ostateczności: zarzucił ciało zmarłego na plecy i wyniósł do najbliższego kościółka, tam je zostawił i udał się do Rzymu, by znaleźć kogoś do pomocy w zorganizowaniu pogrzebu.

Stary sługa w skwarze sierpniowego dnia pukał do mijanych drzwi z prośbą o pomoc, ale jej uzyskanie okazało się wcale niełatwe. Kiedy powrócił w końcu z kilkoma przypadkowymi osobami, okazało się, że sierpniowe gorąco zrobiło swoje. Zwłoki Aleksandra ściemniały, spuchły, zaczęły wydzielać nieprzyjemną woń. Ciało nie włożono nawet do porządnej trumny – wielkiego papieża Aleksandra VI pochowano jak biednego, bezdomnego żebraka.

Zdaje się, że tylko Burchard zmartwiony był jego śmiercią. Jedyne on zatrzymał się nad świeżą mogiłą i odmówił modlitwę. Nie wiadomo było, za kogo się modli, może za Aleksandra, a może za siebie, z powodu popełnionych jako jego współnik grzechów. Potem on też się oddalił. Pola przy drodze, która ciągnęła się między stojącymi blisko siebie wiejskimi domami i ogrodem kościoła, były wyschnięte jak oczy starego sługi...

## Neapol

Kiedy grzebano Amrana, nie był tak samotny jak papież, został wrzucony do pokrytego wapnem białego dołu wraz z tysiącami podobnych sobie ofiar tyfusu.

Przy zbiorowym grobie nikogo nie było, nikt, prócz kilku głęboko wierzących ochotników, nie odważył się zbliżyć do tej studni śmierci znajdującej się na wzgórzach Neapolu. Nawet Rachela i Alegria obserwowały tę uroczystość pogrzebową z daleka.

– I nie pochowaliśmy biednego Amrana zgodnie z obrządkiem żydowskim – powiedziała Alegria, rzucając ostatnie gorzkie spojrzenie na miejsce spoczynku swego męża. – Ani odpowiedniego pogrzebu, ani całunu, ani nawet należytej modlitwy...

Rachela objęła powłóczącą nogami kobietę.

– Nie mów tak, Alegrio – szeptała dobitnie. – Śmierć to rzecz święta, jakkolwiek by było, poszedł do rajów...

– Jak będę żyć bez niego?

– Tak jak stanowi nakaz Boży, Alegrio, cierpiąc i od czasu do czasu się śmiejąc...

Alegria ścisnęła dłoń dziewczyny, oczy miała pełne łez.

Rachela mimo swych dwudziestu siedmiu lat nie wyglądała dużo młodziej od idącej obok niej kobiety. Ten sam ciężki, zmęczony chód, takie same powiewające to w prawo, to w lewo długie chusty na głowach, wykończone frędzlami...

Słońce miało się ku zachodowi. Kiedy patrzyło się z tego wysokiego pagórka, wschodnią stronę w zasadzie ogarnęła już fioletowawa noc, po zachodniej natomiast wielka, płomiennie czerwona kula szybko chowała się za horyzontem. Morze mieniło się tysiącem odcieni żółci i pomarańcza. Nad skałami latało nisko kilka mew. W oddali widniał figlarnie kołyszący się żagiel.

Weszły w jedną z neapolitańskich uliczek o wąziutkich schodach. W oknach i na balkonach suszyła się kolorowa bielizna. Jakaś dziewczyna śpiewała w ogródku na tyłach domu piosenkę:

*Spojrzałam, a przyszłam na świat*

*Spojrzałam, wyrosłam*

*Spojrzałam, przyszedł czas na miłość*

*Spojrzałam, wyszłam za mąż.*

*Aaaa...*<sup>[57]</sup>

Alegria zatrzymała się, przysiadła na niskim murku na rogu ulicy prowadzącej do portu i stanowczym tonem powiedziała:

– Wyjedź, Rachelo, ty musisz wyjechać. – Skrzyżowała ramiona na piersiach. – Powinnaś się udać, moja córko, do Stambułu, nie zostawaj tutaj, jesteś młoda, życie przed tobą, o złych rzeczach zdołasz jeszcze zapomnieć. To miejsce już nie jest nasze. Długie ramię Inkwizycji dosięgło również Neapolu. Stąd też wyrzucają Hiszpanów i nas. Ja jestem już stara, Rachelo, dla mnie nie ma nadziei, zresztą niczego nie oczekuję. Po tym, co przeszłam... Ale ty... Ty, moja mała, wyjedź, wyjedź...

– A gdzie ja mogę wyjechać, pozostawiając za sobą wszystko,

co mi się przytrafiło w życiu i doprowadziło mnie do punktu, w którym jestem? – spytała Rachel. – W każdym nowym miejscu, w którym się znajdę, męczę się, marnieję, schodzę na złą drogę. Jeśli, jak mówią, Sambuł jest dla nas rajem, to nie ma w nim miejsca dla takiej grzesznicy jak ja. Matko Alegrio, dla mnie nie ma miejsca nawet na cmentarzu, nie... Ja siebie...

Alegria uciszyła ją, zasłaniając jej usta dłonią.

– To, co się stało, to nie twoja wina, moje dziecko – powiedziała cicho. – To, co cię spotkało, jest dziełem Boga, nie ma w tym twojej winy, a na pewno grzechu... Przecież to dziecko jest teraz w bezpiecznych rękach, żyje lepiej niż my, uwierz w to, uspokój się. – Pogładziła Rachelę po policzku. – I nie zapomnij, że jeśli ktoś popełnił grzech, to ja, ja jestem większą grzesznicą od ciebie...

Wstały i ruszyły w dalszą drogę. Było już ciemno. Doszły do dzielnicy, w której żyli biedni Żydzi. Przed drzwiami domów bawiły się grupki rozbieganych dzieci, dziewcząt i chłopców, pośród których siedzieli oparci plecami o ściany, ciężko oddychając albo drzemiąc, starcy, kobiety i mężczyźni. Mimo panującej zarazy życie toczyło się dalej. Wiele domów już dawno zostało opuszczonych, w niektórych trwały przygotowania do wyjazdu. Ludzie o smutnych, bladych twarzach w pośpiechu ładowali swoje ubogie mienie na muły, które ledwie udało im się znaleźć.

– Wyjeżdż, Rachelo – powtórzyła Alegria, zanim weszła do dwupiętrowego domu, który dzieliła z pięcioma innymi rodzinami. – Jeśli wierzysz w Boga, powinnaś wyjechać, jedź i ułóż sobie wszystko od nowa... Uwierz... tak miało wyglądać nasze życie...

Uściskawszy po raz ostatni rękę dziewczyny, puściła ją i kołysząc się na boki, weszła do budynku.

Rachela stała jeszcze chwilę przy drzwiach. Czuła się bezsilna, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, jak rozwiązać tę sytuację, co począć. Chciało jej się płakać, ale i tego nie mogła. Jej dusza przeistoczyła się w jęczącą wielką ranę, która to krwawiła, to przysychała, to znów się otwierała, dając o sobie znać bólem. Ach, żeby mogła płakać, żeby mogła płakać... Może te łzy zdołałyby zmiękczyć skamieniałe cierpienie. Przez chwilę pomyślała o matce, ojcu, braciach, nawet o Mosze. Ale ani

jedna łza nie napłynęła do jej zielonkawych oczu.

Rosnące po bokach ogrodu pelargonie wyglądały w świetle księżycy jak tajemnicze talizmany. Zerwała kilka listków, bezwiednie rozgniotła je między palcami, uwalniając z nich lekki, kwaskowaty zapach. W tym bladym świetle spojrzała na swoje ładne dłonie. Jej długie palce mimo wszystko pozostały białe. Wyciągnęła je przed siebie, podniosła do góry, prosto ku księżycowi. Patrzyła na nie, patrzyła, patrzyła...

Wtem dostrzegła szósty palec. Wciskający się w jej usta wielki szósty palec smagłej dłoni i szósty paluszek malutkiej różowej rączki wyciągający się ku jej piersi. Dokądkolwiek by poszła, ten szósty palec jej towarzyszył. Zalała ją żądza buntu, musiała znaleźć winnego.

– Niech cię diabli, Izabelo! – krzyknęła. – Życzę ci wszystkiego najgorszego...

26 LISTOPADA 1504 ROKu

**Medina Del Campo**

We wszystkich kominkach ogień buchał mocnym płomieniem; ale przy takiej pogodzie, kiedy nie wiadomo było, czy to jeszcze dzień, czy już noc, mimo setek zapalonych lampek o drżącym płomyku w tym smutnym pałacu nadał było zimno. Przez szpary w okiennicach i spod drzwi z gwizdem wlatywał wiatr do szerokich salonów i kamiennych, wysokich korytarzy. Deszcz, który padał przez cały dzień, grubymi kroplami zraszając połacie żółtawego stepu, nagle ustał, przez co ziemia przybrała brunatną barwę. Niebo zaciągnięte było ciemnymi chmurami, a grzmiące błyskawice jedna po drugiej rozjaśniały płaskie szczyty gór.

Burza, przymrozek i deszcz jednak nie zatrzymały ludzi w domach. Błotniste drogi miasta pełne były przechodniów w pelerynach, opatulonych grubymi, wełnianymi szalami. Po obu stronach krzywych, wąskich uliczek płynęły strumienie wody.

Była niedziela. Katolicy kastylijscy mieli się modlić, klęcząc przed posągami ukrzyżowanego Jezusa, a przed Matką Boską zapalić świece w intencji szybkiego wyzdrowienia chorej od pewnego czasu królowej.

Katarzyna patrzyła na oddychającą szybko matkę. W wielkim łożu otoczonym z czterech stron tiulem królowa wydawała się drobną istotą.



Długie, ciemne włosy rozsypały się po poduszce. Nawet we śnie mocno ścisnęła chudymi palcami krzyż zawieszony na szyi.

Córka Izabeli zwróciła się do czuwającego przez całą noc wraz z nią pałacowego sekretarza:

– Jak sądzicie, Alfonso, czy ona wyjdzie z tego?

Mężczyzna przełknął łyk herbaty z trzymanej w dłoni filiżanki, przeciągnął ręką po koziej bródce i szpiczastych wąsach.

– Myślę, że dojdzie do siebie, księżniczko – powiedział. – Wasza matka odczuwa ciężar w piersiach, niejedynemu to już miało. Nie zrezygnujecie przecież z życia z powodu zwykłej grypy, nie denerwujcie się. Izabelę Katolicką chroni Ojciec, Syn i Duch Święty.

W tym czasie królowa otworzyła oczy i jęcząc cicho, słabym głosem zawołała:

– Katarzyno!

Córka natychmiast podbiegła do niej i chwyciła matkę za rękę. Twarz Izabeli mocno pobladła i skurczyła się, a jej duże oczy stały się jeszcze większe. Drżącym głosem zaczęła mówić:

– Dlaczego wciąż tutaj jesteś? Powinnaś już wrócić do Anglii. Wkrótce jako żona Henryka VIII nałożysz królewską koronę. Żadna królowa nie opuszcza swego pałacu.

– Nie odjadę, dopóki nie wyzdrowiejesz – odparła Katarzyna zdecydowanie. – Dlatego też musisz szybko stanąć na nogi.

Królowa Kastylii i Aragonii próbowała się uśmiechnąć.

– To znaczy, że nie ma innego sposobu, by wysłać na wyspę przyszłą królową. – Pogładziła córkę po ręce. – Czy zdajesz sobie sprawę, że po mnie tylko ty możesz doprowadzić do unii hiszpańskiej? Właściwie prawowitym spadkobiercą jest Juana, ale... Wiesz, po zdradach męża jakby postradała zmysły, nie myśli ani o Hiszpanii, ani o Kościele... Jedynie o Filipie – machnęła ręką. – Niedawno dano jej przydomek La Loca<sup>[58]</sup>. Nie wiem, dlaczego tak się zachowuje. Z powodu mężczyzny? Wkrótce zostanie najbardziej wpływową królową świata, czy nie rozumie powagi sytuacji?

Katarzyna natychmiast wyciągnęła krzyż.

– Nie mów tak, proszę, niech Bóg broni – uciszyła ją.

Izabela wyczerpana pokiwała głową, która wydawała się

nienaturalnie duża w porównaniu z wychudzoną sylwetką, i powiedziała:

– Wiem. Już wkrótce dołączę do jednego z twoich kochanych braci, Juana, do Izabeli i mojego najukochańszego wnuka, Miguela.

Przymknęła oczy. Zawsze, kiedy mówiła o dzieciach i wnuku, bardzo cierpiała. Juan był jej jedynym spadkobiercą, a syna straciła niestety bardzo młodo, po nim zaś zmarła jej córka, która była już królową Portugalii. I to w czasie, kiedy Izabela już miała doprowadzić do unii dwóch imperiów. Po tych tragicznych wydarzeniach wszelkie nadzieje pokładała więc we wnuku Miguelu, ale on też pewnego dnia się rozchorował i odszedł z tego świata. Jakby jakieś fatum wisiało nad rodem. Królową przechodziły ciarki na wspomnienie wydarzeń sprzed lat. Klątwa... pomyślała o Żydach, tysiącach ludzi, którzy na jej rozkaz opuścili Hiszpanię... Ale przecież to na czele z Torquemadą cała Rada Inkwizycji, kardynałowie, księża, a nawet sam papież namawiali ją do tego. To się stało za przyzwoleniem Boga dla ochrony świętego Kościoła, by stał się nieśmiertelny. Podniosła do ust zawieszony na szyi krzyż i ucałowała go. Ponownie spojrzała na córkę.

– Przywołaj do mnie Alfonsa – poprosiła.

– Kochana mateńko, Alfonso jest tutaj, całą noc razem ze mną czuwał przy twoim łóżu.

Sekretarz na dźwięk swojego imienia natychmiast podszedł do królowej i pokłonił się z szacunkiem.

– Idź, odpocznij, Katarzyno – rzekła Izabela. – Przekażę kilka spraw Alfonsowi.

Księżniczka pocałowała delikatnie matkę w policzek i powiedziała z wymuszonym uśmiechem:

– Nie zapomnij, że jeśli chcesz się mnie pozbyć, musisz wyzdrowieć – po czym zakasała suknię i skierowała się do drzwi.

– Testament podzielmy na paragrafy – poleciła królowa sekretarzowi. – Zapewnić polityczne połączenie Półwyspu Iberyjskiego... kontynuować reformy w Kościele... kontrolować Gibraltar... zastosować odpowiednią politykę wobec rdzennych mieszkańców Nowej Ziemi... – szybko się zmęczyła, ale wzięwszy głęboki oddech, mówiła dalej cichym głosem: – Alfonso, czy są jakieś nowe wiadomości od Kolumba? Chcę go zobaczyć przed śmiercią.

– Niech was Bóg ma w swojej opiece, moja królowo – zwrócił się do niej sekretarz. – Wkrótce dojdziecie do siebie. Do tego czasu przyplynie Kolumb, podobno zbliża się już do brzegów Hiszpanii.

Kiedy Izabela szeptem dyktowała swój ważny testament, Kolumb powrócił już z czwartej wyprawy do Nowej Ziemi, lecz od pałacu był jeszcze daleko. Jego okręt dopiero zarzucił kotwicę w porcie.

Trwająca miesiącami, męcząca podróż, spędzona na walce z gniewnymi falami, nareszcie dobiegła końca. Tak więc również Kolumb, podobnie jak królowa, był wyczerpany. Zaszkoziły mu wilgoć, choroby tropikalne i spory o władzę w koloniach.

Kilku wiernych mu ludzi na własnych rękach wyniosło go na ląd. Sławny żeglarz zmienił się nie do poznania nie tylko z powodu zapalenia stawów – był też sparaliżowany i nie mógł chodzić. Natychmiast ruszyli w drogę, ale mogło już być za późno. W tę listopadową, ciemną noc rozrywaną błyskawicami, kiedy woźnice, popędzając biczami konie, chcieli jak najszybciej zawieźć Kolumba do królowej Hiszpanii, która z całego serca, do końca wspierała go w dążeniu do zdobycia nowych ziem, było już niestety za późno, Izabela Katolicka bowiem jakiś czas temu zamknęła na zawsze oczy w swojej sypialni w pałacu Medina Del Campo...

14 LIPCA 1505 ROKU

**Wieś Magnamata**

– Krystianie, wróć, nie gubiąc kóz. Pilnuj się.

Kora Ana podała czarnookiemu chłopcu o kręconych włosach węzełek, do którego włożyła trochę chleba i sera. Żrenice Krystiana były tak ciemne i ogromne, że białko oczu stawało się prawie niewidoczne. Chłopiec wyprowadził dwie rdzawobrzazowe kozy, a tobolek przywiązał na końcu długiego kija.

Zmarszczył brwi i z poważną miną spojrzał na kobietę.

– Mam nie przekroczyć drugiego wzniesienia, prawda? – upewnił się. – A także wrócić przed zachodem słońca...

Kora opuściła ramiona skrzyżowane dotąd na piersiach, wyciągnęła rękę do dziecka, pieszczotliwie pacnęła go w czubek głowy i bez słowa przytaknęła.

Krystian, pędząc przed sobą kozy, wyruszył w kierunku gór.

Kiedy dochodził do pierwszego stoku, odwrócił się i pomachał Korze ręką. Ona też dała mu znak...

Przez lata wiele dzieci przewinęło się przez dom Kory, ale takiego jak Krystian ta stara kobieta jeszcze nie widziała. Rozsądny, zawsze uśmiechnięty, nad wiek dojrzały, mądry „czarny robaczek”. Tak do niego mówiła: „Mój mały czarny robaczku”. Przyniesiono go jej jeszcze w beciku, od tego momentu nie sprawił żadnego kłopotu, przez całe sześć lat, które od tamtej pory minęły, ani razu nie chorował. Rozmowny, żywy. Nawet nie pytał: „Czy nie mam ojca i matki?”. Kiedy mówiła: „Krystian jest w moim domu najważniejszy”, mieszkańcy wsi Magnamata, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, śmiali się z niej, ale Kora Ana wierzyła w to dziecko i jego szczęśliwy los. Przecież tę chatę, kozy, pole, ogród miała dzięki niemu. Stara kobieta, pewna, że malec bezpiecznie zmierza w stronę pastwiska na wzgórzu, wzięła się z powrotem za naprawę pomarańczowej sieci, nad którą siedziała już od trzech dni.

Krystian cały dzień spędził w górach. To leżał na plecach, przyglądając się chmurom, to znów tkwił nad porośniętymi zwiędłą trawą brzegami strumyków wijących się u dołu stromych urwisk. Rozmawiał z kozami, ścigał się, wspinał na skały. Kiedy zgłodniał, posilał się z apetytem serem, zagryzając chlebem. Po południu, gdy słońce stało wysoko, prażąc mocno, położył się u podnóża skały i głęboko zasnął.

We śnie ujrzał króla owadów; na głowce miał koronę, u pasa miecz. Król ów, dając Krystianowi znak ręką, przywołał go do siebie. Chłopiec musiał pokonać tysiące przeszkód w drodze do niego. Tam, gdzie stawiał kroki, nie było ziemi, tylko kłębiący się tłum ludzi. Szedł po tym człowieczym zbiorowisku, tratując i rozdeptując tysiące istnień. Kiedy wreszcie dotarł do tronu, król wyjął z korony największy kamień o barwie krwistej czerwieni i podał mu go, a następnie zanurzył rękę w stojącym obok worku i wyciągnął z niego pierś. Była to wielka pierś, a z brodawki kapało mleko. Władca owadów starał się nią dosięgnąć ust Krystiana. Wypełniona mlekiem ogromna pierś... Pił do upojenia. A mleka było tak wiele, że zalewało mu nos, usta, więc krztusił się

i z trudem oddychał. I wtedy król mieczem, który miał u pasa, podciął Krystianowi gardło, aby mu pomóc nabrać powietrza. To jednak nie pomogło, mały czarny robaczek trzepotał się jak ryba w sieci, z półotwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami...

Kiedy się obudził, jego czarne, kręcone włosy zlane były potem. Pomacał ręką szyję, przetarł oczy, spojrział w kierunku kóz, które nadal pasły się spokojnie na skałach. Otrzepawszy czapkę, założył ją, a ponieważ słońce miało się ku zachodowi, ruszył w drogę powrotną do domu.

Nad małą wioską rybacką Magnamata zapadał zmierzch. Ale Krystian zdążył jeszcze dostrzec trzy dwumasztowe okręty stojące na redzie. Przy skalnej zatoczce natomiast cumowały łódki, pomiędzy którymi przybijały do brzegu stateczki. Przyspieszył. „Chyba znowu przyłynęli obcy marynarze”, pomyślał. Może tego wieczoru uda się sprzedać im wino Kory Any. A potem kupić nową kozę... Chłopiec biegł, podskakując, a za nim obie kozy; spieszyli się.

We wsi zastał niespotykaną dotąd ciszę. Zamknął kozy w obórcie i wszedł do domu.

– Kora Ana, Kora Ana... – zawołał.

Nie odpowiadała. Przeszedł do sąsiedniego ogrodu i znowu zawołał:

– Kora Ana, jesteś tam?

Nadal nikt nie odpowiadał, nikogo też nie było widać. Nagle zauważył przy murze niewyraźny zarys sylwetki. Poruszała się. Dziecko było przerażone, znalazło się w zupełnie nowej sytuacji. Usłyszało swoje imię i podeszło do pojękującej postaci. Była to Kora Ana, leżała na plecach, a z brzucha wystawał jej nóż. Dookoła było pełno krwi.

– Krystian, Krystian – szeptała kobieta drżącymi ustami.

Ogarnięty strachem chłopiec zbliżył się i pochylił nad nią. Oczy kobiety już zachodziły mgłą, z kącików ust sączyła się piana.

– Krystian, Krystian – szepnęła znowu. – Uciekaj!... Twoja matka jest Żydówką... Uciekaj!...

Krystian nie rozumiał nic z tego, co usłyszał, ale wpadł w panikę. Zachciało mu się siusiać. W tej samej chwili jakaś ręka chwyciła go za kręcone włosy i podciągnęła do góry.

– Chodźże tutaj, skurwysynu.

Przestraszony malec nie zdołał się powstrzymać i zmoczył rękę i szarawary mężczyzny, na co ten wrzasnął:

– Ty bękarcie, czeka cię kara Allaha!

Kemal Reis, patrząc na dzieci przywiezione z wioski Magnamata, podrapał się po ogolonej głowie... Osiem dziewczynek i czternastu chłopców. Wszystkie stłoczone w rogu magazynu, jedno cicho szlochały, pozostałe głośno płakały.

– Ucisz te dzieciaczyska – polecił. – Dziewczęta mają być osobno, chłopców też przygotuj...

Stary korsarz od miesięcy był na morzu. Sułtan Beyazit postanowił pomóc skrzywdzonemu ludowi Beni Ahmar i do realizacji tego zadania wyznaczył trzy wiosłowe okręty wojenne ze swojej floty. Ich dowódcą mianował Kemala Reisa. Zabrali w sumie pięciuset bezbronnych muzułmanów, którzy na południowych wybrzeżach Hiszpanii żyli od lat pod pręgierzem chrześcijan. Ruszyli w stronę Stambułu. Mieli już magazyny pełne towarów zdobytych na kilku statkach, ale dojrawszy małą, chrześcijańską wioskę położoną między Algierią a Marokiem, nie mogli pohamować żądy zdobycia jeszcze tego dodatkowego łupu. Początkowo zamierzali odebrać biednym rybakom wyłącznie wino i solone ryby, lecz zobaczywszy dzieci, stwierdzili, że jest to cenna zdobycz, i zebrawszy te, które się im nawinęły pod rękę, porwali je. Po czym rozpięli żagle i nie pozostawiając żywej duszy we wsi Magnamata, odpłynęli. Zginęły nawet kozy Krystiana.

Kemal Reis rozkazał, by zgodnie z obowiązującymi zasadami zachować wobec dzieci szczególną ostrożność i ich nie zastraszać. Teraz, stojąc obok głównego sternika, podwinął rękawy i obserwował przygotowania.

– Powinno się im przyznać prawo do obrzezania – zwrócił się do mężczyzny. – Poza tym, kto to wie, czy któregoś dnia jedno z tych dzieci nie zostanie wezyrem, paszą, a nawet gubernatorem...

– Macie rację, Reisie, odparł sternik, głaszcząc się po brzuchu. – Może również ci biedni mieszkańcy Maghrebu w pewien sposób poczują się lepiej. Należy im się to, czyż nie zaznali cierpienia, będąc w rękach giaurów? Przed chwilą z nimi rozmawiałem, niektórzy chętnie poddaliby

swoich synów obrzezaniu.

– Z przyjemnością – odparł Kemal Reis. – Dlaczego by nie, spełnimy dobry uczynek.

Na pokładzie pełno było smagłych emigrantów; jedni, zadowoleni z sytuacji, rozmawiali ze sobą, inni tęsknie patrzyli na oddalający się brzeg. W wyznaczonym miejscu złożono małe kuferki, węzélki, torby. Zakwefione kobiety o bezkształtnych figurach skupiły się w kącie i szeptały między sobą. Natomiast mężczyźni, czując się niepotrzebni, plątali się pod nogami marynarzy z nadzieją, że może jednak do czegoś się im przydadzą.

W pewnym momencie pojawił się mężczyzna z mocnym tatuażem na ramionach, grubymi, gęstymi, zakręconymi wąsami i nagim torsem.

– Reis, jedno z dzieci jest obrzezane – zawiadomił.

– Jak to, porwaliście dzieci muzułmańskie? – spytał zaskoczony Kemal.

– Nie, panie, chłopiec twierdzi, że ma na imię Krystian, na szyi nosi krzyżyk.

– Allahu, Allahu – co ty mówisz? Jak to możliwe? – bawiąc się kolczykiem w uchu, dziwił się Kemal Reis.

– Żyd – wtrącił sternik – jeden z nawróconych.

– Poza tym ma sześć palców – dodał wąsacz. – U lewej ręki, i klnie jak stary.

– Pokaż go nam, przyślij go tutaj, obejrzymy tego sześciopalcego, obrzezanego, ale klnącego jak szewc Krystiana.

– Rozkaz – zsalutował mężczyzna i zbiegł po schodach.

Kemal Reis pochylił się, wpatrzony w leżące przed nim mapy.

– Ee, łysy Hasanie, za trzy, najwyżej cztery tygodnie dopłyniemy do Stambułu, co ty na to?

– Z Bożą pomocą – odparł marynarz, kiwając głową.

Kiedy Krystian stanął przed obliczem Kemala, bez przerwy wykrzykiwał:

– *Mierda, mierda*<sup>[59]</sup>!

Gruby marynarz chwycił go mocno za ramiona. Mężczyźni śmiali się do rozpuku, obserwując, jak malec próbuje się oswobodzić.

Kemal Reis od razu poczuł sympatię do tego chłopca o kręconych

włosach i ciemnych oczach. „Podobny do Reisa Buraka”, pomyślał w głębi duszy.

– Patrzcie na tego łobuziaka – wyciągnął rękę i pacnął Krystiana lekko w głowę. Potem mocno ujął go pod brodę, popatrzył mu prosto w oczy i uśmiechając się, powiedział cichym, spokojnym głosem:

– *Pesado, el niño, pesado. Silencio, silencio, si*<sup>[60]</sup>...

Krystian, słysząc nieznanego mówiącego jego językiem, natychmiast się uspokoił. Zamarł i wpatrywał się uważnie w tego smagłego mężczyznę w czerwonych szarawarach i białym turbanie na głowie. Kemal Reis wziął go za rękę i powoli przyciągając do siebie, pozwolił mu chwycić ster.

– Nie wolno robić różnicy między dziećmi – powiedział, zwracając się do sternika. – Mimo że Burak jest już obrzezany, ma być tego wieczoru traktowany jak inne dzieci, położony uroczyście w łóżku razem z innymi, ma dostać prezenty i bawić się jak one.

Sześciopalcy Krystian nie zorientował się, że odtąd ma już na imię Burak, ale z zadowoleniem przyjął fakt, że na tym pełnym groźnych i złych ludzi statku zdobył przyjaciela, który się nim zainteresował. Ścisnął mocno koło steru drobnymi rączkami i uważnie wpatrywał się w horyzont.

25 SIERPNIĄ 1508 ROKU

**Santorini**

– A więc nas opuszczasz – powiedziała Maria, wypełniwszy kosz kiśćmi winogron. – W zasadzie dobrze robisz. Mieszkać w Stambule jest o tysiąc razy lepiej, niż gnić tutaj. Nawet za cenę życia wśród muzułmanów... Chciałabym być na twoim miejscu.

Rachela nie odpowiedziała. Wiedziała, jaką płaci cenę, ale milczała. Delikatnie zerwała kiść z krzaka. Tego roku rzeczywiście były dobre plony. Od pięciu lat zbierała winogrona w winnicach na Santorini, nabrała doświadczenia.

– Masz dobrą sytuację... Jesteś młoda, bez zobowiązań... Nie masz co wieczór pijanego męża, który cię bije po powrocie do domu. Jesteś taka miła. Żebyś tylko wiedziała, jak ja cierpię. Ten bezbożnik Mario zachowuje się okropnie. Cokolwiek bym zrobiła, to źle. Od świtu



do nocy pracuj w winnicy, wróć do domu, gotuj, nałóż na talerz, postaw na stole, śpij z nim. I jeszcze mu mało. Szkoda, że nie mogę jechać z tobą.

Rachela się uśmiechnęła.

– Jeszcze nic pewnego – odpowiedziała, jakby mówiąc do siebie. – A co to za różnica? Być tu czy tam... Mnie to obojętne, ale jeśli się uda, książę Naksos pozwoli na wyjazd, a inni nie zatrzymają...

Ciemnowłosa Maria patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Szczupłymi palcami chwyciła za koniuszek swojego garbatego nosa, podniosła go w górę. Potem wzięła się pod boki.

– Czyś ty naprawdę zwariowała?! – besztła ją, krzyżąc. – Lekceważysz najpiękniejsze, największe miasto świata, w dodatku wiedząc, jak dobrze możesz tam sobie ułożyć życie. Czy to upał uderzył ci do głowy?

Rachela, pracując na świeżym powietrzu, opaliła się mocno w promieniach palącego słońca; jej zielone oczy na tle smagłej cery błyszczały jak gwiazdy. Kręcone, rude włosy ściągnęła na czubku głowy. Wyglądała zdrowo i ładnie. Było widać, że pobyt na tej cichej, spokojnej wyspie wyszedł jej na dobre. Spojrzała na kobietę i kiwnęła głową, jakby chciała powiedzieć „Masz rację”. Podniosła się, starła z czoła grube krople potu, wzięła koszyk i skierowała się ku pobliskiej wiosce.

– Niedługo wrócę – rzuciła na odchodnym.

Maria z powrotem się pochyliła, zaczęła zrywać winogrona. Nie patrząc za odchodzącą dziewczyną, wzruszyła ramionami. Rachela, oddalając się, słyszała, jak śpiewa ochryłym głosem smutną piosenkę ludową o rozstaniu i tęsknocie.

Tak, może niedługo stąd wyjedzie. Kapitan statku, na który wsiedli, aby z Neapolu dotrzeć do osmańskiej stolicy, stwierdził, że za pieniądze, które otrzymał, mogli dopłynąć jedynie do tego miejsca. Nie bacząc nawet na wiek podróży, dziewczynę i umęczoną rodzinę sefardyjskich Żydów, w sumie około dwudziestu osób, wysadził u podnóża wysokiej, skalistej wyspy i od tamtego czasu tu przebywali.

Lud zamieszkujący tę dziwną, leżącą pośrodku morza, jakby zapomnianą wyspę, stale narzekał na warunki życia, ale Rachela już się

do nich przyzwyczaiła. Polubiła nawet to pustkowie, tutejszą przyrodę. Dzika roślinność, skały schodzące pionowo w morze, szczyty górskie jak gniazda orłów, czarne kamienne brzegi i czerwona nieurodzajna ziemia pasowały do jej usposobienia... Większość mieszkańców stanowili głęboko wierzący ortodoksyjni Grecy, którzy zamieszkiwali w celach wydrążonych w skałach, małych kamiennych domkach przyklejonych do murów twierdzy lub w bielonych domach rozsianych wokół winnic. Panowała tu pyszałkowata rodzina wenecka o nazwisku Jakamo. Jej członkowie kilka razy do roku przyplýwali do swej usytuowanej pośrodku wyspy, otoczonej wysokim murem olbrzymiej posiadłości, zbierali podatki i odpływali. Poza nimi nikt tu nie zaglądał, zwłaszcza zimą. Wiosną i jesienią od czasu do czasu do Santorini podplýwały statki korsarskie, wówczas ludzie na mułach, schodząc z gór, aby powitać przybyszów, mieli możliwość wymiany towarów i zarobienia jakichś pieniędzy. Jedynym źródłem utrzymania tutejszych mieszkańców było rybołówstwo i wytwarzanie wina. Wody pitnej brakowało, przez całą zimę zbierano deszczówkę do szerokich pojemników.

Stało też tutaj mnóstwo kościółków o kopułach w kolorze błękitu indygo. Ale tutejsi wierni w żaden sposób nie nawiązywali kontaktów z Żydami; zdecydowanie lepiej układały się stosunki z katolikami. W pierwszym okresie po przyjeździe goszczono ich nawet w domach. Dzieci i kobiety szybko zbliżyły się ku sobie... Potem Żydzi, podobnie jak Grecy, także zaczęli pracować w winnicach dla Jakamo.

Po jednej stronie Santorini brzeg był piaszczysty, natomiast po drugiej, gdzie ku morzu stromo opadały skały, znajdował się krater okrągły jak księżyc, pośrodku którego widniała jeszcze dziwna mała wysepka, ale w rzeczywistości te czarne punkciki nie były wyspami, lecz wierzchołkami dwóch wulkanów. Od czasu do czasu z jednego z nich wydobywał się dym, a wody stawały się cieplejsze. Przez kilka dni ziemia drżała dniem i nocą, nieprzerwanie. Wieśniacy bardzo się wtedy bali, że wulkan znowu wybuchnie. I mieli ku temu powody, gdyż ten wyglądający jak karzeł wulkan w przeszłości wiele razy wyrzucał lawę, zalewając okolicę i siejąc śmierć. Mówiło się, że gdzieś na wyspie leży pokryte delikatnym pyłem miasteczko i kiedy tylko zacznie się grzebać

w ziemi, wylaniają się zniszczone kolumny, od czasu do czasu znaleźć też można fragmenty glinianych garnków.

Jeśli chodzi o roślinność, to na Santorini nie rosło nic prócz kilku drzew figowych i winorośli. Wokół rozciągał się step. Ten kawałek lądu pośrodku Morza Egejskiego wyglądał jak wysuszony wiór. W zasadzie te naturalne zjawiska nie budziły strachu w sercu Racheli, może nawet oczekiwała takiego rozwiązania; zamiast skończyć ze sobą za pomocą własnych rąk, byłoby lepiej, gdyby zrobił to wulkan... Miała już dość tego przekłętego losu...

W pierwszych latach jej pobytu ludzie próbowali się z nią zaprzyjaźnić, ale kiedy zobaczyli, jak dziko potrafi się zachować, woleli się trzymać z daleka. Większość mieszkańców wyspy wierzyła, że ta żydowska dziewczyna wałęsająca się samotnie, bez słowa, po stepie jest niegroźną wariatką. Ale ona się tym nie przejmowała, nawet była zadowolona z takiego obrotu spraw, zażywała swobody. Mogła żyć samotnie, nieniekajona przez nikogo.

Nawet Żydzi, z którymi przebywała, nie starali się być z nią blisko. W zasadzie rozmawiała z nią jedynie zwariowana Maria, młoda Greczynka, opowiadająca bez przerwy o dzieciach i mężu. Raz się zanosila śmiechem, innym razem widziało się ją z oczami pełnymi łez. Rachela bez słowa słuchała jej, zresztą co mogła tej kobiecie powiedzieć? Jedynie wylać gorzkie żale? Mówić o swoim losie i trudach, jakie przeżyła w ciągu szesnastu lat, o zaznanych torturach i cierpieniach? Omal nie umarła z głodu i chorób. Latami na co dzień stykała się ze śmiercią. Nie miała już ani rodziny, ani domu. Kiedy przypominała sobie Toledo, duszę jej palił ogromny smutek. A temu mocnemu płomieniowi nie dałby rady nawet wulkan...

Kiedy dotarła do wsi, siedzący przed swym domem, w cieniu szalasu z gałęzi, stary rabin Salomon przywołał ją gestem ręki:

– Chodź, Rachelo, chodź, dziewczyno.

Odstawiła koszyk, wytarła ręce końcem spódnicy i podeszła do niego. Nie było tu prawdziwej synagogi, nie wydano na nią zezwolenia, dlatego jeden z najobszerniejszych pokoi w domu rabina Salomona używany był jako pomieszczenie modlitewne i właśnie obok niego, w niewielkiej wnęce, Rachela miała swe miejsce do spania. Rabin

opiekował się nią od początku podróży. To on namówił ją na Stambuł, kiedy nie chciała zostawić Alegrii samej we Włoszech. Tylko on wiedział, przez co przeszła. Wiedział o wszystkim, o mężczyźnie z sześcioma palcami, jak również o sześciopalcym noworodku...

– Siądź obok mnie, moja droga, siądź, porozmawiajmy.

Salomon wskazał ręką ciemnoszarą plamę widniejącą na horyzoncie.

– Patrz, tam leży Naksos – powiedział. – Centrum diukostwa. Dzisiaj przyszła stamtąd wiadomość, zgoda na wyjazd, sam diuk porozumiał się z Osmanami i kiedy tylko przyplynie statek, to nas zabiorą. W ciągu kilku dni...

Rachela ujęła twarz w obie dłonie, zobojętniała patrzyła na morze, jakby nie usłyszała słów mężczyzny albo nie chciała ich przyjąć do wiadomości.

– Rachelo, nie cieszysz się? – spokojnym głosem spytał Salomon.

Ze zmartwienia przygryzała wargi, milczała.

– Boję się – odpowiedziała po chwili. – Przywykłam do tego miejsca.

– Ale my tutaj nie mamy warunków do życia jak prawdziwi Żydzi. Stambuł nie jest daleko, kilka dni podróży. Będziemy tam chodzić do synagogi, mieć domy. Rachelo, ty też dostaniesz dom...

– Salomonie, nie będę już nigdy miała domu, pozostał on w Toledo. Mój dom... – Do oczu napłynęły jej łzy. – Proszę was, nie pozostawiajcie mnie samej.

Mężczyzna pogłaskał dziewczynę po włosach.

– Nie bój się, Rachelo – odparł uspokajającym tonem. – Nie bój się, nie opuszczę cię, ale pamiętaj, że pewnego dnia będziesz miała swój dom, dzieci, Bóg ci wynagrodzi, wkrótce skończą się twoje męki. Spakuj się dziś w nocy, bo statek może przyplłynąć po nas nawet jutro.

Milczała. Czy ona będzie miała dom? Z kim, kto ją zechce? Podniosła się, odeszła chwiejnym krokiem, z opuszczoną głową, opróżniła koszyk i skierowała się ponownie w stronę winnicy. Maria nadal śpiewała piosenkę:

*Losie mój, nie pukaj do drzwi,*

*Napaliłam w piecu,*

*Podgrzałam zupę,  
Mąż mój wkrótce przyplynie z morza  
Losie mój, nie pukaj do drzwi.*

Rachela nie mogła sobie wyobrazić przyszłego domu, ale wieczorem bez zastanowienia włożyła do małego tobołka z ubraniami zaśnieżoną kołatkę do drzwi. Rękę kobiety z mosiądzu trzymającą małą kulkę z brązu...

14 WRZEŚNIA 1509 ROKU

**Stambul**

W domu Kemala Reisa dawny Krystian, a obecnie Burak, nie tęsknił ani za matką, ani za ojcem; otoczony miłością i uwagą spędził tam całe cztery lata. Ku zdziwieniu wszystkich ten twardy marynarz z łysiną na czubku głowy, długimi, gęstymi i podkreconymi wąsami oraz tatuażami na ramionach był wyjątkowo miękki wobec dziecka, które przywiózł z północnej Afryki. Ale niestety nie mógł na co dzień z nim przebywać, zadbać o jego wychowanie, jak dyktowało mu serce. Był przecież jednym z najważniejszych ludzi osmańskiej floty. Walcząc ze sztormami na Morzu Śródziemnym, odnosił zwycięstwa jedno po drugim. Na palcach można było policzyć noce spędzone przez niego we własnej willi w dzielnicy Kadırga. W końcu, uzyskawszy zgodę sułtana, umieścił Buraka w Enderunie.

W pierwszych dniach pobytu chłopiec buntował się przeciwko twardym zasadom obowiązującym w szkole, ale w krótkim czasie przyzwyczał się do nowego otoczenia. Szybko też zaczął się wyróżniać wśród dzieci bystrością umysłu i umiejętnościami. Opiekun pokładał w nim wielkie nadzieje. W domu Kemala Reisa nauczył się pisać i czytać, znał też geografię. Lekcje, na które uczęszczał, nie wydawały mu się zatem trudne. Nie był mu obcy język arabski, a nawet znał go niezłe i dlatego został prymusem na lekcjach mu poświęconych. Do perskiego przykładał się sumiennie. Łatwo rozwiązywał najtrudniejsze zadania matematyczne, zadziwiał nauczycieli dojrzałymi jak na swój wiek odpowiedziami na temat szariatu.

Wyróżniał się też tężyzną fizyczną. Podczas zapasów, wymachiwania bułatem... Ale mimo to najchętniej uczęszczał

na prowadzone w Enderunie zajęcia z zakresu łowiectwa z ptakami. Uwielbiał zabawy z nimi. Często też powtarzał: „Będę głównym sokolnikiem”. Sześciopalczy Burak byłby w pełni szczęśliwy, gdyby nie to, że chwilami tęsknił za Kemalem Reistem...

Wieczorami, po kolacji, wspólnie się modlono, a kiedy wysyłano chłopców do łóżek, część z nich natychmiast zasypiała, część natomiast, znużona, przewracała się z boku na bok. Potem następowała cisza, nie było słycać najmniejszego szmeru. Właśnie w takich chwilach chłopak myślał o Kemal Reisie, przypominał sobie jego szeroki uśmiech ukazujący wszystkie zęby i to skierowane do niego zdanie: *Silensio, silensio, si?...* A potem przed oczami stawała mu Kora Ana: „Twoja matka jest Żydówką, uciekaj, Krystianie...”. Przed zaśnięciem myślał też o swych kozach, o ostrych szczytach górskich, o kamienistych strumykach, jak również o sokołach unoszących się z dzikim gwizdem w powietrze i zakreślających koła na błękitnym niebie...

Tej nocy na niebie widniał wielki księżyc, jego czarodziejskie światło, przedostawszy się przez okratowane wąskie okna do wnętrza sypialni, rozjaśniło ją tajemniczym płomieniem lampki oliwnej. Białe stawało się jeszcze bielsze, noc fosforyzowała. Burak nie mógł zasnąć, a przecież jak każdego dnia nazajutrz musiał wstać przed wschodem słońca.

Nie tylko on jeden nie spał, nie mogła zasnąć również pewna kobieta oddalona o siedem dzielnic od Enderunu – Rachel. Córka de Toledów w końcu dotarła do stolicy imperium osmańskiego.

Była tu już prawie rok, ale przez ten czas nie wychodziła z domu. Całymi dniami sprzątała mieszkanie znajdujące się na tyłach synagogi. Nawet kiedy należało odprawiać wspólnie modły, stawała w ciemnym kącie, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Jakkolwiek by nalegał rabin Salomon, czy jak go w Stambule nazywano, Haham Salomon, nie odstępowała od przyjętej zasady.

Mieszkali na wzgórzu na tyłach Złotego Rogu, niedaleko brzegu, gdzie zaczynał się mur miejski... Naprzeciwko, to jest po drugiej stronie wód, znajdowała się Pera z murowanymi domami Genuńczyków, Wenecjan, Wieżą Galata... Z przycumowanymi do brzegu statkami, barkami rybaków ze zwiniętymi sieciami i żaglówkami. Na wybrzeżu

kilka osób rozpalało niewielkie ogniska. Płomienie to kierowały się ku wodzie, to znów oddalały... Księżyc w pełni rzucał blask na zatokę, która naprawdę przypominała złoty róg. Między wrotami do tego pięknego miejsca, tam, gdzie znajdowała się Pera, a po przeciwnej stronie Nowy Seraj, płynął już Bosfor i rozciągało się morze Marmara... Kız Kulesi przypominała zabawkę. Okrągłe kopuły meczetów błyszczące w świetle księżyca i strzelające w niebo wąskie minarety przeistaczały Sztambuł w baśniową krainę.

Mówi się, że w te noce, gdy księżyc jest w pełni, dostrzega się na jego powierzchni zarys twarzy ładnej kobiety z rozpuszczonymi włosami. Aby móc ją – doń Lunę – zobaczyć, Rachel z drżącym sercem wpatrywała się w srebrną tarczę. Przypomniła sobie walkę, jaką w blasku księżyca stoczyła wraz z bratem w ciemnych i zimnych jak lód wodach morskich. Nagle wiatr przygnał mdlący zapach kapryfolium, które rosło pod dwuskrzydłową bramą prowadzącą na podwórze drewnianego domu. Rachelę przeszedł dreszcz, otuliła się szalem. Gdyby tu też mogli być bracia, ojciec, matka... Kto wie, czy pokochaliby Sztambuł, szczególnie ojciec... Niespodziewanie stanął jej przed oczyma staczający się do Tagu Haim, a także Mosze... Może on też umarł, jak Avram czy Amran, jak wielu ludzi w ciągu tych minionych lat... Przeszył ją narastający ból, mocno skrywany w sobie, nie do ujawnienia nawet w świetle księżyca, wymknął się z najgłębszego zakamarka jej umysłu i serca... To było coś w rodzaju nieoczekiwanego ukłucia pełnej mleka piersi, jakie odczuwa matka po stracie dziecka... Zaciśnęła powieki, zwarła mocno palce skrzyżowanych rąk, jakby chciała je połamać.

– Przebacz mi, Panie Boże – westchnęła głęboko. – Przebacz mi, ponieważ odrzuciłam dziecko, które mi dałeś, ponieważ się go pozbyłam.

Księżyc płynął w górę i na chwilę oblicze doń Luny zasłoniła chmurka przypominająca wróble skrzydełko.

W tę ciepłą, męczącą noc wrześniejąco był jeszcze ktoś, kto również nie mógł zasnąć. Ale nie miało to związku z Luną na niebie, lecz Luną znajdującą się na ziemi. Ośmiomiesięczne zaledwie niemowlę o tym imieniu siniało z płaczu, który w nocnej ciszy łączył się z przeraźliwym

wyciem psów. A tego wieczoru wszystkie psy w Stambule ujadły bez przerwy jednym głosem.

Rebeka wzięła swoje dzieciątko na ręce i śpiewając kołysanki, przechadzała się po pokoju. Nie pomogła zmiana pieluszki ani też podawanie piersi. Mosze wstał zaspany. To było ich trzecie dziecko, nie można więc było powiedzieć, że brakowało im doświadczenia, ale Luna dawała się im szczególnie we znaki.

– Może boli ją ucho? – zastanawiał się Mosze. – A może brzusek?

Rebeka bezradnie kiwnęła głową. Widać było, że jest zmęczona, miała podkrążone oczy.

– A gdybyśmy tak zawołali mamę? – spytała męża.

– Jest późno, podaj mi ją, zobaczymy.

Kobieta szybko oddała dziecko, a sama rzuciła się na sofę pod oknem. Nie ulegało wątpliwości, że ze zmęczenia uśnie w jednej chwili. Teraz Mosze zaczął kołysać małą Lunę na rękach. Współczuł żonie, była kobietą pełną poświęcenia, dobrego serca, pracowitą. Całymi dniami zajmowała się dziećmi i domem. Starła się być samodzielna i nie oczekiwać od nikogo pomocy. Ostatnio schudła, mimo to nie narzekała na swój los.

Mosze wyszedł z niemowlęciem do ogrodu, aby nie budzić Rebeki, której oczy same się zamykały. Swym barytonem cicho śpiewał Lunie zapamiętane z dzieciństwa kołysanki, które nuciła mu matka. Pośrodku podwórza rósł wysoki kasztan. Mosze usiadł na ustawionej pod nim ławce. Kiedy córeczka poczuła, że jest na powietrzu, trochę się uspokoiła. Ojciec położył ją na swych piersiach i nakrył połą kamizelki. Kochał wszystkie dzieci, ale tego nieznośnego malucha szczególnie. Luna miała zielonkawe oczy, a rzadkie jeszcze włosy już teraz lśniły rudawą nutą. Kiedy tak patrzył na nią, przychodziła mu na myśl Rachela i nawet jeśli sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, zdawał sobie sprawę, że pamięć o niej nadal głęboko tkwi w jego sercu.

Biedna Rachela... Jakże mocno ją pokochał, teraz przeszłość wydawała się jedynie bajką. Toledo, rzeka Tag, mosty, wąskie uliczki o kamiennych murach, bezkresne żółtawe równiny... Jakże to było dawno, bardzo dawno... Gdyby nie te wspomnienia, już nie pamiętałby, że jakiś czas temu mieszkał w Hiszpanii. Życie tutaj mijało szybko



na ciężkiej pracy. Ale przypominając sobie od czasu do czasu tamte dni, nie mógł nie myśleć o Racheli. Oparłszy się o wielkie drzewo, z jeszcze większą miłością przytulił do siebie Lunę.

W tym samym momencie poczuł dziwne kołysanie. Miejsce, w którym siedział, zaczęło się przesuwac w jedną i w drugą stronę. Nie zastanawiając się nawet chwili, wstał. „To chyba trzęsienie ziemi”, przemknęło mu przez głowę. Chciał iść w kierunku domu, by ostrzec Rebeke, gdy nagle, zanim zrobił dwa kroki, ziemia zatrzęsła się sto razy silniej niż przed chwilą i rozległ się straszny huk. Mosze na próżno starał się utrzymać na nogach. Wraz z Luną, to przewracając się, to wstając, potoczył się w daleki róg ogrodu. W żaden sposób nie mógł się podnieść. Wielki kasztanowiec chwiał się, raz w przód, raz w tył, jakby miał zostać wyrwany ze swojego miejsca. Jego gałęzie zmiatały z ziemi wszystko, co napotkały. Mosze mocno przyciskał do piersi niemowlę i rozglądał się dookoła rozszerzonymi ze strachu oczami.

Potem doszły do niego krzyki ludzi i trzask rozpadających się domów. Ziemia dalej się trzęsła i nie miała przestać, to podnosiła się, to opadała jak fale wzburzonego morza.

A kiedy ustały te silne wstrząsy, choć każdemu się wydawało, że będą trwać wiecznie, wszystko wokół zaczęło się walić. Domy, meczety, kościoły, szpitale i nawet tysiącletnie wielkie mury przeistaczały się w gruzy.

Miasto otuliła chmura kurzu wzbijającego się z ruin. Ci, którzy wyszli cało, w tym gęstym pyłe sędzili przez chwilę, że zaniewidzieli. Potem z czterech stron pojawiły się płomienie i w krótkim czasie Stambuł ogarnął pożar. Wzywianie pomocy mieszało się z płaczem.

Ci, którzy mogli się ratować, poranieni, obryzgni krwią wyskakiwali na zdewastowane uliczki. Kobiety obejmowały dzieci, szłochały, stojąc przed zrujnowanymi domami. Mężczyźni natomiast walczyli z ogniem, używając nielicznych wiader, które udało się im znaleźć.

Mury Enderunu się rozeszły, dach zawalił się całkowicie. Z ruin dobiegały coraz głośniejsze jęki. Nauczyciele w strachu i zamęcie gorączkowo ratowali uczniów. Niestety, wszystkie budynki legły w gruzach. Ostała się jedynie sypialnia sześciopalcego Buraka. Wraz

z innymi wyskoczył on teraz na zewnątrz, boso, starał się nieść pomoc. Razem ze starszymi dziećmi ten malec udzielał pomocy rannym.

Tej nocy w Stambule pięćset domów zrównało się z ziemią i co najmniej pięć tysięcy osób straciło życie. Zawaliły się trzypiętrowe mury miasta ciągnące się od Eğrikapı do Yedikule, w ruinę popadła też część nadmorska, ciągnąca się aż do bramy dzielnicy Ishak Pasza. Jak mówiono, uszkodzonych zostało sto dziewięć małych meczetów wraz z wiernymi. Ucierpiały nie tylko one, lecz także okazałe świątynie. Spadły zwieńczenia czterech największych kolumn meczetu Fatih i podtrzymywana przez nie kopuła przekrzywiła się na lewą stronę. Mimo że liczący dopiero kilka lat meczet Beyazıt II wyglądał na ocalały, to znajdujące się w ogrodzie na jego tyłach szpital, medresa i bezpłatna jadłodajnia legły w gruzach. Znikła też kopuła meczetu Hadim Ali Pasza.

Z kolumn wznoszących się na At Meydanı sześć z hukiem się przewróciło. Przekazywano sobie z ust do ust wiadomość, że w domu Mustafy Paszy, obecnie jednego z wezyrów, a dawniej fryzjera, zginęło wraz z końmi trzystu jeźdźców. Trzęsienie ziemi nie wybierało między bogatymi a biednymi, nawet sułtan nie mógł się przed nim schronić. Nowy Seraj od strony morza też uległ zniszczeniu. Władca w strachu wyskoczył do ogrodu i więcej już nie wszedł do pałacu. Zatrzymał się na dziesięć dni w ustawionym naprędce namiocie, ponieważ ruchy ziemi nadal były odczuwalne. Stambuł jak kołyska przechylał się to na jedną, to na drugą stronę.

Tragedii nie było końca. Po trzęsieniu ziemi wzburzyło się morze. Spienione, coraz większe fale przelały się przez mury Stambułu i Galaty i niczym potop zalały ulice Pery. Z dawnych tam pozostały jedynie gruzy. Zniszczone zostało jedno z piękniejszych miast świata.

Nie tylko Stambuł znalazł się w trudnej sytuacji. Rumeli i lud wielu prowincji w Anatolii także ogarnął strach. W Çorum rozstąpiła się ziemia, wielu ludzi zginęło w jej czeluściach. Z Dimetoka, gdzie się urodził Beyazıt, została tylko garstka cegieł. Amasya, Tokat, Sivas podzieliły los innych miejscowości. Ze studni i jezior wylatywały dziwne ryby o przeźroczyście głowach, pozbawione oczu... I duszące się owłosione robactwo oraz węże... Turcy osmańscy o tym strasznym

wydarzeniu mówili „Mała Apokalipsa” lub „mały koniec świata”.

Trwało to całe czterdzieści pięć dni. Jedenastego dnia Beyazit udał się do Edirne, ale nie uwolnił się od trzęsienia ziemi. W drugim tygodniu po przybyciu sułtana mocno zatrzęsło tym miastem, a po sześciu dniach nastąpiła silna burza. Rzeka Tundża wylała i występując z brzegów, pogrążyła w odmętach to, co pozostało po katastrofie. Aby natychmiast naprawić mury Stambułu i Edirne, zebrał się Dywan, lecz przybywający ze zniszczonych dzielnic ludzie wykrzykiwali w stronę roztrzęsionych wezyrów:

– Tak źle rządzyliście, popełniliście tak wiele nieprawości, aż przekleństwa ciemionych sięgnęły niebios i sprowadziły gniew na kraj i jego prowincje.

Przestraszona ludność modliła się dniami i nocami w pozostałych, nienaruszonych kościołach, synagogach, meczetach. Jedynym miejscem, gdzie zabroniono ceremonii religijnych, była Ayasofya, gdyż mozaiki, które sułtani osmańscy kazali przykryć tynkiem jako „grzeszne, niezgodne z islamem”, podczas trzęsienia ziemi zostały całkowicie odsłonięte. Zaprawa odpadała z nich kawałkami, raz za razem. Niektórzy uważali, że to kara boska, a chrześcijanie potajemnie powtarzali sobie, iż to odpowiedź Ojca, Syna i Ducha Świętego dla muzułmanów.

8 LISTOPADA 1509 ROKU

**Balat**

Z tragedii wyszła cała synagoga rabina Salomona. Starzec jednak nie tracił czasu wyłącznie na modlitwę. Rwał się do niesienia pomocy masom biednych sierot, chorym, inwalidom, wszystkim potrzebującym.

Rachela pracowała razem z nim bez wytchnienia. W namiotach rozstawionych w ogrodzie wokół synagogi nocowało pełno ludzi. Każdego dnia przygotowywała im jedzenie i posłania. Prawie nie spała i na przekór własnemu zmęczeniu usiłowała uspokajać nieszczęśników, opatrywać rany. Na jej twarzy malowała się boska jasność i spokój, jaki widnieje jedynie na twarzach świętych. Dzieci, ranni, starcy chcieli być przy niej. To widać ją było z niemowlęciem na ręku, to z małym chłopcem trzymającym się jej spódnicy, kiedy czerpała wodę ze studni, obierała ziemniaki albo gotowała mleko.

Stopniowo robiło się zimno, zwłaszcza nocami. Stary Salomon, patrząc w niebo, modlił się o to, by babie lato potrwało jeszcze kilka dni. Wraz z nastaniem zimy życie stawałoby się przecież coraz trudniejsze.

Istotnie, z woli sułtana Beyazita wszystko miało zostać odbudowane, odrestaurowane, ale do zrobienia było tyle, że nikt nie wierzył w szybką realizację wyznaczonych zadań.

Poza tym byli i tacy, którzy w obawie przed nowym trzęsieniem ziemi woleli nie wchodzić ponownie do swoich domów. Zastraszeni, nie mogąc nic robić, wędrowali po okolicy i opowiadali budzące grozę historie oraz przekazywali wieści o możliwości nowych trzęsień. Jednak nikomu, kto ucierpiał na zdrowiu i pogrążał się w smutku, nie były potrzebne żadne przepowiednie.

Do Stambułu sprowadzono z Anatolii i Rumeli dwadzieścia dziewięć tysięcy robotników. Czuwało nad nimi trzy tysiące architektów, a wśród nich najślawniejsi: Hayreddin i Murat. Dzień i noc pracowali i jedni, i drudzy.

Żydowscy mężczyźni również brali udział w tej harówce. Każdy chciał czym prędzej odbudować swój dom; starano się, by do tych obróconych w ruinę, spalonych i ograbionych domostw jak najszybciej powróciło życie. Tak, zniszczone przez trzęsienie ziemi budynki żydowskie ucierpiały nie tylko z tego powodu, tuż po tragedii bowiem zostały splądrowane przez janczarów... Ci szaleni żołnierze nie poprzestawali zaś na tym, aby zdrowym odebrać to, co ocalało, lecz także zabijali ludzi. Generałom sułtańskim udało się zakończyć ten niecny proceder, karząc takie występki ścięciem głowy. Jednakże to, co się już zdarzyło, odwrócić się nie dało. Po „Małej Apokalipsie” mieszkańcy dzielnic żydowskich ponieśli większe straty niż muzułmanie stambulscy, a ponadto pozostali osamotnieni w swym nieszczęściu.

I właśnie między innymi w miłosiernych ramionach Racheli bezradni znajdowali schronienie.

Tamtego dnia nie było wiatru, lekko przygrzewało słońce i wydawało się, że modlitwy Salomona zostały wysłuchane. Wyrabiające ciasto kobiety nawet sobie podśpiewywały. Pomiędzy ruinami zakwitły czerwone, żółte, różowe chryzantemy. „Jakby nic się nie wydarzyło – pomyślała Rachel. – Jakie to życie jest dziwne, lata mijają, a ono ciągle

człowieka zaskakuje”.

W tym momencie zawołał ją Salomon, w ramionach trzymał niemowlę. Rachela, przekazawszy innej osobie starszą kobietę, której starała się ulżyć w cierpieniu, podeszła do niego.

– Weź tę sierotkę – powiedział rabin. – Matka biedaczki, tak jak rodzeństwo, została pod ziemią, zmarła. Żyje jedynie ojciec. On też pracuje. Na pewien czas zostawił dziecko. Ty jedna możesz go przypilnować jak należy. On będzie przychodził do dziecka w wolnym czasie, wieczorami.

Rachela wzięła na ręce maleństwo o oczach podobnych do jej, zielonkawych jak woda, i końcem palca pogłaskała je po policzku. Niemowlę uśmiechnęło się słodko, w otwartej buzi widać było dwa zębki jak ziarnka ryżu.

Kiedy rabin odwrócił się, by udzielić pomocy innemu cierpiącemu, Rachela zawołała:

– A jak mu na imię?

– Luna.

Znowu spojrzała na maleństwo. Różowiutkie ciało dziecka, z błyszczącą jak płomień główką i czerwonymi usteczkami, bardziej przypominało słońce niż księżyc.

– Nazwę ją Sol – rzekła. – Solika...

Rabin rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć „to twoja sprawa”.

Rachela mocno przywiązała sobie Solikę na plecach i pracowała tak cały dzień, a kiedy skończyła i wszyscy naokoło już spali, oparła się o ścianę i położyła sobie malutką dziewczynkę na nogach, żeby ją ukołysać. Po jakimś czasie ona i dziecko też usnęły.

Kiedy Mosze szedł z Salomonem prosto do nich, wyglądał na zmęczonego i słabego, wąsy mu podrosły, a twarz się wyciągnęła. Oprócz córki nie przeżył nikt. Matkę, ojca, braci, żonę i dwoje dzieci w jednej chwili pochłonęła ziemia. Chciał zobaczyć Lunę i wrócić do pracy.

Rabin, wskazując na Nahmiasównę, przyłożył palec do ust, nakazując ciszę.

Mosze przekonał się, że mała Luna jest w bezpiecznych rękach. Patrzył na nią z pewnej odległości; słodko spała na poduszce, którą

kobieta z głową owiniętą chustą umieściła na swych nogach. Ale naraz wiatr zwał jej chustę na ramiona, ukazując jasną twarz Racheli w aureoli rudych włosów. Mosze, który właśnie odwracał się, by już odejść, zamarł w bezruchu. Czy to mogła być ona? Jeszcze raz spojrział uważnie. Ta sama twarz, te same włosy, te same ręce...

– Boże! – krzyknął mocnym głosem, nie wierząc własnym oczom, a rabin patrzył na niego ze zdziwieniem.

Młody człowiek chwycił rabina za ręce i w kółko pytał o to samo:

– Powiedz, czy ma na imię Rachela, czy Rachela?

Salomon, nie rozumiejąc, o co tu chodzi, pokiwał głową.

– Tak, Rachela – przytaknął. – Nazywa się Rachela de Toledo.

Mosze wznosił ręce do góry.

– Boże, nie mogę w to uwierzyć!

Rachelę obudził krzyk, zaspanymi oczami rozejrzała się dokoła, aby zobaczyć, co się dzieje, w końcu dostrzegła Mosze. Mimo że minęło już wiele lat, natychmiast poznała swoją pierwszą miłość. Przez chwilę nie wiedziała, co robić, więc prędko odłożyła na bok Solikę i pędem wbiegła do domu. Nie bacząc na to, kto ją wołał, już z niego nie wyszła i nawet rabin Salomon nie miał wpływu na jej decyzję. Upadła na podłogę i po raz pierwszy od wielu lat zanosila się szlochem. Płakała i łkała boleśnie.

1 CZERWCA 1510 ROKU

**Stambuł**

Stolica, która nagle obróciła się w gruzy podczas „małego końca świata”, z rozkazu sułtana w krótkim czasie została odbudowana, stając się jeszcze ładniejszą niż poprzednio. Nie tylko odrestaurowano mury Galaty i Stambułu, lecz także Wieżę Galata, magazyny podziemne Galaty, Wieżę Panny, latarnię morską przy Yaldızlı Kapı, Nowy Seraj, mosty Büyük i Küçük Çekmece oraz twierdze w Silivri, Anatolijską i Rumeli.

Beyazıt, kiedy się dowiedział o zakończeniu prac, przez trzy dni na srebrnych talerzach i w ogromnych kotłach rozdawał jedzenie ubogim. Chciał podnieść lud na duchu i stworzyć dobrą atmosferę, dbając, by zapomniano o nałożonych wysokich podatkach na odbudowę,

napadach rabunkowych janczarów, trzęsieniu ziemi. Zresztą sam lud czuł taką potrzebę.

Przez całe trzy dni ludzie jedli do syta, pili, bawili się. Na placach ustawiono huśtawki i różne przyrządy gimnastyczne, odbywały się przedstawienia Karagóza; wszystkich oczarowały występy tysięcy magików, treserów małp i niedźwiedzi, akrobatów; przez ulice przeszedł pochód artystów-rzemieślników prezentujących swoje wyroby rzeźbione w cukrze; na placach końskich urządzano zawody łucznicze i jazdy konnej; nocami odbywały się pokazy świateł latarni morskiej, na brzegach wystrzeliwano race. Starano się zapomnieć o tragedii, modlono się o zdrowie i życiono sobie dostatku... I życie w Stambule znów nabrało tempa.

Trwające minutę, a nawet pół minuty trzęsienie ziemi całkowicie odmieniło losy mieszkańców, a przede wszystkim Racheli. Ta wielka tragedia w dziwny sposób przyniosła jej szczęście. I to po latach, kiedy straciła już jakąkolwiek nadzieję na to, że coś się obróci na lepsze.

Tej nocy Haham<sup>[61]</sup> Salomon otworzył przed dziewczyną drzwi do swojego pokoju i pozwolił jej wejść do środka. Objął ją i pogładził po włosach, by się uspokoiła. Ona płacząc, wyznawszy, że jest grzeszna, nie chciała spojrzeć Moszemu w twarz. Stary duchowny godzinami czytał jej więc urywki ze świętych ksiąg. Duszą młodej kobiety targało tysiące wątpliwości. Potrzebowała czasu.

Natomiast Mosze był w szoku. Od ich rozstania minęło całe osiemnaście lat. W najbardziej bolesnej, beznadziejnej dla niego chwili objawiła się Rachela jak poświata księżycy wskazująca nową drogę. Codziennie przychodził do synagogi, by z nią porozmawiać. Ale ona nie chciała go widzieć. Mosze usiłował zrozumieć jej zachowanie, lecz w żaden sposób nie mógł go sobie wytłumaczyć. Dopiero Salomon opowiedział mu o wszystkim szczegółowo, niczego nie ukrywając... Tak jak było, bezlitośnie... Kiedy skończył, młody mężczyzna milczał, nie mogąc wydobyć słowa, zresztą co miał powiedzieć? Przyrzekł rabinowi, że nigdy nie wróci do tego tematu, i dotrzymał słowa. Salomon także mu przyrzekł, że przygotuje Rachelę do zamążpójścia, i on również dotrzymał słowa. W jeden z zimowych dni 1510 roku Mosze Nahmias i Rachela de Toledo zawarli skromny ślub. Nie było nawet jednego

członka rodziny, który, jak zwyczaj nakazuje, trzymałby kremową chustę nad głowami panny młodej i pana młodego. Z życzeniami szczęścia uczynili to nieznani im dwaj mężczyźni i dwie starsze kobiety. Mosze i Rachela po latach dotrzymali obietnicy, że zawsze będą razem, ale zapłacili za to nieoczekiwanie wysoką cenę.

Kobieta wzięła za rączkę zaczynającą chodzić Solikę – bo tak ją teraz nazywano – i powoli spacerowała z nią po ogrodzie ich nowego domu. Usiadła, kiedy tylko doszły do baseniku. Pogłaskała dziewczynkę po główce całej w rudych lokach, takich, jakie sama miała, a potem pogładziła swój powoli powiększający się brzuch. Tak, Rachela była w ciąży, w miejscu, gdzie położyła rękę, poczuła ruchy nienarodzonego dziecka. Ogarnęło ją dziwne uczucie, cieplejsze niż grzejące jej plecy słońce; ciepło szczęścia dające bezpieczeństwo i spokój...

Spojrzała na pokryte bluszczem ściany domu, okna, w których widniały koronkowe firany. Wszystko było nowe, jak nadzieja i radość... Jediną starą rzeczą pozostała kołatka zawieszona na drzwiach prowadzących na podwórze. Kobięca dłoń z mosiądzu trzymająca małą kulkę z brązu...



II  
25 KWIECZNIA 1512 ROKU

**Nowy Seraj**

Sułtan Beyazıt II czuł się zmęczony i stary. Znużony był intrygami, jakie od dwóch lat knuli jego synowie z myślą o objęciu po nim tronu. A już zupełnie nie do wiary było postępowanie gubernatora Trabzonu Selima, który za jego plecami porozumiał się z janczarami, aby zdobyć poparcie. Upodobał sobie jego miejsce, jeszcze kiedy urzędujący sułtan cieszył się dobrym zdrowiem.

– Mustafa Paszo, czy syn może zrobić coś takiego swojemu ojcu?  
– zapytał wielkiego wezyra.

– Mój sułtanie, są synowie i synowie – odpowiedział dość potężnej postury mężczyzna. Smutnym wzrokiem patrzył na splecione przed sobą dłonie. – Wasz syn książę Ahmet nigdy by tak nie postąpił, Korkut też, jak dobrze wiemy, ma łagodny charakter. Ale Selim nie jest podobny do żadnego z nich. Ciągłe niezadowolony i bardzo ambitny.

– Janczarzy nie wybrali Korkuta, gdyż miał dobre serce, był wrażliwy, kochał sztukę. Przyznam, iż sądziłem, że będzie w stanie podołać obowiązkowi kierowania sułtanatem. Ale tron osmański należał się w zasadzie Ahmetowi. Natomiast Selim nie akceptował niczego. Tłumaczyliśmy, przyrzekaliśmy. Nie było na niego sposobu... Zwołał wojsko i wytoczył nam bitwę. By dać mu nauczkę, wysłaliśmy go do teścia, chana tatarskiego. Nie dał za wygraną. Ledwie się obejrzelśmy, znów się pojawił, nieoczekiwanie wyrósł przed nami. W ciągu tygodnia postawił na nogi całą stolicę.

Koca Mustafa Pasza podszedł do okna i uważnie spojrzał na zewnątrz. Tysiące janczarów, sipahów i stojący przed nimi wezyrowie, a dalej cały lud miasta u bram pałacu, krzyczeli tak głośno, jak tylko się dało:

– Sułtanie, jesteś już stary, chcemy Selima, chcemy Selima...  
Oczy Beyazita napełniły się łzami.

– Ach, niewdzięczni... – westchnął. – Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by mieli co jeść i pić. W krótkim czasie w miejsce zburzonych domów postawiliśmy nowe, przyczyniając się

do pomyślnego rozwoju miasta. A teraz patrz, jak się nam odwdzięczają...

Zamilkł. Janczarzy zaczęli się głośno domagać zorganizowania wyprawy wojennej. Sułtan ponownie zwrócił się do wielkiego wezyra:

– Mustafo Paszo, nasz czas się skończył. Nie mamy innego wyjścia, jak przekazać tron temu niespełna rozumu człowiekowi. Idź, przekaż wiadomość, niech przyjdzie i przejmie sułtanat. I przypilnuj, aby przestrzegał porannego porozumienia. Nie ufam mu.

Selim również nie ufał ojcu ani tym, którzy go popierali.

Mimo że tłum chciał, aby to on zasiadł na tronie, jego duże, błyszczące piwne oczy w okrągłej, pyzatej twarzy były pełne niepokoju, czy przypadkiem coś nie stanie na przeszkodzie w osiągnięciu celu. Ten niepokorny książę czekał w bramie położonej między pierwszym a drugim dziedzińcem pałacu. Kto wie, ilu wezyrom i paszom w tym miejscu mocnej biło serce w oczekiwaniu na słowa sułtana oznaczające łaskę albo sznur na szyi.

A może ojciec planuje go w odpowiednim momencie zamordować? Po dwudziestu siedmiu latach miał go dzisiaj po raz pierwszy zobaczyć. Obecny sułtan był człowiekiem zmęczonym, słabym, o przygasłym spojrzeniu, obolałym. „Czyż to on jest władcą tego wielkiego imperium?” – przemknęło Selimowi przez głowę. Zdenerwowany zrobił kilka kroków. „Nie, mój drogi, będziesz musiał ustąpić” – pomyślał. Gdyby z własnej woli abdykował, to on przejąłby pałac i władzę... Nie miał zamiaru się starzeć, czekając na jego śmierć; zresztą i tak przekroczył już czterdziestkę. Selim miał dużo do zrobienia. Już teraz planował przyszłe wojny i przedsięwzięcia. Gdy tylko zasiądzie na tronie, bezzwłocznie wezwie do Stambułu swego syna Sulejmana, gubernatora sandżaku Kaffy. A gdy ten się zjawi, wsiądzie na ulubionego konia Karabuluta i poprowadzi armię na ziemie szacha Ismaila i nie tylko...

Tymczasem w ciemnej bramie pomiędzy dwoma dziedzińcami ukazał się wielki wezyr Koca Mustafa Pasza, za nim zaś liczna delegacja. Selim dostał gęsiej skórki, nie mógł zrobić kroku. Wielki wezyr skierował się ku niemu i gdy stanął tuż przed nim, pochylając się, ucałował róg książęcej szaty.

– Niech władza wasza trwa wiecznie, mój sułtanie – powiedział.  
Selim wziął głęboki oddech, wyprostował się, uniósł jedną z ciemnych, krzaczastych brwi.

– Niech żyje nasz sułtan! – dało się słyszeć skandowanie tłumu.  
Selim nie nosił brody, potarł ręką starannie ogoloną twarz, podkręcił wąsy i koniuszkami palców poruszył zwisający z jednego ucha kolczyk. Oczy mu błyszczały. Nikt nie miał odwagi spotkać się z tym tchnącym brutalnością i nienawiścią spojrzeniem. Wszyscy skłonili głowy, również Mustafa Pasza... Ale nowy sułtan dostrzegł na twarzy tego stojącego blisko niego mężczyzny strach i niepewność. Nie odrywał więc odeń wzroku, zresztą na liście wrogich mu osób ten człowiek zajmował jedno z pierwszych miejsc i skazany był na zagładę. Szambelan wskazał im drogę, całą grupą udali się do ustępującego sułtana.

Tego wieczoru Beyazit przekazał tron Selimowi i ani chwili dłużej nie zamierzał pozostawać w Nowym Seraju. Natychmiast, z kilkoma zaufanymi ludźmi, wyruszył w drogę do Starego Pałacu. Selim, jak przystało na dobrze ułożonego syna, jechał na koniu, uroczyście towarzysząc lektyce byłego władcy. Pozostawiwszy do jego dyspozycji liczną grupę służących i trzech lekarzy, zawrócił. Gdy zniknął z oczu, stary sułtan zwrócił się do otaczających go ludzi i smutnym głosem wycedził te słowa:

*Ci, co zrezygnowali z popierania mnie,  
Odwrócili się i przeszli na stronę Selima,  
Niech dotrą do prawdy  
I zobaczą, co mi uczynił Selim szach.*

25 SIERPNIA 1515 ROKU

**Balat**

*Jestem piękna, ładna z najładniejszych,  
Jestem ulubienicą sułtanek, księżniczką Kastylii, hej...*

Mała Esterka Nahmiyas zarzuciła na siebie żółty szal matki z frędzlami, zaczesła na czoło kręcone, czarne włosy i tak właśnie podśpiewywała, stojąc przy ogrodowym baseniku. Przy każdym „hej” zamykała oczka tak mocno, że drżały zaciśnięte powieki, i przytupywała

trzy razy.

Siedzący przy stole pod morwą przyglądali się jej ze śmiechem. Drobną Esterką przyciągała uwagę wszystkich. Krążyła wokół nich nie jak pięcioletnia dziewczynka, ale niczym młoda kokietka.

– Słuchaj, Mosze, twoja córka będzie piękna, będzie prawdziwą pięknoscią – stwierdził sąsiad, doktor Salvo.

Mosze wziął córeczkę na kolana, pogładził po włosach i uśmiechnął się z satysfakcją.

– To mój jedyny skarb – powiedział i kołysał dziewczynkę to w jedną, to w drugą stronę, trzymając pod paszkami. Małej podobała się ta zabawa, więc odrzuciła główkę do tyłu i śmiała się całą sobą.

Naraz Rachela zawołała z kuchni:

– Esterko, Esterko, chodź no tu, moje dzieciątko.

Ojciec powoli opuścił ślicznotkę na ziemię, z miłością dając lekkiego klapsa w okrągłą pupcię, i polecił:

– No, a teraz leć prosto do mamy.

Esterka, zanim odeszła, wzięła ze stołu garść czereśni, jedną parę zahaczyła o ucho i w podskokach, jak gdyby grała w klasy, podśpiewując, pobiegła w stronę drewnianego domu. Jednocześnie napełniała usta owocami. Nie zdążyła jednak wejść do środka, a już była z powrotem przy stole pod drzewem morwowym i raz jeszcze krzyknęła:

– Jestem ładna, bardzo ładna, hej.

Zaczezione o ucho czerwone czereśnie kołysały się, wyglądając spod ciemnych włosków.

Eti, córka tkacza Sibrikosa romanioty, pomagała Racheli zmywać talerze. Romanioci stanowili niewielką grupę Żydów, która przywędrowała na te ziemie, zanim pojawili się na nich Turcy osmańscy. Hiszpańskiego nauczyli się od Sefardytów, ale ich językami były grecki i turecki. Zresztą większość emigrantów hiszpańskich właśnie od nich uczyła się tureckiego.

Na widok przystrojonej Esterki Eti zawołała przymilnie:

– Podejdz tu, Kirâze.

– Dlaczego Kirâze? – zapytała Rachela młodą dziewczynę, która w przeciwieństwie do niej tutaj się urodziła i wychowała, była więc bizantyjską Żydówką.

– Takie imię – odpowiedziała Eti – pasowałyby do dziewczyny z czereśniami. Przecież kiraz to czereśnie. – Zaśmiała się: – A co, może do niej nie pasuje? Jej usta są jak te czeresienki... Spójrz, jaka śliczna, jaka świergotka, a ile serc złamie... Chodź do mnie na ręce, Kirâze.

Na twarzy Soliki, przyglądającej się im w milczeniu, widać było przez chwilę zazdrość. Rachela pogłaskała ją po kręconych, rudych lokach.

– Moja Soli, mój skarbie, Soliko – powiedziała czule.

Solika rzeczywiście w głębi duszy była zazdrosna o Esterę. Cokolwiek by robiła, nigdy nie była przedmiotem takiego zainteresowania, jak jej siostra. Zresztą, zamknięta w sobie, wcześniej dojrzała, mało mówiła. Całymi dniami albo starała się pomagać matce, albo przeglądała z zaciekawieniem wydawane przez ojca książki. Siostry w niczym nie były do siebie podobne. Estera nie przypominała ani matki, ani ojca. Już bardziej Soli była do nich podobna, wręcz jak odbicie Racheli. Ci, którzy nie wiedzieli, że dziewczęta narodziły się z różnych matek, często pytali: „Rachelo, jak to zrobiłaś, że twoja córka jest tak bardzo do ciebie podobna? Ta Solika to po prostu mała Rachelka... Te same włosy, oczy i charakter...”.

Rachela od samego początku darzyła Soli wielkim uczuciem. Kochała ją i opiekowała się nią jak własną córką. Estera zaś była bardziej córeczką tatusia.

Kiedy Rachela szycowała talerze do wyniesienia na zewnątrz, Eti wycierała szmatą zabrudzoną podłogę. Gdy przesunęła na bok opróżniony do połowy worek z mąką, krzyknęła ze strachu:

– Och, stonoga, niech to szlag!

Soli uczepiła się spódnicy matki. Esterka natomiast bez wahania podeszła bliżej i nadepnęła na ciemnopomarańczowego skorupiaka. Zgniotła go z chrzęstem. Dziewczynka pocierała nogą o podłogę, starając się oczyścić podeszwę buta. Rachela, Soli i Eti spuściły oczy z obrzydzeniem. Estera otrzepała ręce i zaśmiała się, wołając:

– Tchórze, tchórze!

Eti ze zdziwieniem patrzyła na małą.

– Kirâze, nie boisz się robaków? – spytała.

– Ona niczego się nie boi – powiedziała Soli spokojnym głosem. –

W ogrodzie całymi dniami zabija też dżdżownice. Nie boi się i w ogóle jej ich nie żal. Nawet we wrony rzuca kamieniami i w koty też...

– Ojej, wystarczy, przestańcie, mam dosyć – przerwała Rachel. – Przecież wszyscy już zgłodnieli, pośpieszmy się, wracamy do roboty.

Siedzący przy stole pod morwowym drzewem także rozmawiali o bezwzględności i o uciśnionych. Ale nie mówili bynajmniej o robakach, które swą nóżką rozgniałała Esterka. Rozprawiali ściszym głosem o okrucieństwie, o barbarzyństwie sułtana. Nawet w tym spokojnym ogrodzie położonym na tyłach dzielnicy Balat Okrutny Selim potrafił przyprawić każdego o palpitacje serca.

– Zaprosił do siebie na obiad czterech wezyrów – powiedział doktor Salvo. – Koca Mustafie, zanim wszedł do środka, strażnicy wciągnęli czarny kaftan. Wiecie, co to znaczy... – Słuchający skinęli głowami. – Po uduszeniu ciała rzucili psom – ciągnął Salvo.

– Czy ktoś, kto morduje bez litości swych braci i ich dzieci, będzie żałować wezyra, którego posądzał o zdradę? – rzekł tkacz Sibrikos. – Przecież to nie pierwszy uduszony wezyr, nie bez przyczyny zamiast przekleństwa mówią: „Zostań wezyrem u Selima”.

– A jak postąpił ze swoim ojcem? – odezwał się, kręcąc głową, Mosze.

– Mówi się, że to też była jego sprawka – dorzucił Salvo. – Jak wieść niesie, otrucie Beyazita zlecono jednemu z nas, doktorowi Danonowi. Trzeciego dnia po abdykacji stary sułtan chciał jechać do Dimetoka, gdzie się urodził. Wyruszył w podróż, mając u boku kilku zaufanych ludzi, ale w pół drogi niespodziewanie zaniemógł i zmarł, wijąc się w boleściach.

– Nie do wiary, co za bestialstwo – pomrukiwał Sibrikos.

– Mnie najbardziej dotknęło to, co spotkało księcia Mehmeda – powiedział Mosze. – Serce mi się kraje na myśl o tym, co zrobił Mehmedowi, siedmioletniemu synowi swego rodzonego brata, Şahinşaha. Ten malutki, biedny chłopiec klęczał przed katami, prosząc o darowanie życia. „Będę służył sułtanowi za jednego talara dziennie, tylko mnie nie zabijajcie” – błagał, szlochając. Ale oczywiście na próżno. Razem z nim Selim rozkazał udusić pięciu kuzynów. Podobno dwudziestoletni syn Alemşaha, Osman, stawiał opór, walczył.

Nawet jednego z katów pchnął nożem, innemu złamał rękę – nic to jednak nie pomogło. Kiedy książęta walczyli o życie, ich wujowie przyglądali się tym zbrodniom przez ukryte okno.

– Twarze wszystkich siedzących przy stole zasępiły się.

– Zabił co najmniej czterdzieści tysięcy alewitów<sup>[62]</sup> – powiedział Sibrikos. – Wyczytując kolejne imiona, wszystkich unicestwił. Poczynając od siedmiolatków, a na siedemdziesięciolatkach kończąc, nie zostawił żadnych alewickich mężczyzn w Anatolii. To przypomina Inkwizycję.

– A nas też to czeka? – spytał Mosze.

Doktor pokręcił przecząco głową.

– Nie sędzę – powiedział. – Wszyscy lekarze to Żydzi. Nic złego nam nie robi. Zresztą teraz zajmuje się likwidacją szyitów. Pokonał szacha Ismaila. Przejął cały harem, jego żonę, którą ożenił z jednym ze swych generałów, co jest sprzeczne z islamem. Obaj są muzułmanami, zarówno Selim, jak i szach Ismail... Ale osmański sułtan nie kieruje się żadnymi zasadami. Po Tebrizie przechadzał się jak po własnym ogrodzie, zmusił około tysiąca artystów do pozostawienia swych domów, sprowadzając ich do pracy w stolicy. Mówcie, co chcecie, ale szczęście mu sprzyja. Przy pomocy Idrisi Bitlisi przyłączył do siebie dwadzieścia pięć bejlików<sup>[63]</sup> kurdyjskich. Amid, Bitlis, Hasankeyf, Musul, Urfa... Tamte tereny należą już do Turków. Według mnie teraz ma chrapkę na Egipt. Zamierza podporządkować sobie cały Wschód. Ale kto wie, może któregoś dnia skieruje się na Zachód.

– Ma dobre układy z Wenecją – rzekł Sibrikos. – Wiem o tym od handlarzy tkanin. Semiza Czawusza i jego delegację sam diuk Wenecji powitał uroczystą ceremonią na placu Świętego Marka. W drodze do Senatu posłowi Selima towarzyszyło dziesięciu arystokratów. Wyobrażacie sobie? Ech, ech, ech, dziesięciu arystokratów... Znaczy, że sprawa Wenecji załatwiona. Z Węgrami też nie ma problemu, podobnie z Rosją... Masz rację, w tej chwili dąży do przejęcia kontroli nad Wschodem, więc na razie zostawi nas w spokoju. Zresztą po co miałyby nas ruszać?...

– Miejmy się na baczności, ten potwór, nowy sułtan, jest

nieprzewidywalny – mruczał Mosze.

Ktoś zaczął się gwałtownie dobijać do bramy podwórza. Siedzący przerazili się, zamilkli. Zaniepokojony Mosze wstał, by otworzyć, ale uprzedziła go Rachela, która wcześniej wyszła z kuchni.

I nagle ogród wypełnił się śmiechem, bo przyszły z dziećmi żony Sibrikosa i Salvo. Kobiety trzymały owinięte ściereczkami gorące gliniane garnki, a na nich przykryte tace.

– Ooo... Bojos... – mężczyźni odetchnęli z ulgą i stanęli za nimi.

Esterka z czerwonymi czereśniami za uchem znów biegała w tę i z powrotem, śpiewając piosenki. Znów brano ją na kolana, tysiąc razy głaskano i całowano. Trzymająca się spódnicy matki Soli przyglądała się siostrze bez słowa.

– Kirâze jest wyjątkowa – powtarzała każdemu Eti. – Kirâze jest wyjątkowa...

Tej nocy ci, którzy zadowoleni opuścili gościnny dom Nahmiyasów, nie mogli przypuszczać, że nie położą się spać do swych łóżek. Zaraz po północy bowiem Stambuł ogarnął wielki pożar i w kilka godzin obrócił w popiół co najmniej trzy dzielnice. Wśród tych, co obserwowali wzbijające się w niebo płomienie, był też sułtan Selim. Władca zagadnął stojącego przy nim Piri Paszę.

– Spełniliśmy żądania janczarów, zgładziliśmy sędziego wojskowego Cafera Çelebiego – powiedział. – Zdaje się, że się sprawdziły jego wołania o pomstę, czuję, że uczyniliśmy niesprawiedliwość, niech Allah nas nie wystawi na jeszcze większe nieszczęście.

Piri Pasza milczał. Przecież Selim był nieobliczalny... I jeśliby przyznał mu rację, mógł rozkazać i jego zamordować.

Selim, obserwując buchające płomienie jak języki potworów piekielnych, podkręcał węża i czubkami palców trącał kolczyk w uchu.

– A co z flotą wojenną? – spytał.

– Mój sułtanie, zgodnie z waszym poleceniem wkrótce prace zostaną zakończone, robotnicy stoczni na Złotym Rogu harują dzień i noc.

– A niech spróbują ich nie zakończyć – powiedział, wchodząc do środka, z cieniem uśmiechu na ustach. – A niech spróbują ich nie



zakończyć...

25 WRZEŚNIA 1517 ROKU

**Edirne**

– Te twoje sokoły, Sześciopalczy, są w stanie zaatakować nawet orła. – Książę Sulejman osłonił ręką oczy, z uwagą śledził latające po niebie ptaki, które wydawały z siebie głośny świst.

– Macie rację, mój książę. Są bez lęku jak szaleńcy. Ileż ich z tego powodu zginęło. Nie zważają na nic – takie waleczne.

W tej samej chwili ptaki z przeraźliwym piskiem zaczęły otaczać kosa. Natychmiast przygotowano łuki i napięto cięciwy.

Burak od kilku lat był opiekunem sokołów sułtańskich. Przeszedł na służbę do młodego księcia Sulejmana, kiedy sułtan Selim, idąc na wojnę z szachem Ismailem, pozostawił go w Stambule. Potępiane wśród ludu, a nawet na świecie, zamiłowanie do polowań i drapieżnych ptaków bardzo obu zbliżyło.

Kiedy kos znalazł się w zasięgu strzały, Sulejman puścił napiętą cięciwę. Jeden z sokołów wolnym lotem ruszył w dół, by wrócić do swych opiekunów. Drugi jednak nie zrezygnował z upolowania orła.

Tym razem Burak wyjął z klatki drobnego sokoła, pogłaskał ptaka po piersi i ze słowami „W imię Allaha” wypuścił go w niebo, polecając:

– Wróć wkrótce z łupem.

Lekko przygarbiony, o szpiczastym nosie i drobnej, bladej twarzy książę obserwował ptaka aż do momentu, kiedy stał się on ledwie punkcikiem na nieboskłonie. Potem pochylił się do sajdaka, przejrzał strzały, wyjął jedną i przygotował do wypuszczenia.

– Ojciec mój, sułtan Selim, wreszcie wrócił szczęśliwie do Stambułu – powiedział. – Tysięczne dzięki Allahowi...

– Dzięki Bogu... Od teraz Turcy władają światem islamu. Niech Allah chroni naszego sułtana, niechaj mu da długie życie – odezwał się Burak.

– Amen – odpowiedział Sulejman. – Mój ojciec od dawna myślał o tym, ale dobrym pretekstem stał się sen szambelana Hasana Agi.

– Mój książę, takie widziadło senne ukazało się wysokiemu urzędnikowi. Czyż dobra wróżba mogłaby się przyśnić przeciętnemu

niewolnikowi? Pewne jest, że to, co zobaczył, było znakiem od losu. Znakiem danym przez Allaha... Cóż innego może znaczyć ukazanie się we śnie czterech Arabów, chcących oddać pod opiekę boski świat?

– Słusznie, Buraku, słusznie. I oto sen się urzeczywistnił. Mój ojciec przywiózł do stolicy powierzone mu święte relikwie muzułmanów. Podobno czuje się dobrze i jest zadowolony. Zapomniał nawet o sprawie Yunusa Paszy.

Sześciopalcy Burak wskazał ręką nadlatującego sokoła, który ścigał uciekającego przed nim ptaka. Książę natychmiast naciągnął cięciwę. Puścił strzałę z łuku, która z furkotem wzniosła się w górę i tam dosięgła zdobyczy. Stojący dotąd nieruchomo obok niego rudy pies myśliwski, szcękając zawzięcie, rzucił się przed siebie, jakby chciał ścigać się ze strzałą. Po chwili wrócił z kołyszającym się ptakiem w pysku.

Przyleciał również sokół i siadł na ramieniu Buraka. Uważnie przyglądał się innym ptakom, nieznacznie obracał głowę, skośnymi oczami obserwował niebo.

Sulejman cieszył się, że nie spudłował.

– Wspomnieliście o Yunusie Paszy – zagadnął Burak.

– Tak, za nietrzymanie języka za zębami zapłacił głową. Kiedy ojciec opuścił Egipt, pozostawił jako komendanta pewnego Czerkiesa, na temat którego Yunus Pasza zaczął plotkować, ten natomiast w rewanżu podciął mu popręg u siodła. Sam wiesz, co to znaczy. W momencie, gdy pasza spadał z konia, kaci obcięli mu głowę... Ojciec mój, sułtan Selim, ze złości wymachiwał nią godzinę, pędząc konia. Niech Allah chroni ludzi przed jego gniewem, nawet i mnie, szczególnie mnie...

– Ale mój książę, wy jesteście jego jedynym synem, czy to możliwe...

– Buraku, nie byłbym niczego pewny. On bardziej niż ojcem jest sułtanem. Sułtanem imperium osmańskiego i kalifem muzułmańskim.

Burak zmilczał, to było dlań niepojęte. Ojciec, matka, wuj, ciotka, dom... To było poza nim. A słowa, które padły, świadczyły o chwili słabości. Z dalekiej przeszłości pamiętał jedynie jak przez mgłę Korę Anę. I to mocno wytężając umysł... Również Kemala Reisa... Śmiejące się oczy, mocne ramiona, podnoszące go w górę grubokościste palce,

które uczyły go trzymać pióro w ręku... Na tym chyba właśnie polega bycie ojcem, ale czy faktycznie, już się od niego nie dowiedział. Kilka lat temu w jednej z podróży na Rodos wielki Kemal Reis znalazł się w samym środku nawałnicy i wraz z marynarzami zginął w błękitnych wodach Morza Śródziemnego.

Burak pogłaskał sokoła i znów wysłał go w niebieską przestrzeń górującą nad wzgórzem. Sulejman przygotował kolejną strzałę.

– Zanim tu przyjechał – opowiadał dalej Sulejman – jeszcze przyjął w Kairze posłów. Nawet poseł wenecki Kantorini towarzyszył mu aż do Damaszku. Inny poseł Mečenigo też naszym okrętem przypłynął do Stambułu. Odnowiono umowy handlowe. Ojciec znów pozostawił im Cypr, ale oczywiście kiedy Mamelukom zapłaci się osiem tysięcy duka, to go nam oddadzą.

Mimo młodego wieku książę interesował się mechanizmami władzy. W Kaffie i Manisie zdobył wielkie doświadczenie. Ojciec był tego świadomy, a ponieważ darzył go zaufaniem, kiedy tylko wybierał się na wyprawę, syn zostawał jego zastępcą. Jeszcze wcześniej, dwukrotnie, reprezentował książę w Stambule sułtanat i sułtana, a również podczas ostatniej podróży rząd w Edirne został powierzony Sulejmanowi.

– Teraz nadszedł czas, żeby zwrócić uwagę na Zachód – powiedział książę, przesuwając strzałę między dwoma palcami.

Burak z rękami opartymi na biodrach wodził swymi czarnymi oczami po niebie, sokoła jeszcze nie było.

– Wenecja? – Spojrzał na księcia.

Sulejman wolno pokręcił głową.

– Nie, Węgry – powiedział. – Właśnie tam mam się udać. Buda, Belgrad, potem Wiedeń.

Cele, jakie młody książę sobie wyznaczył, były zaiste ambitne.

W tym momencie ukazał się sokół. Sulejman natychmiast naprężył łuk, umieścił strzałę. Kiedy ustrzelony ptak spadał na ziemię, pies już na niego czekał.

– Wracajmy – rzucił książę. – Zanim ojciec tu przyjedzie, na pewno jeszcze kilka razy wybierzemy się na polowanie na ptaki. Potem wyruszymy razem do Manisy, Saruhanu... W Saruhanie nie ma

tyle ptaków, ale nie przejmuj się, Sześciopalcy, będziemy polować na sarny.

Burak z uśmiechem pokiwał głową i przyłożył rękę do ust, po czym dwa z sześciu palców wcisnął między zęby i głośno zagwizdał. Goniące orła myszołowy i sokoły, trzepocząc skrzydłami, natychmiast zawróciły ku niemu.

Czekający na nich janczarzy, służący i stajenni na ten znak bezzwłocznie zaczęli się szykować do powrotu.

Słońce zachodziło za horyzontem, rzucając urzekające złotawe refleksy na stawy i jeziora rozsiane po szerokich równinach Tracji. Tysiące brunatnych, wyschniętych łodyg słoneczników, których kwiaty zostały dawno zebrane, sterczało na polach niczym czarne kije. Ptaki, jakby rozumiejąc, że myśliwi już odjeżdżają, w jednym momencie wzbiły się w niebo. Trzymały się dosyć nisko, przypominając eskadry machin latających. Skrzydła wydawały specyficzny dźwięk. Klucz ptaków jak wielki wachlarz szybko otwierał się i zamykał...

8 WRZEŚNIA 1520 ROKU

**Nowy Seraj**

Plany Selima na przyszłość w zasadzie nie różniły się wiele od tych, które miał jego syn. Kontrolował wschodnią Anatolię, Persję, jak również Egipt. Teraz mógłby skierować się na Zachód. Dopóki trwała wojna na Wschodzie, starał się nie zadrażniać stosunków z Wenecją. Z tego względu wysłał sipaha Yunusa do Księstwa w charakterze posła. A odnawiając traktaty z Węgrami i Moskwą, kontynuował politykę równowagi. Niedawno pertraktował z Hiszpanami. Sułtan otrzymał informację, że papież Leon X układa się z krzyżowcami. Dlatego z niecierpliwością czekał na ukończenie budowy zamówionych okrętów wojennych. Zdawał sobie sprawę, że starcie z taką siłą wymaga wyjątkowej floty. Ale niestety prace nie były na tyle zaawansowane, by mogło go to zadowalać, i uważał, że ugodowa postawa wobec Hiszpanii będzie sposobem na odciążenie jej od sojuszników. Poseł hiszpański, otrzymawszy w podarunku kaftan haftowany złotą nicią i pięć tysięcy akce<sup>[64]</sup>, opuścił sułtana bardzo ukontentowany. Selim, pozdrawiając króla hiszpańskiego i prosząc o przekazanie, że myśli

o zniesieniu podatków dla chrześcijan odwiedzających kościół Kamame, nie odmówił sobie też przyjemności poczęstowania mężczyzny miodem i w tym celu wetknął mu ociekający nim palec do ust. Jednak jego myśli niezmiennie zaprzętało jak najszybsze zakończenie budowy okrętów.

Był słoneczny, spokojny dzień. Jak zwykle o tej porze roku jesień wypełniła ogród sułtański kolorami. Liście poczerwieniały, wokoło pojawiały się żółte kwiaty. Opustoszały uwite pod okapem dachu gniazda jaskółek. Tylko puszyste wróble, ćwierkając, pluskały się w baseniku. Selim w spokoju odbywał poranną przechadzkę wraz z nieodstępującym go na krok Çelebim Hasanem Canem, który uwielbiał prowadzić z nim dyskusje. Ale piękno i ukojenie, odważnie prezentowane przez naturę, jakoś nie udzielały się sułtanowi.

– Dopiero jak kogoś porządnie skarcisz, to bierze się do roboty – powiedział. – Sto pięćdziesiąt sztuk jeszcze nieukończonych.

– Już niewiele zostało, mój sułtanie – Hasan Can opanowanym głosem próbował uspokoić władcę.

– No dobrze – Selim przystanął – w takim razie dlaczego ci wszyscy głupcy mówili mi, jak łatwo będzie zająć Rodos?

Kiedy był zdenerwowany, nie mogąc się pohamować, zazwyczaj powtarzał trzy razy ostatnią frazę. Teraz zrobił to samo. Przez zaciśnięte zęby wycodził:

– Ci głupcy, głupcy, głupcy. Specjalnie zwróciłem się z pytaniem do wezyrów, ile należy zabezpieczyć prochu, aby podbić Rodos. Najpierw bezwstydnie trzy dni się naradzali, co mi powiedzieć, a okazało się, że prochu wystarczy na cztery miesiące. Co można zdziałać przez cztery miesiące strzelaniny?!... No co... No co... No co...?

Hasan Can dobrze wiedział, że w takiej sytuacji należy milczeć.

– Wy, durnie, chcielibyście, żebym ja również, jak mój dziad Mehmed Zdobywca, okrył się wstydem, powiedziałem. Ci ludzie nawet w sześć miesięcy nie zdobędą Rodosu, a co dopiero w cztery! Według mnie na zwycięstwo potrzeba co najmniej osiem miesięcy.

Sułtan przyspieszył nieco kroku, a potem odwrócił się i spojrzał Çelebiemu prosto w oczy.

– W przeciwnym razie nie wyruszę na Rodos – oświadczył. – Zresztą... Zresztą zdaje się, że nie czeka mnie już nic innego, jak

wyprawa na tamten świat.

– Ależ co mówicie, mój sułtanie? – zaproponował Hasan Can. – Niech Bóg broni, wypłujcie te słowa. Niech Allah da wam długie życie, nie pozbawi nas waszej obecności.

Selim machnął ręką i zamilkł. Ogarnęło go zmęczenie i apatia.

– W Edirne to by człowiek odpoczął przy ładnej pogodzie – Hasan Can mruknął pod nosem.

Na te słowa sułtan ożywił się i uśmiechnął.

– Tak – podchwycił. – W Edirne jest teraz ładnie, w sam raz pora na polowanie. – Jednocześnie dotknął ręką pleców i zmarszczył brwi. – Zobacz, Çelebi, co tam jest, jakby coś mi przeszkadzało.

Mężczyzna natychmiast zażądał krzesła, dając znak stojącemu w pobliżu młodemu służącemu. Kiedy Selim usiadł, Hasan pochylił się i zajrzał pod kaftan. Niczego nie zauważył, włożył więc rękę i zaczął badać palcami owłosioną jasną skórę na sułtańskich plecach. Nagle Selim jęknął:

– To tam, gdzie teraz nacisnąłeś.

Była to twardawa zaczerwieniona wypukłość pod prawą łopatką. Wzbierający ropień. Selim nalegał na Hasana Cana, aby go wycisnął.

– Jeszcze nie pora, mój sułtanie. Przynajmniej trzy dni trzeba poczekać. Ten drań może spowodować gorączkę, złe samopoczucie, należałoby się położyć do łóżka, odpocząć. Wiem o tym, gdyż mi się to też przytrafiło. Potem, jak dojrzeje, znajdziemy na niego sposób.

– Co ty sobie myślisz, Hasanie Canie, czy my mamy czas na leżenie trzy dni w łóżku jak panisko? – odparł Selim. – Jutro wyruszamy do Edirne.

– Mój panie, z tym czyrakiem nie polecam jazdy konno, odłożmy wyjazd na później. Gdy tylko wyzdrowiejecie.

Selim dał mężczyźnie kuksańca w plecy.

– Dobrze, zastanowię się jeszcze. Idź już, powiedz, by przysłali do mnie Piri Paszę.

Hasan Can, kłaniając się nisko, pożegnał sułtana i się oddalił. Kiedy znikł Selimowi z oczu, ten udał się w stronę hamamu<sup>[65]</sup>. Ułożył się wygodnie na marmurowej płycie, zamierzał się wypocić i wycisnąć ropień. Był zdecydowany...

22 PAŹDZIERNIKA 1520 ROKU

**Londyn**

Wprawdzie zima jeszcze na dobre nie nadeszła, ale był wilgotny, zamglony poranek. Ledwie było coś widać na odległość wyciągniętej ręki, a zimno przenikało aż do kości. Henryk VIII, owinięty skrzętnie długim, sięgającym do kostek płaszczem z szerokim futrzanym kołnierzem, patrzył w zamyśleniu na płonący kominek.

– Prawdopodobnie jedyną przyczyną niepowodzeń, które na mnie spadły, jest wystąpienie przeciw Biblii i Bogu; to wielki grzech, jaki popełniłem – powiedział. – Zrobiłem błąd, poślubiając Katarzynę, wdowę po starszym bracie. Uczyniłem to dla przyszłości Anglii, Wielkiej Brytanii. Sądziłem, że w ten sposób będę mógł kontrolować Hiszpanię. Ale oto Bóg mnie za to karze. Pomijając Marię, żadne z moich dzieci nie przeżyło, który to już z kolei martwy poród? Mimo naszych zabiegów, właśnie to było powodem nieprzeciągnięcia na moją stronę papieża i cesarza rzymsko-niemieckiego Karola V. Muszę znaleźć wyjście z tej strasznej sytuacji. Zarówno ja, jak i moje królestwo...

Jego doradca Thomas Moore z troską słuchał wynurzeń władcy. Spojrzał na Wolseya, który podobnie jak on przez lata był blisko Henryka i miał znaczny wpływ na jego decyzje. Wiele pomysłów należało do niego. On był przyczyną pustego skarbcza, próby zerwania z papieżem, wcześniejszych mrzonek o restytucji cesarstwa rzymskiego, obecnego stanu małżeństwa Henryka z Katarzyną Aragońską. Ten człowiek dla własnych korzyści okręcał sobie króla wokół palca. Szkoda tylko, że i teraz pokazał, co potrafi...

Wolsey wytarł nos i powiedział:

– Według mnie powinniście się uwolnić od tej sytuacji. Jak najszybciej, póki nie jest za późno, musicie się zwrócić do papieża o zgodę na rozwiązanie małżeństwa.

Henryk, nie odrywając wzroku od kominka, spytał:

– A jeśli nie otrzymam zgody, to co wtedy?

Wolsey nie zastanawiał się długo.

– Wtedy... – odpowiedział – wtedy my go nie uznamy. Jeśli będzie trzeba, zerwiemy z Rzymem.

Thomas Moore ze strachu znieruchomiał, nie wierzył, że można być aż tak nieodpowiedzialnym w tej najważniejszej kwestii. Na usta cisnęły mu się słowa:

– Czy to czasem nie największy grzech? Będziemy popierać Marcina Lutra? Czy zostaniemy protestantami?

– Wcale nie – odparł Wolsey. Po twarzy przebiegł mu chytry uśmiezek. Podszedł do kominka i rozcierając ręce, mówił dalej: – Nie musimy być protestantami, założymy własny Kościół. Kościół anglikański.

Zwykle opanowany Moore tym razem nie wytrzymał i krzyknął:

– Głupota! – Po czym pohamował gniew i bardziej spokojnym, wyważonym tonem kontynuował: – To będzie wielki błąd. W imię jednego rozvodu takie złe, radykalne postępowanie o niewiadomych skutkach zaprowadzi w kraju niepokój z powodu zmieniającej się równowagi sił w Europie.

Wolsey z ironią uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Henryk VIII chciał jednak szybko otrzymać rozwód, miał bowiem poczucie, że popełnił grzech, a poza tym inna kobieta zawładnęła jego sercem.

– Nie, to nie jest głupota, tylko potrzeba – wyrzucił z siebie, po czym na moment umilkł. – Jedyne sposoby, aby się pozbyć grzechu, to uznać, że królestwo potrzebuje następcy tronu; w tym celu jesteśmy gotowi walczyć aż do ostatka sił, jak było w przypadku Karola, syna Joanny Szalonej i Filipa I Pięknego<sup>[66]</sup>...

Te słowa króla, które w zasadzie zamknęły usta jego konkurentowi, Wolseya bardzo ucieszyły.

– Brytania będzie najsilniejsza na świecie. Nikt nam nie będzie w stanie dorównać, ani na Wschodzie, ani na Zachodzie. Ani Karol, ani Franciszek, ani też Sulejman – rzekł dumnie.

Henryk spojrzał pytająco.

– Sulejman?

– Ze Stambułu – odpowiedział Moore.

– A... no tak, tamten Sulejman, stojący na czele muzułmanów. – Henryk machnął ręką i dodał: – Ale to strasznie daleko. Teraz nie będziemy się nad tym zastanawiać, sprawą Karola niech się zajmie



sułtan.

## Nowy Seraj

Nie minął jeszcze miesiąc, odkąd Sulejman zasiadł na tronie osmańskim. To wszystko stało się tak szybko, nagle.

Selim nie usłuchał Çelebiego Hasana Cana. Od tego dnia, kiedy położywszy się na marmurowej płycie w hamamie, kazał łaźiebny wycisnąć sobie nie do końca nabrzmiały wrzód na plecach, nie doszedł już do siebie. W dodatku uparł się, by następnego dnia konno wyruszyć w drogę do Edirne. Nie miało sensu mu się przeciwstawiać. W połowie drogi sułtan położył się i mimo wszelkiej pomocy, jakiej mu udzielono, nie mógł się podnieść z łoża. Los sprawił, że zmarł na równinie Çorlu, na której w imię imperium walczył wraz z ojcem, sułtanem Beyazitem.

Przez trzy dni ukrywano fakt jego śmierci. Na opuszczonym przez Selima tronie zasiadł książę Sulejman. Przybył do Stambułu, pędząc bez wytchnienia na koniu aż z Saruh. Wraz z nim przyjechali jego osobiści wychowawcy, paszowie i dwóch młodzieńców w jego wieku, do których obecności przywiązywał dużą wagę: Sześciopalcy Burak i Ibrahim...

Ibrahim, Grek z pochodzenia, syn jednego z marynarzy Parga, został porwany przez tureckich korsarzy i następnie odkupiony przez pewną wdowę z Manisy. Sulejmana zadziwiła jego inteligencja i spryt, wziął go więc do siebie, kiedy jeszcze był gubernatorem Manisy.

Kiedy tylko został sułtanem, zabezpieczył się przed konkurentami, rozdając janczarom akcję z okazji wstąpienia na tron. Dziadek i ojciec nie zostawili spadkobiercy w osobie księcia lub książęcego syna. W ten oto sposób bez większych zabiegów został władcą osmańskim. Gdy tylko posiadał władzę, nie bacząc na nic, starał się realizować plany, o których od dawna marzył. Często zwoływał zebrania Dywanu z udziałem wezyrów, paszów i uczonych, wprowadzał zmiany i lubił nowinki.

Otrzymywał niezliczone podarunki od przybyłych z gratulacjami posłów, między innymi wysłannika króla Francji Franciszka.

Poseł pokłonił się nisko Sulejmanowi na powitanie, po czym najpierw przekazał w kunsztownych słowach gratulacje z okazji wstąpienia na tron, a potem – przywiezione prezenty. Były to naprawdę wyrafinowane przedmioty, przekazane przez Franciszka, największego

mecenasa artystów epoki renesansu. Zegary, komplety piór do pisania, lustra, kupony materiałów tkane na specjalne zamówienie, flakoniki perfum... Te podarunki olśniewające złotem i srebrem, zdobione opalami, szmaragdami, bursztynami i brylantami, nie tylko były drogie, lecz także miały wartość artystyczną. Doceniona została również dbałość o to, by nie znajdowały się na nich motywy i rysunki nieodpowiadające wyznawcom islamu. Jeden z tłumaczy przekładał sułtanowi słowa posła:

– Król Francji czuje się zaszczycony, mogąc nazywać się przyjacielem sułtana; twierdzi, że jest bezgranicznie dumny i szczęśliwy z takiej współpracy. Uważa, że dla obu stron będzie pożyteczne połączenie sił przeciw Karolowi, który stara się zdobyć władzę w Europie i na całym świecie...

Sulejman podniósł rękę i uciszył stojącego przed nim mężczyznę.

– Niech król Francji się nie martwi – rzekł. – Nasze siły wystarczą, by go obronić, a wkrótce zostaną powiększone... Nie pozwolimy, by naszym sojusznikom stała się krzywda. A jeśli chodzi o Karola, to już niedługo się nim zajmiemy. Powiedz to Franciszkowi, niech zazna spokoju.

Mężczyzna wziął podarowane mu siodło zdobione srebrem i głęboko się skłoniwszy, wycofywał się tyłem sprzed oblicza władcy.

Z ubranym skromnie na czarno duchownym, który zjawił się zaraz po nim, Sulejman rozmawiał bardzo długo. Był to jeden ze stronników Lutra. Po zasięgnięciu opinii swoich wezyrów sułtan wspomógł finansowo ten nowy ruch religijny w Europie, dając do zrozumienia, że nie czyni tego po raz ostatni. Ten potężny władca świata muzułmańskiego i osmańskich dóbr wiedział, że zbliżyć się do Europy można, nie tylko prowadząc wojny i używając broni, lecz także szczerze darowując pieniądze.

Decyzja została podjęta. Zaczynając od Węgier, podbije każdą piędź ziemi europejskiej. Pierwszym celem był Belgrad. Gdy tylko armia będzie gotowa, natychmiast wyruszą w drogę. Mord na Behremie Çavuşu, jednym z posłańców Wysokiej Porty, który przekazał królowi Węgier wiadomość o objęciu przezeń tronu, był kroplą goryczy, która przelała czarę. Sułtan zdecydowany był dać nauczkę temu węgierskiemu giaurowi. Jeśli zależałoby to tylko od niego, natychmiast ruszyłby

na swym koniu, tak jego serce przepełnione było żalem, a zarazem wściekłością. Niecierpliwił się, by jak najszybciej podbić Europę. Ale musiał jeszcze trochę poczekać, jeszcze trochę...

Sulejman naprawdę był zmęczony i przepracowany, a dzień mylił mu się z nocą. Odczuwał potrzebę odpoczynku, zażycia przyjemności.

Wstał, a pozostali się rozeszli. Zakończono obrady Dywanu.

Przy tylu obowiązkach myśli Sulejmana poszybowały ku haremu, a zwłaszcza ukraińskiej dziewczynie, którą przysłał mu wśród innych podarunków chan krymski w czasie, gdy sułtan wstępował na tron.

Pierwszy raz zobaczył ją wieczorem przed kilkoma dniami. I chociaż wcale nie była ładniejsza od innych niewolnic w haremie – a nawet nieco cięższa, o dosyć długim, wąskim nosie – to ta słowiańska, ciemnowłosa dziewczyna o okrągłej, roześmianej twarzy i czarnych, inteligentnych oczach zawróciła sułtanowi w głowie.

Idąc szybkim krokiem w stronę haremu, myślał: „Dam jej na imię Hürrem”, co znaczyło „stale się śmiejąca”. Ta dziewczyna, grając z nim poprzedniej nocy w szachy, była wesoła i śmiała się bez przerwy.

28 GRUDNIA 1522 ROKU

**Rodos**

Ucichł świst kul, które od wielu dni miotano w kierunku murów. Dzwony kościelne zamilkły, na wybrukowanych kamieniami drogach miasta nie widać było ani jednego mieszkańca Rodosu. Ci z sześciuset rycerzy i czterech tysięcy pięciuset żołnierzy, którzy się uratowali, broniąc wyspy w walce, teraz skupili się w jednym rogu i czekali ze strachem na to, co przyniesie im los. Na szczycie twierdzy powiewała flaga osmańska. Rodos został zdobyty.

– Jedyńm sposobem spełnienia warunków – powiedział sułtan Sulejman do stojącego przed nim wysłannika wyspy – jest przekazanie nam syna i całej rodziny naszego wuja Cema... I niech wiedzą, że nie zamierzam z nikim dyskutować; jeśli odmówicie, do rana nie pozostanie tutaj ani jeden żywy człowiek.

Przedstawiciel rycerzy nie mógł narazić na niebezpieczeństwo tysięcy ludzi. Tonem wyrażającym ubolewanie odpowiedział zatem:

– Zaczny sułtanie, żądanie twoje zostanie spełnione wedle życzenia. Potrzebuję tylko kilku godzin, by ich odnaleźć i przyprowadzić przed twe oblicze.

Kiedy tylko mężczyzna się oddalił, Sulejman spytał Ibrahima i Sześciopalcego Buraka:

– Jak sądzicie, czy rzeczywiście przyprowadzi tych giaurów?

– A czy ma inne wyjście? – odpowiedział Ibrahim.

Burak kiwnął głową na znak, że jest tego samego zdania.

Ci dwaj młodzieńcy wykazali wielką odwagę w kolejnych bitwach, w których brali udział, i sułtan w krótkim czasie powierzył im stanowiska nie do końca odpowiadające ich młodemu wiekowi. O tym, że zostali paszami, rozprawiali wszyscy.

– Poczekamy trochę – powiedział Sulejman. – Jeśli nic z tego nie wyjdzie, sami znajdziemy tych bezwstydników, którzy zostali chrześcijanami...

Naczelnym dowódcą Ahmet Pasza, jeden z korsarzy w armii osmańskiej Kurdoğlu Müslühüddin Reis, jak i inni postępowo myślący zawołali jednym głosem:

– Słusznie mówicie, sułtanie!

Kiedy Sulejman wstał, aby się udać na południowe modlitwy, na odchodnym powiedział:

– Niech mój ojciec sułtan Selim Yavuz<sup>[67]</sup> spoczywa w spokoju. Zastosowaliśmy się do jego rad i proszę, jak gładko nam przyszło przejście Rodosu.

Rzeczywiście sułtan wykorzystał plany przygotowane jeszcze przez Selima. Pamiętający jego czasy wielki wezyr Piri Pasza pokazał mu je i dokładnie objaśnił, nie namawiał jednak sułtana na zdobycie wyspy. Najazd na Bałkany i zajęcie tych ziem przyprawiły kraje zachodniej Europy o zawrót głowy, a utrata jednego z ważniejszych ośrodków na Morzu Śródziemnym zupełnie je zbulwersowała. Wielką przyjemnością sprawiało Sulejmanowi myślenie o Karolu i innych królach, którzy z trwogą obserwowali rozwój wydarzeń. Dobiegające z czterech stron odgłosy ezanu oraz pokrzykiwania janczarów i Lewantyńczyków czyniły go szczęśliwym niczym wesola, dodająca otuchy piosenka. Zaraz po powrocie powinien zorganizować w stolicy

święto dla uczczenia zwycięstwa osiągniętego w tak krótkim czasie.

Zanim Sulejman wyszedł na zewnątrz, zwrócił się do dowódcy:

– Paszo, czy opróżniono więzienia?

– Tak, mój sułtanie, oswobodzono trzy tysiące muzułmanów.

– To dobrze, dobrze...

Liczna grupa podążyła za Sulejmanem ku drodze prowadzącej dawniej do kościoła, który obecnie przekształcono w meczet.

Dwie godziny po zakończeniu modlitwy syn sułtana Cema, Murat, i cała jego rodzina zostali przekazani Osmanom.

Murat i jego syn Cem ubrani byli jak chrześcijanie. Jego żona i dwie córki stały z boku, starając się nie okazywać strachu.

Sulejman dał znak ręką, żądając, by usunięto ich z pomieszczenia. Następnie zwrócił twarz w stronę syna swego wielkiego wuja i przez chwilę mu się przyglądał. Mężczyzna już dawno przekroczył pięćdziesiątkę, miał mocno posiwiałe skronie i brodę.

– Mój sułtanie – odezwał się unizonym tonem. – Nie mamy żadnych żądań ani życzeń co do tronu sułtańskiego. Żyjemy tutaj, nie wtrącając się w żadne wydarzenia, we własnym gronie, dlatego proszę, daruj nam życie. Jeśli jednak żądasz duszy, wybierz mnie, pozostaw w spokoju moją bezgrzeszną rodzinę, przez siedem pokoleń będziemy się za ciebie modlić.

„Modlić się... modlitwą giaurów...

Ojcie nasz...”

– Milcz niewierny, jak śmiesz się bezwstydnie odzywać. Czyż to nie ty przed chwilą oświadczałeś, że nie jesteście już muzułmanami, a chrześcijanami?

Mężczyzna pochylił głowę; na nic się zdała zmiana wiary, która miała ich uchronić przed gniewem Osmanów. Cierpiał, patrząc na swego syna Cema stojącego obok niego nieruchomo, ze splecionymi dłońmi.

Sułtan zerknął na uchylone drzwi, w których czekali niemi kaci, i skinął na nich głową. W tej samej chwili czterech mężczyzn zaatakowało Cema i Murata, wywlekło ich i wrzuciło do sąsiedniego pomieszczenia. Ojciec i syn z jednej strony starali się oswobodzić, choć bez większej nadziei, z drugiej – próbowali wyjąć krzyże i modlili się na głos po łacinie.

– Na Boga – mamrotał Sulejman, kiwając głową w obie strony.  
Po czym zwrócił się do Sześciopalcęgo Buraka:

– Idź do haremu tego giaura i zrób tam porządek. W najbliższym czasie niech zostanie odesłany do Stambułu. Cały harem... Córki i matki, bez różnicy. Naszym obowiązkiem będzie zadbać o nie.

By czym prędzej spełnić otrzymany rozkaz, Burak wybiegł z pomieszczenia. Wychodząc, rzucił okiem do pokoju obok. Kaci zrobili już swoje. Ojciec i syn leżeli na kamiennej podłodze bez ruchu, z zaciśniętymi na szyi sznurami, rozrzuconymi nogami i rękami i wywróconymi oczami. Na piersiach wnuka sułtana Mehmeda Fatiha nadal kołysał się krzyż.

Sam Burak brał udział w niejednej wojnie, widział dziesiątki zabitych, a nawet wielu ludziom własnymi rękami ścisnął gardła i ścinał głowy bułatem. Ale teraz poczuł się dziwnie. Starał się zrozumieć przyczynę. Po wielu latach po raz pierwszy mężczyźnie stanęła przed oczami Kora Ana. Jej głos zabrzmiał mu w uszach: „Uciekaj, Krystianie! Twoja matka to Żydówka... Uciekaj!...”.

Starając się zapomnieć głos z przeszłości, Sześciopalcę szybko potrząsnął głową, zamknął i otworzył oczy, usiłował odzyskać spokój.

Na jego widok żona Murata, jej córki i córka szwagra, Lilian, która straciła całą rodzinę w czasie oblężenia wyspy, ze strachu skupiły się w rogu salonu. Objęły się nawzajem i szeptały modlitwę. Sześciopalcę zbliżył się do nich i tak jak Kemal Reis przed laty z lekkim uśmiechem zwrócił się do niego, tak on łagodnym głosem, też się uśmiechając, przemówił po włosku:

– Nie bójcie się. Nie bójcie się, jesteście bezpieczne. Możecie mi wierzyć.

Przyjacielskim gestem położył rękę na ramieniu starszej kobiety. Każdej po kolei z sympatią spojrzął w oczy i wyjaśnił, po co przyszedł. Kobiety, które wprawdzie go nie znały, ale zawierzyły jego słowom, spakowały się i w milczeniu podeszły do drzwi wyjściowych. Jedynie Lilian pozostała na miejscu. Burak zawrócił, zbliżył się do tej drobnej, jasnowłosej dziewczyny, wziął ją za rękę i podniósł. Jak zauroczona patrzyła na czarnookiego mężczyznę, który stanął przed nią niespodziewanie.

Tego wieczoru z pokładu statku odpływającego do Stambułu kobiety patrzyły przez łzy, chcąc utrwalić w pamięci Rodos, bo miały go już nigdy nie zobaczyć. Lilian przytuliła się mocno do ciotki.

– Podobno nazywa się Burak – szepnęła ledwo słyszalnym głosem.

29 SIERPANIA 1526 ROKU

**Balat**

Kiedy ojciec Soli wszedł do pokoju, dziewczyna klęczała przy łóżku pogrążona w modlitwie.

– Jaką piękną panną młodą jest moja mądra córeczka.

Mosze pochylił się i pocałował ją w policzek.

– A co znaczą te łzy?

Ujął córkę pod brodę. Przyjrzał się ojcowskim okiem, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł jej długi, kościsty nos.

Soli uśmiechnęła się.

– Wspominałam mamę – powiedziała wolno.

Mosze zadrzał z obawy, że ktoś usłyszy; pośpiesznie rozejrzał się wokół siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie obawiaj się, ojcze – rzekła Soli. – To w żaden sposób nie godzi w Rachelę, przecież gdy tylko zaczynam myśleć o mamie, to ona przychodzi mi na myśl. Matki nie pamiętam. Wiem, jak Rachelę mnie kocha, ja ją też bardzo Kocham. Nie mam zamiaru nie doceniać jej wysiłku. Jedynie się zamyśliłam...

Mosze otarł ręką łzy Soli, opuszkami palców pogłaskał ją po policzku.

– Tak jak twoja matka, ty również masz dobre serce; życzę ci, córeczko, szczęścia w życiu; bądź szczęśliwa, bo na to zasługujesz.

Ojciec i córka siedzieli przez chwilę w milczeniu, przytuleni. Wśród dobiegających z zewnątrz odgłosów muzyki i śmiechu dominował głos Estery:

– Wcale mi nie spieszo, wyjdę za najlepszego: najprzystojniejszego, najbogatszego i najmłodszego... Bo na co mi stary mąż?

Soli westchnęła.

– Powinnaś ją zrozumieć – powiedział Mosze. – Martwi się,

że wychodzisz za mąż i odejdiesz z domu, a myślę też, że trochę ci zazdrości.

Bawiąc się końcem welonu, dziewczyna wzruszyła ramionami.

Zięć Mosze, Mordechaj Çiprut, był dużo starszy od dopiero co poślubionej Soli. Niewątpliwie przekroczył trzydziestkę, a broda połyskiwała mu siwizną. Był przeciętnej urody, ale cechowało go dobre wychowanie. Ponadto należał do najzdolniejszych lekarzy pałacu sułtańskiego. Ponieważ dotychczas poświęcał się pracy, nie miał czasu na ożenek. Z Nahmijasami poznał go wuj. Soli nie od razu zrobiła na nim wrażenie, zresztą starsza córka Mosze nie była żadną pięknoscią. Przeciwnie, wyglądała niepozornie. Nie mogłaby pod względem urody konkurować z coraz piękniejszą z biegiem lat siostrą Esterą, często nazywaną Kirâze, która od narodzin stała się oczkiem w głowie całej rodziny. Młodsza siostra Soli należała do osób, którym sprzyjało szczęście, i nie wzbraniała się przed korzystaniem z tego dobrodziejstwa...

Doktor Mordechaj po kilku wizytach w ich domu stwierdził, że świetnie mu się rozmawia z Soli. Mimo młodego wieku była odcytana. Znała chyba wszystkie książki. Od dzieciństwa całe dni spędzała w drukarni ojca wśród dokumentów i ksiąg, nie oczekując zbyt wiele od życia. Poza tym miała miłe usposobienie, była sympatyczna, uśmiechnięta. Mordechaj z pewnym zażenowaniem zagadnął Mosze w kwestii małżeństwa. Zdawał sobie sprawę, że jego propozycji nie musiano brać pod uwagę. Ale wydarzenia przybrały inny obrót. Ani Mosze, ani Rachela, ani też Soli nie odrzucili go, przeciwnie, został przyjęty z radością.

Rachela stwierdziła, że dobrze by było, gdyby dziewczęta poprzez małżeństwo zbliżyły się do kręgów bliskich pałacowi. Mosze miał takie samo zdanie. Kandydat na męża jako prawdziwy dżentelmen gwarantował, że zadba o wrażliwą, zamkniętą w sobie Soli i ją doceni. Niezwłocznie przesłali przez doktora Salvi wiadomość: „Zgoda”.

Jedyną niezadowoloną z takiego obrotu spraw osobą, która przeszła nawet załamanie nerwowe, była Estera. Całymi dniami przesiadywała w domu i wykrzykiwała niedorzeczności.

– Staruch. Taki staruch... Jesteś głupia, Soli...



Bardzo zazdrościła swojej starszej siostrze, domownicy nie wiedzieli jednak, czy wynikało to z jej miłości do niej, czy też z faktu, że pan młody był osobą szanowaną i zamożną. W sumie postawa Estery niczego nie zmieniła. Mimo że dziewczyna zrobiła wszystko, by zakłócić ustalony porządek, w ciągu dwóch miesięcy zakończono wszelkie przygotowywania i wyznaczono dzień wesela.

Kiedy ojciec i córka mieli właśnie opuścić pokój, weszła do niego Rachel. Tryskała szczęściem. Podeszła do Soli i bez słowa objęła ją mocno. Drżała z podniecenia. Na zewnątrz młodzież bawiła się już w najlepsze. Odgłos roznoszonych talerzy z weselnym poczęstunkiem mieszał się ze śmiechem i śpiewem. Ponad nim znów wznosił się głos Estery:

– A ja? Boże, chroń mnie przed takim małżeństwem. Wezmę sobie najmłodszego, najbogatszego...

### **Harem sułtański**

– Neylan, powiedz, by przyniosły mi szklankę soku wiśniowego z lodem – poprosiła Hürrem, z trudem masując mocno naciągniętą skórę brzucha.

Młoda dziewczyna o niebieskich oczach, z upiętym na czubku głowy małym koczkiem, z którego spływały na ramiona jasne loki, odłożyła na mosiężną tacę robótkę ręczną i natychmiast skierowała się ku drzwiom, by spełnić polecenie swojej pani. Neylan... Tak, teraz tak ją nazywano... Lilian przyzwyczała się nawet do nowego imienia. Minęły już cztery lata, odkąd się znalazła w pałacu jako pomocnica Hürrem, nałożnicy sułtana Sulejmana, znanej w Europie jako Roksolana.

Po chwili wróciła ze srebrną karafką w ręku. Napęła szklankę swej pani i siedzącej obok niej siostry sułtana Hatice Sultan, żony młodego wezyra Ibrahima Paszy, po czym znów wzięła do ręki odłożone przed chwilą krosno i oddalwszy się nieco, wróciła do swojego zajęcia.

– Będąc w ciąży, trudno wytrzymać to gorąco – powiedziała Hürrem. – Dobrze, że to już niedługo. Bóg da, że rozwiązanie nastąpi przed przyjazdem sułtana.

– *Inşallah*<sup>[68]</sup>, wkrótce wrócisz do poprzedniego stanu.

– Czy chciałabyś, by tym razem urodziła się dziewczynka? Siostra

Selima...

Podenerwowana Hürrem spojrzała ukosem na Hatice Sultan.

– Dziewczynka? Jeśli Allah może zmienić przeznaczenie, to jeszcze jest czas na dziewczynkę. Czyż nie wiesz, że imperium nie wystarczy jeden książę? – odparła.

– Zresztą nieważne, czy będzie to dziewczynka, czy chłopiec, wystarczy, by dziecko urodziło się zdrowe – uspokajała Hatice.

– Może ciebie to urzęda, Hatice Sultan. Ale nie mnie. Najpierw zamierzam urodzić trzech synów, potem, z przyzwoleniem Allaha, przyjdzie czas na dziewczynkę. Potrzebni mi są książęta. Co z tego, że jest wiele księżniczek? – zaśmiała się Hürrem.

Hatice piła spokojnie sorbet, jakby nie usłyszała albo nie przywiązała wagi do tych słów.

– Masz rację – odezwała się. – Dobrze jest mieć dużo dzieci, zwłaszcza chłopców... Ale pierwsze darzy się szczególnym uczuciem, prawda? Selim już mocno stanął na nogi, zaczął nawet mówić. Dzięki Bogu, jest wyrośnięty. Niech Allah go chroni. Przypomina Mustafę z dzieciństwa. Mustafa też jest bardzo pojętny, rezolutny. Już teraz widać, że jak ojciec odnosić będzie sukcesy.

Śmiech zamarł na twarzy Hürrem, kiedy rozmowa zesłała na Mustafę. Każde słowo wspominające syna poprzedniej nałożnicy Sulejmana przyprawiało ją o zawrót głowy. Wprawdzie trzech synów tej kobiety rozchorowało się i zmarło, ale ten nadal żyje i w dodatku jest ulubieńcem swego ojca i wezyrów, szczególnie Ibrahima Paszy, męża Hatice. Było to ponad siły Hürrem. Tak naprawdę, to już udało się jej usunąć Mustafę i jego matkę z pałacu. Ale najstarszy syn, będący przecież jeszcze dzieckiem, nadal uważany był za następcę tronu.

– Na Boga, Hatice Sultan – znów się zaśmiała, tym razem nerwowo. – Wstaje dzień, potem nadchodzi noc... Kto umrze, kto zostanie... Czy wiadomo, kto przejmie tron? – Zwróciła się do Neylan: – Pić mi się chce, nalej jeszcze do szklanki tego sorbetu.

Hatice nie miała zamiaru zakończyć na tym rozmowy.

– Następcą tronu jest znany, moja Hürrem – odpowiedziała. – To ten, w którego żyłach płynie osmańska krew, i ten, który jest najbardziej odpowiedni... Jak Mustafa... – Jej wzrok napotkał błyszczące jak ogień

oczy Hürrem, więc wolno kontynuowała: – Jak Selim... czy jak dzieciątko, które ma przyjść na świat...

– Beyazit – odezwała się Hürrem. – Jak Bóg da, będzie syn i nazwiemy go Beyazit, jeśli jednak się urodzi dziewczynka, to dostanie na imię Mihrimah. Tak chciałabym. Mój sułtan też tego pragnie. Dotychczas nigdy mi się nie sprzeciwił.

– Ciekawa jestem, Hürrem, jak ty to robisz. To prawda, mój starszy brat świata poza tobą nie widzi. Nie musisz mu niczego powtarzać dwa razy. Ja, mimo że pochodzę z sułtańskiej rodziny i jestem żoną Ibrahima, w dodatku dopiero co poślubioną, po świetnym weselu, o którym wieści krążą z ust do ust, nie jestem w stanie tego dokonać. Ty na pewno masz w sobie coś z szatana. Jesteś inna niż wszystkie. Ta inteligencja, słodycz, uśmiech nieschodzący z twarzy...

Hürrem z tych miłych, skierowanych do niej słów bez trudu wyłowiła zamaskowane uszczypliwości. Ale nie dała tego po sobie poznać. Znowu się zaśmiała.

– Na Boga, Hatice Sultan – powiedziała. – Co tu jest do rozumienia? Ślub to jak uroda, może szybko przeminąć, nawet jeden zaskórnik czasem staje się tego przyczyną. Lecz wspólnemu życiu popartemu mądrością nie zaszkodzi armia pięknych kobiet, nawet ślubnych... Twój starszy brat nie kocha mnie jedynie za czarne oczy, poza tym nie pochodzę tak jak ty z sułtańskiej rodziny. Mój ojciec był ubogim popem, duchownym, który z trudem zarabiał na chleb na wieczkę. Co noc niezbyt syci kładliśmy się spać, ale nauczyliśmy się, że posiadana wiedza może doprowadzić do sukcesu. Ślub, o którym wspomniałaś, nie zastąpi inteligencji.

Hürrem, mówiąc, miała mętlik w głowie i była zdenerwowana. Jeśli ślub był tak ważny, to Sulejman powinien go wziąć, i to zaraz po powrocie z Węgier.

A niech tylko spróbuje stawiać opór.

Hatice posmutniała. Zmarszczyła czoło, przeciągnęła ręką po policzku.

– Ale, Hürrem – szepnęła. – Czyż każda dziewczyna nie marzy o ślubie?

Hürrem nie odpowiedziała na pytanie. Znowu zwróciła się

do Neylan i zapytała:

– Co ty na to, czy chciałabyś mieć wesele?

Dziewczyna podniosła głowę znad krosna, zaczerwieniła się, przeciągnęła palcami po kręconych włosach.

– Nie wiem – rzekła cicho. – Jeśli Allah pozwoli...

Hürrem wybuchnęła swoim słynnym śmiechem.

– Jeśli Allah pozwoli... Pozwoli, pozwoli, nie martw się, akurat tym się nie martw.

Zawstydzona Neylan patrzyła przed siebie. Zostać panną młodą... Gdyby mogła pomarzyć o tym, ale pan młody, którego widziała w snach, był tak daleko, prawie nieosiągalny. Bardzo daleko...

Hatice Sultan opróżniła do dna szklanę z sorbetem i rzekła:

– Pójdę już. Jeśli zaczną się bóle, nim oni wrócą, powiadom mnie, mój starszy brat zostawił cię pod moją opieką.

Hürrem podniosła się.

– A kto z naszych pozostał w Stambule... Oczywiście, że zawiadomimy cię, Hatice Sultan. Wszyscy są na Węgrzech...

Wszyscy...

Neylan też wstała.

– Również i Burak Pasza, nieprawdaż? – spytała.

Hürrem, podtrzymując brzuch, znów się serdecznie zaśmiała.

– Serce naszej panny jest tak wielkie, że zainteresowała się nawet paszą. Poczekaj, Neylan, Burak Reis jeszcze nie jest paszą. To stanowisko nie jest przyznawane po uważaniu.

Wychodząc z salonu, Hatice Sultan pogłaskała Neylan po włosach.

– To znaczy, że się w nim zakochałaś – stwierdziła. – Z Bogiem, niech tylko przyjadą, przedstawię sprawę Ibrahimowi Paszy. Wesele wyprawimy my...

Hürrem, żegnając szwagierkę przy drzwiach znajdujących się na końcu wąskiego korytarza haremu, nadal zanosila się śmiechem.

– Teraz to jasne, że pasza, ten pasza – klepnęła przyjaźnie Neylan po ramieniu. – Dziewczyno, serce twoje ogromne... Ale wiesz, co mówią: Allah daje podług życzenia serca...

**Mohacz**

Siedemdziesiąt tysięcy zbrojnych rycerzy niemieckich, czeskich, włoskich, polskich i hiszpańskich, wspomagających stu pięćdziesiąt tysięcy węgierską, spotkało się późnym popołudniem na równinie Mohacz z liczącą trzysta tysięcy żołnierzy armią osmańską. Cykady, nie mając pojęcia o bitwie, która niebawem miała się rozegrać, jak zwykle wyśpiewywały swe piosenki. Konie obydwu armii, od czasu do czasu rżąc, nerwowo rozgrzebywały kopytami ziemię. Zdenerwowani, z trudem oddychający żołnierze czekali w napięciu.

Sułtan Sulejman w metalowej zbroi, ozdobionym piórami turbanie na głowie, z połyskującą tarczą w rękę i zakrzywionym bułatem z wysadzaną szmaragdami rękojeścią, przytroczonym do pasa, siedział nieruchomo na białym koniu, w samym środku swej armii, pod dziesiątkami czerwonych, zielonych, wyszywanych złotą i srebrną nicią sztandarów z wizerunkiem księżycy i gwiazdy.

– *Bismillahirrahmanirrahim*<sup>[69]</sup> – cedził przez zęby.

Wraz z jego modlitwą i jednoczesnymi okrzykami janczarów: *Allah-u ekber, Allah-u ekber* żołnierze rzucili się do przodu i pośrodku równiny rozpoczęli bitwę, ścierając się z wprawionymi w walce, połączonymi ze sobą łańcuchami, sławnymi w całej Europie jeźdźcami węgierskimi. Odgłosy bułatów, mieczy, tarcz, świsty strzał wypuszczanych z łuków w pewnym momencie zagłuszyły brzęczenie cykad albo też wszystkie owady zamilkły wobec sprzecznego z naturą, niepojętego, zbrodniczego postępowania człowieka.

Nie minęło pół godziny, a miejsce to zamieniło się w sphywające krwią jezioro. Jednym ciosem odcięte głowy toczyły się między końskimi kopytami; walczący o życie ranni w brzuch lub plecy jęczeli albo krzyczeli przeraźliwie. Zaliczało się do szczęśliwców tych, którzy polegli przy pierwszym uderzeniu szpady. Pomiędzy wymachującymi nadal szablami i mieczami znajdowali się i tacy, którzy mieli roztrzaskane ramiona lub wyłupione oczy. Żołnierze osmańscy zaczęli się powoli wycofywać. Węgrzy z dziką radością nacierali na nich, złorzecząc na całe gardło. Było jasne, że tym razem bez wątplenia oni zwyciężyli. Janczarzy, krok po kroku, ratowali się ucieczką, starając się dotrzeć w miejsce, gdzie siedział na koniu sułtan Sulejman, czyli

do bijącego serca armii osmańskiej. Byli już bardzo blisko...

Żołnierze króla węgierskiego Ludwika II Jagiellończyka, pewni zwycięstwa, zapomnieli się ze szczęścia. Kiedy jeden z ich komendantów, zwany Markzali, dojrzał sułtana na białym koniu, wykrzyknął, ile sił w piersiach:

– Przysięgam na Jezusa, przysięgam, albo ja tego człowieka uduszę własnymi rękami, albo wezmę do niewoli! Zakuję w łańcuchy i będę pokazywać na bazarach tego oszusta sułtana!

Z sajdaka na plecach wyjął strzały i puszczał je w kierunku Sulejmana. Uderzając w tarczę, z trzaskiem spadały na ziemię. Sam sułtan, jak gdyby nigdy nic, siedział bez ruchu na swym koniu. Nagle strzały szalonego Węgra przestały nadlatywać.

– W imię wielkiego Jezusa! – wołał, umieszczając następną w łuku, a wówczas inny grot z czerwonym pomponem niespodziewanie utkwiał w jego krtani. Markzali, chcąc ratować życie, rozpaczliwie schwycił obiema rękami strzałę. Z jego ust płynęła obficie krew, oczy zaszyły mu mgłą, oparł się o konia, a potem osunął na ziemię jak pusty worek. Nadciągający za nim żołnierze, jakby nic nie zauważywszy, przejechali po jego jeszcze drgającym ciele.

Sulejman kątem oka spojrzał na tego, kto wypuścił strzałę; był to Burak.

Armia osmańska, cofając się, utworzyła z jednej swej strony tyralierę w kształcie półksiężyca. Węgrzy sądzili, że wygrali wojnę. Wkrótce mieli skończyć z muzułmanami. Ale stała się rzecz, o jaką nigdy nie posądziliby Osmanów: otóż końce półksiężyca uformowanego przez janczarów miały się wkrótce zejść na tyłach Węgrów. Jeźdźcy i Szalone Oddziały Hüsreva, gubernatora Bośni, niespodziewanie otoczyły żołnierzy Ludwika II Jagiellończyka. Sytuacja, w której ci pewni już byli zwycięstwa, całkowicie się odwróciła. Oblężeni Węgrzy znaleźli się w pułapce.

Kiedy zrozumieli, co się stało, było już za późno na jakiegokolwiek działanie. Sulejman natychmiast zawrócił konia, cofnął się kilka metrów i w tym momencie trzysta armat zaczęło wystrzeliwać kule. W tak ostrym ataku rozproszona armia węgierska w ciągu jednej godziny została pokonana. Gdy zachodziło słońce i bezksiężycowa noc spowiła

okolice, gdyby nie jęki pomieszane z kumkaniem żab z pobliskich bagien, nikt by nie powiedział, że niedawno w tym miejscu zabitych zostało tysiące ludzi. Znalazł się wśród nich nawet ledwie dwudziestoczteroletni król. W niespełna dwie godziny armia osmańska doprowadziła Węgrów do całkowitej klęski.

Sułtan Sulejman w wielkim namiocie rozpatrywał wraz z wezyrami i dowódcami zaistniałą sytuację. Nie żałowano pochwał stojącemu na czele wojsk Rumeli wezyrowi Ibrahimowi Paszy. Podobne pochwały otrzymał też dowodzący wojskami Anatolii Behram Pasza. Tych dwóch dowódców wynagrodzono bardziej, niż się spodziewali. Sułtan nie mógł się też nachwalić Bali Beja i gubernatora Semendire Yahya Paşazade, którzy zapewnili niepodważalne zwycięstwo w krótkim czasie, nie ponosząc większych strat, bo przygotowali plany tej niezwyklej bitwy.

Słuchając tych słów, zawstydzony Bali Bej powiedział:

– Niech Allah ma was w swojej opiece, mój sułtanie, gdyby nie wy, może nie tak by się to wszystko skończyło. Dzięki wam Węgier został dzisiaj w tych moczarach pogrzebany. Naszą powinnością jest jutro zdobyć Budę, zresztą jeśli będzie jeszcze z kim walczyć po ostatniej bitwie...

Jeden z dowódców oddziałów jazdy konnej, Burak, zabrał głos:

– Wczoraj poszedłem skontrolować sytuację, miasto całkowicie opustoszało, nie widać w nim żadnego chrześcijanina. Zauważyłem jedynie Żydów. Ich przywódca, syn Salomona, Jusuf, przygotował nawet klucze do twierdzy, aby je nam przekazać. Oczekują nadejścia janczarów. Mają tylko jedno życzenie, chcieliby się jak najszybciej znaleźć na ziemi osmańskiej.

– Dzięki, panie Burak – odpowiedział, uśmiechając się, sułtan Sulejman. – Natychmiast zbierzemy ich i wsadzimy na statki pływające po Dunaju, i pod eskortą wyślemy do Salonik albo Stambułu. Sześciopalcy Paszo, niech się o tym szybko dowiedzą.

Burak stanął jak oniemiały, słysząc skierowane do niego słowo „pasza”.

Sulejman ponownie się uśmiechnął.

– Ciebie, paszo, mianuję zwycięzcą Segedina i okolic. Nie uszło mojej uwagi to, że nie dbając o własne życie, obroniłeś nasze.

I w przyszłości również okażę wdzięczność, docenię odwagę. Niech przyniesie ci szczęście nowe stanowisko.

Burak Pasza pochylił się, ucałował rąbek szaty sułtana i przyłożył ją trzy razy do swojego czoła.

– Niech Allah cię błogosławi, niech nigdy nam ciebie nie zabraknie, żyj nam długo.

12 KWIETNIA 1529 ROKU

**Galata**

Willa Soli i Mordechaja Çiprutów nie stała, jak było w zwyczaju, w dzielnicy żydowskiej. Kupili oni jeden z domów z szerokim tarasem, otoczony wysokim murem, po drugiej stronie Złotego Rogu, na Galata, gdzie mieszkali Wenecjanie, Genueńczycy, Grecy. Przyczyną tego nie był fakt, że doktor Çiprut kochał wodę. Rzeczywiście po wyczerpującej pracy, gdy tylko znalazł okazję, uwielbiał usiąść na tarasie, by patrzeć na morze Marmara, na Bosfor, ale prawdziwym powodem była możliwość nawiązywania bliższych kontaktów z europejskimi kolegami po fachu. Nie był Turkiem osmańskim ani też tak naprawdę w głębi duszy nie czuł się Żydem. Pod względem pochodzenia nie odbiegał od innych; był dzieckiem sefardyjskiej rodziny z Barcelony, która przybyła do Wenecji, stamtąd zaś wyemigrowała do Stambułu. Nie można powiedzieć, żeby nie czcił Boga czy nie hołdował obyczajom, przeciwnie, sumiennie ich przestrzegał, a innym z szacunkiem okazywał zrozumienie. Na pozór był jednym z tych, którzy w pełni podporządkowali się zasadom religijnym. Lecz wolał być postrzegany nie jako Żyd, ale lekarz. Problem tożsamości etnicznej czy religijnej wydawał mu się drugorzędny. Doktor Çiprut był jednym z tych, którzy kochali swój zawód i czuli się dumni, mogąc go wykonywać. Największą świętością była dla niego możliwość rozmowy z kolegami przybywającymi z Antwerpii, Genewy czy Wenecji, wymieniania z nimi poglądów, a także pogłębiania wiedzy dzięki książkom bądź nowym badaniom i uzdrawianiu chorych... A wyleczenie cierpiącego, dla którego nie było już żadnej nadziei, dla doktora Çipruta równało się z odbyciem pielgrzymki do Mekki.

Soli była pełna podziwu dla jego sposobu postępowania. Mimo że miała dopiero dwadzieścia pięć lat, dobrze rozumiała swego znacznie



starszego męża i z łatwością mu dorównywała. Pomagała Mordechajowi ze wszystkich sił, większość czasu, który pozostawał jej po wykonaniu prac domowych, poświęcała na troskę o niego. Mimo że bardzo się starali, dzieci nie mieli. Jakkolwiek lekarz martwił się tym, to nie zdradzał swoich odczuć otoczeniu.

Po wypełnieniu obowiązków domowych i zawodowych pozostały wolny czas spędzał najczęściej na czytaniu książek. Jedne z nich przywiezione były przez kogoś z zagranicy, inne – drukowane przez ojca żony. Gdy tylko skończył którąś czytać, zaraz szedł po następną do małej drukarni znajdującej się w dzielnicy Balat. Dzięki temu miał też stały kontakt z teściem. Ponieważ matka Soli, Rachela, w zasadzie nie odstępowała męża, więc siadali razem i rozmawiali, patrząc na wody Złotego Rogu. Jedno, co ich martwiło, a nie było przedmiotem dyskusji, to niestosowne zachowanie Estery.

Po ślubie Soli wzmogła się drażliwość Estery, nawet można powiedzieć, że od czasu do czasu była wobec starszej siostry napastliwa. Siostry się spotykały, kiedy Soli przychodziła do domu ojca. Wprawdzie nieczęsto, ale Estera też zachodziła do domu na Galacie. Jednak za każdym razem, z nieznanых powodów, wywoływała sprzeczki. Zanim Soli zdążyła się odezwać, już zaczynała:

– Czy myślisz, że jak mieszkasz w takim domu, to jesteś ważniejsza? Przez to, że wypijaś z Hürrem Sultan trzy szklanki sorbetu, uważasz się za kogoś lepszego? Z jakiego powodu czujesz się lepsza ode mnie?...

Mimo wszelkich starań, by odmienić jej zachowanie, doktorowi Çiprutowi też się dostawało.

– Szwagrze, proszę, nie wtrącaj się. Lepiej zajmij się swymi arystokratycznymi pacjentami – mawiała.

Cała rodzina nie potrafiła zrozumieć, co dręczyło tę piękną dziewczynę.

– Niech tylko dobrze wyjdzie za mąż – mówiła Rachela.

Ale Estera na samą myśl o małżeństwie dostawała dreszczy. Natychmiast podnosiła głos do krzyku:

– Ja z nim?

W takich momentach ojciec głaskał ją po ciemnych włosach, tak

jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

– Uspokój się, moja śliczna Kirâze, nie zachowuj się tak, mój czarny aniołku, jeśli nie chcesz, to nie, moje dziecko.

Któregoś dnia Estera znów przyszła z wizytą do starszej siostry. Nie było zbyt gorąco ani też zimno. Oplatające taras fioletowe glicynie już kwitły. Dzięki lekkiemu wietrzykowi rozchodził się wokoło zapach bzu. Morze widoczne między gałęziami judaszowca wschodniego, obsypanymi różowymi kwiatkami, a gałęziami zielonych świerków miało kolor niebieski, wpadający w szary. Nieco dalej, nieopodal brzegu przy Tophane, stały zakotwiczone trzy statki pod obcą banderą. Dwa z nich wydawały się już opróżnione. Niezwykle lekko poruszały się na falach, maszty zaś, delikatnie skrzypiąc, przechylały się to w prawo, to w lewo. Natomiast trzeci statek właśnie pozbywał się towaru. Głosy pokrzykujących na siebie tragarzy i marynarzy dochodziły aż do miejsca, gdzie siedziały siostry.

Doktor, zapomniawszy o całym świecie, zagłębił się w lekturę trzymanej w ręku książki, tylko od czasu do czasu podnosił do ust stojącą obok szklankę. Soli, uważając na każde wypowiedziane przez siebie słowo i wążąc każdą myśl, łagodnym tonem rozmawiała z Esterą.

– Jeżeli chcesz, to następnym razem zabiorę cię do haremu.

Oczywiście, jeśli będziesz sobie tego życzyła.

Estera wzruszyła ramionami.

– Nie żebym bardzo chciała... – odparła.

– Będziesz miała jakieś pojęcie, moja droga; właściwie harem to miejsce niezwykle eleganckie, ładne, i tyle. Jest tam wiele kobiet, ale żadna z nich nie poda ci wody do obmycia rąk. Będą zazdrosne, gdy cię zobaczą, jestem tego pewna.

Estera roześmiała się, odrzuciła do tyłu kruczoczarne włosy.

– Nawet Hürrem?

– Oczywiście, sułtanka Hürrem także; nie jest aż tak ładna, ale naprawdę bardzo błyskotliwa i inteligentna.

– Czy to znaczy, że ja jestem głupia?

Serce Soli zaczęło mocniej bić, bo wyglądało na to, że Estera znów zaczynała robić sceny. Kiedy szukała odpowiednich słów, by załagodzić sytuację, na taras weszła stara służąca i oznajmiła:

– Przyszedł ktoś zobaczyć się z doktorem. Burak Pasza.

Doktor natychmiast się podniósł.

– Powiedz, że już idę, poczęstuj go czymś, a ja się przebiorę.

– Burak Pasza to kto? – Estera spytała siostrę, kiedy Mordechaj wyszedł.

– To osmański pasza, jeden z odważniejszych podczas wyprawy na Węgry. W bitwie został raniony w nogę, a doktor mu pomógł dojść do siebie, w zasadzie wyleczył go. Nie wiem, po co teraz przyszedł.

– Nigdy dotąd nie widziałam z bliska paszy.

Soli nie odpowiedziała, wpatrywała się w morze; dwaj rybacy na małej łódce zarzucili wędkę i teraz czekali.

– Pójdę rzucić okiem...

– Moja droga Estero, oni zachowują się inaczej niż my, nie przesiadują z kobietami.

– Popatrzę z daleka, z ukrycia.

– Nie wolno.

– Dlaczego nie wolno? Nikt mnie nie zobaczy.

– Proszę, nie bądź uparta, jesteś jak dziecko.

– Ach tak, a ty to jesteś duża. Skoro twój mąż jest lekarzem pałacowym, to myślisz, że ci wszystko wolno?

Soli pokręciła głową ze zmartwienia.

– Moja śliczna siostró, a jaki ma to związek?

Na twarzy Estery malowała się złość, szybko wstała i wydawało się, że za chwilę, tak jak to zawsze robiła, wyskoczy na ulicę. Bezradna Soli uległa.

– Już dobrze, idź – powiedziała. – Idź, zobacz, ale trzymaj się z daleka i natychmiast wracaj.

Estera wyskoczyła jak czarny kot i szybkim krokiem poszła prosto do salonu znajdującego się między gabinetem doktora a prywatną częścią domu.

Burak Pasza, siedząc na kanapie, przyglądał się z uwagą miejscu, które w żadnym wypadku nie przypominało jego domu. Na wysokich ścianach wisiało obok siebie wiele obrazów. Ta naprzeciwko od góry do dołu pokryta była półkami, na których stały książki. W rogu znajdował się stół z drewna orzechowego, a na nim stał

siedmioramienny świecznik. Pasza lubił przychodzić do domu doktora, a i samego doktora także lubił... Nie wiedział, dlaczego, ale odpowiadała mu panująca tu atmosfera. Dlatego też wyszukiwał preteksty, by móc się tu zjawić. Obecnie jego noga była zdrowsza niż poprzednio. Poruszając ranną jeszcze niedawno kończyną, upił łyk lipowej herbaty z goździkami, którą przyniosła mu służąca.

W tym momencie usłyszał skrzypienie. „To pewnie doktor Mordechaj” – przemknęło mu przez myśl, ale kiedy się odwrócił, dostrzegł niewyraźną sylwetkę usiłującą szybko się ukryć za dużym chińskim wazonem stojącym przy drzwiach osłoniętych firaną. Zerwał się z fotela, zrobił dwa kroki i już był na miejscu, chwycił za ramię tajemniczą postać i przyciągnął prosto do światła.

Sześciopalcemu Burakowi zabrakło tchu w piersiach, dziewczynie także...

24 KWIETNIA 1529 ROKU

**Nowy Seraj**

– Co za perfidia? Czyż mamy się pokłonić temu włóczędze Ferdynandowi? – grzmiał na spotkaniu Dywanu sułtan Sulejman.

Ibrahim Pasza, który przed miesiącem mianowany został dowódcą armii, ostrzegął:

– Doprowadza do gniewu Niemców, kiedy sytuacja staje się trudna. Ale Karol też miał dostać nauczkę.

– Do czego jest nam potrzebny ten nieszczęsny Zapolya? Pomogliśmy mu, osadziliśmy go na tronie węgierskim, a nie daje sobie rady z obroną.

Kiedy sułtan krzyczał, poseł z Lechistanu, Jeremi Łącki, kulił się coraz bardziej z przerażenia. Właściwie w tej sprawie nie miał wiele do powiedzenia. Jedyne, na którego można było liczyć, to Wenecjanin Gritti, któremu wczoraj wieczorem przekazał duże pieniądze. Gritti miał wielki wpływ na niektórych paszów i wezyrów. Tylko tak można było rozwiązać problem Zapolyi.

Od trzech lat spierali się o tron węgierski: popierany przez Turków Jan Zapolya z bratem Karola, Ferdynandem.

Zapolya, kiedy poniósł klęskę w starciu z Ferdynandem pod

Tokajem, był pewny, że Turcy udzielą mu pomocy, i w tym celu wysłał do nich swych posłów z prośbą o uznanie go za króla Węgier. Jednocześnie przyrzekł płacić wysokie podatki, a mimo to sułtan nie wyraził zgody.

Jan schronił się więc na dworze swego teścia, króla Lechistanu. Nie chciał być postrzegany jako węgierski zdrajca i wichrzyciel i sądził, że z pomocą teścia uwolni się od zarzutów. Ale kiedy obawiający się Turków król stwierdził, że problem można rozwiązać jedynie w porozumieniu z nimi, nie zastanawiając się długo, wysłał z tą misją Łackiego.

– Mój panie – rozpoczął drżącym głosem poseł. – Jan Zapolya darzy Waszą Wysokość wielkim szacunkiem. Czeka na wasze rozkazy. Jest też gotowy płacić wysokie podatki wszelkiego rodzaju.

– Oczywiście, że będzie płacił – odrzekł sułtan. – Ferdynand także chce płacić, ale jego propozycję odrzuciliśmy. Dlaczego? Ponieważ ufaliśmy Janowi, lubiliśmy go...

Pochylił się do Ibrahima Paszy i spytał o sumę, jaką przyrzekł wnosić Jan. Gritti poprzedniej nocy bardzo długo wyjaśniał dowódcy wojsk osmańskich, na jakich warunkach będą uiszczane podatki.

Wiedziano powszechnie, że Ibrahim Pasza, z chwilą gdy został mianowany dowódcą armii osmańskiej, stał się drugą osobą w imperium. Z ust do ust podawano sobie ostatnie oświadczenie, jakie przekazał posłowi Ferdynanda:

– Osobą, która rządzi tym wielkim państwem, jestem ja; co tylko postanowię, musi zostać spełnione. Również losy ludzkie są w moich rękach. To ja mianuję urzędników na stanowiska. To, co zaakceptuję, jest zaakceptowane, a co odrzucę, zostaje odrzucone. Jeśli sułtan zamierza wyświadczyć jakąś przysługę lub już ją wyświadcza, a ja nie poprę jego decyzji, zostaje anulowana, ponieważ to ja odpowiadam za wszystko: wojnę, pokój, majątek i potęgę państwa.

Ibrahim Pasza dokładnie przedstawił Sulejmanowi kwestię płacenia podatków. Wydawało się, że wyjaśnienia spodobały się władcy.

– Zastanowimy się – zwrócił się do stojącego przed nim posła. – Zastanowimy się i odpowiemy, teraz jedź i przekaz to swojemu królowi.

Jeremi Łacki, zlany potem, pochylając się z szacunkiem, oddalił się

sprzed oblicza sułtana.

Kiedy wyszedł, Sulejman położył rękę na kolanie i kilkakrotnie poruszył nogą, po czym rzekł:

– Należy zająć Wiedeń, aby zakończyć tę sprawę. W ten sposób wesprzemy naszego sojusznika Franciszka przeciw Karolowi.

Na obradach Dywanu poruszano ważne sprawy, takie jak powstanie alewitów w Anatolii, walka z Europą, plany nowych wypraw wojennych... Burak Pasza z trudem śledził dyskusję. Nawet złościł się na siebie z tego powodu, zagryzał wargi ukryte pod okazałymi, czarnymi wąsiskami. W żaden sposób nie mógł się skupić na słowach uczestników narady. Jego myśli krążyły wokół czegoś zupełnie innego. Wokół cienia, który zobaczył w domu doktora Çipruta.

Jaka wspaniała i piękna to była dziewczyna. Opadające na ramiona czarne jak węgiel loki; rozbiegane, świecące, ogniste oczy i ocieniające je bardzo długie rzęsy, usta pełne, wilgotne, czerwone jak czereśnia, ostro zarysowany nos z wąskimi nozdrzami... Albo ciepło jej ręki, którą schwycił w pewnym momencie, cera jak jedwab, te unoszące się i opadające z emocji piersi, drżący głos, jakim odpowiedziała na pytanie o imię: „Kirâze”.

Kirâze, Kirâze, Kirâze... Burak, od chwili gdy ją zobaczył, już o niczym innym nie był w stanie myśleć. Dniem i nocą...

Kiedy zebrani zaczęli się rozchodzić i udawali się na wspólny obiad, tłumacząc się złym samopoczuciem, poprosił Ibrahima Paszę o wyrozumiałość i pozwolenie na odejście.

– Cóż znowu się stało, Buraku Paszo, co ci dolega?

– Mam bóleści, gorączkę...

– Idź więc i połóż się, każ sobie zrobić okłady na plecy. Staraj się szybko dojść do siebie, wkrótce znów wyruszymy w drogę.

Burak pożegnał go i skierował się w stronę dziedzińca.

Kiedy się oddalał, Ibrahim Pasza zażartował, zwracając się do otaczających go przyjaciół:

– Kawaler. Nie dba o siebie, trzeba go ożenić.

Wychodząc przez pałacową bramę, Burak Pasza też o tym myślał. Podjął już decyzję, powinien się ożenić z Kirâze. I to jak najszybciej. Tym bardziej, że jest szwagierką Çipruta. Pójdzie i porozmawia z nim.

Doktor to mądry, rozważny człowiek, nie odmówi. Tylko czy dziewczyna się zgodzi? A nawet gdyby nie, to czy znany pasza osmański miałby się tym przejmować? Przecież mógł ją pociągnąć za rękę i zabrać z sobą. Duszę Sześciopalcego Buraka wypełniło błogie ciepło na myśl o ramionach Kirâze. Nie, nie mógł tak postąpić, przecież doszłoby to do uszu sułtana. Nie mógł tak postąpić wobec siostry żony pałacowego lekarza. Poza tym ci ludzie byli Żydami. Znow zadzwięczały mu w uszach słowa Kory Any: „Uciekaj, Krystianie! Uciekaj, twoja matka była Żydówką!...”. „Jeśli miałem matkę Żydówkę, to dlaczego dano mi na imię Krystian? Kim była moja matka, kim był ojciec? Kim jestem? – szeptał do siebie. – Kim jestem?...”

Szedł szybkim krokiem, spocony, zaczęto już wzywać na ezan... Skierował się prosto do meczetu. „Jestem Sześciopalczy Burak Pasza – powtarzał w myślach. – Jestem Sześciopalczy Burak Pasza...”

**Balat**

– Co jest naszej Kirâze? – spytał Mosze. – Od kilku dni spoważniała, stała się małomówna.

– Proszę cię, nie nazywaj Estery Kirâze, wcale mi się to nie podoba – powiedziała Rachela.

– Zgoda, będę nazywać ją Esterą, więc co jest Esterze?

Nahmiasowie siedzieli w ogródku i cieszyli się nadejściem wiosny. Rachela podwórko przed domem zamieniła w raj. Było tu kolorowo i pachniało, jakby wszystkie wiosenne kwiaty właśnie tutaj zakwitły. Trójbarwne bratki, lwie paszcze, goździki wraz z samosiejkami rumianku i maków tworzyły z rabat wesołe kobierce. Natomiast czereśnie, śliwy, jabłonie, drzewa pigwowe i brzoskwinie z wolna zaczęły się pokrywać zielonymi listkami. Rosnący przed domem jaśmin obsypał się mnóstwem białych pączków. Nie było widać ogrodowej furtki spod fioletowych glicynii. Niebo było błękitne. Mosze niedawno skończył pięćdziesiąt pięć lat. Rachela kilka miesięcy wcześniej – pięćdziesiąt dwa. W ogóle nie martwiła się tym, że się postarzała. Wręcz przeciwnie, była zadowolona, że młodsze lata, pełne trosk i utrapienia, ma już za sobą. Uważała, że właśnie teraz jest w najlepszym okresie swego życia. W końcu Bóg sprawił, że była szczęśliwa. Uniosła

głowę i dziękowała. Uśmiechając się, spojrzała na męża, chwyciła go za rękę.

– Nie martw się, Mosze – powiedziała. – Jest młoda, kto wie, o czym myślisz, jakie ma problemy? Nie trap się, spoważniej. Gdyby tylko wyszła za męża...

Nie zauważyli nawet, kiedy zniżyli głos, mówiąc o małżeństwie Estery. Bali się jej reakcji.

– Ach, żeby tylko wyszła za męża... Ma wielu zalotników, ale żaden jej się nie podoba. Przypominasz sobie, na Kapalıçarı ma sklep znany jubiler Sarfati, on też przysłał mi wczoraj wiadomość o swoim synu.

– Co odpowiedziałeś?

– A co mogłem odpowiedzieć? Odłożyłem sprawę na później.

– Dobrze, wybadam ją. Może się zgodzi...

– Ach, Rachelo, kiedy nadejdzie ten piękny dzień?

Małżonkowie zgodnie oparli się o tył foteli i odpoczywali, lekko mrużąc oczy. Słońce było w zenicie. Wszystko wokół połyskiwało.

W pokoju Estery natomiast panowała prawie ciemność. Bardzo starannie zaciągnęła zasłony. Leżała na łóżku, wbijając wzrok w sęki drewnianego sufitu. Ale ich nie widziała. Czy miała powieki otwarte, czy zamknięte, widziała tylko jedno. Wpatrzone prosto w nią ogniste oczy okolone długimi rzęsami; czarne, kręcone włosy wymykające się spod brzegu białego turbanu; pełne usta pod sumiastymi wąsami, prosty nos o wąskich nozdrzach i przyspieszający bicie serca niski głos... „Kim jesteś?” Ta mocna ręka chwytająca ją za ramię, ciepło oddechu doprowadzające do utraty tchu...

Estera nie myślała o niczym innym, tylko o Buraku Paszy. Choćby się nie wiem jak starała, nie udawało się. Złościła się na siebie, złorzeczyła. Nie przypuszczała, że jakiś mężczyzna wkroczy tak obcesowo, nie pytając o pozwolenie, w jej najskrytsze marzenia. A może właśnie to była miłość, o której tyle wokół mówiono? Chwyciła poduszkę i rzuciła ją w najdalszy kąt pokoju, potem padła twarzą na łóżko. Drżała, jakby zachorowała na malarię. Burza uczuć powoli ogarniała całe jej ciało. Estera nie mogła nad sobą zapanować, bardzo pragnęła go znowu zobaczyć.

I właśnie wtedy zawołała ją matka:



– Estero, Estero, patrz, kto przyszedł! Przyjdź, moje dziecko, do ogrodu.

Córka nie odpowiedziała. Nie miała ochoty nikogo widzieć.

Potem usłyszała inny głos:

– Kirâze, moja piękna z najpiękniejszych, to ja przysłam, zobacz, co ci przyniosłam.

To była kira Kadın. Kira, po grecku kobieta, inaczej pani. Takie kobiety krążyły po domach i sprzedawały towary ze sklepów swoich mężów. Dzięki nim muzułmanki z za maszrabijji<sup>[70]</sup> mogły zobaczyć na własne oczy biżuterię i drogie materiały, i dokonać wyboru. Żydówki, mimo że żyły wśród mężczyzn, w zasadzie podporządkowywały się obyczajom osmańskim i uważały ten sposób zakupów za odpowiedni również dla siebie. Wydawało się, że nie ma takiego miejsca, do którego kira by nie dotarła. Od najmniejszego domku po pałac sułtański... Mówiono, że te rozmowne i przebiegłe kobiety nie zajmowały się jedynie handlem, ale też pośredniczyły w kontaktach między ludźmi. Nie odbiegało wiele od prawdy stwierdzenie, że były wykorzystywane w intrygach i załatwianiu wielu ciemnych spraw przez niemogące wychodzić na zewnątrz mieszkanki haremu. Zastanawiające, że chociaż było to publiczną tajemnicą, nikt nie ingerował w te praktyki. Kiry były doskonałymi łączniczkami między światem mężczyzn i muzułmańskich kobiet, oddzielonym na mocy surowych zasad religii islamu. Przecież nie każda kobieta mogła mieć eunucha. A w węzłku handlarki można było znaleźć towary na każdą kieszeń.

– Moja Kirâze, podejdź, spójrz, jakie ładne kolczyki przyniosłam ci na twoje malutkie uszka, czerwone rubiny. Wyglądają jak czereśnie...

Estera, usłyszawszy słowo „rubiny”, podniosła się z westchnieniem. Do zakupu biżuterii nie trzeba jej było namawiać.

Zobaczywszy ją, stara kobieta rzuciła się jej na szyję, ucałowała.

– Nawet najdroższe kolie nie mogą z tobą konkurować. Patrzcie na tę figurę, na tę urodę... *Maşallah, maşallah*<sup>[71]</sup> – powiedziała i środkowym palcem prawej ręki trzykrotnie uderzyła w drewniany stół.

Rachela powtórzyła ruch kobiety. Przez lata wzajemnych kontaktów zwyczajnie się wymieszały, a nawet języki. I teraz stambulscy Żydzi mówili językiem zawierającym słowa tureckie, greckie, arabskie,

hiszpańskie. W Stambule toczyło się życie mieniące się tysiącem kolorów i smaków, przypominające stare bizantyjskie mozaiki, złożone z niezliczonych małych płytek, które w sumie tworzyły żywy, zharmonizowany obraz.

Tobołek kiry był równie kolorowy i bogaty w najróżniejsze towary. Jedwabie z Damaszku, tafty weneckie, koronki francuskie, kolczyki, naszyjniki, broszki, łańcuszki, drobne wyroby szklane, dywaniki modlitewne, perfumy, koraliki... Zbiór tanich czy drogich atrakcyjnych rzeczy, które się podobają kobietom.

Kiedy Estera je przeglądała, kira podała jej wyciągnięte z kieszeni wielobarwne jajko.

– Weź je, niech ci przyniesie szczęście.

Przed kilkoma dniami wyznawcy prawosławia obchodzili Wielkanoc. Żydzi zakończyli swoje święto Paschy poprzedniego dnia. Na stole leżała jeszcze maca. W pierwszej chwili Estera zamierzała nawet poczęstować nią kobietę, ale nie będąc pewna jej reakcji, zrezygnowała. Teraz z udawanym zainteresowaniem przyglądała się jajku, po czym odłożyła je na bok i wróciła do przeglądania tobołka.

Wydawało się, że minął jej niedawny dziwny nastrój. Wpięła w uszy wskazane jej przez kobietę rubinowe kolczyki. Rachela, kiwając głową, uśmiechnęła się znacząco do męża, który wchodził do domu. Handlarka wyciągnęła mieniący się kolorami, mięciutki kupon materiału. Estera owinęła się nim natychmiast.

– I jak? – spytała matkę.

– Bardzo ładnie, pasuje do ciebie – odpowiedziała Rachela.

– Ach, doño Rachelo, proszę o szklankę wody, umieram z pragnienia – odezwała się kobieta.

Rachela wstała, poszła do kuchni. Estera, z kolczykami w uszach, owinięta materiałem przechadzała się wokół baseniku pośrodku ogrodu.

– Kirâze, mam dla ciebie wiadomość – szybko wymamrotała handlarka, podnosząc z ziemi kawałek opadającego materiału.

Zdziwiona dziewczyna spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Sześciopalcy Pasza zapalał pragnieniem ujrzenia ciebie – szeptała kobieta, udając, że zdejmuje jej kolczyk z ucha.

24 KWIETNIA 1529 ROKU

Rachela po raz pierwszy znalazła się na cuchnących zgnilizną, nierównych bocznych uliczkach Pery. Była niebywale podekscytowana, potykała się, a wspiąwszy się na strome wzniesienie, przystanąła, przyłożyła rękę do serca i zaczerpnęła głęboko powietrza. Była spocona, wzburzona. W pewnej chwili myślała, żeby zawrócić, może przesadzała, może jej podejrzenia to jedynie wymysł. Jednak zdecydowała się iść dalej. Szła między przylegającymi do siebie domami, z których dawno już zeszła farba. Kolorowa bielizna rozwieszona w oknach i wykuszach lekko się kołysała na wiosennym wietrze. Małe dzieci biegały, wesoło popiskując. Kilka kobiet plotkowało, siedząc w otwartych drzwiach. Jakiś rybak chodził ze świeżutkim karpem w koszyku, minął ją też wolno sprzedawca jogurtu z kijem na ramieniu, na którym kolebało się miedziane wiaderko. Myśli Racheli powędrowały do Toledo, okresu dzieciństwa, matki, ojca, braci...

Znowu przystanąła, by złapać oddech, zmęczyły ją i te kręte uliczki, i wspomnienia. W żaden sposób nie mogła znaleźć domu, którego szukała; wiedziała, że sama sobie nie poradzi. Zapytała więc nadchodzącą z przeciwka garbatą, ubraną na czarno kobietę, która pomarszczoną ręką wskazała stojący trochę dalej dwupiętrowy dom z drewnianym wykuszem. Okna były w nim szczelnie zasłonięte żaluzjami.

Drżącymi palcami Estera chwyciła zamocowaną na drzwiach wejściowych kołatkę, identyczną jak ta, którą przywiozła aż tutaj z domu w Toledo. Połyskującą kulką z brązu umieszczoną w kobiecej dłoni mocno uderzyła w mosiężną tabliczkę. Puk, puk, puk... Nikt nie otwierał, spróbowała jeszcze raz, tylko mocnej i szybciej. Była tak zdesperowana, że postanowiła stukać, aż drzwi się otworzą. I rzeczywiście, po pewnym czasie usłyszała czyjś głos:

– Spokojnie, spokojnie, idę przecież.

Po czym jedno z drewnianych skrzydeł się uchyliło.

Kira Kadın osłupiała na jej widok.

– Doña Rachela, doña Rachela... Co pani tutaj robi? – spytała.

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła do środka zmęczoną kobietę.

Jej twarz pobladła, więc kira natychmiast przyniosła szklanę wody. Miała nerwowe ruchy, jakby się domyślała przyczyny tej wizyty. Mimo to zapytała:

– Co dobrego, doño Rachelo?

– Czy dobrego, czy złego, to ty mi to powiesz, Kiro Kadın.

– Jak to?

– Nie będę owijać w bawełnę: podejrzewam, że coś knujesz z Esterą. Powiedz mi teraz, o co w tym wszystkim chodzi.

– Doño Rachelo, a o co może chodzić? Wie pani przecież, że kocham ją jak własną córkę. Przysięgam, Bóg mi świadkiem – kobieta podniosła do ust zawieszony na szyi krzyżyk i ucałowała.

– Wiem, że ją lubisz, kiro, ale nie zapomnij, że córki bardziej od kogokolwiek kochają matki. I teraz opowiedz mi, co zaszło.

Kira nie miała ochoty na wyjaśnienia. Uparcie powtarzała to samo.

Rachela sięgnęła ręką do przyczepionej u pasa sakiewki, w której trzymała zbierane od lat drobne złote monety. Wyjęła jeden pieniążek i położyła na stole, lecz kobieta odsunęła go na bok.

– No, opowiadaj – ponaglała ją Rachela, kładąc jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden pieniążek...

Dopiero przy siódmym kira zaczęła mówić.

– W tym nie ma nic złego, doño Rachelo, wierz mi, że nie, widzieli się tylko dwa razy i to po pięć minutek. To wszystko.

Twarcz Racheli poczerwieniała, słycać było, jak jej bije serce. Usiłując się opanować, zapytała:

– Kim jest ten człowiek?

– Proszę się nie martwić, los wam sprzyja. Ten mężczyzna to pasza, i w dodatku jeden z bardziej lubianych przez sułtana. Ma poważne zamiary. Chce się ożenić z Kirâze. Miałam za kilka dni do ciebie przyjść i to wszystko wyjaśnić.

– Przecież ona ma na imię Estera.

– Nie złość się, doño Rachelo, dobrze, niech będzie Estera.

– Mówisz pasza, cha? Ale on jest muzułmaninem...

– A co za różnica? Wie pani przecież, że muzułmanie bardzo często żenią się z kobietami innych wyznań, proszę spojrzeć na sułtańskie żony. Każda skądinąd.

– Ale my jesteśmy Żydami.

– Eee, to tym lepiej, bo czy dzieci Kirâze, to znaczy Estery, rodzina i kto tam jeszcze nie będą Żydami? Dlaczego się martwisz, moja śliczna pani?

– Sama nie wiem, porozmawiam z Mosze, musimy zapytać rabina, zanim podejmiemy decyzję.

– Jestem pewna, że każdy, gdy się dowie, że chodzi o Sześciopalcęgo Paszę, to się zgodzi.

– Co ty powiedziałaś, co powiedziałaś?

– Że każdy się zgodzi, powiedziałam.

– Nie o to chodzi, jak ma na imię, jak? – Racheli zabrakło tchu w piersiach.

– Sześciopalczy Burak Pasza. Tak go nazywają, bo u lewej ręki ma sześć palców.

– Sześć palców u lewej ręki? Ile lat może mieć ten mężczyzna? Czy jest stary? Skąd pochodzi?

„Boże, czy to mógłby być on? Ten sam człowiek?...” Racheli szumiało w głowie.

– Nie bój się, doño Rachelo, to młodzieniec, chyba dwudziestodzieci-, trzydziestoletni. Do tego bardzo przystojny i bogaty jak Krezus. Jest o ton ciemniejszy od Kirâze, to znaczy Estery. I co ciekawe, podobni są do siebie jak dwie krople wody, dziwna sprawa. Te same oczy, usta, nos, te same włosy... Niczym rodzeństwo...

Rachela czuła, że na te słowa zaczyna ją ogarniać szaleństwo, nie wierzyła, nie mogła uwierzyć, że los tak straszliwie z niej zadrwił. „Czy to możliwe?” Podniosła się na miękkich nogach, a kobieta mówiła dalej:

– To, że ma ciemną cerę, to przecież normalne. Przywieziono go z Maroka, spod Merilli, może w jego żyłach płynie trochę krwi arabskiej. Ale doño Rachelo, to bardzo dobry człowiek. Już powiedziałam, że los wam sprzyja. *Maşallah*.

– Milcz! – krzyknęła niespodziewanie Rachela. – Nie. Nigdy... Jeśli nawet będę miała umrzeć, to nie pozwolę. Zabiję Esterę własnymi rękami, a mu jej nie oddam. Możesz być tego pewna.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale... Mówię ci po raz ostatni. Jeśli jeszcze raz

zbliżysz się do mojej córki, to jesteś skończona. Poskarżę się zięciowi i dotrze to do uszu samego sułtana. Lepiej więc trzymaj się z daleka.

Rachela kopnęła drzwi i wyszła. Puściła się biegiem ze stromego wzgórza. Szal, którym nakryła głowę, spadł na ziemię, oczy miała pełne łez. Biegła ulicami, nie zważając na przechodniów, którzy myśleli, że zwariowała. „Co za klątwa, co za klątwa?”

Estera była niezwykle zadowolona. Jak mała dziewczynka to śpiewała ojcu piosenki, to przytupując, tańczyła. Mimo że Mosze nie wiedział, w czym rzecz, to cieszył się ze szczęścia córki. Patrzył na nią z uśmiechem.

– Młodość – westchnął. – Wiosną krew szybciej płynie.

Rzeczywiście, w żyłach Estery wrzała krew. Dziewczyna nie mogła usiedzieć na miejscu, bujała w obłokach, jakby jej skrzydła wyrosły. Była zakochana, i to do szaleństwa. Przycisnęła dłonie do ust, nadal czuła palące, grube wargi Buraka Paszy. Pierwszy raz się całowała. Wprawdzie była to krótka chwila, ale wspaniała. Stała na palcach, przekręciła głowę, serce waliło jej młotem.

Wkrótce chciała wyjść za mąż, już postanowiła, pragnęła tego ze wszystkich sił. Burak Pasza miał porozmawiać o tym z jej szwagrem, doktorem Çiprutem. A ten nie miał chyba powodów, by odmówić. Zresztą kto by się odważył cokolwiek powiedzieć wielkiemu paszy...? Przystojny, młody, bogaty...

Znów tupnęła nogą o ziemię i podtrzymując sukienkę, zaczęła tańczyć.

W tej samej chwili na podwórze weszła Rachela. Oczy miała zapadnięte głęboko, wzrok nieprzytomny, włosy rozwichrzone. Widząc ją w takim stanie, Mosze i Estera zaniepokoiли się.

– Rachelo, co się stało?

– Mamo?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko podeszła prosto do Estery, podniosła rękę i uderzyła córkę w policzek.

Zarówno Mosze, jak i córka oniemieli z wrażenia. Stało się to pierwszy raz. Estera przyłożyła dłoń do twarzy.

Mosze zerwał się z fotela i chwycił żonę za ramię. Kobieta, na nic nie zważając, odepchnęła go i lodowatym, zdecydowanym tonem

powiedziała:

– Nigdy więcej, Estero, nie wyjdiesz z domu bez mojej zgody.  
Nigdy więcej.

2 MAJA 1529 ROKU

**Dywan**

– Doszły nas słuchy, że Ibrahim Pasza przedstawiany jest w fermanach<sup>[72]</sup> jako sułtan. Czy to prawda?

– Cóż... Niektórzy z nas także o tym słyszeli. Ja wierzę, że powodem tego jest chęć zdobycia uznania w oczach wroga i dezorientowanie go. Sądzę, że byłoby niesprawiedliwością wątpić w szlachetne intencje Ibrahima Paszy.

– Tak, oczywiście... Jestem przekonany, że nie stało się tak dlatego, że sam planuje zasiąść na tronie, ale jednak...

– Paszo, uważaj, co mówisz. Nie muszę ci chyba przypominać, że ściany mają uszy. Zwłaszcza tutaj.

– Masz rację.

Paszowie zaczęli się gromadzić na dziedzińcu w oczekiwaniu na Sułtańską Radę. Podczas tego Dywanu będą rozmawiać o nadchodzącej wojnie. Chociaż nie została oficjalnie ogłoszona, nietrudno było wywnioskować, że sułtan niedługo wyśle wojska do Europy. Wiosna zapanowała na dobre i trudno było o lepszy moment. Plan polegałby na ponownym podboju Budy i przekazaniu jej Janowi. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, Turcy mogliby pójść dalej, nawet aż do Wiednia. Wszyscy czekali na decyzje sułtana.

Şeyhülislam zwrócił się do Ibrahima Paszy i zapytał:

– Jak się miewa nasz książę? Mamy nadzieję, że trwa w najlepszym zdrowiu i pogodzie ducha.

– Dzięki Bogu, znakomicie. To bystry, śmiały i odważny młody człowiek, zupełnie jak jego ojciec. Książę Mustafa dowiódł, że jest godzien odziedziczyć tron osmański.

– Pytałem o şehzade<sup>[73]</sup> Selima – odpowiedział şeyhülislam, z namysłem gładząc długą, siwą brodę.

Ibrahim Pasza, zbity z tropu, odpowiedział pośpiesznie:

– Och! Tak... On też ma się bardzo dobrze. Znakomicie.

Właśnie wtedy do sali wszedł sułtan Sulejman; wezyrowie, paszowie, sędziowie wojskowi, wysoko postawieni duchowni wraz z dowódcami janczarów i sipahów, szambelanem, skarbnikami, wszyscy jednocześnie wstali i skrzyżowali ręce na piersiach, z głowami lekko pochylonymi w bok wpatrzeni w podłogę.

Sułtan przeszedł od razu do sedna:

– Wyruszamy, i to do samego serca Europy. Niebawem. Wcześniej potajemnie wysłałem na zwiady do Budapesztu straż przednią. Niech Bóg błogosławi nasze zwycięstwo.

Wszyscy zaczęli się modlić o powodzenie i życzyli sobie nawzajem szczęścia. Dziwny nastrój ogarnął Dywan. Wezyrowie, paszowie, dowódcy, urzędnicy przypominali pobudzone konie na równinnych ziemiach w rejonie Mohacza, u progu wojny.

**Pera**

Po raz drugi w tym tygodniu Rachela pukała do drzwi kiry. Na jej twarzy malowały się wściekłość i cierpienie. Ach, jak to się stało, że pozwoliła Esterze pójść do drukarni? Jak mogła jej zaufać? To wszystko z powodu słabości, jaką miał do niej Mosze. Mijały godziny, a dziewczyny nie było widać. Od samego świtu... Poza tym wzięła ze sobą kilka sukienek. Z tego powodu Rachela pewna była, że Estera uciekła z domu. Niejasno pamiętała, że widziała ją pakującą ubrania. Wtedy wydało jej się to bezsensowne, ale nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Kiedy potem połączyła wszystkie elementy układanki w całość, zyskała przekonanie, że wychodząc z domu, Estera nie miała najmniejszego zamiaru udawać się do drukarni. Uciekała z domu, by dołączyć do Buraka Paszy. Kiedy już wykluczyli pozostałe możliwości, Rachela doszła do wniosku, że odnajdzie swoją córkę w domu kiry. Dręczył ją niepokój i smutek, niemal doprowadzając do choroby, kiedy tam w końcu dotarła. A jeżeli Estera i Burak Pasza popełnili już jeden z najbardziej niewybaczalnych dla Boga grzechów? Chociaż nie uczyniliby tego świadomie, jak mogliby żyć, kiedy by się dowiedzieli? Wszystkim tym kłębiącym się w jej głowie myślom towarzyszyła także ta niewygodna świadomość: niemal pragnęła się z nim spotkać. Ogarniała ją panika, że on rzeczywiście mógłby tam być.



Mówiła sobie: „Co, jeśli on tam jest? Co, jeśli go zobaczę? Jeśli będę musiała stawić mu czoło? Co mam powiedzieć? W jaki sposób? Dobry Boże! Pomóż mi! Tak bardzo potrzebuję teraz Twego wsparcia. Chcę go zobaczyć. Ale... Nie... Nie, nie sędzę. Nie, nie chcę go widzieć. Nie chcę go tu zastać. Och! Pomóż mi, Panie! Pomóż mnie i mojej córce!”. Chociaż nie mogła przyznać sama przed sobą, jak bardzo pragnęła go widzieć, nie mogła też całkiem zdusić w sobie matczynych uczuć. „Burak Pasza – myślała – Sześciopalczy Burak Pasza, jej syn... krew z jej krwi i kość z jej kości”. Przed oczyma stanął jej obraz niewinnych dziecięcych rączek, wyciągających się do niej. Z goryczą przypomniała sobie szósty palec. Zadrżała na wspomnienie sakiewki złota, którą przyniosła z powrotem Alegria, gdy oddała dziecko całkiem obcym ludziom. Rachela czuła, że w tej chwili była gotowa zapłacić każdą cenę za inne dziecko – ukochaną córkę Esterę.

Ogarnęły ją tak silne emocje, że robiło jej się słabo i kręciło w głowie. Nagle przypomniała sobie, dlaczego właściwie stoi przed domem kiry i niemal zadławiła się paniką i strachem. Nie miała wiele czasu do stracenia. Zaczęła niecierpliwie walić w drzwi. Nie korzystała już nawet z kołatki, szaleńczo tłukła w stare drewniane skrzydła gołymi pięściami. Czuła się jak zapędzone w kąt zwierzę.

– Proszę... proszę, Boże! – mówiła do siebie. – Zmiłuj się nad moją duszą... Zmiłuj się nad moją córką... Jest taka młoda... Taka niewinna.

Ale nie mogła zmusić się do modlitwy za własnego syna. Przyszła tu ratować córkę, ocalić ją przed niewybaczalnym grzechem. Drewniane wrota otwały się powoli.

Kira była szczerze zaskoczona widokiem Racheli stojącej na jej progu. Była to ostatnia osoba, której by tego dnia oczekiwała. A ta, ignorując wszelkie zasady uprzejmości, rzuciła się na kobietę z krzykiem:

– Gdzie ona jest?  
– Gdzie jest kto, doño Rachelo? – spytała zaskoczona kobieta.  
– Estera! O nią pytam! Gdzie jest Estera?  
– Przysięgam, że od tamtego dnia jej nie widziałam ani z nią nie rozmawiałam. Nie ma jej tutaj. Co się stało? Coś złego?

Rachela nie zwracała najmniejszej uwagi na słowa kiry. Jak

szalona biegła przez dom, zaglądając do każdego pokoju. Była pewna, że jej córka jest za jednymi z tych zamkniętych drzwi.

– Gdzie oni są? – wrzasnęła. – Powiedz mi, natychmiast! Gdzie oni są?

Kira jeszcze raz spróbowała z nią porozmawiać:

– Proszę się uspokoić, doño Rachelo – powiedziała. – Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Estera musi być gdzie indziej. Może w domu swojej siostry. Sprawdzaliśmy tam, pani?

– Wiem w głębi serca, że jest z nim – upierała się Rachela.

– Proszę usiąść na chwilę – rzekła Kira. – Proszę usiąść i się uspokoić. Obiecuję, że powiem wszystko, co mi wiadomo.

Rachela opadła na kanapę.

Kira mówiła do niej uspokajająco:

– Nie ma powodu do zmartwienia. Proszę mi uwierzyć, nie ma się czym trapić. Nie powinnam tego robić, ale powiem, bo naprawdę się o panią martwię. Jeżeli pani nie powtórzysz nikomu, podzielę się ważną tajemnicą.

Rachela w milczeniu skinęła głową i skupiła całą uwagę na kobiecie.

Jak gdyby ktoś inny mógł usłyszeć, Kira usiadła blisko niej i pochyliła się do jej ucha.

– Burak Pasza wyruszył na Węgry dzisiaj przed świtem – wyszeptwała. – Taki był rozkaz sułtana. Kto wie, kiedy wróci? O ile w ogóle...

– Uważasz, że może nie wrócić? – spytała.

Kobieta uniosła ręce i wzruszyła ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: „A kto to wie?”.

– A co z Esterą? – spytała Rachela.

– Doño Rachelo! Czy naprawdę uważa pani, że pasza pociągnąłby swoją córkę za sobą na pole bitwy? Mówiłam już! Jestem pewna, że przebywa u swojej siostry. No, już... proszę wrócić do domu. Nie ma powodu zamartwiać się o Kirâze... o Esterę.

Rachela sama nie była pewna, czy poczuła jakąś ulgę na wieść o nowych zdarzeniach, które zapadły jej w serce. Zastanawiała się także, czy będzie jeszcze miała okazję zobaczyć syna. Czowała się rozdarta

między dwojgiem swoich dzieci i nie wiedziała, co myśleć.

Wstała, by odejść. W drodze do drzwi sięgnęła po sakiewkę przywiązaną do paska i podała kirze garść złotych dukatów.

– Prosiłabym dla siebie o ostatnią przysługę – powiedziała, drżąc. – Proszę... – zamilkła, przełknęła ślinę, jakby trudno jej było mówić. – To znaczy, to znaczy... Nie mów Esterze, że odjechał.

Kobieta skinęła głową na znak zgody. To jednak Racheli nie wystarczyło.

– Musisz przysiąc – nalegała. – Musisz przysiąc na świętą księgę.

Chociaż kira nie mogła zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, smutek na twarzy Racheli wystarczył, by się zgodziła.

– Przysięgam – powiedziała i pocałowała krzyż, który miała zawieszony na szyi. – W imię Jezusa Chrystusa przysięgam, że nie powiem o tym Esterze.

Tym razem Racheli schodziła ze wzgórza równym krokiem, uspokojona, ale z wyrazem wyczerpania na twarzy przypominającej maskę. Poszła prosto do domu i czekała. Miała przecież przyjść Estera, a ona wiedziała, że wróci ze złamanym sercem.

I się nie omyliła. Estera rzeczywiście wróciła. Cicho otworzyła bramę na podwórze. Racheli i Mosze nie spali, czekając na córkę. Zrobiła się już północ. Mosze chciał wstać, ale żona mu nie pozwoliła. Położyła mu palec na ustach, żeby nie robił zamieszania. W pełni jej ufał. Dotrzymał obietnicy, którą nabożnie złożył przed laty rabinowi. Jeśli Racheli nie miała chęci podzielić z nim czegoś, nie nalegał.

Usłyszeli skrzypnięcie zamykanych przez Esterę drzwi.

Racheli, mimo że nie dochodził do niej żaden odgłos, była pewna, że córka płacze.

Esteri rzeczywiście płakała. Szlochała z twarzą ukrytą w poduszce. Czuła się poniżona. Wśród wielu obcych marynarzy na przystani czekała na zaufanego człowieka Buraka Paszy, który miał przyjść po nią, ale niestety – na próżno. Pasza ją zdradził, zabawił się nią, oszukał. Ocierała wargi, jakby chciała z nich ślady jego ust. „Obyś umarł, Buraku Paszo – modliła się wśród szlochu. – Mam nadzieję, że umrzesz... i ja to zobaczę!”

W sąsiedniej sypialni Racheli wciąż nie spała. Miała wrażenie,

że w jej sercu panuje ciemność czarniejsza od bezksiężycowej nocy za oknem. Nie słyszała ostatnich słów Estery, ale czuła jej ból jak własny. Jak życie mogło być tak okrutne?

18 MARCA 1532 ROKU

**Loara**

Franciszek był ogromnie znudzony, męczyły go już wojny bez znaczenia i polityczne manewry. Przyglądając się otoczeniu zamyślonym wzrokiem, podążał na swym koniu w stronę potężnych pni kilkusetletnich wiązów. Obok niego ciemnozielone wody Loary płynęły zakolami. Cienkie żółte trzciny potężniały dzięki świeżym zielonym pędom. Dalej dwóch chłopców wychylało się ze starego kamiennego mostu, by łapać ryby, a wśród odległych pól kobiety i mężczyźni gięli grzbiety, pośpiesznie przygotowując budzącą się ziemię na nowy siew.

Ściągnął cugle, by zwolnić krok konia z białą strzałką na nosie, pochylił się i pogładził go po lśniącym kasztanowym boku. Dwie wiewiórki o puszystych ogonach siedziały tuż przy jednym z drzew. Franciszek starał się wstrzymać oddech, by ich nie spłoszyć, ale od razu zauważyły obcych. Ich lśniące czarne oczka rozszerzyły się ze strachu i stworzonka natychmiast znikły pośród gęstwiny młodych liści. „Samiec i samiczka – pomyślał król. – A gdybym tak ja był wiewiórką? Wtedy jedynym moim celem byłoby znalezienie orzecha lub żołędzia do obgryzania. Wędrowałbym, dokąd dusza zapragnie, byłbym wolny, korzystałbym z przyjemności życia”. Westchnął głęboko i rozmarzony wpatrywał się w błękitne skrawki nieba prześwitujące między gałęziami, które w tej chwili wydawały się martwe. Jednak tysiące maleńkich listków bardzo niedługo miały wybuchnąć zielenią. Matka Natura znajdowała się na progu kolejnego owocnego porodu, w pokoju i harmonii.

– Cóż za imponujący widok, Piotrze – powiedział do znajdującego się przy nim dowódcy kawalerii.

– Słucham, Wasza Wysokość? Nie dosłyszałem.

– Nieważne, Piotrze, nieważne. Po prostu myślałem na głos. To wszystko.

Na czele jechał król z dowódcą kawalerii, za nimi pozostali żołnierze. Królewski konwój zdązał powoli przez błotnisty grunt. Jedynym dominującym głosem pozostał głos natury, ćwierkanie ptaków, szum rzeki, szelest liści...

W oddali rozzwonił się kościelny dzwon.

– Niedługo Henryk ogłosi powstanie Kościoła anglikańskiego, jak sądzę – mruknął Franciszek. – Moore, Wolsey, a teraz Cromwell... Sytuacja w Europie już całkiem się skomplikuje. Nowy Kościół, wbrew papiestwu?

– Cóż, nie jest łatwo pojąć szalone postępowanie króla Henryka VIII. A wszystko po to, by rozwieść się z hiszpańską żoną. Muszę przyznać, iż jestem ogromnie ciekaw tej Anny Boleyn.

– Zakładam, że głównym powodem nie jest jej uroda. O ile mi wiadomo, Henryk może się ożenić jeszcze kilka razy i na pewno to uczyni. Dlaczego by nie? Jednak nie sądzę, żeby przyczyną jego działania było jedynie małżeństwo. Podstawowy cel to przejęcie władzy nad klasztorami oraz kościołami... I dołożenie dukatów do swego skarbu, nieustanny przyływ pieniędzy do królestwa. A na razie jego czyn ukaże go wszystkim jako poplecznika Lutra, a to może być niebezpieczna pułapka.

– Rzeczywiście, mój panie, na Wyspie wydają się panować ciężkie czasy.

– Piotrze, moim zmartwieniem jest... Obawiam się, że nasze państwo czekają podobne trudności. Wszystko się zmienia z niezwykłą prędkością, a ten, kto nie będzie potrafił nadążyć, przegra. Mimo tej prawdy większość naszego gabinetu jest przeciwko reformistycznym republikanom. Jeżeli znajdą taką możliwość, z pewnością ograniczą działalność grupy waldensów<sup>[74]</sup>. Ja również jestem katolikiem, ale nie podzielam opinii, że republikanie są zagrożeniem dla systemu. Ich poglądy nie spowodują końca Kościoła. Wierzę, że jesteśmy świadkami, a także, rzecz jasna, uczestnikami ostatniego rozdziału w historii rządów europejskich rodzin królewskich na kontynencie. Niedługo staną się na zawsze częścią przeszłości. Powinno się próbować nowych sposobów, nowej formy rządów. Oni jednak nie chcą przyjąć takiej opcji. Pragną zniszczyć wszelką opozycję. Nie wiem, jak długo uda mi się zapobiegać krwawej walce.

– Gabinet nie wykona ruchu bez zgody Waszej Wysokości. A poza tym Europa już wkrótce będzie musiała stawić czoło wielkiemu zagrożeniu. Kto podjąłby takie ryzyko?

– Masz oczywiście rację, Piotrze. Tak... Zbliża się lato, a to oznacza znów walkę.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. W ocienionych miejscach panował chłód, ale powietrze było rześkie na tyle, że zapierało dech w piersiach. Stado spłoszonych ptaków przeleciało w nowe miejsce, na sąsiednim drzewie. Franciszek przyglądał się im z dużym zainteresowaniem. Kopyta koni ślizgały się na gnijących liściach.

– Jak sądzisz, Piotrze, czy dobrze postąpiliśmy? Czy Turcy mogą być źli na nas, że pozostaliśmy neutralni podczas oblężenia Wiednia?

– Cóż, panie, nie mogę czynić przypuszczeń. Jest oczywiste, że neutralność była naszym jedynym wyborem. Nawet protestant Luter wygłaszał mowy potępiające Sulejmana. Cały świat chrześcijański był jednomyślny w sprawie oblężenia Wiednia. Przynajmniej nie dołączyliśmy do sojuszu. Nie było też możliwe stanąć po stronie sułtana i przecież on tego od nas nie oczekiwał.

– Mam taką nadzieję, Piotrze, naprawdę. Wenecja także trzymała się z dala, nie stanęła po stronie Karola V.

– A cóż innego mogła zrobić? Dla sułtana osmańskiego jest tylko małym kąskiem. Dla mnie najbardziej interesująca była skierowana do ciebie propozycja współpracy ze strony niemieckiego cesarza Karola.

– Powiedzmy, że może więcej niż interesująca. To było zaskoczenie!

Piotr pokiwał głową.

– Od teraz Węgry są pod całkowitą kontrolą Sulejmana, ostateczna próba odzyskania Budy przez Ferdynanda zakończyła się porażką. Trzy tysiące janczarów z twierdzy w Budzie pod dowództwem Zapolyi i tego Wenecjanina, Grittiego, któremu sułtan polecił kontrolę nad Zapolyą, rozgromiło Ferdynanda bez najmniejszego trudu.

– Gritti! Widzisz, Piotrze, ci Wenecjanie są bardzo sprytni, doskonale znają wszelkie polityczne sztuczki.

– Tak. Postępują nader rozsądnie. Ferdynand nigdy już nie odzyska władzy nad Budą, nawet gdyby zaoferował pięć galeonów pełnych złotych dukatów.

– Jestem pewien, że Sulejman zamierza ukarać Ferdynanda, brata Karola V, za to pięćdziesięciosiedmiodniowe oblężenie Budy. Nie

zapomni. Za miesiąc lub dwa armia muzułmańska znów wkroczy do Europy. Zresztą jego lekka kawaleria nigdy nie opuściła tamtych okolic. Wszędzie rabują, nawet w środku Niemiec. Pokonać janczarów jest bardzo trudno.

– Twoja polityka jest najlepsza, panie. Pozostawanie w dobrych stosunkach z Osmanami pozwala nam unikać tego rodzaju niebezpieczeństw. A poza tym nie byłoby możliwe prosić o kapitulację<sup>[75]</sup>, których tak bardzo potrzebujemy. Sulejman jest niemal gotów przyjąć nasze żądania i podpisać traktaty. To jest nawet lepsze niż wojenne zwycięstwa. Karol V wciąż rzuca sułtanowi wyzwania, ale do walki nie staje.

– Szkoda, że tego nie robi, dostałby nauczkę, a nam wyszłoby na dobre.

– Francja miałaby wszelkie powody świętować to z największą radością.

Franciszek miał wiele kłopotów z Karolem, od kiedy nosił koronę Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Wiele lat temu, aby uniknąć konfliktów, zaręczył z nim swoją córkę, ale okazało się to bezużyteczne. Osoba na tronie nie ma przyjaciół ani krewnych. Rządzenie wymaga silnych nerwów i nie tylko wzrok, ale i pozostałe zmysły musiały być ślepe na wszystko wokół. Franciszek zdawał sobie z tego sprawę. Natomiast Karol był symbolem potęgi i zachłanności. Pragnął władać Hiszpanią, Niemcami, a nawet Austrią, walczył o panowanie nad całą Europą. Wreszcie udało się mu wyszarpnąć koronę Świętego Cesarstwa Rzymskiego z rąk papieża.

Franciszek został ranny podczas wojny we Włoszech i, ujęty przez Karola, spędził rok w więzieniu w Madrycie, ale mimo nacisków nigdy nie zgodził się na przekazanie mu swojej prawowitej władzy nad Francją. Powrócił w końcu do Paryża z bólem w sercu, gdyż zmuszony był pozostawić Karolowi dwóch ze swych synów jako zakładników. Gdyby dwa lata temu ciotka Karola Margaret z Habsburgów i matka Franciszka Louise Savoie nie zawarły „porozumienia kobiet”, może nigdy nie zobaczyłby już swych dzieci. Aby przypieczętować postanowienia traktatu, z niechęcią poślubił siostrę Karola Eleonorę, małżonkę zmarłego króla Portugalii.



Przed nimi znajdował się niewielki, pomalowany na żółto stary klasztor. Franciszek popędził wierzchowca.

– Odpocznijmy tam przez chwilę, Piotrze – powiedział.

Smagnęli konie. Będący na dziedzińcu księża w czarnych szatach dostrzegli nadjeżdżającego króla i pośpieszyli poczynić przygotowania, by podjąć go z szacunkiem.

Jednak Franciszek pragnął tylko pomodlić się o godne i spokojne życie. Gdyby miał możliwość szczerze wyznać, że jest już zmęczony panowaniem, kto by mu uwierzył?

18 PAŹDZIERNIKA 1532 ROKU

**Badenia**

Sulejman, który opuścił Sambuł ze swoimi licznymi wojskami w końcu kwietnia, przez trzy miesiące poszukiwał w Europie Karola. Mimo wsparcia ze strony europejskich królów i rycerzy władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego wciąż obawiał się stanąć z nim do walki. Ferdynand wraz z bratem wysyłali swych dyplomatów do namiotu sułtana z poważnymi propozycjami finansowymi, ale wszystkie kategorycznie odrzucono. Za to francuski poseł, który przybył w tym samym czasie, został przyjęty po królewsku, z bębniami, fajerwerkami i cennymi podarunkami dla całej delegacji. Sami byli tym zaskoczeni. A dwaj posłowie, którzy byli świadkami tego przesadnie uroczystego przyjęcia ze strony sułtana, odjechali z pewnym wyobrażeniem, jaką pozycję ma Franciszek w oczach dworu osmańskiego.

Kiedy po tym wydarzeniu Sulejman zorientował się, że jego rywale nie zamierzają stanąć do walki, wysłał do dwóch królów poważne, pełne wymówek listy ostrzegawcze, jednak od żadnego nie doczekał się odpowiedzi. Zmuszony więc został do powrotu do Sambułu przed nadejściem zimy. Odjeżdżał spokojny, gdyż pozostawiał tutaj lekką kawalerię i inne formacje swego wojska.

Burak Pasza był wśród żołnierzy już od trzech lat. Miał świadomość, że nie może powrócić do Sambułu, o ile nie rozkaże tego sułtan. Jednak wcale tego nie pragnął. Nie tęsknił już za niczym i nikim. Każdego dnia igrał ze śmiercią, a jego myśli krążyły wyłącznie wokół

spełniania obowiązku. Pędząc na koniach, jego ludzie zabijali po drodze, palili wioski i wszystko, co znalazło się w polu ich widzenia. Na dźwięk imion jeźdźców wszyscy Europejczycy drżeli z przerażenia. Ci czarnoocy mężczyźni emanowali wielką siłą. Ich hasło brzmiało: „Będziemy brać głowy lub oddamy nasze”. I taka była straszliwa prawda, a tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci zostało zamordowanych od ich strzał i szabli. Zostawiali po sobie ruiny i rozpacz, spalone domy, kościoły i stosy ciał...

Wydawało się, że Sześciopalczyk postradał rozum po otrzymaniu ze Stambułu wiadomości od jednego z ostatnio przybyłych na wyprawę – zmienił się w narzędzie śmierci. Jego serce nie знаło już litości. Nie czyniąc różnicy między młodymi a starymi, mordował każdego, kto przed nim stanął, czym zdumiewał nawet własnych ludzi. Przed trzema dniami jednemu z nich obciął głowę machnięciem szabli. Wszyscy uważali, że bezpodstawnie, zamordowany zgwałcił tylko młodą giaurkę, jak zwykle. Ale nikt nie miał odwagi przeciwstawić się paszy, a zwłaszcza Burakowi Paszy.

Robiło się coraz chłodniej, nocami chwycił już słaby mróz. Czasami deszcz padał nieprzerwanie przez tydzień. Zazwyczaj sypiali między końmi, nie stawiając namiotów. Byli już zmęczeni, jechali, nie znając miejsca przeznaczenia. Ruszali w nieznaną, bez celu, gdzie czekały ich krew, płomień i krzyki... Szalone Wojska Osmanów parły przed siebie, w pełni zasługując na tę nazwę.

W przypadku Buraka było to więcej niż szaleństwo, był to kompletny obłąd. Sześciopalczyk miał kłopoty ze snem. A jeśli zdarzyło mu się zamknąć oczy, budził się spocony z powodu koszmarów. Paliły go wściekłość i zazdrość. Kirâze poślubiła innego po jego odjeździe ze Stambułu. Nie czekała na niego. Dlaczego nie czekała? Czy to możliwe, by kira nie powiadomiła jej o wyprawie? Nie, tego by nie zrobiła ta stara kobieta. Przed opuszczeniem Stambułu zapłacił jej wiele dukatów, by wyjaśniła Kirâze powód, dla którego musiał odjechać bez słowa.

To Kirâze! Zdradziecka, bezlitosna, perfidna. Kirâze! Takie były kobiety... Poznał w końcu prawdę. Gdyby zdradził go mężczyzna, wiedziałby, co robić; udusiłby go własnymi rękami, natychmiast, albo

ściąłby mu głowę sztyletem, oddzielając ją od torsu. Ale kobieta... Co mógłby zrobić kobiecie, niewiernej kobiecie? Co? Mógł chwycić ją za krucze włosy, aż te czarne jak węgiel oczy okolone długimi rzęsami rozwarłyby się ze strachu! Jej pełne, czerwone wargi z pewnością by drżały. Potem krzyknęłyby: „Ty suko, suko!”. A potem... Tu rzeczywistość mieszała się w jego umyśle ze snami. Przyciągał ją do siebie brutalnie, szaleńczo przyciskał wargi do jej ust, całował je, ssał, kąsał. Potem wciągał ją pod siebie, jego potężne ciało miażdżyło jej piersi, pośladki, biodra. Kirâze jęczała, jęczała...

Nawet gdy siedział na koniu, te obrazy przesuwały mu się przed oczami. Duże krople potu pokrywały mu czoło, krew w żyłach płynęła niekontrolowanym gwałtownym strumieniem, czuł rwący ból w każdej cząsteczce swego ciała i rozchodzące się z serca jakieś bolesne ciepło, które kierowało się do brzucha i niżej. W takiej chwili z jego ust wyrwał się dziki okrzyk:

– Weźmiemy ich głowy lub damy własne! Allah, Allah!

Każdy, kto słyszał ten ryk, wolałby zniknąć, zamiast stawić czoło temu, kto go wydał. Był to desperacki, samotny krzyk, pełen żądz zabijania i poniesienia śmierci.

Kto wie, który to raz Szalone Wojsko znów się znalazło na terenach położonych między Austrią a Niemcami. Cały dzień spędzono konno w drodze. W końcu wyczerpani jeźdźcy rozbili obóz, wokół nie było widać nikogo, ani dymiącego komina, ani żywej duszy.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wjechali więc do zagajnika, by odpocząć. Szaleni jeźdźcy w takiej liczbie nie mogli pozostać na równinie. Zanim zapadły nocne ciemności, drzewa otoczyła gęsta, wilgotna mgła. Czuli się jak w bajce o Babie Jadze. Jechali głębiej w las, nie widząc niczego przed sobą ani za sobą. Zapach butwiejących liści zmieszanych z ziemią rozwiewał się w świeżej woni świerków. Rozległ się dziki krzyk ptaka, a potem krzaki poruszyły się powoli.

Wszyscy chwycili za szable, byli w pułapce. Szalone Wojsko otoczyła niemiecka konnica. Zderzyli się pierś w pierś. Zewsząd dochodziły krzyki i wrzaski, oszalałe konie stawały dęba z głośnym rzeniem, a z ich nozdrzy buchała para. Nawet najdziksze ze zwierząt mieszkające w tej mglistej okolicy nie mogło dzikością dorównać

człowiekowi.

W ciągu godziny większość oddziału została wymordowana, z wyjątkiem kilku żołnierzy, którzy zdołali uciec. Prusowie przyglądali się stosom trupów. Pierś Buraka była rozcięta, leżał zwinięty niczym płód w łonie, krew płynąca z jego ust zaczynała już się ścinać. Olbrzymi mężczyzna z długimi jasnymi włosami kopniakiem odwrócił go na drugi bok.

– To on! – krzyknął. – Nareszcie trafił do piekła.

Mężczyzna stojący obok uniósł miecz:

– Weźmy jego głowę dla naszego cesarza.

– Nie, czeka nas długa droga, nie możemy wieźć tej zgniłej osmańskiej głowy, weźmy jego szablę i tarczę, do tego siodło.

Niedługo potem zwycięscy żołnierze śpiewając, opuścili las. Szabla Buraka zwisała z siodła jednego z nich, kołysząc się w rytmie końskiego galopu.

Po ich odjeździe zwierzęta, prawdziwi właściciele lasu, wyłoniły się z chaszczy, w których się ukrywały, przychodząc po należną im część uciętych głów, wypatroszonych brzuchów, odciętych rąk i nóg.

18 PAŹDZIERNIKA 1532 ROKU

**Balat**

Kirâze naprawdę wyszła za mąż. Następnego dnia po tym, jak we łzach czekała na Buraka, zgodziła się zaręczyć z od dawna starającym się o nią jubilerem Leonem i kolejnego lata się pobrali. Ich ślub odbył się w tym samym czasie, co ceremonie obrzezania synów sułtańskich. Na swój sposób zatem jakby cały Stambuł uczestniczył w weselu Nahmiasów i Sarfatich.

Podczas gdy oni przyjmowali gości w ogrodach jadłem i piciem, sułtan na cześć trzech księżątek przez całe dwa tygodnie żywił tamtejszy lud. Na okazjonalnych bazarach odbywało się wiele zabawnych przedstawień, a noce w Stambule rozświeślały fajerwerki. Zaślubiny Estery pozostały w pamięci wraz z tymi wspaniałymi wydarzeniami. Mimo że minęły już całe dwa lata, wszyscy nadal często o tym mówili z niesłabnącym entuzjazmem i zadowoleniem.

Wprawdzie nikt nie mógł dorównać bogactwu sułtana, jednak

klejnoty panny młodej były naprawdę niezwykle. Naszyjnik z osiemdziesięciu ogromnych rubinów oraz dopasowane do niego kolczyki wydawały się wszystkim kobietom wspaniałe. Od tamtej chwili do końca życia Kirâze nikt jej w nich nie widział.

Panna młoda była zadowolona z wystawności wesela i z zainteresowania, jakim ją otaczano, ale wciąż nie mogła powiedzieć, by odczuwała pełnię szczęścia. Tylko jej matka знаła przyczynę smutku kryjącego się w jej oczach, chociaż nigdy nie powiedziała na ten temat ani słowa. Począwszy od tego dnia, Estera zaczęła oddalać się od matki. Przypominało to chłodne stosunki między Rachelą a jej własną matką. Serce Racheli rozpadało się na kawałki pod naporem tej prawdy, miała jednak świadomość, że nic nie zdoła tego naprawić. Dla szczęścia swego dziecka zrobiłaby wszystko, z wyjątkiem jednej rzeczy – wyznania prawdy. To było niemożliwe. Dojmujący ból powoli wpędzał ją w wielki smutek. Zdając się na los, cierpiała w milczeniu.

Już sam fakt, że Estera wyszła za mąż, był dla niej w pewnym sensie ukojeniem. Dopóki ze ślubnej komnaty nie nadeszły dobre wieści, wciąż żyła w wielkim niepokoju, choć nie dawała tego po sobie poznać. Wreszcie się to skończyło. Dzięki Bogu, jej córka i ten drugi – nadal nie była w stanie użyć słowa „syn” – nie popełnili grzechu najbardziej niewybaczalnego. Po weselu Rachelą przez tydzień rozdawała biednym w okolicy jedzenie, aby okazać Bogu wdzięczność.

Teraz od zaślubin minęły ponad dwa lata. Wszystko wydawało się toczyć jak należy. Leon pracował uczciwie i odnosił sukcesy. Jego rodzina przywędrowała z Wenecji w 1515 roku. Kiedy Republika zmusiła Żydów do założenia specjalnych strojów i zamieszkania w gettach, sądząc, że dopadnie ich znów Inkwizycja, przed którą uciekli przed laty, nie namyślając się długo, wyemigrowali do Stambułu. Przeszli w życiu wiele, a to samo spotkało zasnę rodzinę Nahmiyasów.

Rachelą co dzień modliła się o szczęście córki i często środkowym palcem prawej ręki stukała w drewniane powierzchnie.

Jedną rzecz bardzo ją jednak niepokoiła. By sprzedawać biżuterię ze sklepu swego męża, Estera zaczęła odwiedzać pałac. Mimo aprobaty ze strony Soli wciąż się martwiła, że jej córka zostanie kirą<sup>[76]</sup>. Soli starała się ją uspokoić, mówiąc, że Estera będzie sprzedawać tylko

klejnoty wykonane przez swego męża, i to jedynie kobietom z Seraju. To nic w porównaniu z innymi kirami, które krążyły po mieście, pukając do każdych drzwi – ale to nie wystarczało, by uśmierzyć jej obawy. Rachela nigdy nie czuła podziwu dla Seraju i jego burzliwego życia, mimo całego luksusu i bogactwa, jakie się z tym wiązały. Jak kobiety mogły być szczęśliwe w takiej niewoli, nawet jeśli od stóp do głów były obsypane złotem? I jak kobieta, zamiast spokojnie siedzieć w domu z dziećmi, mogłaby być gotowa wejść do tej klatki, aby sprzedawać złoto? Rachela była także bardzo niezadowolona z tego, że wszyscy nazywali Esterę Kirâze. Nawet mąż tak się do niej zwracał. Może niedługo tylko ona jedna będzie używała imienia Estera?

A jednak nie miała siły, by wszystko zmieniać. Była tak zmęczona życiem, że nie stać jej było już nawet na słowo sprzeciwu. Zresztą co mogła powiedzieć? Wszyscy oprócz niej byli bardzo zadowoleni. W zeszłym tygodniu Leon wychwalał umiejętności swojej żony. „Więcej zarobi w tydzień niż my przez miesiąc”. Czasy się zmieniały i teraz, niestety, pieniądź był najważniejszy. Rachela nie mogła tego pojąć.

Zamknęła oczy i oparła się wygodniej, aby się nacieszyć ostatnimi promieniami jesiennego słońca. Z rezygnacją szepnęła do siebie: „Rachelo de Toledo, co zdołałaś zrozumieć, czego się nauczyłaś?”.

20 GRUDNIA 1534 ROKU

## **Harem sultański**

Hürrem z dziwnym brakiem zainteresowania patrzyła na biżuterię, którą przyniosła jej Kirâze. Leniwie zanurzyła w niej rękę, by wydobyć naszyjnik z pereł. Popatrzyła na niego z roztargnieniem. Widać było, że się czymś martwi. Chociaż Kirâze lubiano, wiedziała, że w trudnych sytuacjach nie powinna zadawać pytań.

– W tym ci będzie najbardziej do twarzy, moja sułtanko – powiedziała, jak gdyby nigdy nic. – To są perły z głębin Oceanu Indyjskiego.

Hürrem wzięła naszyjnik do ręki, chwilę pokołysała nim przed oczami i odłożyła na miejsce.

Tymczasem weszła niańka, trzymając w ramionach najmłodszego şehzade, Cihangira. Był to drobny, śniady chłopiec, który uśmiechnął się

na widok matki. Jednak Hürrem nie odpowiedziała na ten przejaw uczucia.

– O co znowu chodzi? – zapytała rozdrażniona.

– Najdroższa sułtanka, przed chwilą postawił dwa pierwsze kroki, chciałam...

Umieściła dziecko przed Hürrem, która nadal je ignorowała.

Kirâze osłupiała. Dość dużo już słyszała o kalectwie książątka, jednak nie była przygotowana na taki widok. Biedne dziecko miało mocno wygięte plecy, jego szyja była niemal niewidoczna, a ręce i nogi przypominały pęki powykrzywianych trzcin. Ogarnęła ją odraza. Z pewnością lepiej byłoby umrzeć, niż urodzić takie dziecko. Patrzyła na Hürrem, usiłując gorączkowo ukryć swe uczucia. Na moment ich spojrzenia jednak się spotkały. Kirâze poczuła, że Hürrem się wstydzi, nie potrafiła przyjąć tego niesprawiedliwego daru Bożego. Hürrem, kobieta, która owinęła sobie wokół palca sułtana imperium osmańskiego, była bezradna niczym kukła, i taki był owoc jej płodności – pełna klęska. Nie miała potrzeby go widywać.

A Cihangir uśmiechał się niewinnie do matki, śliniąc się i postępując w jej stronę.

Niania go zachęcała:

– No, jeszcze jeden kroczek, jeszcze jeden kroczek – dodawała mu odwagi.

Kiedy jednak wypuściła go z rąk, kaleki chłopiec natychmiast upadł. Opiekunka chwyciła go, mówiąc:

– Mój piękny książę jest taki sprytny. Niedługo będzie mówił. Dużo słów wymawia doskonale. Powiedz „mama sułtanka”, moje książątko. Proszę, powiedz. Ma-ma-suł-tan-ka.

Cihangir, obejmując swoimi dziwaczными ramionami szyję niani, z ciekawością przyglądał się matce wielkimi oczami.

– Mama sułtanka – powtórzył bardzo powoli.

Hürrem, której bardzo spodobało się to, co usłyszała, rozkazała:

– Podaj mi şehzade.

Kobieta przekazała dziecko leżącej na aksamitnych poduszkach sułtance. Haseki Sultan<sup>[77]</sup>, dzwoniąc bransoletami, posadziła obok siebie Cihangira.

– No, powtórz to – powiedziała. – Matka sułtanka.

Mały şehzade utkwiał wzrok w bransoletkach matki i starał się je chwycić. Hürrem zdjęła jedną z nich i pomachała mu nią przed oczami.

– Jeśli znowu powiesz ma-ma-suł-tan-ka, dam ci ją – zachęcała.

– Proszę, mój şehzade – mówiła niania – powiedz ma-ma-suł-tan-ka.

– Mama sułtanka – wyszeptał ze strachu czy też onieśmielenia Cihangir i się rozplakał. Matka pochylała się nad nim, by go uspokoić, ale odepchnął ją i odwrócił się do niani, wyciągając do niej zdeformowane ramionka.

– Weź go i ucisz – rozkazała Hürrem. – I nie przynoś go znowu bez mojego rozkazu.

Kiedy kobieta zabrała dziecko i wybiegała z salonu, Haseki Sultan, czy inaczej Roksolana, nałożyła na rękę zdjętą przed chwilą bransoletkę.

Kirâze w ciągu pięciu minut dowiedziała się dużo o żonie Sulejmana. Słabostki i ambicje Hürrem ujawniły się w jednym czasie.

– To Bóg każe mu mówić te słowa, moja sułtanko – powiedziała.

Hürrem nie zareagowała, wyjęła ze skrzynki inny naszyjnik.

– Kirâze, czy odwiedzasz także inne haremy?

– Bardzo rzadko, moja sułtanko, oprócz haremu sułtańskiego dwa razy byłam w haremie wielkiego wezyra i kilka razy w haremach innych wezyrów, to wszystko.

– A u Ibrahima Paszy?

– Tak, ale jak mówiłam, tylko raz.

– Pomówię z Hatice Sultan, żeby znowu poprosiła o twoje przyjście, ona uwielbia biżuterię.

– Niech ci Bóg błogosławi, moja sułtanko.

– Ile to kosztuje, Kirâze?

– Nie jest bardzo drogi, tylko sto pięćdziesiąt akçe.

Hürrem odłożyła naszyjnik z powrotem do skrzynki.

– Mogę ci zapłacić więcej, Kirâze, czterysta, nawet pięćset akçe...

Kobietę wprawiło to w zdumienie, nie mogła pojąć, co Hürrem ma na myśli, spojrzała więc pytającym wzrokiem.

– I nie chcę od ciebie niczego...

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, moja sułtanko.



– Pójdź do Ibrahima Paszy, dowiedz się, co u niego mówią o ŝehzade Mustafie. Zadbam, żebyś niedługo odwiedziła jego harem.

Kirâze zamyśliła się na chwilę, ale jak mogłaby odmówić sułtance? Poza tym zadanie nie było tak trudne, jakby się wydawało. Wystarczy, że zada sprytne pytania, mogłaby też sprzedać co najmniej dwa albo trzy klejnoty, nie licząc tego, co Hürrem miała jej zapłacić za tak ważną usługę.

Kirâze uklękła przed żoną sułtana.

– Co tylko rozkażesz – powiedziała. – Oby Bóg dał ci długie życie.

**Galata**

Kiedy doktor Çiprut ujrzał przed sobą Sześciopalcego Paszę, był tak uszczęśliwiony, jakby przypadkiem spotkał drogiego starego przyjaciela. Z trudem powstrzymał się od uściskania go. Chociaż Burak stracił sporo na wadze, jak na to, co przeżył, wyglądał zdrowo.

– Cieszę się, widząc cię znowu w dobrej kondycji, mój drogi paszo – powiedział doktor. – Dzięki Bogu żyjesz mimo tych wszystkich nieszczęść.

Burak Pasza rzeczywiście miał za sobą niebezpieczne chwile. Inny na jego miejscu z pewnością by już nie żył. Dlatego też oprócz przydomku Sześciopalcy zyskał drugi, O Dziewięciu Duszach. Kurował się przez całe dwa lata.

Nie wiedział dokładnie, jak długo leżał nieprzytomny w lesie, gdzie zwabiono ich w pułapkę, a potem w Budzie. Może cztery miesiące, może sześć. Tego dnia jeden z żołnierzy z jego oddziału zdołał się ukryć w gęstej mgle, wrócił po odjeździe Niemców, aby wybadać sytuację. Ale żywych nie znalazł. Kiedy spostrzegł zalane krwią ciało Buraka, nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby żyć, ale że nie miał serca pozostawiać w takim miejscu ulubionego paszy sułtana Sulejmana, nawet martwego, postanowił zanieść go do oddalonej o godzinę drogi wioski, która nadal pozostawała pod ich kontrolą. Pewna stara kobieta zauważyła, że serce Buraka wciąż bije, i opatrzyła mu rany. Potem pogrążony w śpiączce odwieziony został do Budy. Wenecjanin Gritti wiedział, ile Burak znaczył dla wielkiego wezyra i dla sułtana, rozkazał więc lekarzom, by zrobili, co w ich mocy, aby go ocalić, lecz

przekraczało to ich umiejętności. Mimo wielkich wysiłków Burak wciąż leżał nieprzytomny. Wszyscy byli przekonani, że jest już w drodze na tamten świat. Jednak życie zaskakuje cudami. Pewnego dnia otworzył oczy i poprosił o wodę, co wielce uradowało medyków.

Widząc mężczyznę chodzącego, lekarze cieszyli się, jakby mieli przed sobą dziecko stawiające pierwsze kroki. Był to prawdziwy cud. Powrócić do życia po tak ciężkich ranach to rzecz naprawdę niezwykła. Po sześciu miesiącach Burak Pasza, kiedy miał się już lepiej, na rozkaz sułtana został przewieziony do szpitala w Edirne i poddany dalszej kuracji. Odwiedził go tam sam sułtan i Ibrahim Pasza. A teraz Sześciopalcy powrócił do stolicy, i to na koniu.

Doktor Çiprut zbadał go starannie.

– *Ma allah*, mój paszo – powiedział. – Jesteś w jeszcze lepszym zdrowiu niż przedtem. Nikt nie zgadnie, że tak długo byłeś na granicy śmierci, dopóki nie zobaczy blizny na twoim boku.

Pasza próbował się uśmiechnąć; rany na jego ciele zagoiły się, ale rany duszy wciąż były świeże. Był bardzo milczący i wydawało się, że nie mówi i nie śmieje się tak chętnie jak kiedyś. Jego rekonwalescencja zakończyła się, ale duch pozostał nieuleczalnie chory. Bezczynność, zwłaszcza w Stambule, gdzie nie istniało nic, co mogłoby go zająć, była teraz dla niego istną torturą. To miasto zadawało mu więcej bólu niż odniesione rany. Nie był już panem swoich myśli i nie panował nad emocjami.

Jego wizyta u doktora wynikała z tego stanu psychicznego. Nogi same go tu poniosły. A teraz siedział przed nim bez słowa.

Doktor starał się zagaić rozmowę, ale to nie pomagało. On także nie wiedział, co ma myśleć czy robić. Nagle pasza dziwnym głosem zapytał:

– Jak się miewa twoja rodzina?

Doktor Çiprut uśmiechnął się zmieszany.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Burak dalej zadawał dziwne pytania.

– Jak się mają dzieci?

– Dzieci? Niestety, nie mam własnych dzieci, zresztą już za późno, ale niedługo jedno będziemy mogli powitać, siostra mojej żony oczekuje

dziecka. Cała rodzina już się niecierpliwi.

Twarz Buraka Paszy nagle poczerwieniała. Wstał.

– Pójdę już – pożegnał się. – Jeszcze wpadnę.

Doktor odprowadził go do bramy, a gdy ją zamknął, z podziwem pokręcił głową.

Pasza wyszedł z domu szybkim, stanowczym krokiem, trawiony zazdrością i bólem. Chciał czym prędzej opuścić to miejsce.

12 MARCA 1535 ROKU

## Bagdad

Turcy nazwali Belgrad Dar-ül Cihad<sup>[78]</sup>, a Bagdad – Dar-ül Islam<sup>[79]</sup>. W dawnych czasach wierzono, że Bagdad to szczęśliwe miasto, założone przy najbardziej pomyślnym układzie gwiazd. Otaczały je grube mury ze stu pięćdziesięcioma wieżami, a mury okrężały szerokie fosy, umożliwiające zatrzymanie wroga. Wszędzie dookoła rosły drzewa cytrusowe o ciemnozielonych liściach kontrastujących z pomarańczowymi owocami, a także palmy daktylowe o liściach postrzępionych jak frędzle. Rzeka Tygrys otaczała miasto niczym łuk z północy na południe, a jej wody szumiały dzień i noc. To zamożne miasto miało cztery główne bramy, ale najsłynniejsze były Brama Jasna i Brama Ciemna. Karawany kupców przybywających do Bagdadu i opuszczających go były równie niezliczone, jak jego święte miejsca, meczety o krągłych kopułach i grube, charakterystyczne minarety, wznoszące się ku niebu pomiędzy bielonymi domami o płaskich dachach.

Bagdad poddał się, gdy tylko Sulejman stanął ze swą armią u jego bram, a teraz osmański sułtan, kalif muzułmanów, otrzymał kolejny tytuł, pana Bagdad-i Dar-ül Islam.

Armia pozostała tam przez dwa miesiące. Sułtan rozkazał całkowicie odnowić miasto. Każdego dnia odwiedzał jedno ze świętych miejsc. Słynny poeta Fuzuli przyszedł do niego, aby odczytać poemat ku czci Bagdadu, a sułtan nagrodił go cennymi podarkami.

W mieście było wiele zrujnowanych budynków, które miały zostać odbudowane, ale marzeniem Sulejmana było odnalezienie grobowca Abu Hanifiego, założyciela szkoły hanafickiej. Jednak mimo jego

wszelkich wysiłków pragnienie to pozostawało niespełnione.

Sulejman doczekał się spełnienia marzenia. Znaleziono grób Imam-i azam. Tak naprawdę wydarzenie to stało się w końcu ciekawą opowieścią.

Jak wieść niosła, dawno temu jeden ze strażników grobowca śnił raz, że Abu Hanifi rozkazał mu chronić swoje martwe ciało przed rękami tych, którzy nie mają dlań szacunku. Strażnik obudził się z tą ważną wiadomością, po czym natychmiast wymienił święte ciało na zwłoki niemuzułmanina, które ukradł z chrześcijańskiego cmentarza. Ciało Abu Hanifiego zaniósł w nieznane miejsce. Następnego dnia jego sen się sprawdził. Grobowiec został podpalony.

Kiedy Ibrahim Pasza usłyszał tę historię, zawiadomił sultana, że w tym wypadku jego życzenie będzie bardzo trudno spełnić. Władca jednak wciąż miał nadzieję, a Taşkinowi, mistykowi, którego wyznaczył do tego zadania, polecił przeszukać każdy zakątek Bagdadu, by odnaleźć święte ciało, o ile istniało nadal.

Taşkın przetrząsnął wszystkie zakamarki Bagdadu i w końcu odkrył prawdziwy grobowiec. Gdy robotnicy kopali w peryferyjnych dzielnicach miasta, z ziemi zaczął się nagle wydobywać rozkoszny zapach. Kto inny mógł wydzielać podobną świętą woń, jak nie Abu Hanifi? Podniecony Ibrahim Pasza własnymi rękami rozgarniał ziemię i wdychał najwspanialszy zapach na świecie. Kiedy kalif usłyszał szczęśliwą nowinę, ukląkł, by podziękować Bogu za jego łaskawość, po czym pospieszył odwiedzić świętą duszę. Nie ulegało wątpliwości, że było to miejsce ostatniego spoczynku Abu Hanify. Sulejman natychmiast rozkazał postawić grobowiec równie wspaniały jak sam zapach. Wkrótce został ukończony i jego brama stała otworem dla niecierpliwych pielgrzymów.

To niezwykle wydarzenie wywarło ogromny wpływ na janczarów. Przypomniało im o odkryciu przez Mehmeda II Zdobywcę w czasie oblężenia Konstantynopola grobu innego świętego, Eyüpa Sułtana. Zatem grób imama Abu Hanify nie został zniszczony. Dzięki Allahowi znaleziono zwłoki, przez co Sulejmanowi przypadło zbudować mu türbe, czyli grobowiec. Sułtan Fatih wzniósł meczet dla uczczenia pamięci świętego Eyüpa Sułtana, a pochodzący z tego samego rodu Sulejman

postawił grobowiec Abu Hanifie, dowodząc, że jest godnym potomkiem. „Ach, niezbadane są wyroki Allaha” – mówiono.

Chociaż niektórzy wichrzyciele usiłowali namieszać im w głowach, twierdząc, że cała ta historia była sztuczką mającą odwrócić uwagę janczarów, którzy od miesięcy stali poza Stambułem bez walki z jednym choćby wrogiem, i byli już gotowi do buntu, skoro nie otrzymywali zwykłych łupów i nagród. Jednak wszyscy tacy plotkarze zostali niezwłocznie ukarani, a ich obcięte głowy wystawiono na trzy dni na widok publiczny jako wyraźne ostrzeżenie. W końcu sułtan Sulejman zajął miejsce na czele swej armii i ukląkł wraz z żołnierzami, by modlić się za odtworzenie świętego grobowca Abu Hanify. To szczęśliwe zakończenie zamieniło charakter kampanii.

Nawet Sześciopalczy Burak Pasza czuł się lepiej. Od czasu do czasu zamyślony spoglądał wokół z wież obronnych i było to całkiem zrozumiałe, każdy bowiem, patrząc na te równiny pokryte winnicami i wspaniałymi ogrodami, mógł zapomnieć o upływie czasu i dać się oczarować. Bagdad emanował niezwykłym pięknem, które zauroczyłoby każdego. Z tej właśnie przyczyny Turcy mawiali: „Bagdad to ostatnia ziemia, matka to ostatni przyjaciel”.

Niestety, ziemia ta okazała się ostatnią dla głównego skarbnika Iskendera Çelebiego. Mądry starzec, głęboko doświadczony w każdej dziedzinie, na skutek nieustannego konfliktu z wielkim wezyrem Ibrahimem Paszą został z rozkazu sułtana powieszony na środku miejskiego bazaru.

Sułtan pod wpływem swojego faworyta, popadłszy w chwilowe ośpienie, wydał rozkaz śmierci dla najbardziej lojalnego sługi swojego imperium. Zwykli ludzie, kłaniający mu się z szacunkiem w drodze z miejsca egzekucji do pałacu, niczego nie zauważyli, ale ci, którzy go dobrze znali, umieli dostrzec żal w jego oczach. Jednak co się stało, to się stało i nie było sposobu na cofnięcie czasu i odzyskanie straconych dusz.

Sulejmana tak poruszył własny nieodwracalny błąd, że obudził się z krzykiem w środku nocy. Szambelan, który był przy nim całą dobę, mówił później, że powodem był nocny koszmar, w którym skarbnik przyszedł do niego ze sznurem w dłoni i zaatakował go, krzycząc:

„Tyranie, dlaczego zamordowałeś człowieka niewinnego jak ja pod wpływem słów tego szkodnika?”. Może był to tylko zwykły fatalny sen, ale może i coś więcej, kto to mógł wiedzieć? Od tamtego dnia niewidoczny mur zaczął wzrastać między nim a wielkim wezyrem, jego przyjacielem, Ibrahimem Faworytem. Kochające serce Sulejmana zięбло tak szybko, że mogło się w każdej chwili zamienić w bryłkę lodu, ale Faworyt nie był świadom nadciągającego niebezpieczeństwa.

– O czym myślisz tak głęboko, Buraku Paszo, czy też masz jakieś zmartwienia?

Burak odwrócił się do Ibrahima Paszy i powitał go z należnym szacunkiem.

– O niczym szczególnym, mój najdroższy paszo, to tylko wieczorna melancholia. – Spojrzał na zachodzące słońce.

W milczeniu oparli się o rozgrzane kamienie starożytnego muru i przez pewien czas obserwowali kolorowe niebo. Burak był nieco młodszy od Ibrahima, ale i tak byli sobie bliscy, łączyło ich tyle wspólnych lat, począwszy od Manisy i Saruhanu. Razem polowali, razem walczyli na tych samych wojnach przeciw jednemu wrogowi. Jednak niewiele wiedzieli o sobie nawzajem, a co najdziwniejsze, nawet nie byli tego ciekawi, tak samo jak wobec innych przyuczonych w dzieciństwie na janczarów. Jedyne, co ich łączyło, to walka, a ich uczucia były sprawą dalece osobistą. Nikt nie mówił o miłości, tęsknocie, pragnieniach, nadziei. Dlatego teraz, w tej wyjątkowej chwili, obaj nie wiedzieli, jak rozpocząć szczerą rozmowę.

Po dłuższej chwili Ibrahim powiedział:

– Nigdy nie podobałoby nam się, gdyby nas obwiniano o śmierć Iskendera.

Tego wieczoru słońce zachodziło niezrównanie pięknie, a cisza oczarowywała. Wyglądało to niczym rytuał, taki, w obliczu którego wszyscy ludzie są sobie równi.

– Niech Bóg błogosławi jego duszę – odparł Burak. – Pewnego dnia każdy z nas musi się z tym zmierzyć.

Ibrahim spojrzał na niego zaskoczony. Czyżby Burak sugerował, że on także zostanie uduszony? Przełknął z trudem ślinę i czekał na dalsze słowa.

– Z takiej czy innej przyczyny... śmierć to boski rozkaz. Dlaczego miałbyś chcieć jego śmierci? Z jakiegoś powodu jego życie dobiegło końca, i to wszystko, Ibrahimie Paszo. Wszyscy wiemy, że jedyną twoją troskę stanowi najwyższe dobro państwa. Jestem pewien, że nasz sułtan także to docenia.

– Nie sprzeciwiam się sułtanowi, ale uważam, że nie dotyczy to Hürrem Sultan. – Zniżył głos i dalej mówił już szeptem: – Ona chce tylko jednego, zostać Sułtanką Matką, a şehzade Mustafa to oczywiście dla niej wielka przeszkoda. Bóg mi świadkiem, nikomu nie pozwolę go skrzywdzić, choćbym sam miał za to kiedyś zginąć. Şehzade jest jedyną osobą godną tronu i zasłużył na niego bardziej niż ktokolwiek inny.

– Bardzo zręcznie wypowiadasz prawdę, jak zwykle, najdroższy Ibrahimie Paszo, şehzade ma prawo zostać naszym następnym władcą. *Inşallah* Hürrem Sultan nie powstrzyma jego wstąpienia na tron.

– Przyjęła nas jak wroga. Tego możemy być pewni... Ale, dzięki Bogu, nasz sułtan jest mądry i przewidujący. Wie, co robić, nie pytając nikogo, i wierzę, że nam ufa.

– Kobiety i mężczyźni mają na tym świecie różne obowiązki. Nawet sułtanka jest tylko kobietą – powiedział Burak i westchnął.

W tym momencie dało się słyszeć ezan, skierowali się więc na schody i zeszli z murów.

– Mam nadzieję, że kiedy powrócimy do Stambułu, będziemy się bawić na twoim weselu, Buraku Paszo. Już czas.

– Ja już tę poślubiłem. – Burak wskazał na szablę zwisającą u jego pasa.

Zaśmiali się obaj.

Fioletowa noc opadała powoli na Bagdad niczym jedwabna chusta upuszczona przez dłoń kobiety. Niedługo nie będzie już widać żadnej różnicy między Bramą Jasną a Bramą Ciemną. Noc uczyni je równymi, podobnie jak wszystkich, którzy tłoczyli się w meczetach w nadziei, że będą tacy przynajmniej w oczach Boga.

**Balat**

Estera, mimo wyczerpującej ciąży, nie miała najmniejszych trudności z urodzeniem pierwszego dziecka. Dręczyła siebie

i wszystkich dookoła strachem, że urodzi kalekie niemowlę, jak ŧehzade Cihangir. Nie chciała być w sytuacji Hürrem, nie potrafiłaby przyjąć i karmić jakiegoś krzywulca. Prędeż by umarła. Na szczęście Abraham okazał się wyjątkowo zdrowym chłopcem. Był wprawdzie nieduży, ale każdy, kto widział jego apetyt na matczyne mleko, zgadzał się, że w ciągu czterdziestu dni malec się stanie dwa razy większy.

Kiedy podano dziecko Esterze, rzuciła nań okiem, po czym bez namysłu przekazała je swojej siostrze Soli. To małe stworzonko o pomarszczonej twarzyczce było dla niej kimś obcym. Nie była w stanie pojąć, jak mogło wyjść z jej ciała. Natomiast Leon czuł się bardzo szczęśliwy, że ma syna. Na szyję żony założył kolejny naszyjnik z przepięknych rubinów.

Całował przy tym jej policzki i powtarzał bez końca:

– Kirâze, moja kochana Kirâze...

Dziadkowie, Mosze i Rachel, trzymając się za ręce, przyglądali się z podziwem wnukowi. Sarfati także się cieszyli, że zostali dziadkami. Ojciec Leona planował poczęstunek dla uczczenia narodzin.

– Na stole nie zabraknie nawet ptasiego mleka! – wykrzykiwał radośnie.

Jednak najbardziej oczarowana z nich wszystkich była z pewnością Soli, oczy błyszczały jej jak gwiazdy. Wąchała i całowała maleńkiego Abrahama, nie pozwalając nikomu innemu go dotykać.

Doktor Çiprut, który pomagał przy porodzie, wpatrywał się w swoją żonę. Na jej twarzy widział oznaki zarówno szczęścia, jak i smutku. Wyraz jego oczu za okrągłymi okularami w drucianych oprawkach zmieniał się co chwila. W końcu pociągnął się za bródkę i wyszedł do ogrodu.

– W przyszłym tygodniu pójdę do haremu – oznajmiła Estera.

Wszyscy wydali okrzyk zdumienia.

– Tak dawno tam nie byłam, nie chcę nawet obliczać swoich strat.

– Moja najdroższa żono, czyż pieniądze są ważne w tak wspaniałym dzień? – Leon wyciągnął rękę, chcąc pogłodzić jej loki, ale chwyciła jego dłoń i odsunęła na bok.

– Jestem zmęczona, chcę odpocząć, jeśli wam to nie przeszkadza – powiedziała.



Po kolei opuścili pokój. Została tylko Rachela. Wydawała się zmartwiona i onieśmielona. Usiadła na brzegu łóżka i wyciągnęła rękę do czoła córki.

– Estero – szepnęła.

Córka nie odepchnęła jej dłoni, ale też nie powiedziała ani słowa. Zacisnęła wargi, jak zwykle, gdy była zmieszana, a potem zamknęła oczy. Rachela nie cofnęła ręki, też zamknęła oczy, a spod jej powiek wyslizgnęły się dwie łzy. Spłynęły po policzkach, znacząc bliźniacze linie wzdłuż nosa, brzegu warg, by w końcu połączyć się na podbródku i jako jedna duża kropla opaść na pierś, jakby tam miały ugasić ogień płonący w jej sercu. Jednak nie zdołały.

4 STYCZNIA 1536 ROKU

**Fatih**

Mężczyźni miło spędzali czas w selamluku<sup>[80]</sup>, jedząc i pijąc. Burak raczej późno, dopiero po wieczornej modlitwie, wszedł do małżeńskiej łóżnicy, którą przygotowano w jego haremie. Pan młody stąpał niepewnie, gdyż do swych nargili dodał więcej opium, niż powinien.

Neylan siedziała nieśmiało na brzegu łóżka. Twarz miała zasłoniętą, ale drżenie maleńkich, białych dłoni sygnalizowało, jak była podekscytowana. Nareszcie poślubiła mężczyznę, o którym marzyła długie lata.

Od czasu przybycia z Rodosu myślała o jego słodkim, uspokajającym głosie. Nie mogła uwierzyć, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Była jego żoną! Hürrem wezwała ją i oznajmiła: „Szykuj się do ślubu”. W pierwszej chwili ogarnęła ją panika, ale gdy poznała imię człowieka, dla którego ją wybrano, niemal rozniosło ją niebywale uczucie szczęścia. Najpierw pomyślała, że może bóg muzułmanów jest bardziej litościwy od boga chrześcijan. Obdarował ją. Jednak pozostawiona samotnie w małżeńskiej sypialni, czekając tam na swojego oblubieńca, odmówiła modlitwę po łacinie, której jako dziewczynka nauczyła się od matki. Mężczyzna, wokół którego krążyły wszystkie jej sny i wyobrażenia, stał teraz przed nią, a ona, Neylan, czy też Lilian, była jego żoną.

Sześciopalczy Burak spojrział z uwagą na siedzącą nieruchomo,

zakrytą satynowym welonem, delikatną kobietę. Jej zamglony obraz przesuwiał się z boku na bok. Czoło Buraka pokrywały krople potu.

Nie tykając jej, rzucił się na łóżko. Jego umysł wypełniały niezrozumiałe głosy i obrazy. Jakby wszystko, co w życiu usłyszał i zobaczył, połączyło się i zaczęło obracać z wielką prędkością w jego głowie niczym olbrzymie koło. Migające płomyki świec to wydłużały się, to skracały. Zmrużył oczy. W jego uszach bębny wybijały dziwny rytm. Chwycił milczącą postać siedzącą na brzegu łóżka i dziko zagarnął pod siebie. Walenie bębnów stawało się coraz głośniejsze. Zerwał jedną ręką welon, nie patrząc nawet na ukrytą pod nim twarz, a drugą ściągnął z siebie ubranie. Kiedy był całkiem nagi, zaczął szarpać jej suknię ślubną i bieliznę. Nie zauważył, jak drżące palce próbują zasłonić piersi, nie dostrzegł przerażonych zielonych oczu. Przycisnął swoje grube wargi do drobnych ust Liliany. Kąsał każdą część jej ciała, dysząc jak pies. Chwycił jej jasne loki i szarpnął, klękając okrakiem nad jej białym brzuchem.

– Suka! Suka! Tego właśnie chciałaś? – wrzasnął.

Sparaliżowana bólem i strachem Liliana nie miała jak się bronić. To o tym mężczyźnie marzyła przez lata? Te szalone oczy należały do niego? Te pokryte pianą usta? Ten przerażający głos? Nagle wymierzył jej policzek, poczuła ciepło krwi spływającej z nosa. Burak był szalony. Zlizywał krew z ust i nozdrzy Liliany jak opętany. Mocno ścisnął jej piersi wielkimi rękami. Potem wykrzyknął: „Weźmiemy ich głowy albo oddamy nasze!”. Ciosy spadały na twarz młodej kobiety jeden po drugim, aż nagle poczuła ostry ból głęboko w środku. Burak brutalnie wcisnął się między jej rozsunięte nogi, całe jego ciało dygotało, jęknął i zamarł bez ruchu. Teraz przywarł twarzą do jej twarzy, jej łyzy mieszały się z jego łzami. Tak, Burak płakał, łkając jak chłopiec.

Liliana nie była w stanie ocenić, ile minęło czasu, ale miała wrażenie, że całe wieki. Poruszyła się powoli, żeby uwolnić swoje ciało przygniecione ciałem Buraka. Wydawało się, że pasza stracił zmysły, nawet na nią nie spojrzął, opadł na drugą stronę łóżka, ciągle płacząc. Patrzyła na niego, na jej zalanej krwią twarzy malował się wyraz przerażenia i paniki. Burak Pasza bardziej wył, niż szlochał. Uklękła i zaczęła odmawiać modlitwę, której się nauczyła w klasztorze

na Rodosie. Z każdą chwilą coraz głośniej. Jej głos był pozbawiony życia, blasku, mechaniczny, niepodobny do ludzkiego. Modliła się, modliła, modliła.

Jednak po jakimś czasie ten znajomy głos zaczął docierać do umysłu Buraka. Zwrócił się w stronę, z której dochodził. Przyglądał się jego właścicielce ze zdumieniem, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Bardzo długo patrzył na potargane jasne włosy, przerażone zielone oczy, szczupłe, białe dłonie. Potem obrazy wróciły, znowu doprowadzając go do szaleństwa. Egzekucje, szable, uduszeni, odcięte głowy, ramiona, odpadające nogi... Po chwili zwolniły. Wnuk sułtana Cem, pokój z kamienną podłogą, kobiety we łzach...

Brutalne, straszne obrazy znowu zaczęły wirować, pochylił się tylko, by ująć podbródek Liliانى i wydusił z siebie:

– Nie bój się. – Jego język z trudnością poruszał się w ustach. – Zaufaj mi, odejdz teraz. Idź!

Potem odwrócił się tyłem, wcisnął twarz w poduszkę i znowu łkał jak małe dziecko.

Liliana lub, jak nazywano ją w pałacu, Neylan, chwyciła swoją podartą suknię i welon, okryła się kamizelką, po raz ostatni spojrzała na mężczyznę z wielką blizną na boku i powoli uchylila drzwi, by się wyslizgnąć na zewnątrz. Chwiejnym krokiem ruszyła długim korytarzem w stronę haremu. Czarny eunuch otworzył drzwi, podtrzymał ją, zanim upadła, po czym wziął na ręce i zaniósł z powrotem do jej pokoju.

Świece się stopiły. Dziwne cienie krążyły po konaku<sup>[81]</sup> w Fatih, śmiercionośne cienie smutnej, bolesnej przeszłości.

Sześciopalcy Burak Pasza powtarzał wśród coraz rzadszych łkań:

– Nazywam się Krystian, pochodzę z Magnamaty, moja matka jest Żydówką. Kirâze, Kirâze...

Od tamtej nocy, chociaż żyli w tym samym domu, ani Neylan nie widywała swego męża Buraka, ani Burak nie widywał swej żony Neylan. I nikt z mieszkańców konaku w Fatih więcej o tym nie wspomniał.

21 CZERWCA 1536 ROKU

**Antwerpia**

Doña Beatrycze Mendes lub, jak brzmiało jej sekretne żydowskie imię, doña Gracia Nasi, obserwowała, co się działo wokół z szerokiego balkonu swego z przepychem urządzonego apartamentu. Nie sposób było zliczyć okrętów, które wpływały do portu i z niego wypływały. Antwerpia była jednym z głównych ośrodków handlowych Europy. Lato nie zawitało jeszcze do holenderskiego miasta. Wystarczyło spojrzeć na zbierające się na horyzoncie ciemne chmury, żeby mieć pewność, iż niedługo zacznie padać.

Beatrycze wyjęła goździk z kryształowej wazy stojącej na marmurowym stoliku i wciągnęła w nozdrza jego mocny zapach. Z daleka jej smukłą sylwetkę można było łatwo pomylić z posągami zdobiącymi fronty budynków. Była niezwykle elegancką kobietą, a jej inteligencja mogła śmiało konkurować z urodą...

Po śmierci męża, Franciszka, opuściła Portugalię i wraz z siedmioletnią córką Rejną i szesnastoletnim siostrzeńcem Józefem udała się do Antwerpii, jednego z najbardziej zatłoczonych, hałaśliwych i zamożnych miast Europy. Chociaż byli tu dopiero od kilku miesięcy, nie czuli się obco i przystosowali się do nowego życia bez trudu, jako że część związku, słynącego z handlu szlachetnymi kamieniami i z finansowych interesów, działała tu od dawna.

Ta dobrze znana w Antwerpii rodzina należała do hiszpańskich rodzin żydowskich, które przed laty zmuszono do opuszczenia kraju na rozkaz Izabeli i Ferdynanda. Jej członkowie osiedli w Portugalii i pod wpływem wywieranych na nich nacisków w końcu przeszli na katolicyzm, choć w rzeczywistości nigdy nie porzucili swej prawdziwej religii. Nadal w sekrecie wypełniali święte obowiązki, dbali o zwyczaje i tradycje. Jako że familia Mendesów była zamożna i potężna, nikt nie żywił wobec niej podejrzeń. W Portugalii trudno było znaleźć zamożną rodzinę, która by nie pożyczala od nich pieniędzy. Bank Mendesa i wszystkie jego przedstawicielstwa rozprzestrzeniły się po całej Europie, on sam zaś zawarł znajomości także z innymi arystokratycznymi rodami, znano go nawet na królewskich dworach.

Beatrycze była bardzo wierzącą kobietą, przywiązaną do przeszłości, a doskonałość jej wyglądu i charakteru budziła powszechny podziw. Większość mówiła o niej jak o królowej. Może

dlatego właśnie nazwała swoją córkę Rejna, czyli „królowa”. Mała Rejna oczywiście nie miała świadomości swojego prawdziwego imienia i prawdziwej religii. Wołano na nią Brilliante. Józef natomiast, którego po śmierci ojca oddano pod opiekę ciotki, od ceremonii bar micwy wiedział, że jego prawdziwe imię brzmi Józef i że w jego żyłach płynie żydowska krew. Ten młody człowiek otrzymał staranne wykształcenie i władał kilkoma językami, uczestniczył w naradach związku i wszystkich zaskakiwał swoją wiedzą. Rozwinięty był nie tylko umysłowo, lecz także fizycznie. Nie było lepszego w strzelaniu z łuku czy posługiwaniu się szablą. Gry wojenne były jego ulubioną rozrywką. Doña Gracia Mendes pod każdym względem darzyła go wielkim zaufaniem.

– Mój drogi, wiesz, że jutro jedziemy do Brukseli – powiedziała, wchodząc do salonu. – Będiesz tam miał audiencję u królowej.

Józef odłożył przywiezioną z Londynu książkę, którą akurat czytał, i spojrzał na ciotkę.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mnie to ekscytowało, kochana ciociu.

– Synu, zawsze pamiętaj moją radę. Nie ma powodu, by się ekscytować. Jesteś tak samo dobrze urodzony jak oni i równie bogaty. Nigdy nie myśl, że stoisz niżej od nich, ale przy tym nie pozwól, by narastała w tobie arogancja. Wierz mi, królowa będzie oczarowana, mogąc cię poznać.

Chłopak nieśmiało spuścił wzrok, słysząc komplementy ciotki, i się uśmiechnął.

– Zrobię, co tylko będę mógł, by nie przynieść ci wstydu – zapewnił.

– Królowie i królowe, ci, którzy rządzą innymi... To naprawdę dziwni ludzie, mój drogi. Mogą traktować cię dobrze i poufale, ale nie daj się zwieść. Zawsze musisz zachowywać dystans, zawsze. Może w twoim wieku nie jest łatwo pojąć, dlaczego, ale z czasem się tego nauczysz. A na razie rób to, co ci mówię. Ich respekt i podziw dla ciebie wzrośnie i, co najważniejsze, moja rada może się okazać tajną bronią, która ci ocali życie.

– Wydaje mi się, że cię rozumiem, droga ciociu. Radzisz mi nie

przekraczać granicy między szczerością a zbytnią poufałością.

Beatrycze pogładziła go po włosach.

– Ciociu, jeśli pozwolisz, chciałbym zadać ci pytanie.

– Ależ oczywiście, Józefie.

– Dlaczego wciąż się ukrywamy? Niektóre żydowskie rodziny dawno przestały się maskować.

– Pamiętasz, co ci opowiadałam o wydarzeniach z przeszłości?

Niebezpieczeństwo grozi nam zawsze i wszędzie. W wielu miejscach Inkwizycja wciąż ściga Żydów, nawet w paru nowych miastach, takich jak Genua czy Neapol. Pomyśl o weneckim getcie...

Oczy Beatrycze wypełniły się łzami.

– Staram się pomagać tym nieszczęśnikom w miarę naszych możliwości, ale daleko jestem od celu, który chciałabym osiągnąć. Musielibyśmy zorganizować potężny i szeroki program pomocy, a to jest w tej chwili bardzo trudne i niebezpieczne. Wierzę, że najbezpieczniejszym miejscem dla nas jest Stambuł. Turcy... Chcę nawiązać z nimi kontakt, chociaż nie wiem, jak to uczynić. Jednak, mój drogi, przejdźmy do dużo przyjemniejszego tematu, tylko proszę, pamiętaj moją radę. Niedługo zaczniesz sam podróżować do różnych stolic Europy, Paryża, Londynu, Rzymu, a nawet z powrotem do Lizbony. Musimy jak najszybciej przenieść tam cały interes. Udawanie, że wyznajemy katolicyzm, pomaga nam. Proszę, uważaj na siebie, ufam ci. – Delikatnie pocałowała go w czoło.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł sługa w liberii, niosąc srebrną tacę.

– Listy, jaśnie pani.

Beatrycze wzięła leżącą na wierzchu kopertę zapieczętowaną bordowym woskiem i otworzyła ją.

– Spójrz, Józefie! – wykrzyknęła. – Mówiłam ci, że niedługo... Jesteśmy zaproszeni przez odłam naszego związku do Lyonu. Jestem pewna, że król Franciszek zostanie jednym z naszych pierwszych klientów. O ile wiem, jego skarb jest niemal pusty. – Położyła list na stoliku do herbaty. – Tak, mój drogi – powiedziała. – Myślę, że czas już iść do pracy, czekają na nas.

Ramię w ramię ciotka i siostrzeniec wyszli z salonu i ruszyli

długim marmurowym korytarzem obwieszonym cennymi obrazami.

Łagodny głos Beatrycze mieszał się z lekkim odgłosem jej kroków.

– Zawsze podchodź z dystansem do panujących, mój drogi,  
zawsze...

## Nowy Seraj

W innym miejscu, daleko od Antwerpii, ktoś inny powtarzał sobie podobne słowa.

– Sułtan to sułtan, nigdy mu nie ufaj, nawet jeśli nazywa cię bratem, nigdy...

Çuhadarbaşı<sup>[82]</sup> Sokolović Mehmed pokręcił głową i westchnął, chowając wielce elegancki kaftan uduszonego przed około czterema miesiącami Ibrahima Paszy. Niedługo po powrocie z Bagdadu, w dwudziestą drugą noc Ramazanu, sułtan zaprosił swojego faworyta na iftar<sup>[83]</sup>. Nikt, nawet sam pasza, nie żywił żadnych podejrzeń w związku z tym zaproszeniem. Kto mógłby pomyśleć, że sułtan zakończy życie wielkiego wezyra – męża swojej siostry, którego znał od dzieciństwa i któremu ufał bardziej niż komukolwiek – w tak świętą noc? Poza tym, będąc jeszcze księciem, obiecał, że nie wyrządzi mu niczego złego. Ale, oczywiście, jeżeli ktoś chce złamać swoje słowo, sposób zawsze się znajdzie. Gdyby został zabity we śnie, podobny akt – według niektórych doradców sułtana – nie mógłby być uznany za złamanie słowa, jako że podczas snu dusza opuszcza ciało. I dlatego po iftarze, gdy wszyscy poszli do swych komnat, śpiącemu w gościnnym łożu paszy zaciśnięto na szyi jedwabny sznur. Dyskretnie, cicho, nie zwracając niczyjej uwagi...

Zastanawiając się nad tym, Tavił, to znaczy Uzun Mehmed, doszedł do wniosku, że oprócz kata Alego i jego sześciu niemych ludzi ktoś jeszcze musiał wiedzieć o morderczych zamiarach. Z pewnością była to Hürrem. To ona przez trwające latami, niekończące się intrygi osiągnęła zamierzony cel, zwracając sułtana przeciw Ibrahimowi popierającemu dziedzica osmańskiego tronu, księcia Mustafę. Więc zostanie Sułtanką Matką. Była bardzo niebezpieczną kobietą. Rozpuszczenie między ludźmi plotek, że Ibrahim ma oko na sułtański tron, i podszeptanie tego do ucha Sulejmana wystarczyło, by sprowadzić

na paszę straszny koniec. Mimo swej potęgi sułtan miał wiele słabości i łatwo było na niego wpłynąć. A zwłaszcza Hürrem, która dawno temu zmieniła go w swoją marionetkę. Sokolović nigdy nie powinien zapominać o tej prawdzie, gdyż był zdecydowany umocnić swoją pozycję na osmańskim dworze.

Plany tego wysokiego, smukłego i starannie odzianego młodzieńca były ogromne. Miał zamiar zostać silahtarem<sup>[84]</sup>, potem głównym çeşnicibaşı<sup>[85]</sup>, a następnie, w miarę, jak będzie się wspinał po szczeblach kariery, miały na niego czekać dalsze tytuły. Aby zrealizować swe marzenia, musiał uważać. Zwłaszcza na Hürrem.

Znowu spojrzął na kaftan Ibrahima Paszy. Nie czuł żalu w związku z faworytem Ibrahimem – teraz ludzie, którzy nie mogli okazać mu współczucia, nie mówili już o nim z sympatią, a nazywali po prostu mordercą. To on doprowadził do śmierci Iskendera Çelebiego, który wychował wielu wartościowych ludzi, w tym samego Sokolovicia. Biedny skarbnik z jego powodu został powieszony, mając osiemdziesiąt lat. Na bagdadzkim bazarze. Nagle się wzdrygnął. Wymruczał pod nosem pierwszą surę Koranu za duszę Çelebiego.

Çuhadarbaşı był również jednym z devşirme<sup>[86]</sup>, serbskim devşirme. Nie był małym chłopcem, gdy zabrali go Turcy, miał czternaście lat. Pochodził z przeciętnej rodziny. W niedzielę śpiewał w kościelnym chórze, jego wuj był tam księdzem. Matka i wuj początkowo byli niechętni, gdy w wiosce pojawiła się komisja mająca zebrać do Stambułu wykwalifikowanych ochotników i tych, których można było kupić, płacąc rodzicom odpowiednią ilość dukatów. Dla Turków był to drugi sposób na zbieranie dzieci z różnych miejsc. Pierwszym było porywanie ich podczas najazdu. Widząc, ile pieniędzy mogą za to dostać, matka i wuj zmienili zdanie i oddali go komisji, usiłując się pocieszyć myślami o wspaniałej przyszłości czekającej młodzieńców w sułtanacie.

Mehmed Sokolović okazał się najzdolniejszym uczniem sułtańskiej szkoły w Edirne. Później Iskender Çelebi został jego opiekunem naukowym. Defterdar<sup>[87]</sup> słynął z solidnego przygotowywania wykwalifikowanych kandydatów do sprawowania rządów. Ten zasłużony człowiek był również bogaty. Kiedy został zabity, jego



majątek, wart miliony dukatów, przeszedł naturalnie na własność sułtana. Tak samo, jak jego sześć tysięcy strażników, służących i niewolników. Sokolović należał do tych młodzieńców Iskendera, którzy nosili wysokie, złotego koloru czapki. Sułtan natychmiast przyjął ich na służbę; Mehmedowi powierzył opiekę nad swoimi strojami. To on troszczył się o kaftany haftowane jedwabiem i złotą nicią oraz o futra, i to on wybierał, co sułtan założy. Ten obowiązek jednak zdecydowanie nie zaspokajał ambicji Uzun Mehmeda, choć wiedział on, że jest to ważny pierwszy krok w przyszłość.

Wybrał kaftan z ciemnoniebieskiego jedwabnego aksamitu, haftowany w złote gwiazdy, i podał go swemu pomocnikowi.

– Ten – powiedział. – Nasz sułtan włoży ten kaftan jutro na modlitwy piątkowe, jadąc do Ayasofyi. Przygotuj go!

### **Harem sułtański**

Hürrem była tak szczęśliwa, że nawet kazała przynieść Cihangira i bawiła się z nim przez pewien czas. Jej słynny głośny śmiech rozlegał się raz za razem. Krawcy odeszli przed chwilą; zamówiła jedwabną bluzkę z kołnierzem z francuskiej koronki oraz długą kamizelkę z ciemnoniebieskiego damasceńskiego aksamitu i oczywiście dużo atłasowych szarawarów. W tym czasie Kirâze weszła do sali. Klękając i całując rąbek jej sukni, powitała harem.

– Kto by się domyślił, że przed dwoma tygodniami urodziłaś dziecko? Tylko popatrzeć na tę urodę. Witaj, Kirâze, co nam dzisiaj przyniosłaś?

Estera była dumna z tego, że małżonka władcy traktowała ją tak poufale i serdecznie. Wyjmowała przywiezione z Wenecji kryształowe naszyjniki i komplety szklanek z cieniutkiego, kolorowego szkła. Hürrem i towarzyszące jej inne kobiety nie mogły ukryć zachwytu. Podobał im się zwłaszcza jeden szczególnie naszyjnik, zrobiony z tysięcy maleńkich niebieskich kuleczek kryształu. Wszystkie wyciągały do koszyka ręce obwieszone brzęczącymi złotymi bransoletkami, ale oczywiście cofnęły je z jeszcze większym hałasem, gdy Hürrem także okazała zachwyty.

– To jakby mieć na szyi wodospad – stwierdziła, przykładając go

do piersi.

– Tobie, pani, najbardziej w nim do twarzy – odpowiedziała Kirâze. – Jakby specjalnie dla ciebie został wykonany.

– Tak, sułtanko, właśnie tak – zawtórowały kobiety.

Hürrem przyglądała się z dumnym uśmiechem swojemu odbiciu w dużym lustrze, które podtrzymywały dwie czarnoskóre niewolnice. Gdy się poruszała, lśniące kryształowe kuleczki przetaczały się z boku na bok niczym fale drżące pod jasnymi promieniami słońca.

– Jak czary – powiedziała młoda bułgarska odaliska, która uczyła się tureckiego.

Hürrem roześmiała się.

– Nie czary, ale magia. – Jej palce pieściły naszyjnik. – Kupię tę magię, niech na mnie pozostanie.

Teraz przyszła kolej na inne kobiety, by obejrzały biżuterię. Podczas gdy rozmawiały, Kirâze zbliżyła się do Hürrem i usiadła na poduszkach przy sofie. Białe niewolnice podawały zimny jak lód sorbet w mosiężnych pucharach, a także konfiturę i desery na małych szklanych talerzykach zdobionych falującymi kręgami.

– Dzisiaj ścięto głowę çeşnicibaşı Ibrahima – powiedziała zniżonym głosem Hürrem. – Dowiedzieliśmy się, że od dawna nosił listy do sandzaku şehzade, niewierny. – Podała jej sakiewkę z czerwonego aksamitu. – Oto twoja nagroda, moja Kirâze.

Estera szybko schowała sakiewkę na piersi.

– Niech ci Bóg błogosławi, moja najdroższa sułtanko. Oby złośliwe oczy tych, którzy próbują zakłócić twój spokój, oślepyły i nigdy więcej nie ujrzały słońca.

– Niewielu z nich jest przy życiu. Wszystkich pokonałam, moja droga. Podejrzenia mam tylko wobec jednej osoby, Sześciopalcego.

Kiedy Kirâze usłyszała to imię, zajęła się przekładaniem rzeczy w stojącym przed nią koszyku, aby nie pokazać, jak bardzo nią wstrząsnęło.

– Moja piękna, chciałabym, żebyś się udała do jego haremu i popytała trochę, pozwoliła nam poznać jego zamiary, wtedy znajdziemy spokój.

Hürrem może i odnajdzie spokój, ale Estera? Jej dłoń znowu

dotknęła warg, pocierała je nieświadomie, jakby chcąc rozszarpać. Nie była w stanie odpowiedzieć.

– Kirâze, nie słyszałaś, co mówię?

– Proszę mi wybaczyć, moja sułtanko – wyszeptała. – To chyba pogoda... jest za gorąco, nie czuję się... – rozpięła kołnierzyk i rzeczywiście pobladła.

Hürrem klasnęła w dłonie, aby przywołać niewolnice.

– Szybko! – krzyknęła. – Przynieście kamforę i esencję kwiatu cytryny! Pośpieszcie się. Biegiem!

Teraz wszystkie kobiety skupiły się wokół Estery, jedna podała jej szklankę wody. Ujęła ją drżącymi palcami.

– Już mi lepiej, proszę się nie niepokoić – szepnęła.

– Odsuńcie się wszystkie, niech odetchnie świeżym powietrzem – rozkazała Hürrem.

Cofnęły się. Estera, wachając kamforę, poczuła się trochę lepiej. W nadgarstki i skronie wtarła esencję kwiatu cytryny.

– Proszę, sułtanko, pozwól mi odejść – powiedziała. – Wkrótce spełnię twe polecenie.

Hürrem uśmiechnęła się.

– Moja droga Kirâze, kocham cię jak siostrę, idź do domu i odpocznij.

## Balat

– Rachelo, wiesz, że to najkrótsza noc?

– A więc zbliża się koniec lata.

– Co mówisz, Rachelo? Jeszcze wiele dni przed nami.

– To znaczy, że codziennie będziemy oglądać słońce krócej, każdy dzień będzie krótszy od poprzedniego, a w końcu nadejdzie zima.

– Skąd takie czarne myśli, moja droga? Masz jakiś kłopot?

– Nie, dzięki Bogu, nie mam żadnych kłopotów. Nasze córki powychodziły za mąż, mamy wspaniałego wnuka. Jakie miałabym mieć kłopoty?

– Otóż to! To właśnie chciałem usłyszeć. Kiedy widzę, że się martwisz, sam też się martwię, Rachelko.

Ta zdrobniła forma imienia rozśmieszyła ją.

– Rachelka, Rachelka – powtórzyła, chichocząc. – Czy ja jestem młodą dziewczyną?

– Oczywiście, że jesteś. Zawsze będziesz moją drogą Rachelką.

Ujęła dłoń męża i ścisnęła ją z uczuciem. W odpowiedzi Mosze pochylił się i delikatnie pocałował brzeg jej warg.

– Kocham cię, moja droga żono – powiedział. – Kocham cię bardzo, jak tamtego pierwszego dnia.

– Cicho, powinieneś się wstydzić, co z ciebie za dziadek? – Wstała i ruszyła do kuchni. – Też chcesz wody, mój drogi?

– Do końca świata, wiecznie! – wołał za nią Mosze.

Rachela przypominała sobie pierwszy dzień, gdy słyszała te słowa, i nagle poczuła ból w sercu. Jaką dziwną rzeczą było szczęście.

Człowiek stawiał czoło niezliczonym cierpieniom i niedolom, znosił je, płacił najwyższą cenę za osiągnięcie zadowolenia, a kiedy wreszcie mu się to udawało, znów cierpiał na wspomnienie nieszczęśliwych dni.

Bycie szczęśliwym było jak blizna po ciężkim oparzeniu, która czasami pobolewała, albo kość złamana dawno temu, a stale boląca podczas deszczu. Może i prawdziwe szczęście nie istniało, ale była przekonana, a nawet pewna, że istniało prawdziwe nieszczęście. Ale dlaczego nie było prawdziwego szczęścia, dlaczego? „Może jestem zmęczona – pomyślała – bardzo zmęczona...”

Wrzuciła do miski truskawki z drewnianego pudełka i porządnie je wyplukała. Potem zaczerpnęła kubkiem wody z pękatego glinianego dzbana i napełniła karafkę.

Czy miała teraz powód do zmartwień? Soli była szczęśliwa, właściwie to ona zarządzała obecnie drukarnią, a jej mąż okazał się wspaniałym człowiekiem.

Jeśli chodzi o Esterę, wciąż dzielił je pewien dystans, ale i ona miała porządny dom i rodzinę. Mimo swojej początkowej niechęci i dezaprobaty Rachela pogodziła się z faktem, że córka zbliżyła się do pałacu. Każdy powinien żyć, jak uważa, nie można się wtrącać. Abraham rósł szybko, Mosze był aniołem. Dlaczego więc, dlaczego była wciąż nieszczęśliwa?

Westchnęła. Właściwie znała odpowiedź, jednak nie mogła wypowiedzieć jej głośno nawet sama do siebie. Myślała o nim i martwiła

się o niego... Przez długi czas jej serce tęskniło za kimś, kogo nigdy nie widziała, nigdy nie знаła, a kto mimo to był jej tak bliski, był częścią niej. Rachela martwiła się o swojego sześcioroćnego syna i jednocześnie wstydziała się tego; nawet jeśli nikt inny, to przecież Bóg to widział.

By się ochłodzić, mokrymi rękami otarła twarz, wzięła talerz truskawek i karafkę, po czym wróciła do ogrodu.

– Popatrz, jakie piękne... Ten zapach i smak...

Mosze z wielkim apetytem włożył owoc do ust.

– Mosze, czy zamordowano kogoś jeszcze poza Ibrahimem Paszą? W tych dniach sułtan podobno wyrusza na wyprawę wojenną?

– Moja droga, nie wiedziałem, że interesuje cię polityka. – Patrzył na Rachelę ze zdumieniem.

– Nie, ostatnio Estera mówiła o tym, a ja się o nią martwię, aby coś złego jej się nie przytrafiło. Turcy są tacy dziwni.

Mosze oparł się wygodniej.

– Nie ma się czym martwić – zapewnił. – Naprawdę nie ma, a poza tym Estera zna ich lepiej niż ktokolwiek inny. Całe to wieszanie, duszenie, to ich sprawy, my z tym nie mamy nic wspólnego. Nie bój się, nie jesteśmy paszami ani wezyrami...

– Czyli mówisz, że być paszą jest niebezpiecznie.

– A co myślałaś? Ci na wpeł szaleni devşirme wciąż się mordują. Nie mają matek, ojców, braci... Niech Bóg człowieka chroni przed takim losem.

Rachela poczuła, jakby kamień utknął jej w gardle, nie mogła przełknąć śliny.

– Biedacy – szepnęła.

– Rachelo, dzisiaj naprawdę jesteś jakaś dziwna... Żałujesz tych Turków. Każdy, kto by to usłyszał, śmiałyby się z ciebie, uwierz mi...

Rachela nie odpowiedziała. Widząc zasmuconą twarz żony, Mosze znowu ujął jej rękę i pogłaskał.

– Mój aniele – mruknął. – Nie martw się! Dzisiaj nikt nikogo nie dusi, nie wiesz, wszyscy są szczęśliwi... Posłuchaj, co ci powiem, żebyś się uśmiechnęła, spodoba ci się ta wiadomość.

– Co takiego, Mosze?

– Barbarossa zajął twoją wyspę. Twoją i wszystkie dookoła.

– Którą moją wyspę? – urwała na chwilę, po czym krzyknęła: – Santorini?

– Tak, tak. – Mosze się uśmiechał. – Zajął Santorini, Naksos i inne, nagle i niespodziewanie... O, tak. – Pstryknął palcami, po czym wygodnie oparł się o poduszkę i powoli zamknął oczy. – Oczywiście pozwolili tam rządzić Wenecjanom, ale kto wie, jak wysokie będą podatki?

Rachela nie słuchała szczegółów, patrzyła w niebo i się uśmiechała.

– Och Boże, jakie piękne to Santorini. Chciałabym, żebyśmy tam kiedyś razem pojechali, Mosze, tak błękitne morze, ciemnoczerwone strome urwiska, małe bielone domki... – mówiła w przyływie entuzjazmu.

Mosze, nie otwierając oczu, lekko pochylił głowę do przodu, zasnął. Rachela zamilkła, odpędziła muchę bzyzącą nad truskawkami, pomyślała o Marii, swojej jedynej przyjaciółce z Santorini. Zwariowana Maria... Jej przejmujący głos jakby wciąż dźwięczał jej w uszach:

*Smutku, nie pukaj do moich drzwi.*

*Rozpaliłam ogień,*

*Podgrzałam zupę,*

*Niedługo mój mąż wróci z morza.*

*Smutku, nie pukaj do moich drzwi.*

Mucha ponownie usiadła na truskawkach, znów ją odpędziła i przykryła talerz kawałkiem muślinu ze stołu. Tak, szczęście naprawdę było jak blizna od czasu do czasu dająca o sobie znać albo jak bolące na deszcz dawne złamanie.

28 SIERPNIĄ 1536 ROKU

**Fatih**

Estera zagryzła wargi tak mocno, że niewiele brakowało, a zaczęłyby krwawić. Rzuciła się do środka palankinu i energicznie zaciągnęła zasłony. Chociaż była pewna, że nie ma możliwości, by się spotkała z nim twarzą w twarz, to jednak w wielkim podnieceniu przybyła do konaku Sześciopalcego w dzielnicy Fatih. Czyżby w głębi duszy miała nadzieję na cud? A teraz było już po wszystkim. Tortury się

skończyły. Nie sprzedała nawet jednego klejnotu, ale to jej nie obchodziło. Można nawet powiedzieć, że sama temu zapobiegała. To Estera powstrzymywała dłoń Neylan sięgającą po biżuterię. „Niestety, to już jest sprzedane”. „Niestety, to już obiecałam komuś innemu”. „Niestety...” Jeśli to nie wystarczało, żądała niewiarygodnych cen. Nie zarobiła więc ani grosza. Z wściekłością kopnęła skrzynkę.

– Na Boga, przekłete pieniądze. Jestem głupia – powiedziała do siebie. – Czego ja właściwie chcę, jaki mam cel?

Była pewna swojej idealnej urody, a przy tym zamożna, nawet bardziej niż jej mąż. Drukarnia ojca każdemu z osobna przynosiła dochody. Leon był czuły dla żony, mieli zdrowe dziecko... O co prosiła, za czym tęskniła? Los spełniał każde jej życzenie. Miała wypełniony po brzegi kufer ze skarbami; kiedy tylko chciała, mogła zagłębić w nie rękę i garściami wybierać biżuterię. Ale to nie wystarczało do szczęścia... Szarpała włosy, aby zadać sobie ból. Dlaczego była tak zazdrosna o tę idiotkę, tę kobietę o skórze bladej niczym u ducha? Była wściekła na siebie, że zazdrości komuś, kto nie może się równać z paznokciem jej małego palca. Jeszcze raz kopnęła skrzynkę i zacisnęła wargi.

Czyż ludzie nie przesyłają sobie wiadomości? Listów, nawet bardzo krótkich... Dlaczego o niej nie pomyślał? Jak mógł sobie nie wyobrazić, że będzie na niego godzinami czekała we łzach, jak?

Zatem była dla niego przelotną rozrywką... Zabawa paszy... Okazuje się, że dążył jedynie do tego, by zostać wezyrem... Zabawiał się z żydowską dziewczyną, ale ożenił się z kimś z dworu!

– Niech Bóg przeklnie wszystkich paszów, wszystkich wezyrów – powiedziała. – Niech Bóg cię przeklnie, Buraku, łajdaku... Jeszcze zobaczysz...

I co to za zachowanie tej bladej, chuderławej kobiety? Eunuchowie, niewolnice, sorbety, kiszonki... Głodzenie nabrzmiałego brzucha... Co to miało znaczyć? „Spójrzcie, tutaj noszę owoc paszy, zrobiliśmy to, niech wszyscy widzą” – oto, co miało znaczyć.

– Zgiń, ty idiotko, zgiń razem ze swoim łajdackim mężem. Mam nadzieję, że sama pociągnę za sznur, który go udusi... Zgiń! – krzyknęła.

Znowu kopnęła skrzynkę, tym razem pokrywa się otwarła;

diamenty, rubiny i szmaragdy rozsypały się i zaczęły grzechotać na podłodze kołyszącego się palankinu. Estera patrzyła na nie, jakby były bezwartościowymi kamykami.

Wiedziała, co by zrobiła, będąc zmuszoną wrócić tam jeszcze raz, podpałiłaby ten nieszczęsny konak, ze wszystkimi niewolnicami, eunuchami i tą bladą czarownicą... Z nim?

Nagle ogień płonący w jej sercu zaczął się rozszerzać na piersi, brzuch. Czuła się jak sparaliżowana, jakby miliardy igieł kłuły całe jej ciało. Rozkołysany palankin posuwał się do przodu. Jej palce, zaciśnięte na włosach, rozluźniły się i przesunęły w dół. Dotknęła swojego czoła, policzków, nosa, na wpół otwartych, wyschniętych warg, potem szyi... Drżała na całym ciele po koniuszki palców... Palankin również...

Jej ręce niecierpliwie wędrowały w dół, wsunęła je za dekolt, dotknęła swych sutków, które stwardniały, bolały, napęczniały. To było tak, jakby miała dwa serca, jedno w piersi, a drugie w najgłębszym zakamarku między nogami. Oba waliły niczym kowalskie młoty. Bum, bum, bum... Rozkołysany palankin posuwał się do przodu.

Nie była w stanie oprzeć się namiętnemu, grzesznemu pożądaniu palącemu jej ciało i duszę. Jej dłonie ześlizgnęły się po gładkim brzuchu. Gorączka jej rąk łączyła się z żarem lędźwi, palce błądziły między krótkimi, gęstymi włosami, szarpiąc je mocno. Palankin kołysał się, kołysał. Palce Estery podstępnie przesuwały się w stronę tego drugiego serca, niespodziewanie chwyciły je i zaczęły ścisnąć i ścisnąć, aż zamilkło.

Estera ciężko oddychała, ręce i nogi opadły bezwładnie. Przez chwilę leżała nieruchomo. Głowę oparła o zakratowane okienko. Próbowwała odzyskać oddech, a w głowie kłębiły się różne myśli.

Zabić go?... Tylko jej wolno było to zrobić. Nikomu innemu, nawet Hürrem, niech się nie waży strącić mu włosa z głowy... Jeszcze raz kopnęła skrzynkę. Znowu zagryzła wargi.

A dlaczego miała go krzywdzić? W haremie Sześciopalcego Estera nie usłyszała nic przeciwko Haseki Sultan ani też nic dobrego o księciu Mustafie... W ogóle niczego nie usłyszała. Ludzie mieszkający w willi sprawiali wrażenie odciętych od wciąż się zmieniającego życia w Stambule. Kilka niewolnic, eunuch i jedna kobieta z włoskiego



klasztoru przypominająca wypchaną lalkę. Gdyby nie była ciężarna, nikt by nie uwierzył, że jakiś mężczyzna zgodził się pojąć ją za żonę. Ani razu nie wymieniła imienia swojego męża. Wydawało się, że w ogóle go nie widuje. Czyżby to było możliwe? Estera głęboko się nad tym zastanowiła. Tak, może go nie widywała, a może widywała co noc. Niewiele brakowało, a znowu wybuchłaby wściekłością, prychnęła jak koń.

– Niech Bóg przeklnie ich oboje – złorzeczyła przez zaciśnięte zęby.

Palankin zatrzymał się. Dotarli do Seraju. Estera pochyliła się, by pozbierać biżuterię i włożyć ją z powrotem do skrzynki, potem poprawiła swój naszyjnik z osiemdziesięciu rubinów, owinęła głowę szalem, rozsunęła zasłony i wysiadła. Czekał na nią sułtański harem.

14 KWIETNIA 1538 ROKU

**Złoty Róg**

Kapitan marynarki wojennej Barbarossa Hayreddin Pasza po raz ostatni dokonywał dokładnego przeglądu floty. Dzięki Bogu, wszystkie sto dwadzieścia dwa galeasy były gotowe do wypłynięcia. Sto sześćdziesiąt sześć zamontowanych na nich dział lśniło jak złoto w promieniach słońca, które ukazało się nagle po gwałtownym deszczu.

Pasza pogładził się po rudej brodzie. Miał świadomość, że jego flota wciąż dorównuje tylko trzeciej części połączonych sił krucjaty, zbierających się pod komendą admirała Andrei Dorii. Ale w pełni ufał sobie jako doświadczonemu i groźnemu korsarzowi, który przez długie lata siał strach na Morzu Śródziemnym. Z pewnością wszystkich ich pokona.

Kapitan żeglugi przekroczył pięćdziesiątkę, ale nikt by się tego nie domyślił, gdyby na skroniach nie miał kilku siwych pasemek. Na jego opalonej twarzy o ostrych rysach nie było prawie w ogóle zmarszczek, a spod białego turbana, sięgającego aż do brwi, błyskały niebieskie oczy. Dostyc wysokiego wzrostu mężczyzna swoje potężne ramiona okrywał czerwonym kaftanem obszytym białym króliczym futrem, założonym na granatową koszulę.

Prawdziwe imię paszy brzmiało Hızır. Był jednym z czterech

synów kawalerzysty Yakuba Agi z Gelibolu i Greczynki o imieniu Katalina. Wszyscy bracia stali się znanymi korsarzami. Jeszcze w czasach młodości ich imiona powtarzano w każdej stronie świata.

Jego starszy brat Oruç za swą siedzibę obrał Dżerbę i na galerze danej mu potajemnie przez syna sułtana Beyazita, Korkuta, grasował na Morzu Egejskim i u wybrzeży Włoch, napadając na statki kupieckie. Kiedy przejął ścisłą kontrolę nad brzegami morskimi, by udaremnić ucieczkę brata Selima, wrócił do Barbarossy i dalej działali razem. Po jakimś czasie dołączyli do nich pozostali bracia. Po kilku latach opanowali Algierię. Nie zaniedbali jednak przesyłania cennych darów osmańskiemu sułtanowi, aby utrzymać z nim przyjazne stosunki.

Zdesperowana z powodu tych rudobrodych braci Hiszpania poprosiła o pomoc Karola V, ale na wiele się to nie zdało. Na szczęście, podczas jednej z potyczek na morzu, w wyniku odniesionych ran Oruç Reis zmarł. Następnym sułtanem Algierii został Barbarossa HIZIR.

HIZIR, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo na hiszpańsko-arabskim froncie, wybrał na sojuszników Turków i przeszedł pod ich władzę. Selim ogłosił go gubernatorem Algierii, lecz sprawowanie tej funkcji nie przyniosło mu sukcesów w walce o potęgę. Bunty i straty w skarbcu zmusiły Barbarossę do powrotu do korsarstwa.

Może tęsknił za tym. Żeglować swobodnie po oceanach, od przygody do przygody, rzucać wyzwanie śmierci... Przez pięć lat grasował po Morzu Śródziemnym, strzelając i rabując każdy okręt, który miał nieszczęście natrafić nań na błękitnych wodach. Wielu korsarzy tureckich dołączyło do niego. Jego flota liczyła czterdzieści statków. Potem, by pozabawić stare porachunki, powrócił do Algieru i na krótko znów objął rządy. Wszyscy drżeli przed jego tyranią. HIZIR nadal wysyłał cenne dary nowemu sułtanowi Sulejmanowi. Był przekonany, że Turcy osmańscy to jedyna potęga, do której może dołączyć.

Imię Barbarossy jak legendę przekazywano sobie z ust do ust. Siedemdziesiąt tysięcy muzułmanów torturowanych przez hiszpańskich katolików zostało przez jego statki przewiezionych na ziemie północnej Afryki i modliło się za niego dzień i noc.

Właśnie w tych dniach Andrea Doria ze swą flotą zajął Patras

i Lepanto. Sulejmana ogarnęła furia na te złe wieści. Natychmiast wezwał Hızira: „Przybywaj niezwłocznie do stolicy!”.

I od tamtego czasu po dzień dzisiejszy Barbarossa był głównym kapitanem osmańskiej floty wojennej. Sułtan Sulejman, któremu zmiany, jakie wprowadził w prawodawstwie, dały przydomek Prawodawca, nadał też temu okrutnemu marynarzowi imię Hayreddin, co znaczy Zbawca.

Barbarossa Hayreddin Pasza natychmiast zajął wyspy na Morzu Egejskim, włączając je w granice imperium. Plądrował wybrzeże Włoch. W pewnym momencie opanował nawet Tunis, ale nie był w stanie pokonać floty Andrei Dorii, którego Karol V wyznaczył do walki z nim, i w końcu wycofał się do Algierii. Potem zabrał stamtąd całą swoją rodzinę i wrócił do Stambułu.

Barbarossa nigdy nie zapomniał tej klęski i paliła go żądza zemsty. Teraz nadszedł na to czas. Wiedział, że Doria zbierał swoje siły na Korfu. Statki zwiadowcze pod komendą Turguta Reisa, również dawnego korsarza, poinformowały o tym osmańskich dowódców.

– A więc Wenecja dołączyła do sojuszu – mruknął. Jego wzrok błędził po oknach i balkonach kamiennych domów Galaty i Pery.

Kto mógłby zliczyć oczy obserwujące w tej chwili okręty, działa i marynarzy.

– A niech sobie liczą – mruknął do siebie.

Był pewien, że da im najważniejszą naukę w życiu. Brwi Barbarossy zmarszczyły się ze złości nad jego zmrużonymi oczami o intensywnie niebieskiej barwie.

Hiszpanie, Portugalczycy, papieżstwo... Wszyscy wiedzieli, że połączyli się w walce przeciw Turkom, ale skąd ten nagły atak Wenecjan?... Powinien nabrać podejrzeń i przejrzeć tajne plany Republiki, kiedy bez żadnego oczywistego powodu zaatakowali dwa osmańskie statki załadowane wyłącznie pszenicą. Znowu skupił wzrok na przeciwległym brzegu – jego przeznaczeniem było wymierzyć im zasłużoną karę.

– Jeśli Bóg da – powiedział głośno.

Towarzyszący mu paszowie spojrzeli na niego.

– Co rozkażesz, dowódco?

– Wyruszamy, panowie. Podczas porannego Dywanu sułtan otrzymał świętą fetwę<sup>[88]</sup> od naszego şeyhülislama. Jutro, z Bożą pomocą, ruszamy.

– Twoje życzenie jest naszym rozkazem, Wasza Wysokość. Wszystkie okręty są gotowe, podobnie jak marynarze, do walki z giaurami. Wypłynijmy więc z Bożą pomocą, wzywając naszego świętego Proroka Mahometa.

Barbarossa rzucił ostatnie spojrzenie na Galatę; odwrócił się, by odejść pewnym krokiem z towarzyszącymi mu osobami. Kiedy schodzili po schodach, poły ich kaftanów powiewały szeroko.

## **Pera**

Wiele par oczu obserwowało nową osmańską flotę wypełniającą Złoty Róg, niektóre z niepokojem, inne z radością. Również Estera przyglądała się otoczeniu z obszernego balkonu swojego nowego domu.

Złoty Róg, naturalny port Stambułu, rozpoczynający się tam, gdzie słodkie wody Kağıthane łączyły się ze słonymi wodami morza Marmara, pokryty był złotym blaskiem. Na przeciwnym brzegu ciemne fasady licznych drewnianych domów zlewały się w jedno w Eminönü, Balat i Eyüp. Kopyły i minarety wznosiły się do nieba z At Meydanı, Beyazit i Fatih... Kamienie wysokich, grubych murów miejskich z okresu Bizancjum widoczne były między budynkami, gajami, łąkami, które zmyte deszczem przybrały teraz żółtawą barwę. Morze Marmara rozciągało się na południe niczym gładka niebieska linia, by w końcu połączyć się z niebem, czasami drżało pod wpływem łagodnego powiewu, a jego powierzchnia lśniła, jakby niewidoczna dłoń obsypywała ją srebrnym pyłem.

Był tak pogodny dzień, że w oddali to ginęły, to znów pojawiały się szaroniebieskie baśniowe plamy. Estera nie знаła tamtych okolic. Właściwie nigdy nie opuściła Stambułu. Najdalej zdarzyło jej się dotrzeć na przeciwległe wybrzeże Bosforu; Kuzguncuk, Çengelköy, Kadıköy, Üsküdar... Wzgórza za Üsküdarem były całkiem zielone. Zielone niczym szmaragdy, zielone jak świeże śliwki, zielone jak pistacje, zielone jak jaszczurka biegnąca po parapecie kuchennego okna... zieleń miękkich liści winogron, zieleń środka sałaty, zieleń fasoli... Matowa zieleń głębin

mrocznego stawu, olśniewająca zieleń rybich płetw, apetyczna zieleń papryki w sałatce, przerażająca zieleń oczu jadowitego węża... Wszystko pokryte było milionami pąków, przybierających w tym zielonym rajach żółte, białe, pomarańczowe i czerwone barwy. W Stambule panowała wiosna.

Ale Esterę nie bardzo interesowała wiosna, jej uwagę zaprzętały inne sprawy. Znowu zwróciła wzrok na Złoty Róg. Okręty wojenne, kołyszające się z boku na bok, wyglądały z tej odległości jak zabawki. Jeszcze raz je policzyła, kto wie, który już? Dokładnie sto dwadzieścia galeasów. Co się wiosną wydarzy na Morzu Śródziemnym? Nie ulegało wątpliwości, że Barbarossę czekała ciężka walka z flotą krucjaty.

Chociaż ten wspaniały dom został wybudowany za weneckie dukaty, serce i myśli Estery były po stronie Turków... Statki z pszenicą to żaden interes. Ale handel dawał zadowolenie. Zarobiła ona, Hürrem i Wenecjanie... O więcej jednak nie można było zabiegać, Estera i to wiedziała... Każdy następny krok mógł być groźny dla tego domu i dla przyszłości. Dlatego pragnęła zwycięstwa Barbarossy. Dotknęła rękami drobnych żyłek wypolerowanej powierzchni różowego marmuru.

Ten dom był wyjątkowy pod względem luksusu i piękna. Leon kilka razy protestował, że Estera za dużo wydaje na posiadłość, ale ona była zdecydowana, by mieć piękniejszy dom niż Soli i nie chciała go słuchać. Poza tym to były jej pieniądze, nie jego. Nie miała najmniejszego zamiaru spędzać życia w Balat, jak wszyscy zwykli, wiecznie nadąsani Żydzi ze Stambułu. Drewniane podłogi skrzypiały z każdym krokiem, brukowane kamieniem podwórza zawsze śmierdziały przypaloną cebulą, dzbankami goździków, zapleśniałą glinianą beczką na wodę, szklanymi słojami pikli i marmolady... Jak to się nazywało? Szczęście! To dla Estery nic nie znaczyło, tego rodzaju szczęście w niczym nie mogło zaspokoić jej pragnień ani ambicji.

Okręty kołysały się, czekając niecierpliwie na moment, gdy wciągnięte zostaną kotwice i rozwinięte żagle. Ona też się niecierpliwiła, z różnych powodów. Musiała kupić cenne malowidła na ściany swojego domu. Prawdziwy gobelin, większy, niż miała Soli, powinien zawisnąć nad ogromnym kominkiem. Zastawa do wieczery musiała być złota. Jesienią, najpóźniej przed zimą, po zakończeniu wojny, spełni wszystkie

swoje marzenia.

Ten dom, w najlepszym miejscu Pery, był obszerniejszy i bardziej luksusowy od domu Soli. Urządzony był droższymi meblami. Soli miała dwoje służących, dla Estery pracowało czterech. Nawet Abraham miał teraz nianię. W niczym nie ustępował księżętom z pałacu. Spojrzała na krągłe kopuły pałacu Topkapı. Kobiety tonące w morzu klejnotów. Hürrem miała władzę i pieniądze, ale w oczach Estery i tak pozostawała uwięzioną niewolnicą. A ona była wolna! Jednak aby zarobić pieniądze, potrzebowała więcej ptaków w klatkach, takich jak Hürrem. Weszła do środka, by przygotować dla nich kuszącą przynętę.

Kiedy wkładała do skrzynki ostatnie aksamitne woreczki, w pokoju pojawił się Abraham, głośno płacząc, a za nim wbiegła niania.

– Pani, nie mogłam go powstrzymać – poskarżyła się ciemnoskóra służąca. – Nic nie pomaga, żeby przestał płakać.

Estera zamknęła pokrywę skrzynki.

– Abrahamie, dlaczego płaczesz? – zapytała, owijając głowę szalem z frędzlami.

Chłopiec chwycił długą spódnicę matki i zaczął krzyczeć.

– Pójdę z tobą, pójdę z tobą!

– Przestań, czy dobrze wychowane dziecko tak się zachowuje?

Obiecuję, że szybko wrócę, połóż się, a gdy się obudzisz, będę już przy tobie.

– Nie, nie, nie! Pójdę z tobą.

Abraham zaczął kopać i tupać. Niania próbowała go uspokoić, ale rzeczywiście było to niemożliwe.

– Dość tego! – krzyknęła Estera, podchodząc do drzwi. – Jesteś rozpieszczony.

Twarcz Abrahama poczerwieniała, a jego wrzaski stały się nie do zniesienia, tupał jak szalony. Estera ledwie się mogła powstrzymać, by nie uderzyć syna.

– Zabiorę cię do twojej ciotki – powiedziała, starając się zapanować nad głosem. – Może poczyta ci książki, będziecie razem pisać albo rysować.

Chwyciła Abrahama za rękę.

– Nie idź, nie idź. Chcę iść z tobą, z tobą! – wrzeszczał chłopiec.

Niania bezradnie rozłożyła ręce.

– Jest dzisiaj taki dziwny, nie chce nawet dońi Soli.

Faktycznie, było to dziwne, bo większość czasu spędzał z ciotką i wolał jej towarzystwo od swojej matki. Soli była w nim zakochana, a on w niej, ale dzisiejszy dzień należał do wyjątkowych.

Estera wzięła koszyk.

– Denerwujesz mnie – powiedziała. – Jeśli nie przestaniesz krzyczeć, dostaniesz klapsa. Słyszysz? – Odwróciła się do młodej kobiety. – Weź go i niech płacze, ile chce, nie pozwolę, by Hürrem czekała na mnie przez jego głupotę.

Niania próbowała wziąć Abrahama na ręce, ale ugryzł ją tak mocno, że kobieta odsunęła się, krzycząc z bólu.

Estera zawróciła i mocno pociągnęła syna za rękę.

– Chodź, ty głupcze. Idziesz ze mną, ale jeśli piśniesz chociaż słowo, skręcę ci kark i rzucę cię psom na pożarcie. Zrozumiałeś?...

Abraham natychmiast wstał, powstrzymując szloch, ruszył z matką ku drzwiom. Podeszli do czekającego na nich palankinu i ruszyli w stronę pałacowego haremu. Wnuk rodów Nahmiyas i Sarfati udawał się z pierwszą wizytą do Seraju.

### **Cellat Çeşmesi<sup>[89]</sup>**

Estera, wchodząc do haremu, powierzyła swojego syna opiece młodej dziewczyny, która się zajmowała bawiącymi się na dziedzińcu dziećmi, i nie zabawiła w środku dłużej niż piętnaście minut. Po chwili wyłoniła się z wytrzeszczonymi oczami i zaczerwienioną twarzą. Chwyciła mocno za ramię Abrahama, który starał się zapoznać z nowymi kolegami, i prawie biegnąc, pociągnęła go w stronę Fontanny Kata.

Chłopiec znowu się rozplakał i tym razem matka bez wahania uderzyła go w wąty policzek i szarpnęła za sobą. Zdawało się, że nie słyszy płaczu. W jej uszach dźwięczało echo głosu Hürrem: „No, Kirâze, idź do Fontanny Kata i zobacz, co się tam dzieje. Powinno ci się bardzo spodobać. Teraz jestem całkiem wolna, on był ostatni. Moja droga Kirâze, to dzięki tobie, dzięki tobie...”.

Tym razem droga dłużyła się Esterze w nieskończoność, gdy

podążała na plac Fontanny Kata. Niemal biegła, policzki jej płonęły. Kto był ostatni? Wolą się nie zastanawiać... Ale może chodziło o jednego ze strażników gwardii Ibrahima, może to któryś z nauczycieli Mustafy, tak, na pewno chodzi o jednego z nich... Dlaczego tak ją niepokoiła tożsamość ofiary? Dlaczego była tak strasznie zdenerwowana, ścisnął się jej żołądek, pierś ją paliła, skronie pulsowały, jakby miały eksplodować?

Kiedy dotarła do fontanny, zamarła, znieruchomiała. Stała jak ogłuszona. Na marmurowej ścianie widać było trzy odcięte głowy. Patrzyła na nie od tyłu; nad nimi była jeszcze jedna ścięta głowa, nabita na najwyższe ostrze. Estera nie mogła zrobić kroku. Abraham przestał płakać, wyczuwając dziwny nastrój matki.

Estera miała wrażenie, że jedynym dźwiękiem wypełniającym świat jest szalone bicie jej serca. Podświadomie zaczęła się przesuwać w stronę fontanny. Wdeptywała w dołki wypełnione deszczową wodą, nie czując wilgoci. Zbliżyła się do poplamionej krwią marmurowej ściany, zamknęła oczy, jej twarz ściągnęła się bólem. Abraham, trzymający się jej spódnicy, przyglądał się tym głowom bez ciała z dziecięcą obojętnością. Ciemne twarze, każda z grubymi brwiami i wąsami, twarze, na których malowała się wściekłość, zdumienie, nawet uśmiechy. Estera nie była w stanie spojrzeć; widywała już wiele odciętych głów, ale tym razem było to niemożliwe.

Nagle na dziedzińcu rozległ się dźwięczny głos Abrahama:

– Mamo, zobacz! Ta wygląda całkiem jak ty. Mama z wąsami, mama z wąsami. Ha, ha, ha...

W palankinie Estera płakała jak szalona, szarpała włosy, gryzła palce, ścisnęła się za szyję, uderzała głową w tył lektyki, na jej usta występowała piana, a źrenice stały się niemal niewidoczne. Zawodziła, od czasu do czasu zwijając pięści, jęczała, ale obserwujący ją wystraszony Abraham nie rozumiał ani słowa. Siedział bez ruchu, skulony w kącie lektyki. Matka jednak go nie widziała, nic jej nie obchodziło. Aż do Balat jej ciało drżało ogarnięte delirium. Jej dusza płonęła niczym w piekle, ale nikt nie czuł tej śmiertelnej woni.

Kiedy dotarli do domu na Balat, wytoczyła się z palankinu, nie czekając, aż tragarze się zatrzymają. Chwyciła tak gwałtownie kołatkę w kształcie mosiężnej kobiecej dłoni trzymającej kulkę z bązu, że ją



wyrwała.

Rachela, która podlewała goździki, była zaskoczona widokiem córki – na jej twarzy zastygł wyraz przerażenia i furii. Estera odrzuciła trzymaną kołatkę. Metal uderzył w marmurowy murek okalający staw i w jednej chwili rozpadł się na kawałki. Palce odleciały, brązowa kulka potoczyła się w trawę.

Przez moment Rachela chciała podbiec i ją złapać, ale się zatrzymała. Abraham trzymał się teraz spódnicy babki.

Estera oparła się o pień wisterii, oddychała głęboko, wbijając wzrok w oczy matki. Jej źrenice przypominały stalowe ostrza; zagryzała wargi jak szalona.

– Ciesz się – wydyszała. – Widziałam go, widziałam jego zakrwawioną głowę przy Fontannie Kata...

– Estero, o czym ty mówisz? Co się dzieje, co ci się stało? Co widziałas?

– Coś, co cię ucieszy. Odciętą głowę Sześciopalcego!...

I Estera wybuchła szalonym śmiechem, wybałuszyła oczy, język zwisał jej z otwartych ust.

– Z jego szyi wciąż kapała krew, żyły były poszarpane!

Rachela przycisnęła rękę do piersi. Estera na przemian krzyczała, płakała, łkała i wybuchła dziwnym śmiechem, Abraham natomiast bawił się połamanymi palcami kołatki i myśląc, że to jakaś gra, trzymał je nad ustami, biegał dookoła i krzyczał: „Mama z wąsami, mama z wąsami!”.

Rachela poczuła w sercu straszliwy ból. Cierpiała. Osunęła się na ziemię. Szlochała i tak pozostała bez ruchu. W jej zielonych oczach zastygł milczący krzyk. Wulkan palący jej życie płomieniami żalu w końcu wygasł.

– Co się stało, co się stało, Kirâze, co się stało twojej matce?

Mosze krzyczał z przerażenia. Obudzony z popołudniowej drzemki odgłosami, jakich nigdy wcześniej nie słyszał, w mgnieniu oka wyskoczył do ogrodu.

Estera stała niczym kamienny posąg, patrzyła na Rachelę otępiełym wzrokiem. Nienawiść, miłość, przerażenie, żal, beznadzieja... w jej rozdygotanej duszy wszystko się mieszało. Czuła się jak ryba,

która wydaje ostatnie tchnienie po wyciągnięciu z wody. Czułe słowa, których nigdy nie potrafiła skierować do matki, teraz utkwiły jej w gardle:

– Mamo, mamo...

Mosze z drżącymi rękami pochylił się nad kochaną kobietą.

– Kirâze, co ty zrobiłaś matce, dlaczego? – z oczami pełnymi łez podniósł nieruchome ciało Racheli, przytulił je do swej piersi. Zaczął zawodzić, poddając się wyrokowi losu. – Rachelo, co ja bez ciebie zrobię? Jak mam oddychać bez ciebie?

Estera, oparta o pokręcony pień starej wisterii, kurczowo zaciskała wargi. Abraham biegał wokół sadzawki, kopiąc brązową kulkę, którą znalazł w trawie.

– Mama z wąsami, mama z wąsami! – W ręce trzymał dwa wyłamane palce z mosiężnej kołatki.

Nagle zerwał się gwałtowny wiatr. Wydało się, że drzewa na Balat zapłakały. I szloch ten ogarnął wody Złotego Rogu, Bosforu, morza Marmara, nawet Morza Śródziemnego, sięgnął aż do Toledo. Wykrzywiona drewniana brama opuszczonego domu otworzyła się, skrzypiąc. Trzciny nad Tagiem zakołysały się do wtóru...

### III 30 WRZEŚNIA 1539 ROKU

#### **Stambuł**

Mimo nieukojonego bólu, nieugaszonego smutku, bezradnych łez zwykłych ludzi ostatni rok okazał się pomyślny dla osmańskiego sułtana. Flota pod rozkazami Barbarossy, po wygraniu wojny pod Preveze, jako jedyna rządziła teraz na Morzu Śródziemnym. Stary żeglarz Andrea Doria z trudem ocalił swój okręt i ledwo uszedł z życiem; można było sobie wyobrazić, jaka wściekłość go przepełniała. Krzyżowcy byli zaniepokojeni. Ale w sumie największym przegranym okazała się Wenecja. Republika, w ramach podpisanego w końcu traktatu, musiała zapłacić odszkodowanie w wysokości trzystu tysięcy dukatów w złocie i zrzec się władzy nad prawie wszystkimi wyspami Morza Egejskiego oprócz Cypru. Przez pewien czas na ulicach osmańskiej stolicy nie można było zobaczyć ani jednego handlarza Wenecjanina, ale niedawno wrócili. Dla tych ludzi pieniądze ważniejsze były od wojen, flag, imperiów czy nawet religii. Trzymać się z dala od tak ludnego bazaru, gdzie panował ogromny ruch, nie leżało w interesie tych mężczyzn noszących bródki, czapki z frędzlami i obcisłe spodnie. Kiedy Turcy podbili wielki port Kaffa, przez który Wenecjanie sprzedawali swe towary Europie, ta droga została dla nich na zawsze zamknięta, a klęska w Egipcie położyła kres kwitnącemu ośrodkowi handlu w Aleksandrii, gdzie nabywali egzotyczne dobra z Dalekiego Wschodu. W tych czasach Stambuł był więc dla nich ogromnie ważny i nie zamierzali z niego zrezygnować.

Florentyńczycy, którzy handlowali tkaną bawełną z Trabzonu i Hasankeyf, byli także głównymi nabywcami jedwabnych nici z Bursy i starali się utrzymać przewagę tak długo, jak tylko mogli. Holendrzy prowadzili większość handlu pod francuską flagą, zainteresowani byli ałunem i wełną z Gümülcin. Rosjanie pracowicie wymieniali na Krytym Bazarze futra na jedwabne dywany. Tragarze nosili ciężkie wory papieru, mosiężne tarcze, miedziane druty, szkło, farby, nożyce, igły i lustra ze statku, który właśnie przybił do przystani. Turcy obcinali głowy przemytnikom, którzy przewozili miedź do Persji, jako że nikt

na świecie nie mógł się z nimi równać w formowaniu tego metalu i nadawaniu mu niezwykłego piękna, jednak żadne z tych muzułmańskich państw nie potrafiło topić metali i wyrabiać z nich drutu ani tarcz. Kraje te słynęły także z tkactwa, ale nie umiały produkować igieł, by zszyć swoje wyroby. Ich mieszkańcy potrafili pokrywać ramy i tylne ściany luster cudownymi dziełami, ale nie znali metod posrebrzania, aby wywołać odbicie. Na Zachód płynęły wielkie kwoty za te niezbędne dobra, które wymieniano też za wosk, ałun, bawełnę, wełnę, jedwab i ołów. Bez przerwy nabywano i sprzedawano w wiecznym kupieckim kołowrocie.

Wiele statków stało w przystaniach Złotego Rogu. Te z Izmiru – w przystani Izmir, z Mołdawii – w Unkapanı, wiozące olej – w przystani oleju, z cytrynami – w przystani cytryn. Okręty z ryżem i jęczmieniem zmierzały do przystani Ihtisap, by tam urzędnicy zbadali je z największą starannością. Gdy chodziło o zboże, Turcy byli wyjątkowo skrupulatni. W czasie wojny czy pokoju zabronione było wywiezienie choćby jednej jego miarki poza granice. Handel końmi, prochem strzelniczym, miedzią, skórami i wszelkiego rodzaju suszoną fasolą także podlegał najściślejszej kontroli.

Rzecz jasna, zawsze znalazł się sposób na przełamanie tych barier, jak zresztą wszelkich zakazów, i zawsze byli tacy, którzy zbijali na tym zyski. Estera zaczynała od szlachetnych kamieni, ale nie potrwało długo, zanim zrozumiała, że czasami jedna miarka pszenicy może być warta więcej niż szmaragdowy naszyjnik, i szybko stała się znawczynią owego zagadnienia. Kupcy, którzy pragnęli kupić lub sprzedać tego rodzaju towary, pukali głównie do jej drzwi. Dwa razy zdołała zapewnić weneckim kupcom pozwolenie na zakup suszonej fasoli i zboża, a raz – nawet skór. Sukcesy te przyniosły jej niezwykle wysoki dochód. Żaden dom nie mógł się równać z jej luksusową posiadłością w Perze. Zgromadzone tu były zastawy stołowe, gobeliny, dywany, jedwabie najwyższej wartości. Mimo nienawiści, która w niej rosła od dnia, gdy ujrzała odciętą głowę Buraka, jej stosunki z Hürrem nadal układały się dobrze. Małżonka sułtana miała pieniądze, a Estera wiedziała, że musi sprawiać wrażenie bliskiej i oddanej aż do dnia, w którym dokona zemsty.

Jeden z weneckich kupców, aresztowany za nielegalny wywóz towarów, został z jej pomocą uwolniony i niezwykle podniósł jej reputację w oczach Wenecjan. Teraz była ich faworytką, i to nie tylko Wenecjan ze Stambułu, lecz także tych przechadzających się po placu Świętego Marka.

Zdumiewało to nawet jej męża Leona, który sam pochodził z Wenecji. Dziwiło go, że jego żona zdołała stworzyć i utrzymuje taki system, że pozostawała w dobrych stosunkach zarówno z Serajem, jak i z wrogami Seraju, i że wszyscy byli z tego zadowoleni.

Kirâze była niezrównana w zarabianiu pieniędzy, zdawała się skupiać całą swoją energię, inteligencję i umiejętności na tym zadaniu. Każdego dnia okazywała większą pasję, ambicję i brak litości. Nic nie miało dla niej znaczenia oprócz majątku, może nawet i jej syn. Dźwięczące złote dukaty były jedyną rzeczą zdolną wywołać jej uśmiech. Wydawało się, że pochowała swoje ludzkie uczucia wraz z ciałami matki i swojej potajemnej miłości, Buraka. Teraz jej piękne oczy płonęły milczącą nienawiścią. Miłość umarła w jej sercu na zawsze, jak wczesny wiosenny pąk ścięty mrozem, nim zdołał rozkwitnąć. A nowy pąk nie mógł się zawiązać... Aby żyć dalej, zapomnieć o czasie, poświęciła się powiększaniu swojego bogactwa. Nie wzruszały jej miłe słowa męża czy syna ani nawet serdeczności ze strony ojca, którego czasami odwiedzała. Wykonywała swoją powinność: zarabiała pieniądze...

Abraham cały czas spędzał z ciotką. Można powiedzieć, że rzadko widywał matkę. Ale nie odczuwał tego. Soli z wielką miłością i poświęceniem starała się wypełnić jego życie. Miał więcej, niż jakiegokolwiek dziecko mogło zamarzyć. Był księciem obu domów, w Perze i w Galacie. Kiedy Kirâze go napominała, zawsze powtarzała te same słowa: „Wstydz się, twoje życie jest lepsze niż książąt. Jesz i pijesz, i robisz, co tylko zechcesz, a co najważniejsze... kaci nie czekają pod twoimi drzwiami”.

Dla dziecka te słowa nie miały wielkiego znaczenia, i tak zazdrościło książątkom. Zwłaszcza po ceremoniach obrzezania księcia Beyazita i księcia Cihangira, które miały miejsce przed kilkoma dniami. Obchody w Stambule były rzeczywiście niezwykle. Na At Meydanı

zorganizowano wiele przedstawień. Żonglerzy, akrobaci, linoskoczkowie, połykacze ognia... Setki gołębic wypuszczane w niebo; małpy i niedźwiedzie tańczące i bijące w tamburyny; dzikie lwy i tygrysy wystawiane na widok publiczny w jaskiniach. Tysiące ubogich otrzymało obfite posiłki. Europejskie poselstwa z zaskoczeniem obserwowały tłumy jedzące gołymi rękami pieczone barany na placu niedaleko Dikilitaş. Ceremonie trwały wiele dni, a teraz Sambuł znów się przygotowywał do świętowania zaślubin jedynej córki Sulejmana i Hürrem, Mihrimah, z Rüstemem Paszą, Bośniakiem z jasyru, który zdołał dojść do stanowiska gubernatora Anatolii... Od najbiedniejszych dzielnic po lśniący pałac wyczuwało się wzmożony pośpiech.

Nawet nowo otwarty pięciosalowy szpital przy meczecie Haseki drżał ze szczęścia. Zarówno doktorzy, jak i pacjenci, mając świadomość, że powstał dzięki staraniom Hürrem, modlili się za udany przebieg wesela. Odtąd ci, którzy nie mieli już nadziei, wychodzili zeń wyleczeni.

Żona sułtana miała wielbicieli, ale zarazem wiele osób jej nie lubiło, a nawet nienawidziło... Ale dla tych, którzy z nadzieją zapukali do drzwi szpitala, znaczyła więcej niż ktokolwiek inny. Jedni dostali łyżkę jakiegoś cudownego syropu, inni miskę ciepłej, smacznej zupy. Nie żądali niczego więcej, nic ich nie interesowało. „Niech ją Bóg błogosławi – mówili, składając zmęczone głowy na poduszkach, wstając z kucek przy niskich, okrągłych stołach, gdzie spożywali rozdawane jedzenie, otrzepując swe podarte ubrania. – Boże, bądź miłościwy dla niej, jak ona jest miłościwa dla nas!”

22 WRZEŚNIA 1541 ROKU

**Buda**

– Czy ten Turek nie ma litościwej matki, kobiety?

Izabela, trzymając w ramionach swoje urodzone przed piętnastoma dniami dziecko, zmartwionym wzrokiem spoglądała na wody Dunaju przez wąskie, wysokie okno pałacu. – Powiedz mi, czyżby nie miał? – szeptała.

Stojący za nią ksiądz rozłożył bezradnie ręce. Dziecko znowu się rozplakało. Izabela wróciła na tron, kołysząc je, usiadła, rozpięła koronkową bluzkę i wyjęła białą pierś, by nakarmić syna. Mały Zygmunt

natychmiast zaczął ssać, malutkimi paluszkami wczepił się w pełen mleka sutek matki. Książd spuścił oczy.

– Proszę się nie wstydzic – powiedziała. – Nie wstydzicie się. Karmiłam go nawet przed osmańskim posłem. I Ferdynand, i Sulejman usiłowali obrzucić mnie błotem, mówiąc, że to niewinne maleństwo nie należy do mnie, że Zapolya nie był jego ojcem. Ale Bóg zna prawdę, ja ją znam i każdy, kto ma oczy. Kto mógłby karmić tak dziecko, jeżeli nie matka? Teraz już wszystko jasne. – Delikatnie pogładziła główkę noworodka. – Nie bój się, kochanie, twój ojciec nie żyje, ale masz matkę, która ochroni cię, koronę i twoje królestwo...

– Musimy odejść, pani – odparł książd. – Taki jest rozkaz Sulejmana. Jak wiesz, przyrzekł, że Zygmunt będzie władał Węgrami, gdy osiągnie właściwy wiek. Przysłał ferman wypisany złotymi literami, by to ogłosić. Teraz musimy się udać do Erde. Zygmunt będzie jego zarządcą, a ty, pani, zostaniesz regentką w jego imieniu.

– Czyli teraz widzimy, że Sulejman Wspaniały po tylu wyprawach i wojnach chce je odebrać dwutygodniowemu niemowlęciu i kobiecie... Czyż tak? Biedaczek.

– Proszę, moja królowo, zamilcz, usłyszą cię janczarzy wynoszący meble.

Tymczasem ezan wznosił się z kościoła, niedawno przekształconego w meczet.

– Niech słyszą wszystko, co mówię. Jasne jest to, co zrobili, nie słyszysz tego dźwięku z naszego świętego przybytku? Widzisz, wyrzucają nas z własnego domu. Zabierają nam wszystko. I mówią, że to w ramach przyjaźni i pomocy. Jestem królową, królową Węgier i córką wielkiego króla Polski. Jednak nie traktują mnie poważnie. Ani Sulejman, ani Ferdynand... Dlaczego? Bo mój mąż nie żyje. Niech ich obu Bóg ukarze! Mam nadzieję, że będą się przez wieczność smażyć w piekle!

– Sułtan przyrzekł, moja pani. Przyrzekł nas chronić.

– Przyrzekł? Po co wysyłałam do niego posłów do Stambułu? Prosić o pomoc! A on co zrobił? Odesłał moich ludzi z pustymi rękami, a do tego odebrał im cenne rumaki i dał zamiast tego pociągowe bydłta... A teraz jest tutaj ze swoimi dzikimi janczarami i ogłosił „Buda

jest moja”. W dodatku każe nam wyjechać do Erde. Opowiada, iż w przyszłości Zygmunt zostanie królem Węgier, czy ty w to wierzysz? Ja powiedziałabym raczej, że to uzurpacja. Tak, uzurpacja!

Izabela nie mogła powstrzymać łez, jedną ręką ocierała policzki, a drugą pieściła dziecko.

– Powóz jest gotów, pani – powiedział ksiądz.

Kobieta wstała i podeszła do drzwi. Dwie służące pobiegły za ostatnią królową Węgier, która przeżyła do tej chwili, mimo zamiarów Karola V, dzięki wsparciu Osmanów i wysokim podatkom, jakie im płacono. Jedna z nich narzuciła jej szal na ramiona, druga próbowała wziąć od niej dziecko. Królowa odepchnęła ich ręce i dumnie ruszyła naprzód. Ksiądz cofnął się, by zrobić jej miejsce.

Zdecydowanym krokiem szła przez korytarze pełne janczarów noszących ogromne wazy, malowidła i lustra z węgierskiego pałacu, z których każde było cennym dziełem sztuki. Zygmunt znowu płakał. Izabela, królowa bez korony, przytuliła go i powiedziała, wsiadając do powozu:

– Żegnajcie, Węgry, mój ukochany kraju!

Mężczyzna w turbanie podał księdzu zwój. Był to ferman sułtana; wypisano w nim złotymi literami: „Przyrzekam! Przyrzekam na mojego Proroka, na moich przodków i na moją szablę, że Zygmunt zostanie królem Węgier, gdy osiągnie odpowiedni wiek”.

**Pera**

Minęły zaledwie dwa tygodnie od chwili, gdy Estera urodziła drugiego syna Haima, a już wróciła do swojej pracy. Zignorowała prośby wszystkich, którzy proponowali, żeby jeszcze trochę odpoczęła:

– W takim czasie? – mówiła. – W każdej chwili warunki życia mogą się całkiem zmienić...

Sekretarz weneckiej ambasady, który przyszedł ją odwiedzić, podzielał jej niepokój:

– Wierzę, że pojawi się francuski poseł z niezwykle ważną propozycją. Poproszą o wsparcie sułtana przeciwko Karolowi V. Wydaje się, że w przeciwnym wypadku Franciszek nie będzie w stanie chronić swojego królestwa. Nie ma prawdziwego wojska, a jego skarbiec jest



prawie pusty.

– Masz rację, signor, docierają do mnie podobne wieści. Poproszą o pomoc Barbarossę, po tym, jak zadał Andrei Dorii kolejną klęskę w Algierii. Oczywiście do tego zwycięstwa znacznie przyczynił się nagły sztorm, ale i tak wielu muzułmanów wierzy, że była to święta pomoc z nieba dla muzułmańskiej floty.

– Dowiedzieliśmy się, że Dorii zamarzło tysiące żołnierzy, czternaście galer zatонуło, a sto trzydzieści zaginęło w czasie sztormu. Pokonanie go musiało być zatem dla muzułmanów igraszką. Słyszeliśmy, że kapitan Cortez z floty krzyżackiej, zdobywca Meksyku, z trudem umknął przed Osmanami. Karol V miał ogromne trudności z zebraniem swoich ludzi. Zresztą nie wiem, czy pomoc pochodziła od Boga, ale Barbarossie z pewnością by się przydało pokonać Andree Dorię. Turcy teraz się nie zatrzymają, spodziewam się, że zgodzą się poprzeć Francuzów.

– Signor, mówisz, jakbyś nie był z tego zadowolony.

– To prawda, signora, dość się niepokoiimy. Turcy będą naciskać, byśmy do nich dołączyli. Owszem, Republika Wenecka nie chce zepsuć swoich relacji z Sulejmanem Prawodawcą, ale nie chcemy też, aby się rozpadła chrześcijańska Europa. Słyszeliśmy, że Karol i Henryk, król Anglii, zawarli porozumienie. Musimy się chronić. Wojna może położyć kres ożywionemu handlowi weneckiemu. Nie możemy tak ryzykować.

– Co zatem mogę dla was zrobić, signor?

– Wiele, jak wierzę. Wiemy o wpływie, jaki masz pani na małżonkę sułtana, oraz o tym, jak bardzo cię ona ceni.

Na wspomnienie osoby Hürrem Estera przybrała chmurną minę. Przez chwilę milczała, potem odzyskała panowanie nad sobą i odparła:

– Mogę spróbować. Ale tylko spróbować, niczego nie obiecuję. To może być poza moimi możliwościami; a nie lepiej by było, gdybyście porozmawiali z Rüstemem Paszą, zięciem?

– Wenecja będzie ci wdzięczna, signora, i nie pozostawi twojej wspaniałomyślności bez nagrody. Możesz być tego pewna.

– Ale muszę powiedzieć jeszcze jedną rzecz, Rüstem Pasza to bardzo chciwy człowiek. A to znaczy, że będziecie musieli zapłacić fortunę.

– Republika gotowa jest zapłacić każdą cenę za pokój, signora. Uniknięcie nadciągającej wojny jest wszystkiego warte.

Estera wstała.

– Spróbuję – powtórzyła.

Młody sekretarz wstał także, a zanim wyszedł z pokoju, wyjął czerwoną aksamitną sakiewkę i położył na stole.

– Oto skromny podarek dla twego drugiego syna, proszę, przyjmij go – powiedział i skłonił się nisko z szacunkiem.

Kirâze wzięła sakiewkę i zważyła ją w dłoni. Była dość ciężka, przypuszczała nawet, jaką sumę zawiera. Otworzyła i opróżniła woreczek. Uśmiechnęła się na widok złota błyszczącego w promieniach rannego słońca, które wpadały przez okno.

7 WRZEŚNIA 1543 ROKU

**Blois**

Franciszek z najwyższą uwagą słuchał dowódcy przekazującego mu najnowsze wiadomości z południowego wybrzeża. Z jego zamyślanej miny trudno było wyczytać, czy jest zadowolony, czy też nie. Twarz miał posępną.

– Doszli do przedmieść Rzymu. Mieszkańcy Ostii drżeli ze strachu. Flota osmańska, sto dziesięć galeasów i cztery galery, połączyła się z czterdziestoma okrętami algierskimi i stworzyła ogromną muzułmańską armadę. Kto by pokonał taką potęgę.

Franciszek skinął głową.

– Kontynuuj, panie, chcę poznać wszystkie szczegóły.

– Zajęcie Nicei okazało się dużo prostsze, niż sądziliśmy, Wasza Wysokość. Ale muszę wyznać, że Turcy nas przewyższyli. Gdybyśmy byli sami, byłoby to trudne albo i niemożliwe. Barbarossa dał nam lekcję. Najpierw okazał niezwykle zdumienie, że dowódca naszej floty ma dwadzieścia trzy lata, i kilka razy powtórzył, że to obraza, by tak doświadczony żeglarz stawał do walki z takim młodzieńcem. A całkiem stracił rozum w chwili, gdy akurat zajmowaliśmy miasto i zażądał prochu, a dostał odpowiedź, że go nam zabrakło. Z wściekłością krzyczał na stojącego przy nim naszego posła Polaina: „Dobrze wiecie, jak załadować wasze okręty winem, ale zapominacie zabrać dosyć

prochu na wojnę!” Mówił, że jesteśmy ignorantami i nie wiemy, co to odpowiedzialność i powaga. Chciał zostawić nas natychmiast, oznajmił, że Nicea nie jest dla niego ważna, taka błahostka, a ma przez nią i przez nas splamić swoje wspaniałe imię. Tak, mój panie, naprawdę z najwyższym trudem przekonaliśmy go, by z nami został. Dzięki Bogu, Nicea się poddała. A o reszcie już wam wiadomo, Wasza Wysokość. Nareszcie, przynajmniej na jakiś czas, Karol V nie jest już dla nas groźny.

– Czy Barbarossa zawrócił?

– Tak, panie. Natychmiast po kapitulacji Nicei znowu wypłynął. O ile nam wiadomo, po odłączeniu się od nas najpierw udał się do Tulonu, a stamtąd do Genui, oswobodził Turguta Reisa, swojego przyjaciela, którego pojmał Giannettino, kuzyn Andrei Dorii. Słyszałeś chyba, panie, że kapitana Giannettina Osmanowie nazywają „chłopcem” przez wzgląd na jego dziecięcą twarz. Kiedy Barbarossa zszedł na ląd, zawołał stamtąd: „Hej, chłopcze kapitanie, chłopcze kapitanie, jeżeli mi go nie zwrócisz, własnymi rękami spalę całe twoje miasto!” Natychmiast przyprowadzono mu Turguta. Myślę, że teraz musi być w drodze do Stambułu. Ale nikt nie może być pewien, gdzie zaatakuje następnym razem. Niech Bóg chroni ludzi przed taką dzikością. Jest stary, ale nadal silny i bardzo inteligentny. Nie sposób nie być pod wpływem tego korsarza.

Franciszek nie komentował. Może i odniósł zwycięstwo nad Karolem, ale z pomocą Osmanów, a ta prawda była dla niego gorzka. Miał dość wojen, był wyczerpany. Dwóch synów zabrała mu zaraza, czuł się bardzo samotny i daleki od uciech życia. Jego wewnętrzny świat był nie mniej zmacony niż zewnętrzny.

– Panie, to nasze zwycięstwo będzie miało także wpływ na sprawę szkocką – powiedział komendant. – Henryk VIII nigdy nie zdoła przyłączyć tych ziem do Anglii, nasi poplecznicy mu na to nie pozwolą. Odbicie Nicei wielce podniosło na duchu naszych poddanych i innych, którzy są po naszej stronie.

– Henryk – mruknął Franciszek. – To morderca...

– Tak, panie, nikt nie wie, ile żon zgładził. Ostatniej z nich ścięto głowę po oskarżeniu o zdradę, i innych także wysłał na szafot... Zawsze

znajdzie kogoś, kto zapłaci za jego własne błędy i porażki. Odciął się nawet od papieskiego tronu i założył nowy Kościół. A jednak jest sojusznikiem Karola.

– Anglia zawsze starała się odebrać ziemie Francji...

Naraz do środka wszedł posłaniec, oznajmiając przybycie Józefa Mendesa, młodego bankiera z Antwerpii.

– Proś go natychmiast – powiedział ożywiony król. Lubił rozmawiać z tym wykształconym i rozumnym młodym człowiekiem.

Komendant zrozumiał, że czas odejść, i się skłonił. Gdy wychodził, Mendes, czy też, jak się potajemnie zwał, Nasi, wkraczał do sali.

– Mendes, co za miła niespodzianka – powiedział na jego widok Franciszek, wstał i po przyjacielsku uścisnął dłoń gościa. Służący wnieśli wino.

Przez chwilę mówili o literaturze, malarstwie i muzyce, po czym Mendes zaczął długo i dokładnie objaśniać królowi wyniki swojego badania francuskiego skarbcza. Stan finansów nie był najlepszy, Józef dobrze wiedział, że dochód z loterii urządzanych z królewskim przyzwoleniem nie był i nie będzie wystarczający. Franciszek, z poparciem otaczających go doradców, od lat zbierał w ten sposób pieniądze od poddanych. Teraz w ich kieszeniach nie było już nic i loterie czekał koniec. Francja była w stanie prawdziwego kryzysu. Mogłoby się wydawać, że Józefa ten problem nie dotyczył, a nawet był mu na rękę, gdyż to on pożyczył pieniądze, ale błędem byłoby tak ogólnie oceniać sytuację. On jednak dobrze wiedział, że kiedy pożyczka się komuś pieniądze, nawet królowi, najważniejsza jest możliwość odzyskania ich na czas i to z procentem, ale w tej chwili miał poważne podejrzenia. Oczywiście wołał zachować je dla siebie.

Franciszek traktował go jak bliskiego przyjaciela. Kiedy zakończyli tę trudną rozmowę, młody żydowski bankier chciał odejść, lecz król nalegał, by został nieco dłużej. Słudzy znowu napełnili czary.

– Mendes, chciałbym cię o coś spytać – powiedział król.

– Wasza Wysokość?

– Co myślisz o ostatnich wydarzeniach na świecie?

– Niestety, nie jestem w stanie udzielić pełnej informacji na ten temat, Wasza Wysokość. Obawiam się, że moja praca jest mocniej

związana ze starym porządkiem.

– Ale z pewnością masz jakieś przemyślenia.

Mendes sączył wino. Zastanowił się chwilę, zanim się znowu odezwał.

– Wierzę, że kto tam zapanuje teraz, zapanuje nad przyszłością, a Hiszpania i Portugalia wydają się na najlepszej drodze do osiągnięcia tego celu. Przynajmniej w tej chwili. Ale ty, panie, również...

Franciszek przerwał mu:

– Odnoszę wrażenie, że straciliśmy szansę. Po wszystkim, co zrobił Cartier...

Nasi spojrzali na niego pytająco.

– Dałem mu niezwykle możliwości – kontynuował król. – Udał się do Kanady, a z powrotem przywiózł jedynie skrzynię bezwartościowych kamieni, nie umiał nawet narysować prawdziwej mapy. Jednak nie odmówiłem mu drugiej podróży i wyruszył znowu. Tym razem nie słuchał tego, co mówił mu Roberval, którego wysłałem z załogą, by miał baczenie na Cartiera, i źle potraktował tamtejsze ludy. Przez niego wielu wartościowych marynarzy straciło życie. I w końcu postradaliśmy sporo złota.

– Skarbiec można napęłnić ponownie, jak już mówiłem, Wasza Wysokość. Mówiłem wam, panie, że zasady rządzące starym światem znam lepiej.

– Tak, pieniądze... Wszystkie skarbcce Europy... Masz wielkie sukcesy, Mendesie. Pracujesz prawie dla każdego dworu.

– Jak Waszej Wysokości doskonale wiadomo, mawiają, że żadne granice nie staną na przeszkodzie pieniądзом i kupiectwu.

– Masz rację, w przeciwnym razie jak mógłbyś pracować ze wszystkimi tymi królami walczącymi między sobą?

Twarz Mendesa zaczerwieniła się na moment. Zrozumiał aluzję króla do jego związków z Karolem V. Nie odpowiedział nic, uśmiechnął się tylko.

Król nie chciał kontynuować tego tematu.

– Jak się miewa twoja szanowna ciotka? – zapytał.

– Bardzo dobrze, dziękuję. Planuje się przenieść do Wenecji, gdyż nie mogła przywyknąć do długich zim w Antwerpii.

– Czy to oznacza, że Bank Mendes będzie miał także filię w Wenecji?

– Sądzę, że w tej chwili moją ciotkę bardziej interesują weneckie gondole niż pieniądze. Pracę zostawiła mnie.

– Naprawdę podziwiam cię, Mendesie. Taka energia, talent, powodzenie...

– Panie, dziękuję ogromnie za komplementy, ale w porównaniu z Waszą Wysokością jestem nikiem.

Franciszek obojętnie wzruszył ramionami.

– Europa nie widziała i nie zobaczy więcej takiego króla jak ty – ciągnął Mendes. – Świat sztuki nigdy cię, panie, nie zapomni, malowidła, rzeźby, księgi artystów, których tak wspierałeś, będą żyć wiecznie.

Franciszek uśmiechnął się znowu.

– Nie wiem tylko, czy to dla króla sukces, jeśli w historii zapisze się jako miłośnik sztuk, a nie dowódca wojskowy.

Mendes nie mógł przez chwilę znaleźć właściwej riposty, ale przypomniał sobie radę ciotki. Zbytняя poufałość z władcami mogła prowadzić do problemów.

– Mój panie – powiedział w końcu. – Kto nie doceniłby twoich wojskowych sukcesów? Jesteś wielkim władcą. Ale, z twoim pozwoleniem, chciałbym przedstawić moją skromną myśl na ten temat. Poświęcenie się pokojowi, bogactwu, postępowi nauk i sztuk jest, w moim przekonaniu, nie mniej ważne niż wojna. Jeżeli pomyślimy o wielkich nazwiskach w historii...

Franciszek podziwiał inteligencję i wiedzę młodego człowieka. Mendes ponownie poprosił o pozwolenie na odejście. Tym razem król Francji pożegnał go równie przyjaźnie, jak i powitał.

Gdy Mendes opuszczał pałac, synowa francuskiego władcy, Katarzyna Medycejska z Florencji, wysiadała właśnie z powozu. Nasi skłonił się jej z najwyższym szacunkiem. Był świadom przyszłej pozycji tej pięknej i inteligentnej kobiety i wiedział, że należy być z nią w dobrych stosunkach.

6 WRZEŚNIA 1544 ROKU

**Wenecja**

Ci, którzy wczesnym rankiem zmuszeni byli przeciąć plac Świętego Marka, stwierdzali, że znów przykryty jest wodą. Morze się podniosło, dosięgło wrót Pałacu Dożów. Ale najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Miasto kanałów – Wenecja – zamierzało świętować kolejny niezwykle dzień. Była to pierwsza niedziela września, dzisiaj miały się odbyć ostatnie i najważniejsze z regat rozpoczętych w maju. Balotiny z sześcioma wioślarzami, należące do najwyższych urzędników Republiki, i szybkie pupariny arystokracji szykowano do obchodów. A czy tylko te? Gondole wszelkiego rodzaju obwieszano kolorowymi flagami, polerowano wszystkie metalowe części, czyszczono dokładnie aksamitne siedzenia. Mascarety prostytutek w przebraniach, łodzie rybaków, gondole mieszczan kołysały się jedna przy drugiej u brzegów kanałów.

Mimo chmur wszyscy byli przekonani, że w dzień będzie świecić słońce. Blade cienie setek mostów mieszały się z sobą na powierzchni nieruchomej wody. Najniższe schody prowadzące do domów, przyozdobione kamiennymi posągami i reliefami, znajdowały się pod wodą. Podobnie jak długie gałęzie powojnika, pełne fioletowych kwiatów, zwisające z witrażowych okien i drzwi...

Bicie dzwonów, coraz głośniejsze, zapraszało wszystkich na ulice: „Zbudźcie się, wstańcie!”. Pierwsze promienie słońca zaczynały się kłaść na kopułach pałaców.

Doña Gracia Mendes obudziła się dużo wcześniej niż inni i z zadumą obserwowała oddające się zabawie miasto. Usiadła za swoim eleganckim biurkiem, wyjęła z szuflady kartkę papieru i zanurzając gęsie pióro w atramencie, zaczęła pisać list do swojego ukochanego siostrzeńca:

*Mój Drogi Synu,*

*Zacznę od krótkiego uspokojenia: mamy się dobrze; z Twoją kuzynką Rejną przywykłyśmy z łatwością do Wenecji i niczego nam w życiu nie brakuje. Oczywiście oprócz Twego drogiego uśmiechu i miłości... Jestem pewna, że będziesz nas często odwiedzał, a jednak bardzo za tobą tęsknię. Mam nadzieję, że wkrótce postarasz się przenieść wszystkie interesy tutaj i na stałe osiedlisz się we Włoszech.*

*Nie wierzę, że zagrozi nam jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, o ile zachowamy ostrożność. Chociaż Żydzi zmuszani są do zamieszkania w wyznaczonych miejscach, to jest w gettach, Wenecja pozostaje miastem lepszym niż wiele innych w Europie. Na tutejszych ulicach widzi się sporo Żydów ubranych w tradycyjne stroje. Nakładane są duże kary na tych, którzy nie stosują się do nakazu noszenia odpowiedniego znaku, nie można też wychodzić nocą. O zachodzie słońca zamykane są ciężkie bramy getta. Aby wtedy wyjść, trzeba mieć mnóstwo dokumentów. Ale interesy można robić i zarabiać również. Jak już słyszałeś, większość to lekarze i drukarze. Naprawdę w getcie weneckim wydawane są cenne książki. Ci biedni ludzie w jak najlepszy sposób wykorzystują swoje możliwości, aby zapewnić sobie utrzymanie. Jednak ich widok, jak również konieczność ukrywania się, sprawia mi wielki ból...*

*Myślę, że najlepiej byłoby pojechać niebawem do Stambułu i w ten sposób poprawić swoje położenie, jak i wspomóc naszych współwyznawców. Wiem, że masz pewne znajomości w osmańskiej stolicy; bardzo cię proszę, czy mógłbyś zbadać taką możliwość?*

*A skoro o tym mowa, kiedy tylko rozmawiam z tutejszymi kupcami handlującymi z Osmanami, zawsze wymieniają to samo imię, Estera, z przydomkiem Kirâze. Jeśli dobrze rozumiem, kobieta ta jest bardzo blisko dworu, zwłaszcza sultańskiego haremu. Mówią, że jej ojciec jest drukarzem z Hiszpanii, a mąż jej siostry to jeden ze słynnych lekarzy w osmańskim pałacu. A rodzina jej męża pochodzi z Wenecji. Z tego, co mówiono, wnoszę, że w pewnym sensie jest tam bankowcem. Dowiedz się, może mogłaby być dla nas użyteczna. Zresztą w dzisiejszych czasach nie sposób jeszcze ocenić, kto jest użyteczny, a kto nie... Mówię to, bo nawet do własnej siostry nie mam zaufania, w tak dziwnym jest nastroju, może to zazdrość, a może traci rozum. Mam wrażenie, że w każdej chwili może o nas donieść. Moja własna siostra, jaka szkoda... Miejmy nadzieję, że się mylę. Ale o to się nie martw, poradzę sobie.*

*Obawiam się, że zepsułam Ci dzień narzekaniem. Tutejsze życie nie jest aż tak mroczne, dzieje się wiele zabawnych i przyjemnych rzeczy. Wenecja to miasto pełne życia. Rejna naprawdę je kocha. Często jesteśmy zapraszane. Karnawał, przedstawienia w teatrach, przejażdżki*



*gondolą... Dzisiaj będziemy oglądać regaty. Całe miasto szykuje się do nich od wielu dni. My też pójdziemy je obejrzeć. Twoja kuzynka z pewnością opíše Ci wszystko ze szczegółami.*

*Józefie, kończę ten list wyrazami miłości, proszę, napisz i Ty do mnie, gdy będziesz miał chwilę, i bądź bardzo ostrożny, mój drogi. Owszem, interesy są ważne, ale ty jesteś dla nas najważniejszy i najcenniejszy. Rejna i ja tęsknimy za Tobą.*

*Twoja ciotka*

Beatrycze złożyła kartkę, wsunęła ją do koperty, którą wyjęła ze srebrnej skrzyneczki, zapieczętowała i zadzwoniła na pokojówkę. Z zewnątrz docierały wesole okrzyki gondolierów. Podeszła do okna zdobionego przedstawieniami ptaków i kwiatów. Przed kościołem naprzeciwko kołysało się już mnóstwo łodzi. Słońce świeciło jasno, zapowiadał się wspaniały dzień.

6 MAJA 1547 ROKU

**Sütlüce**

Sokullu Mehmed, który zaczynał jako służący sułtana, a następnie główny kucharz, i w krótkim czasie awansował na odpowiedzialnego za stan broni sułtańskiej, po śmierci naczelnego kapitana Barbarossy szybko, chociaż morze było mu całkiem obce, wyniesiony został przez darzącego go zaufaniem sułtana na stanowisko dowódcy floty. Była to niespodzianka dla wszystkich, łącznie z samym Mehmedem Paszą. Nie było w tym jednak nic szczególnie dziwnego. Barbarossa opanował przed śmiercią Morze Śródziemne i z tej strony nie było już żadnego zagrożenia. Nie było też żadnych oznak wojny na lądzie. Turcy zawarli nowe traktaty z Karolem V i jego bratem Ferdynandem. Po swoim nowym naczelnym kapitanie sułtan oczekiwał wzmocnienia floty za pomocą wprowadzenia innowacji i przeorganizowania jej. Był zdania, że najlepiej sprosta temu zadaniu uważny, dokładny i pracowity Sokullu. I rzeczywiście w niedługim czasie spełnił on pokładane w nim nadzieje. Po roku sułtan Prawodawca odwołał Sokullu ze stanowiska we flocie i tym razem powołał go na gubernatora Rumeli, a na jego miejsce mianował Sinana Paszę, brata wielkiego wezyra Rüstema Paszy.

Sokullu wyglądał na zadowolonego ze swojej nowej pozycji i obowiązków, jednak z jego spokojnej twarzy trudno było odczytać głębokie uczucia. Był mistrzem w ukrywaniu swego wewnętrznego świata przed innymi. Skośnymi oczami obserwował otoczenie, snując plany i opracowując strategie. Nie był z nikim blisko i trudno było odgadnąć jego myśli. Wydawało się, że w wielkim pałacu sułtańskim jest osamotniony, ale w rzeczywistości znalazł przyjaciela w şeyhülislamie Ebussuudzie Efendim.

Nie tylko ci dwaj postępowi Turcy myśleli w podobny sposób, ale też ich konaki znajdowały się blisko siebie, w Sütlüce, niedaleko dzielnicy Eyüp. Często się spotykali, by omawiać nowinki polityczne i wymieniać poglądy.

Mehmed Pasza dzielił się z Ebussuudem Efendim radością z nowego stanowiska.

Mężczyźni siedzieli obok siebie w ogrodzie, ciesząc się z wiosennej pogody i komentując sytuację.

– Sokullu Paszo, niech ci Bóg pomoże wypełniać nowe obowiązki gubernatora, mam nadzieję, że przyniosą one szczęście tobie i nam wszystkim.

– Amen, *inşallah*, Bóg nie pozwoli mi się zhańbić. Nie zawiodę naszego sułtana.

– Martwisz się niepotrzebnie, Paszo. Czyż jest w stolicy inny, równie szlachetny, ciężko pracujący i sumienny człowiek jak ty? Gdzie nasz pan miałby znaleźć kogoś z takimi zaletami?

– Dziękuję ci bardzo, zawsze się modlę za twoje zdrowie. Obowiązki nie są jednak łatwe. Gdyby chodziło tylko o mnie, byłoby to prostsze, ale jest mnóstwo mącicieli, intrygantów. Sam wiesz, Ebussuudzie Efendi, o kim mówię...

– Mogę sobie wyobrazić. Niech Bóg da długie życie naszemu sułtanowi. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby Hürrem Sultan go przeżyła.

– Dość jest zamieszania teraz, gdy on żyje. Żona wielkiego wezyra i jego teściowa są przebiegłe. Wprawdzie Mihrimah Sultan jest bardzo młoda, ale podobnie jak matka wtrąca się w sprawy państwowe i finanse. Sympatyczny Rüstem Pasza także nie stroni od pieniędzy, ale...

– Ma duży majątek. Tysiące niewolników, konie ze złotymi siodłami, kaftany... Naprawdę nie wiem, co on z tym wszystkim zrobi. Czyż nie wiedzą, że nie zabiorą tego ze sobą?

– Mój drogi przyjacielu, ludzie ogromnie się zmienili. Gonią jedynie za pieniędzmi. Dzisiaj słyszę coraz więcej o przekupstwie, nadużyciach władzy, o nieprzyzwoitościach. Ich źródłem jest też harem. Żydówka o imieniu Kirâze, jak mówią, z łatwością załatwia i sprzedaje w pałacu, co tylko zechce. Otrzymuje mnóstwo pozwoleń dla cudzoziemskich kupców, oczywiście nie robi tego za darmo... Chciwa Żydówka, która prowadzi takie gierki w sułtańskim haremie... To nie jest dobrze...

– Niech Bóg nas chroni, zwłaszcza ciebie, Paszo. Pracować, gdy tyle przeciwności, nie jest łatwo, ale tobie z pewnością się uda.

– *Inşallah, inşallah* – westchnął Sokullu. – Obawiam się, że książęta będą sprawiać kłopot. Selim oddaje się ucztom i piciu. W ogóle nie dba o tron, ale Mustafa i Beyazıt pragną na nim zasiąść i walczą między sobą. Hürrem chce, żeby to jej syn Beyazıt zastąpił na tronie Sulejmana.

– Niech Bóg nas chroni – powiedział şeyhülislam. – Co to za domysły? Nasz sułtan wciąż żyje, Bogu dzięki. A prawem Mustafy jest rządzić imperium po nim... Jest najstarszy, najmądrzejszy i ma wspaniały charakter. Załóżmy na chwilę, że Mustafy nie ma, w takim wypadku tron się należy Selimowi, który jest starszy od Beyazita.

– Prawdę mówisz, Ebussuudzie Efendi... Kiedy jednak kobieta dotknie polityki, robi się zamieszanie. Chce, aby Beyazıt został dziedzicem. Jest gotowa osiągnąć to za wszelką cenę. Nie jesteśmy w stanie sobie nawet wyobrazić, do jakich sztuczek jest zdolna. Śledzę te poczynania z najwyższym smutkiem. Nikt nie myśli o przyszłości imperium. Jutro albo któregoś innego dnia pokój może się załamać. Mogą się zacząć nowe wojny. W Europie wrze. Franciszek nie żyje, a jego syn Henryk II nie jest tak ugodowy jak ojciec, jest zagorzałym katolikiem, zaś żona, Katarzyna Medycejska, nie różni się od kobiet w naszym własnym sułtańskim haremie. Ona też pragnie rządzić.

– Wierysz, że Anglia także się włączy w te intrygi?

– Tak. Henryk VIII nie żyje, jego jedyny syn, Edward, posiada

koronę, ale jest jeszcze dzieckiem, więc wyspą z pewnością będą władać regenci. Przyrodnie siostry, Maria i Elżbieta, zrobią wszystko, by zasiąść na tronie. Tam również mogą wybuchnąć ciężkie walki religijne. Spory między protestantami a katolikami mogą zapoczątkować wielkie wojny w Europie. Nie wiemy, co planuje Karol. W Rosji Iwan założył koronę carów. Wszystko wskazuje na to, że wprowadzi tam wiele gruntownych zmian. Kiedy w Europie zmieni się równowaga sił, i my będziemy musieli wówczas zareagować. Powinniśmy przygotować plany na przyszłość. A do tego potrzebujemy ludzi prawych i pełnych zdrowego rozsądku.

Sokullu był wyraźnie świadom braku rozsądku u rządzących i dlatego z ubolewaniem pokiwał głową.

– Nie martw się o to zbyt, Paszo – odpowiedział Ebussuud Efendi. – Jeśli będziemy mieli jeszcze trzech takich paszów jak ty, a mam nadzieję, że tak się stanie, to z Bożą pomocą przezwycięzymy wszystkie trudności i nie pozwolimy, by ktoś poniżył islam albo Turków.

– Amen – mruknął ponownie nowy gubernator Rumeli. Wstał, poprosił o pozwolenie na odejście. – Proszę, módl się za nas, Ebussuudzie Efendi – powiedział na odchodnym.

Kiedy wyszedł z konaku, şeyhülislam kilka godzin się modlił, po czym na powrót zagłębił się w lekturze ksiąg.

Sokullu Mehmed Pasza dostrzegał niebezpieczeństwa kryjące się w przyszłości i wiedział już, jak im zapobiec oraz jak wykorzystać mężczyzn wokół siebie. Świat kobiet był mu jednak obcy, nie potrafił zapanować nad ich haremowymi intrygami. A zapadające tam decyzje mogły przecież zniweczyć wszystkie jego plany. Powinien też dokładnie przyrzeć się tej Kirâze. Dowiedzieć się, z kim się widuje, z kim handluje. Uważał, że to główna sprawa, którą ma do załatwienia. Głaszcząc dopiero co pofarbowaną siwiejącą brodę, zatroskanym wzrokiem przyglądał się Perze i Galacie.

22 LISTOPADA 1551 ROKU

**Galata**

Wieczór jeszcze nie nadszedł, ale w domu Çiprutów dawno zapalono wszystkie lampy oliwne. Wokół pociemniało. Pełgające

plómiene z kominka tworzyły na ścianach tysiące ruchomych kształtów. W pokoju nie było przesadnie gorąco. Gwiżdżący wiatr targał drewnianymi okiennicami. Przez cały dzień deszcz nie ustał ani na chwilę. Spienione fale ołowianego morza Marmara uderzały w wybrzeże. Wśród bałwanów nie widać było ani jednej łodzi.

– Myślę, że zima będzie sroga – powiedział doktor Çiprut do żony, podnosząc wzrok znad grubej księgi. – Jeżeli lodos<sup>[90]</sup> zamieni się w poyraz<sup>[91]</sup>, możemy się spodziewać śniegu. Kto wie? Może jutro rano obudzimy się i zobaczymy wszystkie dachy pokryte grubą, białą pierzyną.

Najbardziej szanowany i zaufany lekarz Seraju miał już ponad sześćdziesiąt lat, jego włosy i broda stały się niemal całkiem siwe, ale wciąż był w dobrej formie.

Soli wzruszyła tylko ramionami. Drugi syn Estery, Haim, wykrzyknął radośnie, bawiąc się piłką:

– Będzie padał śnieg, będzie padał śnieg!

Ciotka gestem nakazała mu ciszę, ścisnęła ramię Samiego i stukając o stół ołówkiem, powiedziała:

– *Escribe derecho, techo con techo, te haras yazici del commercho.*

Sami był w rodzinie najmłodszym z dzieci, miał dopiero sześć lat, ale umiał już czytać i pisać. Soli zajmowała się jego edukacją, tak samo jak dwóch starszych synów Estery. Ponieważ nie miała własnego dziecka, bardzo troszczyła się o siostrzeńców. Estera żyła w innym świecie. Nie interesowało jej nic prócz pieniędzy i już teraz swojego najstarszego syna Abrahama także wprowadzała w interesy. Soli bała się tego, oczywiście nie miała nic przeciwko pracy, ale Seraj zawsze był dla niej przerażającym miejscem. Drżała, ilekroć słyszała wieści o tym, jak wysocy rangą urzędnicy imperium zostali uduszeni lub skazani na karę śmierci. Myśl o tym, że jej siostra znajduje się w tak niebezpiecznej sytuacji i obraca się wśród podejrzanych osób, niepokoiła ją. Powtórzyła te same słowa:

– *Techo con techo, te haras yazici del commercho.*

Zdanie to tradycyjnie wygłaszano w sefardyjskich rodzinach, by zachęcić dzieci do zdobycia dobrego wykształcenia. Znaczyło to: „Zapisz to dobrze, linijka po linijce, potem możesz zostać sekretarzem

w urzędzie celnym”. Było to ćwiczenie, gdyż w rzeczywistości marzenia Soli o przyszłości dzieci nie dotyczyły wcale pracy sekretarzy w urzędzie celnym. Wolałaby, żeby chociaż jeden z nich przejął drukarnię. Ojciec był już bardzo stary i mieszkał sam w swoim domu na Balat. Odmówił przeprowadzenia się do którejś z córek, mówiąc: „Chcę umrzeć tutaj”.

Soli kierowała wszystkimi sprawami drukarni. Gdyby zależało to od Estery, już dawno zamknęłaby ją na zawsze. Starsza siostra chciała, by Haim lub Sami objęli w przyszłości tradycyjny rodzinny interes. Droga Abrahama została już ukształtowana. Miał zostać jubilerem i jak jego ojciec i matka zajmować się handlem. Chłopczyk z dumą pokazał ciotce, co napisał.

– Brawo, Sami – pochwaliła go. – Teraz możesz iść się pobawić ze starszym bratem, za chwilę przyniosę wam kurabiye<sup>[92]</sup>.

Sami podbiegł do Haima. Soli ułożyła na stole książki i zeszyty.

– Znowu się spóźnia – mruknęła.

– Kto, Estera?

Pokiwała głową.

– Nie martw się, niedługo przyjdzie.

– Nie podoba mi się, że jest tak blisko Seraju. Chciałam powiedzieć haremu.

– Moja droga, nie ma w tym nic złego. Ja sam tam chodzę.

– Ale to co innego. Ty jesteś lekarzem.

– Tak, to jest moja praca, a Estera wykonuje swoją... Naprawdę, nie ma powodu, by się o nią martwić. Cały czas obserwuję ją z daleka. Wie, co robi. Bardzo dobrze jej idzie. Nie możesz też zapominać, że ona nie należy do kobiet, które będą siedzieć w domu. Nawet mężczyzna nie może konkurować z jej energią i wolą. Jest mądra i przebiegła. Mówię ci, bądź spokojna.

– Skoro tak mówisz...

Soli wstała, by pójść do kuchni i przynieść dzieciom obiecane ciasteczka. Doktor znowu otworzył swoją księgę, dzieci ze śmiechem grały w piłkę.

Kiedy Soli wróciła do pokoju, była uśmiechnięta.

– Przyszła, słyszałam jej głos – oznajmiła.

– Mówiłem ci, moja droga. Zadręczasz się bez powodu jak stare kobiety.

Estera z policzkami zaróżowionymi od zimna po chwili weszła do środka.

– Och, na dworze jest chłód! – wykrzyknęła.

Dzieci podbiegły do niej, wołając:

– Mamo!

– Przestańcie, dajcie mi złapać oddech.

– Gdzie jest Abraham? – spytała Soli.

– Jeszcze jakiś czas zostanie z ojcem na bazarze, przywieziono nowy towar.

Doktor zrobił szwagierce miejsce przy kominku.

– A więc wszystko idzie dobrze, Estero? – zapytał.

– Nie najgorzej, kobiety z sułtańskiego haremu zawsze pragną nowych błyskotek... Codziennie wymyślają nowe okazje do świętowania. I muszę przyznać, że to dla nas bardzo korzystne.

– Żadnych wieści, nie licząc haremu?

– A jakie mają być, ty znasz wszystkie lepiej ode mnie. Jesteś tam przynajmniej co drugi dzień.

– A jak zdrowie Hürrem Sultan? – przerwała Soli.

– Tak sobie... – odparł doktor. – Myślę, że ma kłopoty z nerkami, a jej wątroba nie pracuje jak należy.

Estera, biorąc z talerza kolejne ciasteczko, wycedziła przez zęby:

– Co ty mówisz, mój drogi, jest zdrowa jak byk. Nie wygląda na umierającą.

– Estera? – Soli z zaskoczeniem spojrzała na siostrę. – Myślałam, że jesteś z nią w dobrych stosunkach.

– W dobrych stosunkach? Kto może być z nią blisko? Ja tylko wykonuję swoją pracę. Ona odejdzie, przyjdzie następna. Dziewczyna, którą kupiła dla swojego syna, Selima, jak ona miała na imię? O, już wiem, Nurbanu, kroczy korytarzami haremu, jakby już była sułtanką. Niedługo zajmie miejsce Hürrem. Dość mam już tej Roksolany, Bóg da, że niedługo dołączy do swoich przodków. To czarownica bez serca. Morderczyni... – zagryzła ze złością wargi i po chwili zamyślona podeszła do płomieni.

– A kto z nich jest inny? – mruknął doktor. – Ach, byłbym zapomniał! Mam wieści od doña Gracii, to jest od Beatrycze Nasi.

Słyszając nazwisko tej kobiety, Estera wzięła się w garść i słuchała szwagra uważnie.

– Czyni ostatnie przygotowania przed wyjazdem do Stambułu. Píše, że w tej chwili są bezpieczni w Ferrarze, dokąd uciekli po tym, jak wydała ich jej siostra, ale oczywiście Ferrara nie może się równać ze Stambułem.

– Jej własna siostra – mruknęła Estera. – Nie do wiary, kto by pomyślał?

– Ja na przykład – oznajmiła Soli, a kiedy tylko wymówiła te słowa, jej twarz poczerwieniała.

Estera była trochę poirytowana, ale nie odpowiedziała.

Doktor odchrząknął i wytarł nos.

– Doña Gracia wniesie powiew świeżości w nasze tutejsze życie – stwierdził. – To bardzo wyrafinowana kobieta.

– Codziennie muszą zanosić modły do Boga w podzięce za twoją pomoc, doktorze. Gdyby nie twoje wpływy w Seraju, szwagrze, Nasiowie nigdy nie otrzymaliby pozwolenia na wyjazd z Wenecji do Ferrary. Ta historia łatwo mogła się zakończyć przed trybunałem Inkwizycji.

– Ty także dużo pomogłaś, Estero. Wierzę, że doña Gracia podziękuje ci szczególnie, gdy tu przybędzie.

Estera wzruszyła ramionami.

– To bez znaczenia – stwierdziła. – Bardziej interesuje mnie przyjazd jej kuzyna, podobno to niezwykły człowiek. Jest ulubieńcem wszystkich dworów i arystokratów Europy. Niedługo wstrząśnie także Stambułem...

– Czy pieniądze są aż tak ważne? – spytała Soli.

Doktor spuścił wzrok. Estera popatrzyła na siostrę uważnie spod zmrużonych powiek.

– Soli, naprawdę nie mogę uwierzyć, jak daleko ci do rzeczywistości – powiedziała. – Oczywiście, że pieniądze są ogromnie ważne. Uważasz, że łatwo je zdobyć? Królowe, królowie powierzają ci swoje skarbcie. To są monarchowie, którzy jednym słowem



decydują o losie milionów. Czy to ci się wydaje zwykłe i proste? Zapewniam cię, że to o wiele trudniejsze od prowadzenia nikomu nieznannej drukarni na wzgórzu w Balat, moja droga.

Soli nie powiedziała ani słowa, ale jej twarz się zaróżowiła. Doktor starał się zmienić temat rozmowy.

– Estero – powiedział powoli. – Co myślisz o sprawie książąt?

– Cóż, myślę, że Hürrem zrobi wszystko, by się pozbyć księcia Mustafy. Jest zdecydowana, by uczynić swojego syna, Beyazita, następnym sułtanem. Czy Sulejman kiedykolwiek jej czegoś odmówił? Jeśli tak się stanie, będzie wojna między nim a jego bratem Selimem. Hürrem, jak sądzę, nie jest w stanie tego przewidzieć. Wierzy, że śmierć Mustafy załatwi spory. Bardzo ciężko, bardzo ciężko... Już teraz powinniśmy się zastanowić nad przyszłością, by nie musieć postąpić, jak ona zechce.

– Co masz na myśli?

– To, że potrzebujemy trzech różnych planów. Na sułtanat Mustafy, na Selima i na Beyazita. Nie możemy popełnić żadnego błędu. Ci książęta mają własnych zwolenników. Wezyrowie, lala<sup>[93]</sup>, agowie... Musimy przypodobać się każdemu z osobna.

– To znacznie trudniejsze niż bycie lekarzem.

– Nie wiem, czy to jest trudne, ale jestem pewna, że niebezpieczne – zauważyła Soli. – Nie możemy zapomnieć, co się przytrafiło Piri Reisowi<sup>[94]</sup> w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

Estera spojrzała na nią z pogardą.

– Piri Pasza był dobrym żeglarzem, to prawda, ale popełnił poważny błąd. A Turcy nigdy tego nie zapominają, nie bacząc na wiek. Czy myślałaś, że zapomną, jak z Basry uciekł przed portugalską flotą, by uratować własne życie i towary? Oczywiście, że mu ucięli głowę. Komu nie ucięli?

Znowu zacisnęła wargi, spojrzała na płomień w kominku, po czym szybko wstała.

– Idziemy, chłopcy, idziemy do domu! – zawołała.

W jej lśniących oczach odbijały się światła płomieni. Soli pomyślałaby nawet, że są mokre, gdyby siostry tak dobrze nie znała. Ale to nie było możliwe. Odwróciła się, by pomóc się ubrać Haimowi

i Samiemu. Estera owinięta wełnianym szalem, nie dając po sobie nic poznać, pochyliła się, aby poprawić rąbek sukni i dyskretnie otrzeć palcem kąciki oczu.

24 SIERPANIA 1554 ROKU

**Londyn**

Dopiero świtało, kiedy Maria Tudor, czy też Krwawa Mary, jak ją powszechnie od niedawna zwano, obudziła się, słysząc ćwierkanie ptaków, które uwiły gniazda nad oknami pałacu. W sypialni było jeszcze ciemno. Kotary otaczające jej wielkie łóżko były tak gęste, że nawet w południe nie dopuszczały do środka jednego promienia słońca. Wiedziała, jak piękne były ogrody wokół pałacu o tak wczesnej porze, ale nie wyskoczyła z łóżka, jak robiła to zazwyczaj od dzieciństwa po dzień dzisiejszy, by jako pierwsza zobaczyć trawę pokrytą podobnymi do pereł świeżymi kroplami rosy i posadzone z wielką starannością w rzędach drzewa.

Delikatnie położyła rękę na nabrzmiałym brzuchu i leżała dalej, nieruchomo, z otwartymi oczami. Była to jej druga ciąża i modliła się, by nie stracić jej tak jak pierwszej. Nie chciała powtórzyć losu swojej nieszczęsnej matki, Katarzyny Aragońskiej... Poczęła tyle dzieci, ale żadne oprócz Marii nie przeżyło. Może gdyby Maria miała brata, nie byłaby zmuszona doświadczać tych tragedii. W imię sukcesji jakże grzeszny był jej ojciec, Henryk VIII... Ile razy nakazał śmierć własnych kobiet, ile dzieci pozostawił w smutku i łzach? Ale w końcu angielska korona przypadła jej. Maria Tudor była pierwszą kobietą, królową Anglii i Irlandii. Po śmierci Edwarda, jedyne go syna jej ojca, którego miał z Jane Seymour, ona sama, dzięki poparciu ludu, panowała nad terytorium brytyjskim. A zaledwie po półtora roku ci sami poddani przewali ją Krwawą. „Idioci” – mruknęła. Czy miała pozwolić na zamieszki protestantów? Oczywiście, że musiała ich powstrzymać i że należało wymierzyć konieczne kary. Starła się wypełnić wszystkie obowiązki wobec Kościoła katolickiego. Maria usiłowała na powrót związać Anglię z Watykanem.

Wiedziała dobrze, kto się przeciwko niej buntował. Szlachta angielska. To jej przedstawiciele zyskali na przejęciu majątku i ziemi

należącej do Kościoła, a teraz groziła im utrata fortun. To było główne źródło ich nienawiści wobec Marii. Z tego właśnie powodu sprzeciwili się jej małżeństwu z królem Hiszpanii Filipem, synem kuzyna Karola. Gdyby ojciec nie uniemożliwił przed laty jej małżeństwa z samym Karolem V, byłoby o wiele lepiej. Chociaż Karol przekazał swoją koronę Świętego Imperium Rzymskiego bratu, nadal pozostawał najpotężniejszym człowiekiem w Europie.

A jego syn Filip... Filip... Jej serca nie przepełniała miłość na myśl o nim jako o mężu. Był od niej o jedenaście lat młodszym, łagodnym, spokojnym, bystrym młodzieńcem, ale nie łączyły ich takie stosunki, jakie zwykle łączą kobietę i mężczyznę w związku, nie miały nic wspólnego z pożądaniem. To był bardziej interes, połączenie sił. Przywrócenie katolicyzmu było namiętnością silniejszą niż miłość. Maria jako królowa знаła tę bezwzględną prawdę. Czy w przeciwnym razie poślubiłaby tak młodego mężczyznę? Teraz unia ta pilnie potrzebowała dziedzica.

– Mój najdroższy Chryste – błagała – proszę, nie odbieraj mi swej łaski, podaruj mi dziecko.

Ile razy jej biedna matka powtarzała tę samą modlitwę? Maria wiedziała, że nie zostanie wygnana, jeśli nie urodzi dziecka, nie groził jej też rozwód ani ścięcie, co spotkało żony jej ojca, ale gdyby umarła, jej przyrodnia siostra Elżbieta przejęłaby władzę nad królestwem. A to oznaczałoby zniweczenie wszystkich jej wysiłków.

Elżbieta nie była katoliczką, a protestantką, jak jej matka i ojciec, i na pewno wiedziała o ostatnich zamieszkach. Dlatego też Maria Tudor nakazała uwięzienie jej w londyńskiej twierdzy Tower i nie czuła żalu z powodu podjętej decyzji. Kiedy była małą dziewczynką, została zmuszona do opieki nad nią, tych dni nie sposób było zapomnieć. Jakże wtedy cierpiała... Czy to możliwe, by jakiś czas później Elżbieta, usuwając się w cień, przeżywała te same męki? Nie doznała upokorzenia bycia nieślubnym dzieckiem, jak ona, a jednak...

Zamknęła oczy, usiłując odpędzić od siebie troski. W tej chwili musiała się skupić wyłącznie na dziecku, które nosiła w sobie. Nie mogła się poddać emocjom, słabości. Znowu pogładziła brzuch. Anglia i Kościół katolicki bardzo potrzebowały sukcesora.

Podniosła się powoli i przywołała jednego ze sług, którzy stali w uchylonych drzwiach, oczekując na jej rozkazy. Komnata wypełniła się światłem. Rozpoczął się kolejny trudny dzień. Maria Tudor wiedziała, że nie będzie mogła ufać nikomu oprócz siebie samej.

Powinna być silna, musi być silna i jeśli to konieczne, bezlitosna... Na tym polegało panowanie.

## Galata

Chociaż nawet nie minął rok, jak Józef Nasi przybył za swą ciotką Beatrycze Gracia Mendes Nasi do Stambułu, a już był w mieście dobrze znany. Mówili o nim wszyscy, od sułtana po żebraków na ulicach. Ten przystojny, bogaty mężczyzna zyskał sławę wśród Turków, zanim się pojawił w stolicy.

Podczas podróży przez Bałkany jego konwojowi złożonemu z pięciuset Żydów sefardyjskich, wielu służących i niezliczonych kufrów towarzyszyła duża eskorta janczarów. W każdym miejscu, gdzie się na chwilę zatrzymał, podejmowano go z najwyższym szacunkiem i hojnością, jako wyjątkowego gościa Sulejmana Prawodawcy. Kiedy w paradnym stroju pokłonił się przed tronem, sułtan wyraził szczęście, że go widzi, i Nasi otrzymał w dowód przyjaźni cenne dary. Prezenty, które on wręczył, były nie mniej olśniewające: klejnoty niezwyklej urody i wartości, tkaniny, szkło.

Sułtan darzył Nasiego wielkim zaufaniem za jego doświadczenie, które nabył, spędzając wiele lat na europejskich dworach, jak i znajomość zasad handlu. Ponieważ pracował dla różnych królów, on też chciał skorzystać z jego wiedzy. Kilka tygodni później Józef został stałym gościem Seraju. Wszyscy posłowie z Galaty, chętnie czy nie, pragnęli spędzać z nim czas. Szczególnie upodobali go sobie przedstawiciele Francji i Wenecji. Poza tym przywiózł list polecający dla francuskiego dyplomaty od jego kolegi w Rzymie. Ujawnienie żydowskiego pochodzenia Nasiego nie spowodowało jak dotąd żadnych radykalnych zmian w jego koneksjach.

Sulejman Prawodawca nazywał Nasiego Frenkoğlu<sup>[95]</sup> Jasef, a lud zwał go Wielkim Żydem lub Bogatym Żydem. Wszyscy spoglądali na niego z podziwem, gdy przechadzał się po ulicach w towarzystwie

strażników w lśniących mundurach. I on rozglądał się uważnie po tym nowym miejscu, przyglądał się innym ludziom...

Lecz to nie tylko inna kultura i odmienność miasta sprawiały, że starał się je poznać jak najszybciej. Aspiracje Józefa Nasiego były jak zwykle dalekosiężne. Nie był małym graczem. Należał do tych, którzy zawsze starają się poznać sedno sprawy. Na początek więc usiłował zrozumieć zmagania o sułtanat prowadzone na tej ziemi otwarcie czy potajemnie, aby zdecydować, jakie należy zająć stanowisko. Tuż przed jego przyjazdem Sulejman Prawodawca na skutek intryg Hürrem i Rüstema Paszy wydał wyrok śmierci na swego własnego syna, księcia Mustafę. Garbaty syn Sulejmana, Cihangir, który darzył swego brata wielką miłością, rozchorował się i umarł z żalu. Nasi spojrzął na mały, ale gustowny meczet zbudowany na wzniesieniu Tophane przez władcę dla swego ukochanego syna. Był niczym klejnot na zielonej skarpie.

Skierował wzrok z powrotem na Üsküdar. Kız Kulesi wydawała się tak blisko, że odnosiło się wrażenie, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by ją ująć. Na zasnutym lekką mgłą horyzoncie kilka okrętów kupieckich czekało na wejście do portu. Spojrzął na kopuły pałacu Topkapı. „Pozostało jeszcze dwóch dziedziców: Beyazıt i Selim” – pomyślał. Nie wiadomo, który z nich zasiądzie na tronie. Dlatego też Nasi musiał być teraz w takich samych stosunkach z oboma. Przy pierwszym spotkaniu poznał słabości Selima. Ten człowiek, uzależniony od alkoholu i uciech, był nie zrównoważony, łatwo ulegał wpływom. Kiedy Józef podarował mu cztery angielskie rumaki i tuzin skrzynek włoskiego wina, natychmiast mianował go swoim cevahircibaşı<sup>[96]</sup> i od tego dnia nie odstępował go na krok. Beyazıta jeszcze nie poznał, ale stosunki miał z nim poprawne. W tej chwili nic nie było jasne, a Nasi nie chciał wykonywać żadnych ruchów, które mogłyby naruszyć delikatną równowagę. Nie było to dla niego, jako dla dawnego mistrza w tworzeniu i utrzymywaniu korzystnych relacji, trudne.

Gdy zjawił się w Stambule, zaskoczyła go wielka liczba Żydów w tym mieście. Poza tym większość była w bliskim kontakcie z Serajem i w zasadzie handel w mieście znajdował się pod ich kontrolą. Sułtana otaczali hiszpańscy lekarze pochodzenia żydowskiego. Wszystkie przedmioty kupowane do haremu przechodziły przez ręce Estery Kiry –

Kirâze. Jej wpływy poza granicami państwa osmańskiego także były znaczne. W Wenecji, na Wołoszczyźnie, w Mołdawii, Siedmiogrodzie... Była w rzeczy samej inteligentną i atrakcyjną kobietą, i chociaż przekroczyła czterdziestkę, nie brakowało jej urody. Nasiemu bardzo się podobała.

Jego ciotka natomiast wołała żonę doktora Çipruta, Soli, starszą siostrę Kirâze. Była pod dużym wrażeniem drukarni, w której kobieta ta pracowała. Doña Gracia zamierzała zostać jej współpracowniczką i rozszerzyć działalność. Sporządziła już długą listę ksiąg, które należało w przyszłości wydać. Nasi uśmiechnął się do siebie z podziwem, myśląc o ciotce. Była ważną osobistością i wielkim człowiekiem. Pełna poświęcenia dla Żydów, ofiarna, mądra, szacowna... A teraz ta kobieta sukcesu nie była już tylko jego ciotką, a została także teściową. Rejna z Józefem mieli tego dnia wziąć ślub. Niektórzy uważali, że dzieli ich zbyt duża różnica wieku, ale nie miało to znaczenia. Ich związek opierał się na wzajemnym szacunku i zrozumieniu. Dzięki niemu bogactwo obu gałęzi rodu miało się połączyć i umocnić ich pozycję. Nie myślano zresztą o innym mężu dla Rejny. Czekala ich jasna przyszłość. Józef był tego pewien. Jego żona, jak przystoi jej nazwisku, żyć będzie jak księżniczka, a zresztą kto wie, może zdoła z niej uczynić prawdziwą królową.

Uśmiechnął się lekko do swych marzeń. Pierwsze promienie wschodzącego nad Üsküdarem słońca zaczęły rozjaśniać spokojne, błękitne wody Bosforu. Ptaki, które uwiły dla swych piskląt gniazda na zwieńczeniach marmurowych kolumn szerokiego tarasu, w poszukiwaniu pożywienia szybko przelatywały w różne strony. Mewy okręgały łodzie rybackie u wejścia do Złotego Rogu...

Przez chwilę Józef Nasi pomyślał o Wenecji, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy? Nie był tego pewien, choć nie stracił nadziei. Wspierał go nie zwykły człowiek, ale osmański sułtan. Przecięcie wszystkich więzów z Zachodem nikomu się na nic nie przyda; ani jemu, ani osmańskiemu władcy. Ponadto miał we Francji znaczne pieniądze. Musiał znaleźć sposób, jak je odzyskać, zanim coś się stanie, i musiał to uczynić, nie narażając się Francuzom.

Pokiwał głową. Czy to były sprawy, o jakich należało myśleć

w dniu własnego ślubu? Jego myśli powinna zaprzętać tylko panna młoda. Słońce szybko wznosiło się na niebie. Złote promienie oświetlały każdy skrawek najpiękniejszego z pięknych miast – Stambułu. Tego dnia słońce świeciło oślepiająco jak diadem panny młodej, który miał dzisiaj nałożyć na głowę Rejny...

13 KWIETNIA 1558 ROKU

**Nowy Seraj**

Pan i władca wielkiego imperium osmańskiego Sulejman Prawodawca czuł się nieszczęśliwy niczym żebrak. Głęboko cierpiał. Nic nie miało już dla niego znaczenia. Od dwóch dni siedział, nie zmrużywszy oka, nie wzięwszy do ust nawet kawałka chleba, nie odezwawszy się ani jednym słowem. Starał się ukryć swój żal, ale nie potrafił powstrzymać łez. Stracił na zawsze swoją ukochaną Hürrem. Stary sułtan kochał żonę namiętną miłością. Odkąd ją ujrzał po raz pierwszy w haremie, gdy była zwykłą białą niewolnicą, aż po dzień dzisiejszy, czuł nieprzeparty pociąg do niej. Wspomnienia przemykały mu przed oczami.

Ta ukraińska piękność skradła jego serce swoim perlistym śmiechem. Może były i ładniejsze od niej w haremie, ale on wybrał Hürrem. Była taka słodka, ciepła i inteligentna, że potrafiła go oderwać od piętrzących się problemów. Z tego powodu, mimo że nie było takiego zwyczaju, sułtan nawet oficjalnie ją poślubił. Sulejman głęboko wierzył w „tamten świat”, to jednak nie wystarczało, by ukoić jego ból.

– Nie mam nikogo – mruknął.

Jego zięć, Rüstem Pasza, który od dwóch dni opiekował się pogrążonym w rozpacz i od śmierci Hürrem nie odstępował go na krok, zapytał ze współczuciem:

– Co rozkażesz, mój sułtanie?

Sulejman pokręcił głową.

– Powinieneś przynajmniej zjeść talerz zupy...

Znowu pokręcił głową, w jego oczach lśniły łzy. Siwa broda drżała.

– Niedługo udamy się do meczetu – powiedział wielki wezyr. – Proszę, pozwól, by przyniesiono ci coś do jedzenia, nasza ukochana

zmarła nie chciałaby widzieć cię w takim stanie. Proszę.

– Chcę ci coś powiedzieć, Paszo.

– Jak rozkażesz, mój sułtanie.

– Kiedy umrę, pochowajcie mnie obok mej żony Hürrem.

– Niech Bóg cię chroni, niech weźmie moje życie i odda je tobie.

Stary sułtan machnął ręką.

– Przynajmniej tam będziemy leżeli obok siebie. Ona też tego pragnęła. Moją jedyną pociechą jest to, że widziała ukończenie meczetu Süleymaniye i całego kompleksu. Bardzo się przyczyniła do jego budowy. Jeżeli dzisiaj Sztambuł ma szkołę medyków, to dzięki niej. A jednak lekarze nie mogli jej pomóc...

– Taki jest święty porządek, mój sułtanie. Zrobili, co mogli. Lekarze ze szkoły i medycy nadworni starali się jej pomóc, ale... Z pewnością wszyscy będą ją wspominać z wdzięcznością. Każdy pacjent, który zdrowy opuści szpital, odmówi modlitwę za jej duszę.

Süleymaniye, mistrzowskie arcydzieło wielkiego architekta Sinana, był wspaniały. Meczet było widać niemal z każdego punktu miasta, a jego szkoła medyczna pełniła także funkcję ważnego szpitala.

Szpital ten różnił się pod wieloma względami od dawnych tego rodzaju przybytków, gdyż był także ośrodkiem badań medycznych. Na jego czele stał główny lekarz. Pod jego rozkazami dzień i noc pracowali dwaj okuliści, jeden aptekarz, dwaj pomocnicy, jeden księgowy, sekretarz, cztery osoby przygotowujące syropy, jeden szafarz, dwóch praczy, jeden cyrulik, jeden łaźiebny i czterech opiekunów dla umysłowo chorych pacjentów. Opieka nad tymi ostatnimi sprawowana była w oddzielnej części budynku, gdzie muzycy grali dla nich uspokajające melodie.

Cztery dni w tygodniu wykładowca nauczał ośmiu studentów medycyny. Codziennie sułtan wypłacał szpitalowi ze skarbca trzysta akçe na niezbędne wydatki.

Sułtanka Hürrem, mimo że była nielubiana i przez wielu uważana za despotkę, zapoczątkowała niejedno przedsięwzięcie. Dała pieniądze na budowę wielu meczetów, jadłodajni i szpitali. Także szpital Süleymaniye powstał dzięki niej. Może miała nadzieję, że Bóg jej wybaczy grzechy, gdy będzie pomagała biednym i chorym. Wszakże ta



ambitna kobieta, która wtrącała się we wszystkie sprawy i miała ogromny wpływ na męża, doprowadziła do uśmiercenia dwóch wielkich wezyrów; Ibrahima Paszy i Ahmeta Paszy, a po nich następowała długa lista innych... Ale oczywiście najgorszym, niewybaczalnym grzechem było to, co uczyniła ŧehzade Mustafie. Aby zapewnić tron własnym synom, Hürrem zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Tak podburzała przeciw niemu Sulejmana Wspaniałego, że uwierzył, iż pragnie on zasiąść na tronie jeszcze przed śmiercią swego ojca, i w końcu rozkazał udusić własnego syna.

Sulejman podniósł się powoli.

– Chodźmy – mruknął. – Spełnijmy nasz ostatni obowiązek.

Gdy wychodzili z pałacu, ze wszystkich stron dobiegały ich odgłosy recytacji Koranu. Tego dnia, po odprawieniu południowego namazu, na nabożeństwo żałobne w meczecie Süleymaniye przyszedł tłum i począwszy od sułtana, wezyrów, paszów, nauczycieli pałacowych i nadzorców haremu, a na najbiedniejszych skończywszy, tysiące ludzi wspólnie się modliło za spokój duszy Hürrem na „tamym świecie”.

**Galata**

Soli pochyliła się nad siostrą, która leżała w łóżku blada, z nadąsaną miną.

– Leona też nie chcesz widzieć? – spytała.

Estera pokręciła głową.

– Nie, nie chcę widzieć nikogo – odparła.

– Nie dręcz się tak, może jest jakieś rozwiązanie.

– Gdyby był sposób na garbate i kulawe dziecko, Hürrem by go na pewno znalazła. Bóg wie, że nie chciałam w tym wieku rodzić, starałam się go pozbyć wszelkimi sposobami, ale...

– Siostro, tylko nie grzesz, wszystko przychodzi od Boga. Poza tym on na pewno będzie bystry, jestem tego pewna.

– Zamilcz, Soli! – krzyczała Estera.

Nie mówiąc już ani słowa, starsza siostra wyszła. Oczy Estery pełne były łez gniewu i bólu. W końcu musiała stawić czoło swojemu największemu lękowi. Czowała, że to się pewnego dnia stanie, odkąd po raz pierwszy zobaczyła Cihangira w haremie. A teraz, w dniu, kiedy Hürrem

wyzionęła ducha i składali ją do grobu, Bóg ją karał, dając takie dziecko. Ale za co? „Dlaczego, dlaczego?” – jęczała. Akurat gdy osiągnęła swoje cele, kiedy dotarła na szczyt?... Potworek po trzech zdrowych synach. Co ona miała z nim zrobić? Jak go pokazać ludziom?

– Wolałabym, żeby umarł, on albo ja – wymamrotała.

Ułomne dziecko nie pasowało do Kirâze. Czy to była kara Boska? Czym zgrzeszyła?

To prawda, od lat gorąco pragnęła śmierci Hürrem. Ale miała swoje powody; Hürrem była odpowiedzialna za ścięcie Buraka. Ta kobieta sprowadziła koniec na jej jedyne ukochane, mimo że ją zdradził. A jaka szczęśliwa była sułtanka, przekazując jej tę straszną nowinę, niby jakiś żart. Dlaczego nie miałyby jej nienawidzić? Chociaż minęło tyle lat, myśli o Buraku wciąż były dla Estery bolesne i nadal nie potrafiła zrozumieć, jak mógł odejść bez słowa. Ten dzień, kiedy czekała na niego godzinami w przystani, stał jej przed oczyma, jakby to było wczoraj. Dlaczego to zrobił, dlaczego? Teraz minęło już dobre trzydzieści lat, a jej serce wciąż mocniej biło na jego wspomnienie. Rana w duszy do dziś się nie zagoiła, a teraz nigdy się nie zagoi. Jak zawsze, z przyzwyczajenia, zagryzła bez zastanowienia wargi, po czym wyszeptała:

– Dlaczego mnie karzesz, Boże, dlaczego?

Za to doktor Çıprut nie uważał tego, co ją spotkało, za karę Boską.

– Gdyby Estera nie usiłowała pozbyć się ciąży, to Mosze byłby prawdopodobnie równie zdrowy jak jego bracia – powiedział do żony.

Soli nadała dziecku imię swojego ojca, który zeszłej wiosny, siedząc w ogrodzie, w milczeniu odszedł na zawsze. Stary Mosze, nikomu nie robiąc kłopotu, połączył się z Rachelą. I teraz jego imię będzie żyło w tym małym dzieciątku.

Kobieta od pierwszej chwili pokochała niemowlę. Nosiła je na rękach.

– Może rzeczywiście dlatego jest ułomny – szepnęła. – Może w przyszłości dojdzie do siebie.

– Nie łudź się, Soli, nie jestem w pełni pewny, co jest przyczyną, ale zdaje się, że w przyszłości nie będzie całkiem zdrow – odpowiedział doktor. – Staraj się przywyknąć do tej myśli i przygotuj

na to Esterę. Stan jego pleców może się z czasem poprawić, ale nie będzie mógł dobrze chodzić, skoro jedna noga jest krótsza od drugiej. Tego nie uda się naprawić.

– Moje biedactwo – Soli delikatnie dotknęła policzka Mosze. – Moje kochane maleństwo.

– Uwierz mi jednak, lepsze to, niż mieć za krótki umysł.

Soli spojrzała na męża z uśmiechem pełnym nadziei.

– Będzie inteligentny, prawda? Zdobędzie wykształcenie i stanie się sławny...

Doktor Çiprut z miłością pogładził żonę po ramieniu i rzekł:

– Tak, Soli. Na pewno jest bardzo inteligentnym dzieckiem i gdy dorośnie, zostanie yazici<sup>[97]</sup>, jak zawsze sobie tego życzyłaś.

Roześmieli się radośnie, po czym doktor wziął torbę i ruszył do drzwi.

– Esterę zostaw w spokoju, ona sama dojdzie prędzej do siebie, wystarczy jej posłać jedzenie – rzucił na odchodnym. – Idę dać lekarstwo doñi Gracii, bardzo cierpi z powodu reumatyzmu.

– Proszę, przekaż jej ode mnie pozdrowienia i powiedz, że za kilka dni ją odwiedzę – dodała Soli.

Doktor skinął głową i wyszedł z domu z czekającym na niego pomocnikiem.

Soli przytuliła mocno niemowlę i nuciła mu kołysankę:

*Wodospadziku, jesteś moją rzeką, ninni*

*Jesteś moim słońcem błyszczącym, ninni*

*Niech to ja będę cierpiąca, ninni*

*Zamiast ciebie, moja dziecinko, ninni.*

26 WRZEŚNIA 1562 ROKU

**Galata**

Dla Turków rok 1561 przepełniony był smutkiem, natomiast 1562 – radością. Po śmierci matki Selim i Beyazit na skutek intryg zwrócili się przeciw sobie i jeszcze za życia ojca zaczęli walczyć o tron. Bracia stali się dla siebie wrogami także z powodu intryg Lala Mustafy Paszy, który instrumentalnie posłużył się książętami w rywalizacji z wielkim wezyrem Rüstemem Paszą. Konflikt ten zaszedł tak daleko, że Beyazit

wypowiedział ojcu wojnę, a po porażce musiał się ukryć u szacha Persji. Niestety, władca ten, nie mogąc się oprzeć naciskom osmańskiego dworu, rozkazał w końcu go zabić wraz z synami.

Na wieść o śmierci księcia, bardzo podziwianego przez lud i janczarów, płakali niemal wszyscy obywatele imperium. Niemniej stało się to, co się miało stać. Z tego wydarzenia największe korzyści odniósł Selim, gwarantujący ciągłość imperium, i jego poplecznicy na czele z Józefem Nasim. Wielki Żyd od dawna pozostawał w zażyłych stosunkach z następcą tronu. Lubiący wino Selim przyrzekł nawet pewnego dnia Nasimowi mianowanie go królem Cypru, który odbije Wenecjanom, gdy zasiądzie na tronie.

Sulejman Prawodawca już się zestarzał i mówiono, że w milczeniu boleje nad strasznym losem swoich synów. Nie ufał Selimowi. Wysłał mu ostrzegawcze listy, był jednak pewien, że nic się nie zmieni. Selim nie nadawał się na sułtana i nie byłby w stanie ponieść odpowiedzialności za imperium. Niestety, nic już nie można było zrobić, jako że Selim był jedynym spadkobiercą sułtanatu osmańskiego.

Jako doświadczony i przewidujący władca Sulejman starał się zapobiec potencjalnym problemom po swojej śmierci. Według niego jedną z najważniejszych spraw było odpowiednie ożenienie wnuków. Tego samego roku oddał jedną z córek Selima Sokullemu, a drugą – Piyale Paszy, zaś córka Mustafy, którego wcześniej kazał zabić, została poślubiona dowódcy janczarów Abdülkerimowi.

W stolicy obchody zaślubin trwały długie miesiące, biednym codziennie rozdawano jedzenie, fajerwerki zmieniały noce w jasne dni. Wydawało się, że lud zapomina o wydarzeniach minionego roku. Oddalić od siebie mroczne wspomnienia przeszłości było jedynym sposobem na pogodzenie się z życiem. A każdy miał coś, o czym wolałby zapomnieć, i tylko w taki sposób dało się patrzeć z nadzieją w przyszłość.

Chociaż Estera miała majątek i wpływy, także była tylko człowiekiem i podobnie jak inni chciała przeszłość puścić w niepamięć. Na dobre i złe przyzwyczajała się do małego Mosze. Zaczął chodzić późno, ale mówić nauczył się przed zwykłym czasem. Jego ciotka, przyglądając się mu, potakiwała:

– Bardzo mądry, bardzo...

W te dni, kiedy nie pracowała z dołą Gracją w drukarni, Soli cały czas poświęcała Mosze.

Doña Gracia, dzięki swemu siostrzeńcowi, w zamian za płacenie odpowiednich podatków uzyskała od sułtana zezwolenie na zarządzanie leżącym w Ziemi Świętej starym miastem Tyberiada i od razu rozpoczęła prace nad odrestaurowaniem jego murów. Tyberiada była po Safed drugim najświętszym miastem Żydów. Józef nie miał możliwości opuszczenia Stambułu. Polityczni rywale zaczęliby pod jego nieobecność intrygować, ale dla doñi Gracii nie było to problemem i po zakończeniu rekonstrukcji planowała wybudować willę nad jeziorem Dzelile i się do niej przenieść. Wielu Żydów z Hiszpanii i Włoch, usłyszawszy te wieści, zaczęło emigrować do Tyberiady. Ci, którzy tam dotarli, już pracowali z zapalem nad odbudową.

Józef Nasi posadził dookoła miasta setki drzew morwowych z nadzieją, że dzięki temu uda mu się utworzyć warsztaty tkackie. Do momentu uzyskania z nich przychodów przyszłość zapewnić mu miały zakładane właśnie winnice. Doña Gracia pragnęła urzeczywistnić swą największą ideę o odrodzeniu kraju dla Żydów i z radością oddawała się tej sprawie.

Rejna, jej córka, nadal nie miała dziecka, ale ona nie przejmowała się tym zbyt, twierdząc, że wszyscy Żydzi są jej dziećmi. Chociaż Józef uważał ciotkę za idealistkę, to jednak uzmysłowiwszy sobie, jak ważna będzie w przyszłości Tyberiada, która stanie się zaczątkiem państwa żydowskiego, wspomagał ją ze wszystkich sił. Sułtan nigdy nie odmawiał żadnej jego prośbie. Przed dwoma laty, kiedy Żydzi we Włoszech poddawani byli represjom, Sulejman Prawodawca wysłał nawet bezkompromisowy, stanowczy list do papieża, w którym uznawał mieszkających we Włoszech Żydów za swoich własnych poddanych, by powstrzymać wymierzoną w nich przemoc. Wystraszyło to papieża tak bardzo, że zmienił natychmiast swoje stanowisko. Można więc było powiedzieć, że wszystko się układało. Estera też na tym skorzystała. Była głównym źródłem informacji Nasiego. Po śmierci Hürrem wiele się w haremie zmieniło. Córka sułtana Mihrimah zaczęła dobrze nim zarządzać i też darzyła Esterę wielkim zaufaniem. Gdy pochowała swego

męża, Rüstema Paszę, zajęła miejsce matki w pałacu. Wtrącała się do wszystkiego. Znany ze skąpstwa pasza pozostawił po sobie wielki majątek: całe 1700 niewolników, 2900 koni, 1106 wielbłądów, 700 tysięcy w złocie, 5 tysięcy kaftanów, 600 srebrnych siodeł, 500 złotych siodeł, 1500 srebrnych osłon na końskie łby, 133 złote strzemiona i, jak mówiono, również kufry pełne jedwabnych dywanów. Wielu twierdziło, że jest on bogatszy od sułtana. Mihrimah włączyła te wszystkie dobra do swego majątku. Od czasu do czasu odwiedzała meczety zbudowane z jej polecenia i utworzone fundacje. W przyszłości jej brat miał zostać sułtanem...

Mówiło się powszechnie, że to Mihrimah jest nową władczynią haremu. Wprawdzie Nurbanu, która urodziła Selimowi syna, też była widoczna na salonach, ale według Estery nie miała większych szans na zagrożenie nowej pani w Seraju. Selim nie był mężczyzną, który pozostałby wierny jednej kochance. Co noc dzielił łożę z inną dziewczyną lub chłopcem, a ponadto miał mnóstwo nałożnic.

W tym zamieszaniu ambitna Estera biegała z miejsca na miejsce. Krążyła, jakby chciała o czymś zapomnieć, ale o czym – tego sama dobrze nie wiedziała. W zasadzie nie musiała już pracować, gdyż dla siebie i synów zgromadziła odpowiednią ilość pieniędzy, ale nadal włączała się w każdą sprawę. Kręciła się więc między wspaniałymi konakami, zwanymi Belvedere, stojącymi w dzielnicy Örtaköy i należącymi do Nasich, a haremem i rezydencjami posłów.

Tego ranka zdobyła dwa prywatne zezwolenia dla weneckich kupców, potem rozmawiała z Nasim na temat handlu woskiem i przekazała mu to, czego się wcześniej dowiedziała, następnie spotkała się z posłem Florencji, a przed dziesięcioma minutami weszła do domu. Jak miała w zwyczaju, zarobione złote dukaty zamknęła w tajemnym sejfie, po czym oczekiwała na męża i synów wciąż przebywających na Krytym Bazarze.

W dzień pogoda była ładna, ale wieczory wciąż bywały chłodne. Już zamierzała przywołać służącą, by napaliła w kominku, gdy ta sama weszła do pokoju.

– Pani – zwróciła się do niej. – Pod drzwiami stoi jakaś kobieta, twierdzi, że ma dla ciebie ważną wiadomość.

- Nie spytałaś, kim jest?
- Spytałam, twierdzi, że znacie się z Balat.
- Balat? – Tak odległa przeszłość jej nie interesowała, nie chciała się zajmować jakąś dziecinnością staruchą. – Odpraw ją – poleciła. – Jeśli jest uboga, daj jej trochę jedzenia.
- Próbowałam ją odprawić, ale ona nalega. Mówi, że oczekuje cię kobieta leżąca na łożu śmierci.
- Estera skrzywiła się.
- Jak się nazywa? Kim jest? Idź i zapytaj.
- Pytałam, pani, ale nie podała imienia, jedynie „kira” powiedziała.
- Kira?
- Tak, pani, tak właśnie mówi. Kira... Kira, jest bardzo stara, podobno wkrótce umrze i przed śmiercią ma ci coś do przekazania.
- Esterze zjeżyły się włosy na głowie, powróciły nagle wspomnienia z przeszłości. „Kirâze, najpiękniejsza z pięknych Kirâze... Sześciopalczy Burak Pasza gorąco pragnie cię ujrzeć. Poza słowem Kirâze nic innego nie mówi...”
- Kazała sobie podać szal i pobiegła do drzwi.
- Niedługo wrócę – rzuciła pośpiesznie. – Powiedz domownikom, żeby się o mnie nie martwili.
- Tak, pani, powiem.

## Pera

Wiele czasu minęło, odkąd Estera szła wąskimi, zalatującymi stęch-lizną, mrocznymi uliczkami na tyłach Pery, ale teraz wydawało jej się, że to było wczoraj. Serce biło jej szybko w piersi. Towarzysząca jej wdowa, spowita w czerń, płakała przez całą drogę, i choć nagle przestała, nie odezwała się ani słowem. Estera wyskoczyła z palankinu, gdy tylko się zatrzymał, chwyciła starą kołatkę i zastukała do drzwi. Kołatka ta była dokładnie taka sama jak ta z jej domu, którą zniszczyła przed laty, rzuciwszy na ziemię w ogromnym bólu i wściekłości. Dzisiaj Mosze bawił się małą kulką z brązu, wszystkim, co z niej pozostało.

Miała wrażenie, że była tu wczoraj, a przecież minęło tyle lat, sporo wody popłynęło pod mostami. Wielu zmarło, wielu się narodziło. Estera była dziwnie podniecona. Czowała się raczej jak osiemnastoletnia

dziewczyna niż kobieta około pięćdziesiątki. Jeszcze raz stuknęła kołatką o drewniane drzwi. Po chwili się uchylily i pojawiła się w nich głowa kolejnej starszej kobiety w czerni.

– Proszę, wejdź, Kirâze Kadın<sup>[98]</sup> – powiedziała.

Estera weszła cicho do środka. Dom się zestarzał, ale był to wciąż ten sam dom. Stąpając po skrzypiącej drewnianej podłodze, weszła do pokoju, który wskazała jej kobieta.

W łóżu, pod wiszącym na ścianie wielkim krzyżem, leżało skurczone ciało. Twarz staruszki z rozczochranymi siwymi włosami była pomarszczona, jakby liczyła sto lat. Kiedy kira usłyszała, że ktoś wchodzi do pokoju, uchylily zaciśnięte mocno powieki. Powoli uniosła chudą rękę i przywołała Esterę do swego boku.

– Kirâze – wymamrotała – jaka jesteś piękna.

Estera usiadła na brzegu łóżka, spojrzała zarazem z litością i obrzydzeniem na wysuszone palce, które zacisnęły się na jej dłoni.

– Dobrze, że jesteś, Kirâze – powiedziała staruszka z ogromnym trudem. – Bardzo za tobą tęskniłam.

Estera, z wymuszonym uśmiechem na twarzy, nie wiedziała, co rzec.

– Muszę ci powiedzieć... – Małe oczy kiry wpatrywały się w nią. – Ale uwierz mi, że nie jest to tylko moja wina, twoja matka... zmusiła mnie.

– Moja matka, jakieś przyrzeczenie? Kiro Kadın, o czym ty mówisz?

– Pasza musiał wyjechać bardzo pilnie, zostawił dla ciebie wiadomość, ale przyszła twoja matka... – Zamknęła oczy, była u kresu życia, gotowa za chwilę umrzeć. Estera drżała.

– Kiro, jaka wiadomość, dlaczego przyszła moja matka? Powiedz mi, powiedz. – Z trudem się powstrzymywała, żeby nią nie potrząsnąć.

– Wody – wymamrotała kira. – Trochę wody.

Estera wzięła szklankę z niskiego stolika obok łóżka i przytknęła ją do suchych, spękanych warg kobiety. Ta upiła dwa łyki i znowu otworzyła oczy.

– Nie bądź na mnie zła, moja Kirâze. Twoja matka zmusiła mnie, bym przysięgła, a ja przysięgłam na świętą księgę i na Chrystusa. Teraz



łamię swoją przysięgę. Niech mi Bóg wybaczy.

Estera traciła dech.

– Twoja matka zmusiła mnie, bym ci nie powtarzała wiadomości od Buraka Paszy. Prosił, abyś czekała na niego. Miał cię poślubić, jak wróci, ale nie pozwoliła mi pod groźbą.

Estera powtarzała w kółko jedno słowo:

– Dlaczego, dlaczego?

– Nie wiem, może dlatego, że był Marokańczykiem.

– Marokańczykiem?

– Tak. Najpierw zapytała mnie, skąd pochodzi, oświadczyłam, że z Maroka, spod Merilli, że Sześciopalczy Pasza został porwany w jasyr przez Kemala Reisa. Na wieść o tym straciła rozum i nakazała mi milczenie.

– Dlaczego była taka zła, gdy się dowiedziała, że pochodzi z Maroka?

– Nie wiem, Kirâze.

– A więc Burak Pasza był Arabem?

– Wcale nie, nie był Arabem. Nawrócił się na islam później.

Początkowo miał na imię Krystian, ale...

– Krystian?

– Tak, kiedy miał tydzień, oddano go bardzo zamożnej kobiecie, ale coś się stało i ta rodzina go nie chciała... Następnie przekazano go pewnej starej wieśniaczce. Korze Anie... O tym dowiedział się wiele lat później. Kora Ana... Tak, tak powiedział.

– Kora Ana? O czym ty mówisz, Kiro Kadın? Nie rozumiem.

– To wszystko, co wiem, Kirâze. Twoja matka nie chciała, byś go poślubiła, zmusiła mnie, proszę, wybacz mi.

Z płaczem zaczęła całować jej smukłe palce, a Estera kiwała głową.

– Wybaczyć? – szeptała. – Co wybaczyć... – Przepelniała ją wściekłość, ale zdołała zachować spokój. Potem wstała. – Zapomnij o tym wszystkim, kiro – powiedziała. – To się wydarzyło dawno, przed laty. Ja już o tym zapomniałam, więc i ty zapomnij.

Kira ponownie zamknęła oczy, jakby pogrążyła się w głębokim śnie. Estera wyszła, dała trochę pieniędzy zawodzącym pod drzwiami

kobietom, wsiadła do czekającego na nią palankinu i ruszyła z powrotem do domu.

– Dlaczego, mamó, mamó? – mówiła do siebie. – Dlaczego skazałaś mnie na nieszczęście, czego ode mnie chciałaś?

Była wściekła, ale jednocześnie zaintrygowana. Dlaczego jej matka, ta łagodna kobieta, nie pozwoliła jej poślubić Buraka? Dlatego, że zmienił wyznanie, czy dlatego, że nie miał rodziny, a może dlatego, że miał sześć palców, czy też dlatego, że ją kochał? Przeraźliwie bolała ją głowa. Przed oczyma znowu pojawiła się zakrwawiona głowa Buraka. Może nie byłaby w stanie odwrócić jego strasznego przeznaczenia, ale... Może i dobrze się stało, że nie wyszła za niego za męża. Jednak to nie matka powinna podejmować takie decyzje, nie miała prawa ingerować w jej szczęście, zważając jedynie na pieniądze. Przez lata żyła w cierpieniu. A teraz, po tym wszystkim, czego się dzisiaj dowiedziała, rozumiała jeszcze mniej.

– Dlaczego, dlaczego? – szepnęła, ale zdawała sobie sprawę, że nie otrzyma odpowiedzi.

Oparła się o poduszki. Powiedziała kirze, by o wszystkim zapomniała, i sama też powinna tak postąpić, to było zapewne najlepsze rozwiązanie. Co się stało, to się nie odstanie. Nikt nie mógł cofnąć czasu. Rachelą była jej matką i okazuje się, że matki są zdolne do takich rzeczy. Estera czterokrotnie została matką. Miała czterech synów. Wcześniej nie zastanawiała się nad tym, co mogłaby dla nich zrobić. Abraham, Haim, Sami i mały Mosze... Była ich matką, ale nigdy nie zadawała sobie takich pytań. Ich ojcem był Leon; pulchny, niezaradny, czuły Leon. Zaczęła się bawić naszyjnikami z rubinów, którego nigdy nie zdejmowała z szyi.

Powrót do wspomnień z przeszłości nie poszedł na marne. To było jak wejście do zapleśniałej piwnicy – nie zamierzała otwierać tych drzwi i przekraczać progu. Chciała jak najszybciej wrócić do domu. Po raz pierwszy zapragnęła usiąść przed kominkiem ze swoją rodziną.

Burak był niewyraźną wizją, marzeniem, które wciąż bolało. Ale tak czy inaczej zniknął, odszedł w niepamięć. Nie pozwoli, by duch wprowadzał niepokój w jej życie. I tak jak robiła to wielokrotnie w zdenerwowaniu, mocno zacisnęła wargi.

2 MARCA 1564 ROKU

## Tyberiada

Jezioro o gruszkowatym kształcie, zasilane wodami siedmiu strumieni, było błękitne jak niebo bez jednej chmurki. Z czterech stron otaczały je wysokie góry. Człowiek Nasiego, Yasef Ibn Ardut, siedział pod wysokim drzewem i z dumą obserwował ze wzgórza odbudowę Tyberiady.

Rekonstrukcję murów miejskich zakończono poprzedniego dnia. Mówiono, że miasto jest nieco mniejsze niż kiedyś, ale było takie śliczne, czyste, uporządkowane i zorganizowane. Grube mury otaczały malutką Tyberiadę, tworząc kwadrat. Olśniewającą zachodnią bramę ozdobiono czarnym i białym marmurem zebranych w starożytnych rzymskich ruinach. Północnej bramy, która miała mniejsze rozmiary, nie było dobrze widać, gdyż osłaniały ją wysokie palmy. Synagoga stała pomiędzy niewielkimi domkami. Ogrody wśród dobroczynnych dla zdrowia gorących źródeł na brzegu jeziora były już zielone. Na zewnątrz murów winnice, ogrody cytrusowe i żyzne pola ciągnęły się w dal. Morwowe drzewa rosły z każdym dniem, a owce, sprowadzone z największym trudem z Hiszpanii dla uzyskania wełny, pały się spokojnie.

Ibn Ardut jeszcze raz pomyślał, jak wielkim człowiekiem był Józef Nasi. Jeśli nie staną im na drodze żadne nieoczekiwane przeszkody, Tyberiada będzie mogła w tkactwie śmiało rzucać wyzwanie Wenecji i Florencji. Zresztą nie tylko w samym tkactwie, nowo zrodzone miasto mogło zabiegać o prymat w wielu dziedzinach. Wciąż się tu przenosili najbardziej wykształceni przedstawiciele żydowskich społeczności z Hiszpanii i Portugalii. Znaczna była też liczba uchodźców opuszczających Włochy z powodu nieprzyjaznej postawy papieża. Mimo że większa część tych biedaków ściągnęła na siebie gniew korsarzy i rycerzy maltańskich, to i tak szczęśliwie przybyła grupa nie była taka mała.

Prace wykończeniowe w willi budowanej dla doñi Gracii osiągnęły już ostatni etap. Wszyscy z podnieceniem oczekiwali tej mądrej i hojnej kobiety. Z jej przyjazdem do Tyberiady życie nabierze jeszcze większej

wartości. Po tysiącach lat cierpienia Żydzi znowu posmakują radości bytowania na ziemi obiecanej.

Ardut, tak jak się nauczył od Osmanów wymierzania kary, uderzył w pień drzewa skrzyżowanymi palcami. Oczywiście osiągnięcie celu nigdy nie było łatwe. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie ferman sułtana osmańskiego, dzięki któremu rządcy Damaszku i Safedu im pomogli, może nigdy nie wykonaliby swojego zadania. Arabowie jeszcze przed rozpoczęciem prac zaczęli się skarżyć, że odbudowa Tyberiady osłabi islam, a niektórzy twierdzili nawet, że tak zapisane jest w ich świętej księdze, Koranie. Żaden z nich nie chciał pracować przy rekonstrukcji, ale Ardut, zorientowawszy się, w czym rzecz, poskarżył się gubernatorowi, a ten rozkazał ściąć dwu ludziom głowy i wszystko znowu się toczyło zwykłym trybem.

Nasi należał dzisiaj do najbardziej zaufanych ludzi w Seraju. Czy w przeciwnym razie sułtan by im pomagał? Ale czy postępował tak naprawdę tylko z sympatii do europejskiego Żyda? Kapłani i naukowcy, którzy dzięki wsparciu dońi Gracii osiedlili się w Tyberiadzie, twierdzili, że za tym posunięciem leży chęć odkrycia na nowo tych zacofanych i niewykorzystanych ziem i nie byli pewni tak świetlanej przyszłości miasta, jaką wyobrażał sobie Ardut. Doradzali ostrożność. Może i mieli rację. Dlaczego Turcy osmańscy mieliby własnymi rękami budować inne państwo?

Józef Ibn Ardut nie brał pod uwagę politycznych aspektów całej sprawy. W tej chwili był szczęśliwy, że odnosi sukces, wykonując powierzone mu zadania. Oparł się o pień drzewa. Ponownie spojrzął na błękitne jezioro, w którym pluskały się tysiące ryb przybywających z nurtem rzeki Şeria. Rybacy w swoich maleńkich łódkach kołysali się na wodzie i zarzucali sieci. Migrujące ptaki spieszyły się, by odtworzyć gniazda. „Zupełnie jak my” – pomyślał Ardut. W podobnym pośpiechu odbudowywali swoje domy.

Piękne miasto Tyberiada, lub też Taberiye, jak je nazywali Turcy, wznosiło się przed jego oczyma i z pewnością czekała je świetlana przyszłość.

**Harem sułtański**

W tym momencie Estera myślała o tym samym: „Z pewnością czeka ją świetlana przyszłość...”. Jednak nie chodziło jej o nowo budowane miasto Tyberiada, a o pewną młodą dziewczynę.

Gdy tylko Estera zobaczyła tę wenecką piękność, zakupioną dla księcia Murata na Avrat Pazari<sup>[99]</sup>, była oczarowana, podobnie zresztą jak inni. Nie tylko jej doskonałymi rysami. Nie sposób było nie zauważyć inteligencji bijącej z jej wypełnionych łzami oczu.

Estera wiedziała, że jest ona córką Baffo, gubernatora Korfu. Jej maniery świadczyły o doskonałym wychowaniu. Ale była młoda i, znalazłszy się w obcym środowisku, naturalnie przerażona. Okręt, na który wsiadła, by dotrzeć do swojego ojca, został zaatakowany przez osmańskich korsarzy i w ten sposób z pozostałymi niewolnikami przywieziono ją do Stambułu. Przebywała w Seraju od tygodnia i płakała nieustannie. Nurbanu, która nadała jej imię Safiye, poprosiła znającą język włoski Kirâze, by z nią porozmawiała i spróbowała ją uspokoić.

– Moja droga, ze śmiechem bardziej ci do twarzy.

Dziewczyna zdumiała się, słysząc włoską mowę, i przestała szlochać.

– Jesteś Włoszką?

– Nie, ale Wenecja i Wenecjanie nie są mi obcy. Jestem Żydówką, moja rodzina przybyła tu z Hiszpanii. A ja urodziłam się tutaj.

– Jak możesz pani znosić to życie?

– Och, życie nie jest tutaj tak złe, jak sądzisz, moja droga, zwłaszcza dla nas, Żydów. W tym kraju jesteśmy bezpieczni. Poza tym Stambuł to piękne miasto.

Dziewczyna wzruszyła krągłymi ramionami.

– Wenecja jest jeszcze piękniejsza, chcę tam wrócić.

– Posłuchaj, Safiye...

– Nie nazywam się Safiye.

Estera uśmiechnęła się.

– Cóż, ja także nie nazywam się Kirâze, ale oni lubią tak do mnie mówić i nie ma w tym nic złego. Posłuchaj mnie teraz. Jesteś piękną dziewczyną, a nie ulega wątpliwości, że również mądrą. Zostaniesz podarowana przyszłemu sułtanowi imperium osmańskiego, a to oznacza, że w dodatku masz szczęście. Jeżeli Bóg da ci syna, możesz zostać

Sułtanką Matką. Uwierz mi, to coś więcej niż poślubienie weneckiego doży. Rozumiesz mnie? Przestań się żalić i płakać, otwórz oczy. Ten harem nie jest bezpiecznym miejscem i niełatwo tu przeżyć. Wiele sztuczek, intrygi... Niebezpieczne, okropne i śmiertelne intrygi.

– Śmiertelne?

– Oczywiście. Zobaczysz setki kobiet gotowych cię otruć z zazdrości. Uważaj, gdzie stąpasz, i bądź bardzo ostrożna. Rozumiesz, co mówię?

Dziewczyna skinęła głową.

Estera pogładziła ją po policzku i otworzyła swoją skrzynkę, by wyjąć z niej złoty łańcuszek, z którego zwisała jedna mała perła.

– To dla ciebie – powiedziała. – Oby ci przyniósł szczęście.

Safiye, zdziwiona, przyjęła naszyjnik.

– Przyjdiesz jutro znowu?

– Tak, co dzień przychodzę. Nie tylko sprzedaję klejnoty i tkaniny, dbam także o to, by dokonywano odpowiednich zakupów do spiżarni. Do zobaczenia jutro. Nie zapomnij o tym, co ci powiedziałam, bądź ostrożna i natychmiast zacznij się uczyć mówić po turecku, to ogromnie ważne.

Podeszła do drzwi, po czym się odwróciła.

– I nic się nie martw, Wenecja nie jest daleko stąd – mówiła ściszym głosem. – Cokolwiek będziesz chciała z Wenecji, cokolwiek... mogę to dla ciebie sprowadzić. Zrozumiałaś?

Dziewczyna jeszcze raz skinęła głową. Uśmiech odsłonił jej białe zęby.

Estera myślała o niej, mijając mroczne korytarze haremu.

Tak, ta dziewczyna była inna niż cała reszta, nawet na niej wywarła wrażenie. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz dała komuś prezent. I nie miała pewności, dlaczego to zrobiła, ale za to była przekonana, że postąpiła słusznie. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Córka gubernatora Korfu to z pewnością bardzo ważna osoba. Safiye miała się okazać nie byle kim zarówno dla osmańskiego haremu, jak i dla Estery.

– Czeka cię wspaniała przyszłość – wyszeptała.

**Londyn**

Inne narody nie zmieniały imion jak Turcy, ale zamiast tego miały zwyczaj nadawania przydomków. Zwłaszcza swoim władcom... Anglicy natychmiast nadali Elżbiecie, drugiej córce Henryka VIII, przydomek Królowa Dziewica lub Dobra Królowa Bess, gdy tylko wstąpiła na tron po śmierci Krwawej Mary, która pragnąc umocnić Kościół katolicki, tyłu protestantów skazała na śmierć.

Elżbieta została ogłoszona królową bez problemu, jako że jej przyrodnia siostra Maria zmarła bezpotomnie, mimo wielu starań, a innego dziedzica tronu nie było. Przez lata cierpiała z rąk najwyższych urzędników – fanatycznych katolików – ale swoim państwem rządziła pokojowo, nigdy nie czyniąc różnicy między protestantami a katolikami, dlatego tak ją kochano. Katolicy nie sprzeciwiali się nawet temu, że zakazała komunii, jako że wolno im było praktykować ten sakrament we własnych domach. W ciągu sześciu lat władczyni zaprowadziła w kraju wielką tolerancję i dlatego ją zwano Dobrą Królową.

Jeśli chodzi o jej dziewictwo, miało ono swoją przyczynę. Elżbieta lubiła mężczyzn, ale za męża wychodzić nie chciała, ponieważ będąc jeszcze małą dziewczynką, widziała śmierć matki, a potem macochy, straconych na rozkaz ojca. Ale choć straciła zaufanie do mężczyzn, jednak się zakochała. Młoda królowa zapalała gorącą miłością do Roberta Dudleya.

Ona też podobała się temu przystojnemu i atrakcyjnemu młodzieńcowi, który nie odstępował Dobrej Królowej Bess nawet na krok, ale do małżeństwa nie mógł jej namówić. Od czterech lat był wdowcem, mówiono nawet po kryjomu, że zaplanował śmierć swojej żony, by móc się ożenić z królową. Elżbieta rządziła królestwem z powodzeniem i dalekowzrocznie, ale kiedy chodziło o kochanka, nie była stanowcza. Nie chciała słuchać jakiegokolwiek krytyki na temat Dudleya. Tymczasem każdy na dworze zdawał sobie sprawę z jego ambicji i zamiarów.

Robert Dudley był synem diuka Northumberland, który rządził Anglią w czasach Edwarda, jedynego syna Henryka VIII. Po śmierci Edwarda Robert znalazł się wśród tych, których zamknięto w Tower na polecenie Marii. Ale pozostawał uwięziony zaledwie rok, po czym go zwolniono. Znał Elżbietę jeszcze przed tym, zanim została królową

Anglii.

A kiedy to się stało, zaczął robić szybką karierę. Najpierw mianowano go głównym koniuszym angielskiego dworu, słynącego z miłości do koni, potem został członkiem Królewskiej Rady Doradczej. W tym samym roku królowa uhonorowała go tytułem Kawalera Podwiązki. Teraz właśnie miał usłyszeć od niej wiadomość o nowym stanowisku.

– Uwierzyć nie mogę, że tak mnie zaszczycałaś... Jesteś pani więcej niż dobra, jesteś królową godną uwielbienia.

– Dudleyu, proszę, zasługujesz na wszystko, co najlepsze. Spodziewam się, że ceremonię możemy urządzić niedługo.

Młody człowiek uklonił się z szacunkiem. Zostać hrabią Leicester i baronem Denbigh było znacznym osiągnięciem. Ale on, rzecz jasna, mierzył znacznie wyżej.

– Moja królowo – powiedział – uczynię, co w mojej mocy, by być godnym zaszczytu, jakiego mi udzieliłaś. Ale czy mogę mieć nadzieję na największy honor?

Królowa dotknęła delikatnego, koronkowego kołnierzyka przy swoim stroju. Uśmiechała się jak niegrzeczna dziewczynka.

– Rozpieszczasz mnie Dudleyu, naprawdę – wyznała. – Sprawia mi to wielką przyjemność, gdyż naprawdę cieszę się twoim towarzystwem. Ale... dobrze znasz moje niepokoje i obsesje. Poza tym jako królowa mam swoje obowiązki, nie odpowiadam jedynie za siebie. Przede wszystkim muszę myśleć o poddanych. Nie chcę łamać ci serca, które jest mi tak drogie, jednak nie mogę obiecywać niemożliwego. Dlaczego jakaś inna kobieta nie miałaby skorzystać z takiej wspaniałej okazji?

– Inna kobieta? Ależ, moja królowo...

Elżbieta znów uśmiechnęła się znacząco.

– Ponieważ to małżeństwo nie zakończyłoby naszej przyjaźni, to w czym tkwić może niebezpieczeństwo, Dudleyu?

Mężczyzna wpatrywał się w królową swymi zielonymi oczyma, gładząc długimi palcami elegancką bródkę. Usiłował odgadnąć imię kandydatki, którą miała mu polecić jako przyszłą pannę młodą.

– Nie męcz się, Dudleyu – odezwała się Elżbieta. – Powiem ci. To Maria Stuart.



– Maria Stuart?

– Tak, ona też pochodzi z Tudorów i jest dziedziczką dynastii.

Robert Dudley był zdumiony. To, że Elżbieta darzy go miłością, uważał za oczywiste. I w zasadzie się nie mylił. Dobra Królowa Bess była rzeczywiście zakochana w nowym hrabim Leicester, jednak nie była ona zwyczajną kobietą. Miłość mogła ją na chwilę zaślepić, ale nigdy nie oślepić do końca. Miała koronę i tron, a tych nie dało się porównać z afektem jakiegokolwiek mężczyzny. W przypadku takiego małżeństwa mogłaby kontrolować królową Szkocji Marię, która stanowiła dla niej zagrożenie, a jednocześnie widywała kochanka tak często, jak tylko zechce, nie musząc wysłuchiwać jego nudnych oświadczeń.

Dudley wciąż milczał.

– Może wtedy nasze spotkania nabiorą nowego smaku – dodała zalotnie Elżbieta.

– Naprawdę brak mi słów, moja królowo – odezwał się w końcu. – Nie wiem, co powiedzieć.

Od lat marzył o poślubieniu Elżbiety, ale teraz myśl o zostaniu mężem królowej Szkocji nie wydała mu się taka zła. Elżbieta obserwowała go uważnie, starając się odczytać jego zamiary.

– Chodźmy na krótki spacer, Dudleyu, to cudowne, świeże wiosenne powietrze na pewno przyniesie ukojenie naszym skołatanym głowom. Porozmawiajmy o tym małżeństwie i o nowych kłopotach naszej moskiewskiej kompanii. Naprawdę jestem ciekawa, czy kupcy i żeglarze zdołają znaleźć północno-wschodnie przejście między starą Azją a Nowym Światem? Jeśli tak, Anglia w ciągu jednego roku postąpi sto lat naprzód, a my będziemy rządzić wiecznie.

Wstała, wygładziła marszczoną, długą spódnicę i zaczęła schodzić po schodkach znajdujących się przy tronie; na ostatnim stopniu przystanąła i mruknęła z zamyśloną miną:

– A te kłopoty finansowe?

Dudley wysunął ramię, by mogła się na nim wesprzeć.

– Czyżbyś nie akceptowała mojej propozycji?

– Loterii?

– Tak, moja królowo. Nie jest to wcale ryzykowne. Jak dobrze

wiesz, próbowano tego w przeszłości. Także zmarły król Francji, Franciszek I, przed laty zezwolił na tę grę i skarbiec na tym zyskał. Włosi robią to samo od lat. Tam każde miasto ma własną loterię. To naprawdę bezpieczny i prosty sposób zasilenia skarbcza.

– Uważam, że masz rację. Dlaczego by nie spróbować? Słusznie mówisz, nie można tego uznać za hazard, bo każdy ma taką samą szansę. Jeżeli wynik będzie zadowalający, bez trudu zdołamy wybudować nowe porty. Jednak nie chcę przeciwstawiać się Kościołowi. Dudley, przyjacielu, jeszcze o tym pomyślę. Nie wolno mi popełniać błędów.

– Ty nigdy nie popełniasz błędów, moja królowo.

Elżbieta uśmiechnęła się słodko do nowo mianowanego hrabiego.

**Paryż**

Tak samo jak zasiadająca na tronie angielskim Elżbieta I z wielkimi planami na przyszłość, tak i Katarzyna Medycejska, chociaż nie królowa, była jako matka osobą wielce wpływową i szanowaną na francuskim dworze. Ona również nie marnowała czasu.

Katarzyna była córką Medyceusza, diuka Urbino, i księżniczki z dynastii Burbonów. Jako synowa Franciszka, a przy tym osoba inteligentna i z zamiłowaniem do sztuki, zyskała we francuskim pałacu silną pozycję. Po śmierci teścia na tron wstąpił jej mąż Henryk, który zmarł przed pięciu laty w wyniku wypadku, jego miejsce z kolei zajął syn Franciszek II. Okres ten był dla niej bardzo trudny, ponieważ była przeciwniczką absolutnej dominacji papieża. Natomiast nowy król pozostawał pod wpływem zwolenników europejskiego katolicyzmu. Państwem wstrząsały urządzane przez nich masakry. Katarzyna zdołała jednak zachować umiarkowanie dzięki odważnym edyktom.

Na szczęście ten zagmatwany społeczno-politycznie czas nie trwał zbyt długo. Kiedy Franciszek umarł młodo, na tron wstąpił inny jej syn, Karol IX, i tym razem to Katarzynie udało się zostać regentką.

Natychmiast zaczęła wprowadzać reformy prawno-gospodarcze. Edyktem ogłosiła, że od teraz hugenoci i katolicy będą żyli w pokoju i mieli takie same prawa. Katolicy jednak sprzeciwiali się tym innowacjom i w państwie wybuchła wojna domowa. Katarzyna, chociaż wszystkie moce przysięgły się przeciwko niej, w końcu zdołała uporać

się z tą trudną sytuacją i zakończyć konflikt.

Wiedziała, że podczas zbliżającego się lata syn osiągnie pełnoletność. I jeśli jej obowiązki jako regentki dobiegną końca, to jednak matką będzie zawsze.

Urodziła dziesięcioro dzieci, ale żyło tylko czworo: trzech synów i jedna córka. Chciała dla nich zaaranżować korzystne małżeństwa, które przyniosłyby pożytek w przyszłości. Jej ambicji nie ograniczało macierzyństwo, w tym wypadku bardziej była politykiem. Przez lata spędzone na dworze francuskim nauczyła się, że szczęście i władza nie idą w parze. A skoro jej dzieci urodziły się po to, by rządzić, i nie miały możliwości dokonania własnego wyboru, konieczne było wsparcie ich przez idealne skojarzenie związków. Najbardziej pragnęła ożenić syna Karola z austriacką księżniczką, potem zamierzała oddać rękę córki protestanckiej Nawarze. Jej trzeci plan musiał trochę poczekać na realizację, jako że Alençon był wciąż bardzo młody, ale pragnęła ujrzeć go mężem Elżbiety mimo dzielącej ich różnicy wieku. Francuski król ożeniony z angielską królową! Była gotowa zrobić wszystko, by urzeczywistnić swoje polityczne zamierzenia. Czas był najcenniejszą rzeczą na świecie, nikt nie mógł rządzić krajem, podejmując spontaniczne decyzje. Według jej filozofii rozum pozwalał nie tylko dobrze wykorzystać czas, lecz także go docenić. Inteligencja to jeszcze nie wszystko; trzeba było umieć znakomicie ją wyzyskać.

Tyle pracy wykonała dla Francji i tyle ją jeszcze czekało. Liczba królów i królowych znikających bez śladu ze sceny historii była nieogarnięta... a ona chciała pozostać w pamięci przyszłych pokoleń. Podobnie myślała o dzieciach. W zasadzie, mimo sukcesów na arenie politycznej, prawdziwym zainteresowaniem Katarzyna darzyła sztukę, a zwłaszcza architekturę. Zbudowała wiele zamków, z których jeden był piękniejszy od drugiego. W każdym pełno było dzieł sztuki. Ludzie nie powinni zapomnieć nazwiska Medici.

– Czy myślisz czasem o swojej przyszłości, panie kanclerzu? – zapytała Michela de L'Hospitala.

Minister sprawiedliwości, zdecydowany stronnik Katarzyny, wydawał się zaskoczony.

– Nie jestem pewien, pani – odparł. – Sądzę, że planując przyszłość

kraju nie mam zbyt wiele czasu na rozmyślanie o własnej przyszłości.

Katarzyna uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo przebiegły, monsieur, i błyskotliwy w rozmowie...

Szli powoli przez wypielęgnowany park. Powietrze wypełniały wonie dopiero co zakwitających drzew i świeżej, zielonej trawy, jaka rozpościerała się dookoła. Katarzyna zatrzymała się, by odetchnąć głęboko, a potem zwróciła się do towarzyszącego jej ministra:

– Moje własne życie jest tak związane z Francją, że muszę umieć zajmować się oboma, jakby były jednym i tym samym.

Mężczyzna odparł z uśmiechem:

– Moja pani, tobie nikt nie dorówna intelektem i sztuką konwersacji.

– Jesteś bardzo uprzejmy. – Znowu ruszyli. – A co do przyszłości... nie da się nie mówić o nowym edykcie. Sądzisz, że dwa lata wystarczą, aby wprowadzić go w życie z powodzeniem?

– W zupełności.

– Kiedy Karol osiągnie dojrzałość, będziemy przez dwa lata podróżować z nim po państwie, by uzyskać pokój, monsieur.

– Pani, twoja odwaga i energia dorównują twej inteligencji. Już teraz pragnę pogratulować. Nasze państwo rozpaczliwie potrzebuje pokoju.

– Uważam, że potrzebuje go cała Europa, a zależy on od pokoju między dynastiami. A tego niestety wciąż nie ma z powodu walk o władzę i religię.

– Właściwie, o ile, pani, pozwolisz mi dodać, to coś więcej niż spory religijne. To ambicja, by manipulować Kościołem i wykorzystać go do panowania nad ludem.

– Masz całkowitą rację. Tutaj, w tym kraju, przez setki lat haniebnie wykorzystywano uczucia religijne dla celów polityki. Kiedy mówię o przyszłości, marzę o nowym świecie, gdzie wszyscy będziemy mogli żyć w pokoju. Wierzysz, że to się może ziścić pewnego dnia?

– Nawet samo takie marzenie jest ekscytujące, madame, a wierzę, że wszystko, o czym ludzie marzą, kiedyś się ziści.

– Tak, dlaczegoż by nie? Ludzkość na to zasługuje.

Katarzyna wzniosła oczy do nieba i spojrzała na słońce, lśniące

niczym korona. Czują ją tak, jakby tkwiła na jej głowie.

9 STYCZNIA 1567 ROKU

**At Meydan**<sup>[100]</sup>

Nikt nie był w stanie oprzeć się ostatecznym wyrokom boskim, ani nawet król czy sułtan. Śmierć przychodziła na wiele sposobów, ale jej nadejście zawsze było nieodwracalne. Wystawne pogrzeby ani wspaniałe grobowce nie mogły zmienić rzeczywistości. Wszyscy, którzy zasnęli ostatnim snem na łonie natury, bogaci, biedni, potężni, słabi, wierzący albo wątpiący, stawali się sobie równi. Potężny sułtan Sulejman Prawodawca, który przez czterdzieści sześć lat groził światu swoją szablą, nie był żadnym wyjątkiem. Azrail<sup>[101]</sup> przyszedł po niego, gdy miał siedemdziesiąt trzy lata, w Zigetvar. Co zastanawiające, zdarzyło się to podczas jego trzynastego marszu do Europy na czele armii osmańskiej i po trzynastu latach...

Po Karolu V zmarł także jego brat Ferdynand, któremu przekazał on koronę i tron, a królestwo przypadło Maksymilianowi. Wielki wezyr Sokullu zażądał od nowego cesarza ogromnej sumy pieniędzy, a ten zgodził się niechętnie – nie był gotów na rozpoczynanie wojny pierwszego dnia swoich rządów, i natychmiast zostały przesłane zarówno podatek, jak i kwota na pokrycie długów zaciągniętych w ciągu dwóch ostatnich lat. Ale zanim przybyły złote dukaty, stolicą osmańskiego imperium wstrząsnęła nowina, że Zygmunt, księżę Siedmiogrodu, ma trudności z odparciem ataków austriackiej armii. Aby zrekompensować odwrót floty pod Malta, wielki wezyr Sokullu Mehmed Pasza przekonał wiekowego sułtana, by wypowiedział wojnę, i janczarzy wyruszyli do Europy.

Sulejman był tak słaby, że większość podróży odbywał w lektyce i na wozach, a nie konno, co, zważywszy na tradycję, było bardzo niezwykle. Wierchem jechał tylko kiedy wkraczali do miasta albo je opuszczali. Piątego sierpnia Turcy osmańscy otoczyli twierdzę Zigetvar i po miesiącu ją zdobyli. Jaka szkoda, że sułtan nie zobaczył zwycięstwa i powiewającej na jednej z wież flagi, gdyż poprzedniego wieczoru zamknął oczy na zawsze.

Obawiając się buntu janczarów, Sokullu po mistrzowsku ukrył tę

prawdę przed wojskiem. Oprócz kilku znacznych osobistości nikt nie wiedział, że sułtan nie żyje, a tron jest wolny. Wielki wezyr, który nakazał lekarzom zabalsamować ciało, zachował się jak wyborny aktor. Żołnierzy trzymano z daleka od sułtańskiego namiotu, stosując różne preteksty i wymówki. Rozpoczęli powolny odwrót. W wozie Sulejmana siedział bardzo podobny do niego Bośniak Hasan Ağa, jeden z mężczyzn w Hasodzie<sup>[102]</sup>, który w rzeczy samej dobrze odegrał swoją rolę.

Tymczasem Sokullu wysłał sekretarza o imieniu Feridun do Selima z prośbą o szybkie przybycie do obozowiska. Hasan Czawusz, posłaniec Feriduna Beja, dopiero po dwunastu dniach zdołał dotrzeć do Kütahyi. Selim, kiedy otrzymał wiadomość, natychmiast udał się ze swoimi paszami i lalami do stolicy, gdzie objął tron, a stamtąd konno do Belgradu na spotkanie z wojskiem.

Sokullu zamierzał tam właśnie powiadomić o śmierci starego sułtana. Ponieważ od miesięcy nie płacił należnego żołdu janczarom za ich służbę, sądził, że rozdając im trochę akçe, uspokoi ich gniew i w ten sposób zapanuje nad sytuacją.

Uroczystości pogrzebowe udało się zorganizować w Belgradzie czterdziestego drugiego dnia po śmierci Sulejmana Wspaniałego; trumnę wysłano do Stambułu wraz z czterystu żołnierzami. Zgodnie z jego wolą w wielkim smutku pochowano go obok małżonki. Z jednej strony marmurowego grobu umieszczono szablę wysadzaną drogimi kamieniami, z drugiej łuk i strzałę. Były to znaki informujące, że śmierć dosięgła go na polu bitwy jako dzielnego wojownika.

Pełne wspaniałych przygód życie dziesiątego sułtana osmańskiego dobiegło końca. Teraz przyszła kolej na syna. Lud, który obdarzył jego ojca tytułem Wspaniały, Selima nazwał Pijakiem, poza tym we wspomnieniach nie zatarł się jeszcze żal po śmierci książąt Mustafy oraz Beyazita. Wyczerpanie po długim, męczącym marszu wywołało u janczarów znużenie. W dodatku, co najważniejsze, zaognił się problem pieniędzy. Skumulowanie tych czynników spowodowało wybuch niezadowolenia. Nowy sułtan już w drodze do pałacu natknął się na bunt. Żołnierze ściągali z koni najzacniejszych wezyrów, paszów, nawet agów. Powalali ich na ziemię, przewracali nadjeżdżające wozy, wykrzykując: „Nie pozwolimy wam zrobić kroku, dopóki nie

dostaniemy należnego nam żołdu!” Kres tym napięciom zdołał położyć Sokullu, rozrzucając błyszczące złote monety z worków przyczepionych do siodła, jakby ziarnem karmił drób, i wówczas Selim mógł wreszcie wjechać do nowego pałacowego haremu.

Jego wstąpienie na tron nie było wydarzeniem szczególnie pompatycznym, ale jemu ani janczarom to nie przeszkadzało. Dla Selima najważniejsze było zostanie sułtanem, dla janczarów liczyły się pieniądze, a dla ludzi ze stolicy – darmowe jedło i radosne obchody. Chociaż panowała zima, jak zwykle zorganizowano wielkie uroczystości. Na wszystkich placach Stambułu odbywały się przedstawienia, które miały rozbawić lud.

Nasi jako jeden z pierwszych uczcił wstąpienie sułtana na tron. Wielki Żyd był dla Selima najbliższym przyjacielem i to on, jeśli można tak powiedzieć, owinął go sobie wokół palca, gdyż przed wyjazdem do Belgradu uzyskał księstwo Naksos albo, jak nazywają je Turcy, Nakşa i okoliczne wyspy. Ponadto nowy sułtan powtórzył swoją obietnicę dotyczącą Cypru i przyrzekł ją spełnić jak najszybciej.

Józef Nasi czuł się szczęśliwy. Wraz z żoną Rejną wydał wspaniałe przyjęcie w należącym do nich Belvedere, który wykwinnością i luksusem nie odbiegał od europejskich pałaców. Uczta była niezrównana, mówiono, że brakowało jedynie ptasiego mleka. Oczywiście za honor otrzymania takiego tytułu Nasi odwdzieczył się Selimowi, przesyłając do nowego pałacu prezenty: ogromną ilość francuskiego wina, którego smaku nikt dotąd nie poznał.

Każdy raczej uważał, że powiązania diuka Nakşa z Europą ulegną zmianie. Z powodu jego determinacji, by zostać królem Cypru, handel z Wenecjanami nie miał przebiegać już tak bezproblemowo. Józef Nasi szczegółowo wyjaśnił Kirâze swoje plany na przyszłość. Z jednej strony Estera miała dylemat, jako że nie chciała zepsuć swoich wieloletnich stosunków z mieszkańcami Wenecji, z drugiej jednak, gdyby Nasi został następnym władcą Cypru, mogłaby zarobić więcej. Ale było to bardzo ryzykowne i niebezpieczne. Mogła także stracić cały majątek, pieniądze, a nawet życie. Jeśli miała wziąć udział w tym interesie, powinna bardzo uważać, postępować rozważnie i się zabezpieczyć... Powinna zostać sowicie wynagrodzona za niebezpieczeństwo. Nasi w pełni rozumiał

zagrożenie i mówił, że zapłaci hojnie.

Podczas gdy Kirâze i Józef omawiali niebezpieczne sprawy dorosłego świata, dwóch chłopców, mimo że spotkali się po raz pierwszy w życiu, bawiło się dobrze na placu Końskim.

Ciotka Soli, aby rozerwać choć trochę swojego siostrzeńca Mosze, który skończył już osiem lat, przyprowadziła go na organizowane dla ludu uroczystości. Diagnoza doktora Çipruta okazała się trafna, garb na plecach Mosze nie był zbyt widoczny, ale jedną nogę chłopiec miał krótszą od drugiej, więc kulał. Był dzieckiem samotnym. Nie miał przyjaciół, jego jedyną rozrywką było odwiedzanie z ciotką drukarni. Podczas gdy ona i doña Gracia pracowały, on cicho rysował w kącie. Kirâze oddała swojego syna niemal całkowicie w ręce siostry, nie mieszkał nawet we własnym domu. Ale nie skarżył się, jako że bracia byli od niego znacznie starsi, co oznaczało, że tam także nie miałby się z kim bawić.

Abraham, najstarszy z synów Kirâze, był już dorosły, ożenił się przed dwoma laty, urodziły mu się dzieci. Handlował wspólnie z Nasim winami i uzbierał już własną małą fortunę. Haim miał się ożenić przyszłego lata, często podróżował do Wenecji, handlując sukniem i szkłem. Był ekspertem w swoim zawodzie, jednym spojrzeniem potrafił ocenić jakość i prawdziwą wartość towaru. Sami miał dwadzieścia lat i pracował w warsztacie jubilerskim ojca na Kapalıçarşı. Sprzedawał też biżuterię do Seraju jak matka. Estera i jej synowie poświęcili się zarabianiu pieniędzy i rzeczywiście osiągnęli sukcesy. Zнали ich wszyscy w mieście: cudzoziemscy dyplomaci, kupcy i nawet duchowni.

W takiej atmosferze nikogo nie obchodził mały Mosze, a on miłość i ciepło, których potrzebował, znalazł u Soli. Kochał swoją ciotkę bardziej od matki.

Tego ranka wyszli z domu wcześniej. Mimo styczniowej aury nie było zimno, a nawet się ociepliło. Około południa przyjemne zimowe słońce mocno ogrzało plac. Znajdowali się w części przeznaczony dla kobiet, Mosze wraz z innymi, trochę przerażony, przyglądał się paradzie ze zwierzętami. Obok stał chłopiec w tym samym wieku. Popatrzyli na siebie nieśmiało i zaczęli rozmawiać. Mosze wyznał, że najbardziej



się boi trzymany na łańcuchach tygrysów, a jego kolega dodał, że oprócz tygrysów boi się także węży... Syn Estery powiedział, że zamknie oczy, gdy węże będą naprzeciw nich, i zaproponował, by tamten zrobił to samo. Kiedy przedelfowały dzikie zwierzęta, przyszła kolej na figury zrobione z cukru. Byli oczarowani różnorodnością ich barw i kształtów, potem zjedli rozdawane ciągnące się, aromatyzowane cynamonem cukierki. Po przemarszu cukierników oznajmiono przerwę. Chłopcy natychmiast pobiegli na znajdujący się obok placyk. Mosze, choć kulał, chciał dorównać nowemu przyjacielowi. Chłopiec, kiedy to zauważył, nie przywiązując wagi do stanu Mosze, dostosował się do jego kroku. Po chwili bawili się już w najlepsze. Soli, obserwując ich, z uśmiechem zwróciła się do kobiety opiekującej się chłopcem i zaczęły rozmawiać równie otwarcie jak ich dzieci.

- Jak szybko znaleźli wspólny język – powiedziała Soli.
- Mój Mikail to bardzo przyjazne dziecko.
- Widzę, jest pełen ciepła. Ile ma lat?
- Osiem.
- Nasz też ma osiem. Tak bym chciała, żeby zostali przyjaciółmi.
- Dlaczego nie, pani? – Spojrzała na dzieci.

Mosze pokazywał Mikailowi swoją brązową kulkę, którą zawsze nosił w kieszeni.

– Wyglądają jak bracia, bardzo podobne rysy, takie same ciemne oczy, kręcone włosy i słodkie uśmiechy. – Soli była szczęśliwa, że Mosze w końcu znalazł przyjaciela.

Zapytała kobietę, gdzie mieszkają.

– Dopiero minął miesiąc, jak przybyliśmy do Stambułu z Kütahyi. Na jakiś czas umieszczono nas w domu pewnej starszej kobiety w Kadırdze, ale nie wiem, co będzie potem.

Soli była zdumiona.

– Jak to? – zawołała.

– Tak, pani, wiem, że dziwi cię ta odpowiedź, ale naprawdę nie wiem, gdzie się znajdziemy jutro. Mikail i ja jesteśmy całkiem sami. Mój mąż, a jego ojciec, zginął na wojnie między księciem Selimem a jego bratem, księciem Beyazitem. Teraz nie mamy już nikogo. Kiedy

przenieśli harem do Stambułu, gdy Selim został sułtanem, nas przywieźli także. Nie znam w tym mieście ani jednej osoby.

– A matka, ojciec?

– Jestem sierotą. Świętej pamięci ojciec mojego męża był podobno paszą, ale ścięto mu głowę, matka w tym czasie była brzemienna.

Odesłano ją do Kütahyi i biedna kobieta zmarła, rodząc ojca Mikaila, nie uratowano jej. Byliśmy więc sierotami, jego i mnie wychowano

w kuchniach Sancak Beja w Kütahyi, a potem poślubiono nas sobie.

Resztę ci już, pani, powiedziałam. Teraz jesteśmy tutaj, zupełnie sami.

Mam nadzieję, że przyszłość ułoży się nam lepiej.

Soli poczuła litość dla kobiety i jej dziecka.

– Życzę wam jak najlepiej – szepnęła. – *Maşallah*, masz, pani, wspaniałego syna!

Jedyną wymowną częścią zakwefionej twarzy kobiety były jej oczy; wydawało się, że załśniły nadzieją.

– Taką mam nadzieję – odpowiedziała.

Soli uśmiechnęła się.

– Nie martw się, pani, uwierz mi, że Bóg zapewni pomyślność. – Spojrzała na wesoło bawiące się dzieci; Mosze był szczęśliwy, a to okazało się dla niej najpiękniejsze ze wszystkiego. – Mieszkamy w Galacie – powiedziała kobiecie. – Mój mąż jest znanym lekarzem. Nazywa się doktor Çiprut. Gdybyś potrzebowała czegokolwiek, znajdź mnie, a chętnie ci pomogę. Możecie nas odwiedzać, będą się razem bawić.

– Doktor Çiprut – powtórzyła kobieta.

– Tak, nie zapomnij, doktor Çiprut. A teraz ty spróbuj mi opisać miejsce, w którym mieszkacie.

Nie umiała tego zrobić, więc zaprowadziła Soli do ławki, gdzie siedziała stara kobieta, u której znaleźli gošcinę.

– Zaraz wrócę – zawołała Soli. – Nie odchodź, Mosziko. Nie oddalaj się, jestem tutaj Mosziko, mój synu.

Pokiwał głową.

– Jak się nazywasz? Mosziko?

– Nie, Mosze, ale ciotka mówi do mnie Mosziko.

– Ja mam na imię Mikail.

– Ty jesteś Mikail.

– Ty jesteś Moszi.

– Nie, Mosze!

– Moszi!

– Mosze!

Mikailowi podobał się upór nowego przyjaciela, więc zachichotał.

– Moszi!

– To ja cię będę nazywał Miszi.

Mikail znowu zachichotał.

– Moszi Miszi, Moszi Miszi! – wykrzykiwał dalej.

Mosze też się śmiał całym sobą i wołał na cały głos:

– Moszi Miszi, Moszi Miszi!

Występujący zajęli miejsca na placu, by zacząć przedstawienie, a Soli zawołała:

– Mosziko, Mikail, chodźcie, zaczyna się, będą pirotechnicy, szybko!

Chłopcy, trzymając się za ręce, podbiegli ze śmiechem. Nagle Mosze krzyknął zaskoczony:

– Masz więcej palców!

Mikail otworzył sześciopalcą dłoń, przyjrzał się jej, jakby należała do kogoś innego, i powiedział:

– Niech będzie, ale ty masz mniej nogi.

Mosze spojrzał na swoją nogę.

– Więcej palców, mniej nogi! – wykrzyknął.

Mikaila to rozbawiło, więc powtórzył:

– Więcej palców, mniej nogi!

Znowu się roześmieli, wołając „Moszi Miszi, Moszi Miszi”, i poszli, trzymając się za ręce. Kulawy Mosze i sześciopalczy Mikail bardzo się polubili. Tego dnia podczas pokazu bawili się małą brązową kulka. Kulka, która w bramie domu rodziny de Toledów oznajmiała przybycie przyjaciół, teraz pukała do samotnego serca Mosze. Miszi był jego pierwszym przyjacielem, a może i ostatnim...

IV  
20 KWIETNIA 1568 ROKU

**Edirne**

Selim, dzięki łupom przywiezionym do imperium przez Piyale Paszę, gdy ten zdobył wyspę Chios, i Perteva Paszę, który złupił Transylwanię, w krótkim czasie odzyskał większą część złota, jakie zmuszony był wydać, wstępując na tron. W nagrodę sułtan mianował Piyale wezyrem Kubbe, a jego miejsce zajął Műezzinzade Ali, także dowódca floty. Anatolijski gubernator, Zal Mahmut Pasza, też został wezyrem. Człowiek ten własnymi rękami udusił şehzade Mustafę na rozkaz jego ojca, gdy ten usiłował uciec niemy katom. Zal Mahmut był jednym z tych, do których Sokullu czuł odrazę. Darzył głęboką nienawiścią jego i Lala Mustafę Paszę, który spowodował śmierć şehzade Beyazita, więc wielki wezyr starał się jak najbardziej ich unikać.

Nikt nie myślał o państwie. Każdy miał na uwadze jedynie własne korzyści. Ale Sokullu Pasza był inny. Jakże ciężko pracował nad sprawą Kanału Sueskiego czy kanału Wołga–Don... Jednak ci sami ludzie ze względu na własną ambicję uniemożliwiali realizację projektów i niweczyli jego wysiłki. W rzeczywistości Kanał Sueski był jedyną drogą do pokonania floty portugalskiej i otwarcia dostępu do Oceanu Indyjskiego. Z kolei projekt kanału Wołga–Don był jedynym sposobem zachowania kontroli nad rosyjskimi i perskimi siłami. Sokullu wciąż miał nadzieję na ukończenie przynajmniej drugiego kanału. O ile ci ignoranci, chciwcy, nie spróbują go znowu powstrzymać... Nie ufał ludziom z otoczenia nowego sułtana, ale w tej chwili nie mógł się ich w żaden sposób pozbyć i musiał być cierpliwy. Sokullu Mehmed zdawał sobie sprawę, że jest to potrzebne dla dobra jego własnego i imperium.

Selim przeniósł się do ukochanego Edirne niedługo po tym, jak został nowym władcą Turków osmańskich. Lubił to miasto nie mniej niż jego ojciec. Zawsze mawiał, że tylko tu można najlepiej docenić sezon na tulipany. Niekończące się, wielobarwne ogrody tulipanowe były tak urokliwe. Zwłaszcza te otaczające budowę nowego meczetu. Święty budynek rósł z każdym dniem, wielki architekt Sinan ogłosił, że będzie to arcydzieło. Sokullu też lubił to miasto, ale nie miał czasu napawać się

jego pięknem, gdyż nieustannie przybywali cudzoziemcy, by świętować wstąpienie Selima na tron i odnawiać umowy. Wysłannicy Maksymiliana, cesarza Austrii, i szacha Persji byli najaktywniejsi ze wszystkich. Persowie, przybywając, przywieźli ze sobą sokoły, mysołowy, szable, wysokiej jakości materie, dywany, namioty i, co najważniejsze, dużą sumę pieniędzy. Prezenty szacha niosły czterdzieści trzy wielbłądy, od posłów natomiast dziesięć. Wśród podarków ciekawych było osiem mis z turkus, które w zetknięciu z trucizną samoistnie się przełamywały. Wieloosobową delegację perską uroczysto przywitano najpierw w Stambule. Obecnie była w Edirne.

Persowie, aby wywrzeć wrażenie, przybyli tam odziani w stroje o wspaniałych kolorach. Jednak ubiory Osmanów w niczym im nie ustępowały. Po licznych komplementach i dyplomatycznych pochlebstwach z obu stron poseł perski odliczył przed Selimem sto sześćdziesiąt cztery tysiące dukatów w złocie. Wszyscy byli zadowoleni, ale Selima szczególnie zachwyciły broń i wielbłądy należące do jego zabitego brata Beyazita. Wyjąkał, że mają dla niego wielką sentymentalną wartość. Nowy sułtan nie mógł mówić płynnie, gdy był podekscytowany. Kiedy bełkotał głosem pełnym smutku, Sokullu irytował się w głębi ducha. Nie mogąc się powstrzymać, spojrzał z nienawiścią na Lala Paszę. Tamten odwrócił twarz. Sułtan wciąż usiłował dać wyraz swoim uczuciom, nawet oczy napłynęły mu łzami. Można by uznać, że śmierć jego brata była wypadkiem, ci, którzy go w tej chwili słuchali, nie uwierzyliby, że tak niedawno, zaledwie przed paroma laty, walczył z Beyazitem na śmierć i życie o dziedzictwo osmańskiego tronu. Natomiast poseł szacha, który wydał rozkaz uduszenia księcia i jego młodych synów, z zatroskanym wyrazem twarzy uważnie słuchał jękającego się sułtana.

Tak naprawdę Austriacy, którzy zdawali sobie sprawę, że już od urodzenia ma trudności z mówieniem, postanowili jednak odbyć spotkanie. Niełatwo było uzyskać audiencję u sułtana i prowadzić z nim pertraktacje. Dlatego delegacja dyplomatyczna najpierw słono zapłaciła Sokullu, by zostać przyjętą. Wraz z tysiącem podziękowań i wyrazów wdzięczności w zamian za tę przysługę przekazano mu cztery tysiące dukatów w złocie, cztery srebrne puchary oraz niezwykle ozdobny

zegar. Dopiero wówczas znaleźli się przed obliczem sułtana. Po długich negocjacjach zdecydowali się uznać żądania Turków. Austria miała co roku płacić sułtanowi trzydzieści tysięcy dukatów, po dwa tysiące dukatów wielkiemu wezyrowi i Pertevowi Paszy, tysiąc dukatów wezyrowi Ferhatowi Paszy i trzem innym wezyrom, tłumaczowi pochodzenia niemieckiego Maksymilianowi – trzysta, a Polakowi, który zmienił wyznanie, dragomanowi Ibrahimowi – pięćset dukatów w złocie. Najciekawsze w traktacie było to, że dorzucono pewne nazwisko, i dla tej osoby też miały nadchodzić pieniądze: Józefa Nasiego. Żądano dla niego rocznie dwóch tysięcy dukatów.

Chociaż książę Naksos starał się ukryć targające nim uczucia, gdy wymieniono jego imię, wielkiemu wezyrowi Sokullu udało się dostrzec radość w jego oczach. Nienawidził i tego człowieka. Był gotów zrobić wszystko, byle go obalić. Ale zupełnie nie wiedział, jak tego dokonać. Według niego człowiek ten okradał osmański dwór. Miał płacić jedynie czternaście tysięcy dukatów rocznie za swój nowy książęcy tytuł. A za okręty, które nieustannie przewoziły wino z Krety do Mołdawii, nie uiszczal podatków. Statki transportowe Wielkiego Żyda jakby demonstracyjnie krążyły po Bosforze. Jego dochód z handlu woskiem, którego się nauczył z pomocą Kirâze, był ogromny. Był najbardziej chciwy ze wszystkich, brał też pieniądze jako naczelny jubiler. Najważniejsza część jego fortuny pochodziła z olbrzymich odsetek od kwot, które pożyczał sułtanowi. Sokullu podejrzewał, że on i Nurbanu porozumieli się i knuli intrygi. Mówiono, że matka dzieci sułtana jest współniczką Nasiego. Wielki wezyr tylko obserwował te skandale, nie mówiąc słowa. Selim był ogromnie przywiązany do Wielkiego Żyda i robił wszystko, co tamten chciał. Przed kilkoma dniami, mimo sprzeciwów Sokullu, kazał skonfiskować ładunek francuskich okrętów w aleksandryjskim porcie, bo Francuzi nie oddali jeszcze Nasiemu pieniędzy. Może wielki wezyr popełniał błąd, wierząc, że Selim jest małym i łatwym do połknięcia kąskiem. Był bardzo uparty w swoich decyzjach.

Kiedy poseł perski, skłoniwszy się, zegnał władcę, w pośpiechu przybył do niego posłaniec. Wybuchł wielki pożar, drewniane domy w Edirne niszczyły potężne płomienie.

10 PAŹDZIERNIKA 1569 ROKU

**Stambuł**

Pożar w Edirne ugaszono, zanim ogarnął całe miasto, ale zdążył zniszczyć czterdzieści domów. Sułtan rozkazał swoim urzędnikom, by pomogli ich nieszczęsnym właścicielom, po czym wyruszył do stolicy.

Przez całe lato ani poddani ze Stambułu, ani sułtan nie mieli innych powodów do skarg niż upały. Wszyscy wydawali się szczęśliwi w tej niezwykle pokojowej atmosferze, ale oczywiście niektórzy mieli swoje osobiste problemy.

Z nadejściem pierwszych jesiennych dni w Belvedere, w przepięknym pałacyku Nasich, zaczął się okres pełen niepokoju. Gracia Nasi nie cieszyła się już tak dobrym zdrowiem jak kiedyś. Rejna, księżna Naksos, starała się zrobić wszystko, co radził przychodzący codziennie doktor Çiprut, by zapewnić matce wygodę.

Jeśli chodzi o jej męża... Józef oczywiście niepokoił się o ciotkę, ale nie był to wystarczający powód, by zerwał swoje skomplikowane stosunki z sułtanem. Starał się zdobyć dla siebie jak najszybciej tron Cypru i robił, co się dało, by przyspieszyć to wydarzenie. Jak łatwo wszystko ulegało zmianom, kiedy osobiste korzyści rządziły czyimś życiem... Józef stał się teraz bezlitosnym wrogiem Wenecji, która kiedyś była jego wymarzonym krajem. Wciąż starał się nastawiać Selima przeciwko Republice. Lala Mustafa Pasza także do tego dążył. Obaj pragnęli, by Turcy natychmiast podbili Cypr.

Sokullu ostrzegł Selima, że to może spowodować nowe przymierze chrześcijańskich sił w Europie przeciw imperium osmańskiemu, jednak sułtan go nie słuchał. Niepowodzenie projektu kanału Wołga–Don sprawiło, że wielki wezyr stracił pozycję na dworze. Raz został nawet zrugany przez Selima, który powiedział: „To ty powinienes zwrócić do skarbcza tę stratę, Paszo!”. Sokullu czuł się upokorzony, ale dzięki swej nieskończonej cierpliwości przełknął te słowa w milczeniu. Natomiast Nasi nie należał do tych, którzy podporządkowują się w milczeniu...

W połowie września, gdy do stolicy imperium osmańskiego dotarły

wieści, że wielki arsenał w Wenecji spłonął o północy i z dymem poszło wiele okrętów, nikt nie chciał uwierzyć, że był to zwykły przypadek.

– Jak widzisz, mój sułtanie – powiedział Józef – Bóg życzy sobie, byś podbił wyspę. Teraz nie mają floty.

Posel wenecki Barbaro obserwował te niezwykle wydarzenia sfrustrowany i starał się, jak mógł, zapobiec przyszłej wojnie o Cypr między Republiką a Turkami. Wiadomości, które otrzymywał od Kirâze, z każdym dniem napawały go coraz większym niepokojem. Osmańskie okręty okrążające wyspę były już nie do zliczenia. Wenecja zwróciła się o pomoc do papieża. Ale świat chrześcijański wydawał się obojętny. Maksymilian od razu odmówił pomocy, w tej chwili nie leżało w jego interesie zadzierać z imperium osmańskim. Jeśli chodzi o Francję, także interesowała się tylko handlem ze Stambułem, który przynosił królestwu wiele dukatów. Karol IX nie zadowolili się samą odmową, ale zdradził plany Republiki Selimowi za pośrednictwem swojego posła Franciszka. W końcu przyłączyła się tylko Hiszpania i rycerze maltańscy. O tej decyzji powiadomiła sułtana Republika Ragusy.

Nasi zachęcał:

– Do działania!

– Do działania! – nalegał Lala Mustafa Pasza.

Jednak Selimowi aż tak się nie spieszyło. Potrzebował czasu na podjęcie ostatecznej decyzji.

W tym okresie, dziesięć dni po pożarze weneckiego arsenału, który przerodził się w piekło, w dzielnicy Balat spłonął żydowski domek. Może matka smażyła w ogrodzie oberżynę, a może paprykę. Albo też?... Zanim ludzie zdali sobie sprawę, co się dzieje, zajęło się ogniem następnych dziesięć domów, potem dwadzieścia, a po chwili kolejnych pięćdziesiąt. Stambulskie noce zmieniły się w dzień w świetle płomieni, które nie gasły prawie przez tydzień. Czerwone niebo widoczne było daleko spoza miasta. Przypominało to istne piekło, płonęły tysiące domów. Pałac sułtański wysłał janczarów, by ugasili ogień. Ich naczelnikiem był Cafer, zięć Sokullu, mąż córki z pierwszego małżeństwa, który akurat był chory i nie mógł wstać z łóżka, by ich nadzorować. Pozostający bez dowódcy żołnierze wybrali łatwiejszy sposób działania i zaczęli rabować. Kradzież i zbrodnie... Żydzi,



Ormianie i Grecy przeżyli za ich sprawą gehennę. Mówiono, że dowiedziawszy się o tym, Sokullu natychmiast dosiadł konia i ryzykując życie, nie zatrzymał się nawet przed bezlitosnymi płomieniami, by zapewnić bezpieczeństwo nieszczęsnym. Ostatecznie spokój nastał dopiero wtedy, gdy wśród płomieni ścięto głowy dziesiątkom żołnierzy – grabieżcom i mordercom. Wielki wezyr nie zawahał się odprawić swojego zięcia i przekazał dowództwo nad janczarami nawróconemu Węgrowi, Siyavuşowi.

Przez długie dni, a nawet tygodnie w mieście unosił się swąd spalenizny. Nie milkły lamenty. Stambułem znowu wstrząsnęła burza śmierci, Anioł Śmierci od stuleci nie dawał o sobie zapomnieć. Lecz mimo tej katastrofy miasto wciąż było piękne. Wyspy, Złoty Róg, Bosfor...

Minęło kilka godzin, odkąd pochowano Grację Nasi. Stara kobieta nie była w stanie po raz kolejny znieść żalu i bólu Żydów. Jej głowa opadła nagle; zmarła w ciągu jednej sekundy.

Świat wydawał się Rejni w tej chwili zbyt dziwny. Nie wiedziała, co ma robić bez matki, a mimo swoich wspaniałych wizji Józef nie umiał jej pomóc. Jakiś wewnętrzny głos jej mówił, że mąż wszedł na drogę, z której nikt już nie zdoła go zawrócić. Jego oczy lśniły nieznanym blaskiem, uśmiech był przedziwny, z ręki trzymającej jej dłoń przenikało inne ciepło. Rejna czuła w jego palcach przenikliwy pustynny wiatr, suchy i gorący...

– Chcę na trochę zostać sama – szepnęła do męża.

Jakby mogła być jeszcze bardziej sama. Józef ucałował jej dłoń i odszedł bez słowa.

Soli czuła się podobnie jak Rejna. Doktor Çiprut, gdy biegał wśród tłumów, by pomagać rannym i poparzonym, także stracił życie; ścisnął dłoń pierś, wydając ostatnie tchnienie. Mówiono, że sam sułtan płakał z żalu po stracie tego lojalnego człowieka. Wielu najwyższych urzędników przyszło na pogrzeb w Kasımpaşa. Był lekarzem sułtanów, ale uwielbiali go biedni. Teraz ich tłum zebrał się na progę willi; kobiety, dzieci, wszyscy płakali w nieutulonym żalu po odejściu doktora. Jednak Soli czuła się taka samotna.

„Ester – pomyślała. – Lub Kirâze...” Teraz i ona mówiła do niej

Kirâze. Własna siostra stała się jej obca, nie było jej obok, by dzielić z nią ból. „Był już stary, prawda? Przyszedł na niego czas”. Czy tylko tyle umiała powiedzieć? Tak, na pewno nie była już Esterą, lecz Kirâze. Kobieta bogatą, pozbawioną uczuć. Może powiedziałyby to samo, gdyby umarła Soli? Co zrobiła, kiedy na zawsze odeszli jej matka i ojciec? W czyim imieniu płakała Soli? Jej czy swoim? Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, przestraszył ją dziki krzyk mewy.

Z tarasu spojrziała na ciemne morze, na horyzont... Mosze z pewnością spał, to była wola Boska, że go wysłała do Izniku z Miszim i jego matką. Inaczej biedne dziecko byłoby tutaj takie przygnębione. Jednak Soli tęskniła za nim. Pragnęła teraz wziąć siostrzeńca w ramiona.

– Dobranoc, mój kochany Mosziko – szepnęła. – Kocham cię, synku. Mój mądry synek, mój dobry synek.

Z minaretu w Üsküdarze rozległ się ezan, wkrótce dołączyły do niego kolejne, nad miastem pogrążonym w popiołach i śmierci unosił się głos Boga.

22 CZERWCA 1572 ROKU

**Galata**

Mimo sprzeciwów wielkiego wezyra Sokullu, a ze świętym zezwoleniem şeyhülislama Ebussuuda Efendiego osmańska flota zaatakowała w 1571 roku Cypr. Około pięćdziesięciu tysięcy ludzi zginęło w przerażającej wojnie, a piękne ziemie zostały bezlitośnie zniszczone. Nawet ulubione winnice sułtana wyrwano z korzeniami i długo nie przynosiły plonów. Naczelnym dowódcą Lala Mustafa Pasza stał się symbolem tyranii dla mieszkańców Nikozji, Bafy, a zwłaszcza Magosy. Zamek w tym mieście opierał się janczarom przez dwanaście dni, a w końcu jego dowódca, Bragadino, zapłacił za to straszliwą cenę. Zdarto z niego skórę, a żołnierze wypchali ją słomą i całymi dniami ciągaliby po ulicach. Chrześcijańska flota nie mogła dotrzeć do wyspy. Wenecja na zawsze straciła najważniejszą ziemię w sercu Morza Śródziemnego.

Jednak pragnęła zemsty. Niedługo po najeździe na Cypr, siódmego października 1571 roku flota aliancka dowodzona przez don Juana, nieślubnego syna Karola V, oraz flota osmańska pod dowództwem

admirała Müezzinzade starły się pod Lepanto, po osmańsku Inebahtı. Po ciężkiej bitwie i tym razem sukces odniosły siły chrześcijańskie. Obie strony odnotowały wielkie straty, zginęło wielu dzielnych żołnierzy, a także komendant, setki statków spłonęły i opadły na dno morza. Zginął nawet Müezzinzade. Uratował się jedynie Uluç Ali wraz z osiemdziesięcioma siedmioma statkami. Gdy dotarł do Edirne i powiadomił sułtana o przegranej, Selim z żalu nie mógł wydobyć słowa. Jednak wkrótce rozkazał nowemu dowódcy natychmiastową budowę nowej, wzmocnionej floty.

Po otrzymaniu tego rozkazu liczne stocznie w Anatolii i Rumeli podjęły nieustanną pracę. Młoty waliły bez wytchnienia w Izmicie, Gemliku, Bidze, Warnie, Antalyi, Edremicie, Rodosie i Sinopie<sup>[103]</sup>. Tylko w tym ostatnim w ciągu sześciu miesięcy powstało siedemnaście galer.

Podczas gdy Turcy pospiesznie szykowali się do dokonania zemsty, Europa świętowała zwycięstwo hucznymi obchodami na każdym placu. Zdobyte łupy wystawiono na widok publiczny. Marco Antonio, papieski admirał, wkroczył do Rzymu w uroczystym pochodzie. A Wenecja wybudowała pomnik dla uczczenia tych wydarzeń.

W czerwcu 1572 roku osmańska flota była gotowa do wielkiego wodowania. Teraz przyszedł czas na świętowanie dla mieszkańców muzułmańskiego imperium.

Barbaro, wenecki poseł, któremu w czasie wojny nie pozwolono opuścić Stambułu, z niepokojem obserwował ze swojego balkonu wiwatujące tłumy i janczarów. Był pewien, że Wenecja niedługo zapłaci cenę wyższą niż to, co zdobyła. Zwycięstwa pod Lepanto nie można było porównać z utratą Cypru. Jak powiedział Sokullu, Wenecja straciła ramię, które już nie odrośnie. Zamyślony znów zwrócił oczy na okręty wypływające ze Złotego Rogu na morze Marmara.

– Jak sądzisz, Salomonie, do czego to doprowadzi? – zapytał.

Salomon Aszkenazi był jednym z lekarzy pałacu. On również był Wenecjaninem, w Stambule mieszkał dopiero niecałe dziesięć lat, ale zwrócił na siebie uwagę swoją inteligencją, wiedzą i mądrością. Sokullu był jego szczególnym wielbicielem. Lubił go równie mocno, jak nienawidził Nasiego. Miał do Salomona tak ogromne zaufanie,

że wykorzystywał go jako mediatora w pertraktacjach między imperium a Republiką Wenecką podczas wojny. I od tamtego czasu kontakty te utrzymywały się bez przeszkód.

– Wielki wezyr uważa, że jeżeli nie znajdzie się rozwiązanie, dojdzie do tego, że porozumienie w ogóle nie będzie już możliwe.

– Ma rację. Wenecja jest z każdym dniem bliższa całkowitej izolacji. Ale wierzę, że z twoją bezcenną pomocą możemy osiągnąć satysfakcjonujące rozwiązanie. Uważam, że najważniejszą kwestią, od której należy zacząć, jest natychmiastowe sprawienie, by Nasi ostatecznie przestał wywierać wpływ na sułtana.

– W rzeczy samej, dzisiaj nie ma już takiej siły jak dawniej. Selim dał do zrozumienia, że nie ma zamiaru uczynić go królem Cypru. Józef Nasi jest w trudnej sytuacji, fizycznie i duchowo, ale mimo to pozostaje dla sułtana cennym partnerem.

– Uważasz, że dwór może mu odebrać tytuł księcia Naksos?

– Nie sędzę. Z tym tytułem nie wiąże się żadna polityczna siła. Zwłaszcza w porównaniu z panowaniem na Cyprze. Naprawdę dziwi mnie wiara Nasiego, że Turcy mogliby mu dać rządzić tą wyspą. Czy można by mianować Żyda? Ani muzułmanie, ani chrześcijanie nigdy nie zdecydowałiby się na coś takiego.

– Czasami namiętność oślepia nawet najinteligentniejszych.

– Z pewnością... Ale w rzeczywistości ci, którzy dostają taką szansę, nie pojawiają się często. Miał tyle szczęścia. Sułtan jako zadośćuczynienie za wyrządzone straty dał mu nawet Wołoszczyznę, kiedy wyspa Naksos podczas wojny znalazła się chwilowo pod kontrolą Wenecji.

Barbaro westchnął.

– Mamy przynajmniej szczęście, że Sokullu, ze swą mądrością i doświadczeniem, zdołał powstrzymać Nasiego.

– Wielki wezyr jest niezwykle mądrym człowiekiem i znaleźć jego następcę będzie bardzo trudno.

– Doktorze, chcę ci coś wyznać bardzo otwarcie. Republika upoważniła mnie do podpisania traktatu pokojowego. Tak, Cypr jest teraz niestety w rękach Osmanów i uznajemy tę gorzką prawdę. Ale i tak nie chcemy już płacić rocznej daniny ośmiu tysięcy dukatów. Zamiast

tego proponujemy zapłacić po raz ostatni dwa tysiące florenów.

– Jeśli mam być szczery, nie sądzę, żeby przyjęli ostatnią daninę mniejszą niż trzy tysiące florenów, ale i tak przedstawię im waszą propozycję. Jestem przekonany, że Sokullu uczyni, co tylko będzie mógł. Sądzę, że tymczasem należy przekonać francuskiego posła, by użył swojego wpływu na sułtana.

Aszkenazi wstał i potrząsnął dłonią dyplomaty.

– Doktorze, jesteśmy ci wdzięczni. Republika robi, co będzie w jej mocy, by ci się odwdzięczyć za pomoc.

Uśmiechnął się, nie odpowiedziawszy na te słowa, pokłonił i wyszedł.

Kiedy przekroczył próg, Barbaro przez chwilę jeszcze patrzył na okręty wojenne osmańskiej floty. Musi doprowadzić do podpisania traktatu pokojowego, za wszelką cenę.

## **Harem sułtański**

Podczas gdy wśród mężczyzn poseł Barbaro robił wszystko, co było w jego mocy, by chronić interesy Republiki, pewna Wenecjanka czyniła to samo w świecie kobiet. Aby zrealizować swoje marzenia, Safiye, ulubiona konkubina şehzade Murata, snuła intrygi w sułtańskim haremie z wytrwałością i wysiłkiem niezwykłym dla osoby w jej wieku, a radą służyła jej oczywiście Kirâze, która pomagała jej od pierwszego dnia pobytu w Seraju. Safiye podziwiała tę kobietę, a jednocześnie kochała ją niczym drugą matkę.

– Kirâze – powiedziała – mam dla ciebie wspaniałe wieści. Jeżeli pomożesz weneckim kupcom uzyskać ustanowienie nowego fermanu na prawo handlowania na Cyprze, jak to było kiedyś, Republika, z myślą o tym, byś mogła spłacić długi i chcąc ci okazać wdzięczność, da ci prawo do udziału w weneckiej loterii. To wspaniała rzecz!

– Loterii?

– Tak, pomyśl tylko. To niezwykle, nigdy dotąd nie dawali podobnych praw cudzoziemcom. To naprawdę cudownie! W ten sposób dostaniesz więcej pieniędzy, niż mogłabyś sobie wyobrazić, ja też, oczywiście... – zachichotała.

Kirâze uśmiechnęła się.

– Najpierw trzeba załatwić ferman, moja droga Safiye, potem możemy się cieszyć. To nie będzie proste.

– Nie rozmawiałaś z Nasim?

– Tak, i on też tego chce. Uważa, że może w ten sposób zdoła odzyskać zaufanie Wenecjan.

– Nie sędzę, żeby miał na to jakąś szansę. Wszyscy mieszkańcy Republiki go nienawidzą. Jednak pozwólmy mu w to wierzyć. Wciąż jest najlepszym przyjacielem Selima, może się nam przydać.

– Owszem, może. Mam też wielkie nadzieje związane z Salomonem Aszkenazym, on mógłby nam pomóc jeszcze bardziej. Dwa dni temu wysłałam wiele prezentów jego małżonce wraz z listem do niego.

– Jesteś bardzo sprytna, Kirâze.

– Byłam także w domu wielkiego wezyra. I u Kantakuzenosa...

– Jesteś wspaniała. – Safiye otworzyła szeroko oczy. – Ten mężczyzna ma ogromny wpływ na wielkiego wezyra.

– Leon i Abraham ciężko pracują, aby przekonać najwyższych dworskich urzędników.

– Kirâze, zabezpieczasz się ze wszystkich stron. Wierzę, że odniesiemy sukces.

– Gdybyś mi nie pomagała, Safiye, nie byłoby to możliwe. Książę Murat szaleje za tobą. Jest zakochany i robi wszystko, o co go poprosisz. Z pewnością jest mądrzejszy od swojego ojca.

– Po kim odziedziczył inteligencję?

– Cóż, nie lubisz jego matki Nurbanu, ale ona nie jest głupia.

Safiye z irytacją wzruszyła krągłymi ramionami, robiąc ponurą minę.

– Nie denerwuj się, moja droga. Oczywiście, że ona jest niczym w porównaniu z tobą. Ale nie lekceważ jej wsparcia, jest po naszej stronie. Nie wolno ci zrobić sobie jeszcze jednego wroga.

Safiye uśmiechnęła się znowu i westchnęła.

– Masz rację. W tej ogromnie ważnej sprawie jest z nami.

– A teraz muszę już odejść, spotykam się z Nasim. Moja kochana, musimy zakończyć tę sprawę, zanim wyjedziecie na lato do Manisy. Do zobaczenia.

Safiye objęła Kirâze i ucałowała jej policzki.

– Nie martw się, moja Kirâze. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

1 STYCZNIA 1575 ROKU

**Belvedere**

Gdyby szczyty wzgórz ciągnących się od Üsküdar po Andolu Hisari nie były pokryte białutkim śniegiem, trudno przysłoby przekonać kogokolwiek, że jest zima. Na błękitnym, bezchmurnym niebie słońce świeciło mocno. Padający bez przerwy od trzech dni śnieg pokrył całą ziemię, w tym ogród słynnej willi Nasich. Ze wszystkich stron była w oczy jaskrawa biel. Od czasu do czasu z gałęzi świerków niemogących utrzymać jego ciężaru zsuwał się śnieg przypominający kłębki bawełny. Mały piesek Rejny biegał ożywiony z miejsca na miejsce, podczas gdy jej dwa koty spały leniwie przy kominku.

– Jestem taka szczęśliwa, że cię znowu widzę, doño Soli, od jakiegoś czasu bardzo za tobą tęskniłam.

– Ja także. Naprawdę chciałabym częściej cię odwiedzać, ale jak wiesz, dopiero teraz pozbierałam się po tym wszystkim.

Księżna Naksos wolno pokiwała głową, nalewając gościowi herbatę.

– Ale teraz już jest trochę lepiej i wiem, że muszę się wziąć w garść – powiedziała Soli, nachylając się ku niej.

– Szkoda, że nie każdy ma takie podejście do życia...

Soli ze zrozumieniem spojrzała w oczy kobiecie, ale chociaż wiedziała, co jej odpowiedzieć, nie rzekła słowa.

Rejna wydawała się smutna i nieszczęśliwa. Powodem nie była jedynie śmierć jej matki. Bardzo martwiła się o męża, Józefa Nasiego. Wciąż czuł się rozczarowany, że nie został królem Cypru, i wydawało się, że tej prawdy nigdy nie zaakceptuje. Tym bardziej że Selima już nie było. Zmarł przed miesiącem w niedawno oddanym do użytku hamamie, po tym, jak upadł i uderzył głową o marmurowy stopień. Mówiono, że gonił jedną ze swoich odalisek, albo – jak twierdzili niektórzy – jednego z ulubionych chłopców. Nowy sułtan, Murat, nie czuł sympatii ani zaufania do starego przyjaciela ojca i z pewnością nie zamierzał w żaden sposób spełniać jego nadziei. Nasi niemal postradał zmysły,

codziennie odwiedzał innego wysokiego urzędnika, starając się doprowadzić do urzeczywistnienia swoich marzeń.

– Józef się rozchorował – powiedziała Rejna. – I to poważnie. Nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy. Z każdym dniem traci część zdrowia i fortuny. Coraz więcej i więcej...

– Nie zadręczaj się, moja droga, z czasem dojdzie do siebie.

– Nie sądzę, doño Soli. Nawet przez sen mówi do siebie.

Nieustannie przewraca się z boku na bok, mamrocząc „Cypr, Cypr”, a czasami powtarza „tante, tante”. Wiesz, że zawsze tak mówił do mojej matki, „tante” – westchnęła i zamilkła na chwilę. – Staram się go budzić, wtedy zrywa się przerażony, mokry od potu. Nie wiem, jak mu pomóc, jestem bezradna.

– A jeśli odpuściłby sobie Cypr i zajął się sprawą Tyberiady?

Rejna zrezygnowana machnęła ręką.

– To już niestety nieaktualne. Turcy przestali wspierać projekt podczas wojny weneckiej. Może tak naprawdę nie chcieli jego realizacji. Przez całe życie mój mąż wierzył, że to on rządzi ludźmi ze swojego otoczenia, ale teraz widzę, że go wykorzystywano. Moja matka chroniła go na swój sposób, przynajmniej potrafiła temperować jego ambicje. Ale odkąd odeszła na zawsze...

Soli z czułością ujęła jej dłoń. Oczy Rejny były pełne łez. Co Soli mogła powiedzieć? Książę Naksos rzeczywiście jakby oszalał. Wiedziała o tym tak samo jak wszyscy mieszkańcy Sambułu. Doktor Salomon Aszkenazi zastąpił już Józefa Nasiego na osmańskim dworze. Szanowano go dużo bardziej w pałacu i na europejskich dworach. Zawsze był obecny podczas uroczystości powitalnych delegacji z zagranicy. Ponadto Murat odesłał dary od Nasiego. Wprawdzie wciąż był on księciem Naksos, ale sułtan mógł to w każdej chwili zmienić. Sokullu zdołał w końcu pokonać Nasiego. Przez chwilę Soli posmutniała. Zastanawiała się, na ile jej siostra przyczyniła się do tej tragedii. Przez długie lata nie mogła zrozumieć, dla kogo Estera właściwie pracuje. Była jednocześnie po stronie Safiye i Nurbanu, Nasiego i Aszkenaziego, Osmanów i Wenecjan, miała też wiele sekretnych powiązań, o których Soli nic nie wiedziała. Jak jej się udawały te sztuczki, te intrygi? A nie była już młoda, miała dorosłych



synów. O co jej chodziło, jaki był powód tej żądzy pieniędzy i władzy?

– Józef spędził wiele lat na europejskich dworach, wszędzie znany był z rozrzutności i znakomitych pomysłów. Ale to mu nie wystarczało, przecież pragnął także być królem... Nie rozumiem tego, nie mogę tego pojąć...

– To minie, Rejno – szepnęła Soli, ale nie dawała wiary własnym słowom. Pomyślała, że musi zmienić temat rozmowy. – A jak drukarnia? – zapytała. – Nie mogę ci już pomagać, postarzałam się.

– Ty? Och, proszę, doño Soli, jesteś młodsza od wielu znanych mi osób. Ale nie żałuj, że nie możesz nas częściej odwiedzać. Mosze i jego przyjaciel Miszi bardzo mi pomagają. Poza tym w tej chwili nie ma dużo pracy, jest zima. Ożyjemy z wiosną, wiele ksiąg czeka na wydrukowanie latem.

– Jestem taka szczęśliwa, że Mosze zajmuje się naszym rodzinnym interesem. Wiesz, Rejno, nasi przodkowie byli drukarzami w Toledo. Ale pozostałych synów Estery to nie interesuje, zresztą dlaczego by miało? Ich matka rzadko odwiedzała drukarnię przez całe lata, była tam może pięć czy sześć razy, nie więcej. Dlaczego więc oni mieliby przychodzić? Nie wiem. Może mają rację, księgi nie przynoszą pieniędzy.

– Doño Soli, pani przecież wie najlepiej, pieniądze to nie jedyny i nie główny cel pracy drukarzy. Odczuwamy nasze istnienie poprzez zadrukowane strony, tu nie tylko chodzi o majątek. Obie wiemy, czym są pieniądze i co ludzie są gotowi poświęcić, by je posiadać...

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Z pewnością obie wiedziały, czym są pieniądze, a zwłaszcza Rejna... Jej życie toczyło się wśród najbogatszych ludzi na świecie, nie było pałacu, którego by nie odwiedzała, nie było potraw, jakich by nie próbowała, klejnotów, jakich by nie nosiła, jednak nie dawało jej to poczucia bezpieczeństwa i szczęścia. Tak jak i innym w podobnej sytuacji. Co miała teraz, u samego kresu? Była tak samotna w tym wspaniałym życiu, tak bezradna. Nie mogła utulić własnego dziecka, dziecięcy śmiech nie rozbrzmiewał echem we wspaniałej posiadłości. Soli również nie miała dzieci, ale przynajmniej zakosztowała rozkoszy macierzyństwa, opiekując się synami Kirâze. Oddana była zwłaszcza Mosze, a on

uwielbiał swoją ciotkę. Rejna zazdrościła im czasami tej więzi.

– Mosze to bardzo dobry młody człowiek – powiedziała.

Soli uśmiechnęła się, słysząc imię ukochanego siostrzeńca.

– O, tak – zgodziła się. – Jest niezwykle mądry i łagodny. Jestem do niego bardzo przywiązana, Rejno, od dnia jego narodzin, i mogę powiedzieć, że poza jego wyjazdem do Izniku rzadko się rozstawaliśmy. Mój mąż także kochał go jak syna, często powtarzał: „Miałaś rację. Z tego chłopca będą ludzie”. Kocham swoich pozostałych siostrzeńców, ale on to co innego, jest moim oczkiem w głowie. Niech Bóg go chroni na wieki, Mosze to żywy anioł.

– To prawda. Taki delikatny, czuły i łagodny. Wiesz, że większość ludzi uważa go za twojego własnego syna? Och, wybacz mi, oczywiście, że jest twoim synem, tak...

– Moja droga Rejno, daj spokój, doskonale cię rozumiałam. Uważają, że jestem jego prawdziwą matką, wiem o tym. Dlaczego nie mieliby tak myśleć? Chciałabym, by tak było. Mosze ma prawie osiemnaście lat, a w domu swojej matki widział się z ojcem chyba też tyle razy. Kirâze nie widziała go od dobrego miesiąca. A jednak nie mogę powiedzieć, by mnie to cieszyło. Czy możesz sobie wyobrazić, że po latach, przypadkiem dowiedziała się, że najlepszy przyjaciel jej syna, Miszi, nie jest Żydem? W ogóle nie interesuje się synem. Tak, dowiedziała się przypadkiem, że Miszi jest muzułmaninem, i zaczęła się bardzo sprzeciwiać ich spotkaniom, jakby miała do tego jakiekolwiek prawo. Robiła, co mogła, by zniszczyć tę przyjaźń. Przez to pokłóciłyśmy się po raz pierwszy w życiu. Potraktowała Misziego niczym trędowatego i nie podała żadnych rozsądnych powodów swojego zachowania.

Rejna patrzyła na nią z zdumieniem.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekła. – Może jest o niego zazdrosna?

– Może, kto wie? Ale nie jesteśmy już dziećmi. Mosze jest dorosły.

Nie ustąpił i krzyczał na matkę. Nigdy nie widziałam, żeby się tak zachowywał. Nie mogłam uwierzyć w to, co powiedział do Estery. Mówił jej prosto w oczy, że Miszi jest dla niego sto razy ważniejszy od niej. „Po tylu latach zaniedbywania mnie, dlaczego sądzisz, że masz prawo mną rządzić?” – pytał. Próbowałam go uspokoić, ale nie mogłam.

W zasadzie miał rację. Dla Estery najważniejszy jest Seraj, harem, a w nim sułtanka, dzisiaj zwłaszcza Safiye... Wiem, że nic jej nie obchodzi z wyjątkiem pozwolenia na organizowanie loterii w Wenecji. Dniami i nocami się o to stara. Myślę, że to niewiele odbiega od marzeń o królewskiej koronie. Nie martw się więc, Rejno, nie jesteś osamotniona.

Rejna znowu pochyliła głowę i się uśmiechnęła. Rozmowa z Soli nie rozwiązywała wszystkich jej problemów, ale przynajmniej kobieta czuła się lepiej, gdy mogła się nimi podzielić.

– Jeszcze herbaty, doño Soli? – zapytała.

– Och, dziękuję. Jeszcze filiżankę, potem już pójdę. Muszę wrócić do domu, zanim się popsuje pogoda, wprawdzie jest ładnie, ale kto wie, może znowu nadejść niespodziewana burza śnieżna. Przed zachodem słońca chcę być w domu.

Rejna ponownie naląła herbaty. Jeden z kotów mrujących przy kominku przeciągnął się i zmienił miejsce, po czym znów zwinął się w kłębek i zasnął, mrużąc. Śnieg na gałęziach odbijał wspaniałe kolory słońca niczym najlepsze weneckie kryształy.

2 LISTOPADA 1579 ROKU

**Wenecja**

Śmierć Nasiego, która głęboko zasmuciła Żydów z imperium osmańskiego, oraz zamordowanie jego wroga, słynnego wielkiego wezyra Sokullu Mehmeda Paszy przez nieznanego derwisza, odbiły się echem także w Wenecji.

Krażyły plotki o odejściu Józefa. Niektórzy twierdzili, że był kolejną nieszczęsną ofiarą zarazy, która szalała w Europie, a inni, że zabiło go rozczarowanie po najeździe na Cypr. Ale ci, którzy byli z nim blisko, żywili przekonanie, że Nasi nie był człowiekiem mogącym umrzeć z emocji. Zresztą ostatnio sprawiał wrażenie, jakby odzyskał równowagę; zebrał wokół siebie najlepszych artystów i mądrych filozofów, może szykując zmianę stylu życia. Wydawało się więc prawdopodobne, że przyczyną jego śmierci była zaraza. Zresztą kogo ta straszna choroba w stolicy nie dosięgła. Ciotka sułtana Mihrimah, Piyale Pasza, şeyhülislam Ebussuud Efendi i wielu innych zmarło tej jesieni.

– Życie mogłoby się dla Mendesa potoczyć zupełnie inaczej, gdyby pod wpływem ciotki nie przeszedł na judaizm. Pietro Giovanni i jego wspólnik, Federico Cellini, najwięksi wytwórcy tkanin w Wenecji, rozmawiali podczas kontroli cennych materii, które wysyłali do osmańskiego haremu.

– Może masz rację, Pietro, ale ja chyba jestem większym fatalistą od ciebie. Jeżeli jego przeznaczeniem było umrzeć na zarazę, to nie ma większego znaczenia, czy był wtedy w Stambule, Wenecji czy Madrycie.

– Nie chciałem powiedzieć, że przeżyłby zarazę, ale że usiłował spełnić niemożliwe marzenie, aby być królem. Gdyby został tutaj, nie wiadomo, czy założyłby koronę, albo żyłby nie gorzej od królów.

– Był taki, nieprawdaż? Niepotrzebne wysiłki... Zniszczył sobie życie własnymi rękami. Co osiągnął, skomląc u bram tego ciemnego świata muzułmanów? W końcu narobił sobie wielu wrogów, to wszystko. Zastanawiam się, czy było warto?

– Na czele z Sokullu...

– Tak.

– A co powiesz o tym, że wielkiego wezyra zasztyletowano tuż po jego śmierci?

– Przypadek? Może tak, może nie. Sokullu także miał wrogów. Krąg, który go otaczał, z każdym dniem zawężał się. Wszyscy jego stronnicy zostali wygnani lub zabici. Myślę, że morderstwo jego ulubieńca, Greka Kantakuzenosa, było ważnym znakiem przyszłości samego Sokullu. Mówią, że ciało Kantakuzenosa zawieszono na słupie przy głównym wejściu do jego posiadłości jako groźbę dla wszystkich, którzy stawali przeciwko nowym władcom. Wierzę, że w pewien sposób jest to oznaką niebiańskiej sprawiedliwości. Sokullu zniszczył życie Mendesa. Po śmierci Wspaniałego Żyda dowiedziałem się, że ludzie wezyra pojawili się w Belvedere i zagrabili całe jego bogactwo, a jego żona ledwo zdołała uratować należące do niej drachmy<sup>[104]</sup>.

– Co za skandal! Jednak nie ma w tym nic dziwnego, to osmańska tradycja. Jeżeli któryś z faworytów umrze z jakiegokolwiek przyczyny, jego fortuna wraca do sułtana. Gdyby Sokullu nie był mężem sułtańskiej siostry, to samo stałoby się z jego majątkiem.

– Naprawdę zupełnie nie rozumiem tych Osmanów. Jak mogą,

mimo wszystkich swoich dziwacznych metod i życia w odrębnym świecie, nadal mieć taką władzę nad dzisiejszą Europą?

– Nikt nie jest pewien, jakie są granice ich potęgi, mój przyjacielu. Może jest ona znacznie mniejsza, niż sądzimy, zwłaszcza teraz. Sułtani, którzy wstąpili na tron po Sulejmanie, nie mogą się z nim równać. Ani jego syn Selim, ani syn Selima, Murat, nie są i nie byli prawdziwymi władcami. Mówią, że Murat uległ całkowicie ludziom ze swojego otoczenia.

– Masz na myśli córkę Baffo?

– Oczywiście ona nim kieruje, jej doradczyni Estera z pewnością także, i gdyby chodziło tylko o nie, byłoby to dla nas bardzo korzystne. Ale lista jest długa, są tam uzdrowiciele, wróżbici, magowie... Robi, co mu powiedzą, rozkazał nawet zburzyć obserwatorium, to, które kazał wybudować zaledwie przed rokiem, pod wpływem Safiye. Jest tak słaby...

– Widzę, że znasz wszystkie szczegóły z życia sułtańskiego haremu.

– Cóż, Estera przesyła raporty co miesiąc, stąd moja wiedza.

– Co za kobieta!

– Jest bardzo sprytna. Wierzę, że Republika niedługo wynagrodzi ją prawem do organizowania loterii w Wenecji.

– Sądzę, że mimo naszej wściekłości na Żydów musimy przyznać, że są od nas sprytniejsi.

– Może oni są sprytniejsi, a może Turcy głupszy. Spójrz na Seraj, pełno tam Żydów. Wielu idzie drogą, którą otworzyli przed nimi Nasi, Aszkenazi i inni... Zauważ ponadto, jak w Wenecji przyjmowany jest rabin Salomon. W Pałacu Dożów okazują mu szacunek nie mniejszy niż innym posłom z Europy.

– To rzeczywiście niezwykle. Wciąż jednak niektóre rzeczy mnie dziwią. Mój przyjaciel, który niedawno odwiedził Sztambuł, mówił, że pod wpływem duchownych zarządzone, aby Żydzi nosili stroje ze szczególnych materii. Zakazano im jedwabiu i kolorowych kapeluszy. Żydzi musieli zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dukatów, by to prawo zostało zniesione. Pomyśl, starają się zmusić ludzi, których ceną najwyżej, aby chodzili w śmiesznych strojach. Nie rozumiem ani Turków, ani Żydów,

którzy dla nich pracują. Zwłaszcza Żydów!

– Przyjacielu, jeśli będziemy dalej rozmawiać o dziwnym życiu tych ludzi, zejdzie nam chyba cały dzień. Wróćmy więc do rzeczy, wybierzmy teraz najlepsze materie dla córki rządcy Korfu. Safiye Sultan musi się w nich zakochać od pierwszego wejrzenia. Inaczej mogłaby się zdenerwować, a to by było niebezpieczne dla nas wszystkich w Wenecji.

Wspólnicy ruszyli do pomieszczenia, w którym pięciu pracowników uwijało się wśród haftowanych atlasów, aksamitów i jedwabi o pięknych odcieniach czerwieni, różu, żółci, zieleni, fioletu i błękitu, przypominających tęczę.

8 KWIETNIA 1581 ROKU

**Galata**

W kolejną niedzielę po nagłej decyzji o przekształceniu kościołów Świętego Antoniego, Świętego Franciszka i Świętego Sebastiana w meczety, poseł francuski w towarzystwie osiemdziesięciu ludzi przybył pod bramy Świętego Antoniego, by zaprotestować przeciwko temu dekretoowi. Był zdecydowany odzyskać prawa, które Mehmed II przyznał katolickiej mniejszości Sztambułu od dnia podboju. Grupę otaczali muzułmanie, którzy ich wyśmiewali, a nawet spluwali i rzucali kamieniami. Francuz stał z godnością, jakby w ogóle ich nie słyszał, po czym zastukał trzy razy w bramę kościoła i zaczął się głośno modlić: *Attollite portas inferi*, a pozostali powtarzali za nim te słowa.

Brutalny tłum, zdumiony tym dziwnym chórem, zastygł na chwilę w bezruchu. Ale zaraz jeden z muzułmanów ponowił wymysły. Zgodnie z rozkazem nowego wielkiego wezyra, Sinana Paszy, przyglądający się wypadkom janczarzy się nie wtrącałi. Pasza polecił obserwować tłum, by życie posła i jego otoczenia nie było zagrożone. Chciał dać nauczkę posłowi, który dotąd nie odwiedził go ani razu, gdy był wezyrem, zamierzał także zarobić pieniądze na chrześcijanach, którzy oczekiwali ponownego otwarcia kościołów.

Mimo agresywnego zachowania wyznawców Allaha Jacques Germini i jego towarzysze pozostali do południa przed kościołami. Potem opuścili miejsce w ciszy, by się rozejść wąskimi ulicami Galaty.

Mieszkańcy Galaty, głównie Grecy, Ormianie i Żydzi,

zaniepokojeni obserwowali te wydarzenia zza swoich okien. Przez cały ranek poruszały się zasłony, jedynym domem milczącym i cichym był ten należący do doktora Çipruta, jako że ukochana ciotka Mosze zachorowała na początku zimy i zmarła w poprzednim tygodniu. Opuściła ten dom równie cicho, jak przeżyła swoje życie. Estera przyjęła to z kamienną twarzą, nie można było przejrzeć jej uczuć. Ale ona zawsze ukrywała je przed innymi, nawet przed własną rodziną. Nikt nie mógł wkroczyć do jej intymnego świata, jej mąż nigdy nie był pewien, co do niego czuła. Na szczęście nie było to dla Leona takie istotne, gdyż jak ona oddał się bez reszty swojej pracy. On i jego trzech synowie pracowali bardzo ciężko, by dołożyć do jej skarbcza jeszcze więcej dukatów. Mosze wybrał całkiem inny sposób życia. Za swoich rodziców uznał ciotkę Soli i jej męża, dzielił ich smutki, radości i nadzieje. Kolejną ważną osobą w jego życiu był oczywiście Miszi.

Z powodu ich przyjaźni i tak nikłe relacje z Esterą niemal zostały zerwane. Kiedy jego matka poznała Misziego, zachowała się wobec niego nieuprzejmie i nie wyjaśniając synowi powodów, nakazała zaprzestanie kontaktów. I tego dnia ten spokojny i opanowany dotychczas Mosze, po raz pierwszy w życiu nie mogąc się pohamować, wybuchnął. Z jego ust wypływały nagromadzone przez lata złość i żal, oblekając się w brutalne słowa. Od tamtego dnia matka i syn spotykali się wyłącznie w razie konieczności.

Mosze nie żywił do matki nienawiści, ale sądził, że ona go nie toleruje. Od początku czuł, że rodzina odrzuciła go ze względu na kalectwo. Pogodziwszy się z tym faktem, był zdecydowany nie rezygnować z przyjaciela, prędzej opuściłby ich na zawsze. Gdy Estera zobaczyła reakcję syna, nigdy więcej nie wracała do tematu, ale bardzo przeżyła to zdarzenie i odsunęła się od Mosze, tak że wrażliwy młodzieniec był niemal pewien nienawiści matki.

W rzeczywistości Estera myślała zupełnie odwrotnie. Nie czuła urazy ani do Mosze, ani do Misziego. Problemy miała sama ze sobą. Po tylu latach znowu powróciły koszmary z przeszłości. Co to za przypadek? Jak Mosze mógł wybrać wnuka Buraka na swojego najlepszego przyjaciela? W całym tym ogromnym imperium... Skąd taki przeklęty los?

W pierwszej chwili nie chciała wierzyć własnym oczom; o mało serce nie wyskoczyło jej z piersi, sądziła, że ma przed oczyma zjawę. Jakby Burak powrócił z zaświatów i stanął przed nią. Te same włosy, te same oczy, te same usta i to, co budziło największy strach, szósty palec u prawej dłoni... Estera przeżywała koszmar na jawie.

W panice, jak to kiedyś próbowała zrobić jej matka, kiedy ingerowała w jej stosunki z Burakiem, teraz ona usiłowała przeszkodzić przyjaźni Mosze z Miszim. Ale Esterze nie udało się tak jak Racheli. Cokolwiek by czyniła, młodzieńcy nadal się przyjaźnili i z tego powodu syn oddalał się teraz od niej z każdym dniem coraz bardziej. Soli i Rejna wspierały ich przyjaźń. Leon i pozostali synowie byli zaskoczeni jej dziwną reakcją. Estera nocami pozostawała sama ze swoim piekącym bólem. Była pewna, że nie ma sposobu ucieczki przed przeszłością, i że jedyne, co może zrobić, to przyjąć ją ze wszystkimi konsekwencjami.

Po śmierci Soli miała nadzieję, że Mosze wróci do domu. Ale on wolał zamieszkać w drukarni. Rozmawiając z ojcem, powiedział, że przyrzekł ciotce, iż będzie pilnował interesu. Wyznał też, że dla niego największym szczęściem jest samotne obcowanie z księgami.

Po śmierci męża była księżna Naksos poświęciła się bez reszty drukowaniu książek, a kulawy Mosze i sześciopalcy Miszi pomagali jej ze wszystkich sił. Ale Mikail nie mógł już spędzać z nimi tyle czasu jak kiedyś. Inteligentny wnuk Buraka zaczął prowadzić rachunki kupców na Krytym Bazarze. Już teraz miał dziesięciu klientów, a to był znakomity początek. Jego matka, chociaż Żydówka, codziennie modliła się za spokój duszy Soli Çiprut, która przez tyle lat im pomagała.

28 PAŹDZIERNIKA 1583 ROKU

**Londyn**

Elżbieta, której nie udało się ożenić swojego kochanka Dudleya z Marią Stuart, znów odniosła sukces, zamykając ją w londyńskiej Tower i pozbawiając wpływów. Królowa Szkocji była uwięziona w twierdzy już od szesnastu lat i nic nie wskazywało na to, że zostanie uwolniona. Królowa o Dobrym Sercu znana była z tego, że potrafiła być niezwykle okrutna, jeśli uważała to za konieczne.



Nie było takiej rzeczy, której by nie zrobiła dla dobra Anglii. Rozważała nawet swego czasu poślubienie Alencona, syna Katarzyny Medycejskiej, młodszego od niej o dobre dwadzieścia lat, by poprawić w ten sposób stosunki z Francją. Ale teraz taki związek nie był konieczny. Elżbieta wybrała sojusznika z odległych ziem imperium osmańskiego. I natychmiast zaczęła działać, a hiszpański doktor Roderigo Lopez z jej pałacu wielce jej pomógł w realizacji marzeń. Był on kuzynem Salomona Abenisza, którego sułtan uczynił księciem Midilli. Dzięki pośrednictwu dwóch Żydów, jednego w tajemnicy, drugiego oficjalnie, Hoca Sadeddin łatwo przekonał sułtana i po raz pierwszy nawiązano stosunki handlowe między obu krajami. Rzecz jasna, Hoca Sadeddin nie działał tak jedynie ku chwale Bożej. Anglia zapłaciła mu pięć tysięcy złotych dukatów za tę przysługę.

Wprawdzie za czasów wielkiego wezyra Sokullu Elżbieta starała się zawrzeć takie porozumienie, ale wszystkie usiłowania pozostały jedynie na papierze. A teraz delegacja z posłem Williamem Harebone'em, w której skład wchodziły jeszcze dwie osoby, wraz z przywiezionymi podarunkami zdołała się dostać przed oblicze sułtana i uzyskać jego przychylność. Poseł przebywał już ponad rok w tym mieście. Już wcześniej był bliski zdobycia zgody na prowadzenie wolnego handlu, ale Francuzi i Wenecjanie robili wszystko, by ją opóźnić, i dlatego też w żaden sposób nie mógł jej uzyskać. Od lat przecież Anglicy, płacąc Francji odpowiednie podatki, mogli jedynie pod jej banderą handlować z Turkami. Teraz nie ulegało wątpliwości, że otrzymane pozwolenie nie było na rękę Francuzom. Wenecja natomiast nie wyobrażała sobie, że ktoś inny poza nią mógłby zarabiać na handlu. Z tego powodu naciskała swoich wysłanników. W końcu nadszedł list od posła, którego Elżbieta nie mogła się doczekać:

*Wasza Królewska Wysokość,  
proszę pozwolić mi wyrazić radość, jaką odczuwam, mogąc Waszej Wysokości przekazać szczęśliwe nowiny. Morze Śródziemne jest odtąd otwarte dla naszych kupców. Nasze statki mogą wolno żeglować pod własną banderą, Sułtan wydał w tej sprawie ferman. Mam nadzieję bardzo niedługo uzyskać kolejny ferman, otwierający brytyjską kompanię handlową, Levant Company.*

*Zostaliśmy tu przyjęci niezwykle ciepło, a Sultán i najwyżsi urzędnicy obdarowali nas wieloma kosztownymi prezentami...*

Elżbieta z niecierpliwością zapytała sekretarza:

– Czy pisze coś o sojuszu przeciw Hiszpanom?

– Nie, Wasza Wysokość. Poseł nie podejmuje jasno tego tematu.

Informuje tylko, że sultán powiedział mu, iż mieli kłopoty z Persją na Wschodzie i w tej chwili nie życzą sobie mieć kolejnych na Zachodzie.

– Ach, rozumiem. To znaczy po prostu nie. – Przez twarz królowej przemknął wyraz rozczarowania, ale natychmiast się opanowała. – Uzyskanie prawa wolnego handlu jest dla nas ogromnie ważne. Potem poczynimy kolejne kroki i porządnie zastanowimy się nad przyszłością. Sztambuł jest dla nas niezwykle istotny, stamtąd możemy kontrolować handel. Ten rejon jest bardzo, bardzo bogaty... I nie ma tam dość doświadczonych, wykształconych ludzi, którzy by odpowiednio pracowali na ich rzecz. Czyż nie tak, Dudleyu?

– Moja pani, twoja umiejętność przewidywania zachwyca mnie coraz bardziej. Uważam, że damy radę konkurencji i już dzisiaj możemy świętować narodziny naszego wielkiego imperium handlowego na Morzu Śródziemnym i Środkowym Wschodzie.

– Dlaczegoż by nie, Dudleyu, możemy to uczcić.

29 LISTOPADA 1585 ROKU

## **Harem sultański**

Nikt z wyjątkiem Estery nie był w stanie pojąć przyczyn dobrego humoru Safiye. Jedyne ona natychmiast zrozumiała, co się dzieje.

– Umarła? – szepnęła, pochylając się nad uchem młodej kobiety.

Safiye kiwnęła głową i chichocząc, zapytała:

– Ale skąd o tym wiedziałas, moja droga Kirâze?

Kirâze machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „A kto ma wiedzieć, jeśli nie ja?”

Safiye wyszła szybkim krokiem z zapełniającego się stopniowo pokoju i ruszyła do swojego apartamentu. Postarzała Estera, biegnąc za nią, zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech.

– Zwolnij, moja droga, zadyszałam się – rzekła.

Safiye zatrzymała się, odwróciła i wzięła ją pod rękę.

– Zmęczyłaś się, moja jedyna. Zgoda, pójdziemy wolniej.

Kiedy weszły do luksusowej komnaty, Safiye kazała służącym przynieść napar lipowy i usadowiła Esterę na kanapie z mnóstwem wygodnych poduszek. Zaczęła mówić z przejęciem:

– Możesz to sobie wyobrazić, Kirâze, czy możesz to sobie wyobrazić? Od dzisiaj jestem już w haremie jedyna! Nareszcie pozbyłam się ich wszystkich. Nurbanu też nie żyje, mam z nią na zawsze spokój. Dzięki Bogu!

– Cicho, Safiye. Nie zapominaj, że ściany mają uszy.

– Nie obchodzi mnie to, w końcu to nie ja ją zabiłam... Ale muszę wyznać, że bardzo mnie to cieszy. Tylko Allah wie, jak się o to modliłam. Ta czarownica bardzo się starała zwrócić swojego syna przeciwko mnie. Własnymi rękami musiała Muratowi włożyć do łóżka ponad tysiąc kobiet.

Kirâze uśmiechnęła się.

– A ile kobiet ty włożyłaś mu do łóżka własnymi rękami, moja droga?

Na twarzy Safiye pojawił się grymas.

– Kirâze, przecież wiesz, że nie miałam wyboru. Jak inaczej mogłam z nią walczyć? I czy tylko z nią? Canfeda, Raziye, Ismihan, a nawet Mihrimah... Czyż nie robiły tego samego? Naprawdę nie wiem, ile jest w haremie dzieci Murata. Zawiodły się, do niczego nie doprowadziły. I w końcu się okazało, że moja pozycja jest niezachwiana i Murat mimo wszystko słucha tego, co ja mu powiem. Poza tym mam wspaniałego syna. Po ojcu przyjdzie kolej na niego.

– Wiem, moja piękna, oczywiście, że wiem. Nie mam do ciebie pretensji. Ale uspokój się!

W tym momencie weszła niewolnica, niosąc miedzianą tacę, na której stały filiżanki z gorącym naparem lipowym. Kiedy tylko postawiła ją przed nimi, Safiye nakazała jej natychmiast opuścić pomieszczenie. Upewniwszy się, że wokół nie ma nikogo, wyciągnęła zza gorsetu list.

– Zobacz – szepnęła.

Kirâze wyprostowała się i uważnie spojrzała na papier.

- Co to jest?
- To list od Katarzyny Medycejskiej, skierowany do mnie. Sama go napisała.
- A o czym?
- Cóż, pisze, że można by nas uznać za krewne i że bardzo mnie lubi i temu podobne... Ale w zasadzie potrzebuje mojej pomocy.
- W jakiej sprawie?
- Chce, abym zmusiła Murata, by zawarł sojusz z Francją przeciwko Filipowi Hiszpańskiemu, i ma mi się za to odwdziżyć.
- Murat się na to nie zgodzi. Pamiętasz angielskich kupców? Prosili o to samo, ale nie doszli do porozumienia. A jakie prezenty przysłali – wszystko na nic. Poza tym, co by Osmanowie zyskali na takim sojuszu? W tej chwili stosunki z Hiszpanią są poprawne i pokojowe. Pamiętaj także, że Murat nie może nawet wyjść poza mury pałacu. Ileż to już lat minęło, jak nie postawił nogi w meczecie Ayasofya.
- Tak, co najmniej dziesięć–piętnaście. Ale wiesz, że cierpi na epilepsję, co by się stało, gdyby zemdlał w meczecie?
- Epilepsja, nie epilepsja, to mnie nie obchodzi. Zapomnij o tych wszystkich niemożliwych propozycjach. Jak człowiek, który nie może pójść nawet do meczetu, miałby się udać na pole bitwy?
- Myślę, że masz rację, a jednak list Katarzyny jest bardzo ważny. Wiesz, że Elżbieta też napisała do mnie kilka listów?
- Wiem, moja droga Safiye, nie zapominaj, że ty także jesteś królową. I jesteś równie mądra jak Elżbieta. Wszyscy dookoła o tym wiedzą i właśnie dlatego tak się ciebie boją.
- Safiye uśmiechnęła się, składając list i wsuwając go za gorset. Estera uniosła nagle dłoń.
- Zaczekaj – powiedziała. Chwyciła list, pomachała nim zwycięsko i schowała go za własny dekolt.
- Czasem i listy mają swoją wartość – wyjaśniła.
- Jak to?
- Kiedy zaniosę go Wenecjanom...
- Och, Kirâze, jesteś cudowna! Zapłacą za to fortunę, prawda?
- Nie wiem, ile zapłacą, ale dla mnie najlepszą ceną byłoby

przyznanie mi prawa do prowadzenia loterii w Wenecji.

Dopiła herbatę i wstała. Wyglądała na zmęczoną.

– Może powinnaś poczekać z tym do jutra, Kirâze, idź do domu i odpocznij trochę.

Estera pokręciła głową.

– Nie. Nie jest w moim zwyczaju odkładać rzeczy na potem.

Dobrze o tym wiesz. I nie martw się, nie jestem bardzo zmęczona. Poza tym w domu już nikt na mnie nie czeka. Od śmierci Leona bardzo się tam nudzę. – Pomachała ręką. – Nie przejmuj się. Powoli zrobiła jeszcze dwa kroki. – Natychmiast zajmę się tymi sprawami. Jutro przyjdę znowu. Wiesz, co bym ci radziła? Postaraj się wyglądać na tak zasmuconą, jak tylko się da, i idź pocieszyć Murata. To dla niego trudne chwile, bądź co bądź to jego matka... Pozostań u jego boku, potrzebuje współczucia i miłości. Będzie wzruszony.

Safiye skinęła głową, malutki naszyjnik z pereł na moment wyłonił się zza kołnierza czerwonej welurowej sukni. Jej kolor sprawiał, że jasna cera sułtanki jakby jeszcze bardziej się rozjaśniła. Kirâze z uczuciem pogładziła jej złociste włosy.

## **Galata**

Estera słusznie postąpiła, nie odkładając spraw na później. Gdy się spotkała z sekretarzem weneckiego posła, zanim jeszcze zdążyła przekazać mu list Katarzyny Medycejskiej, on podał jej gruby rulon papieru. Kiedy go rozwinęła, serce zabiło jej mocno. Było to oficjalne pismo ogłaszające, że doża Republiki Weneckiej przyznał jej prawo organizowania w Wenecji loterii. Nie posiadała się ze zdumienia. Nareszcie Wenecja odpłacała jej za wszystkie usługi. A szczególnie za wysiłki podejmowane wraz z Safiye, by zapobiec wojnie między Republiką a imperium osmańskim. Estera drżącym głosem podziękowała, a mężczyzna z szacunkiem pochylił się przed staruszką i ucałował jej pomarszczoną dłoń.

– Jesteś pani honorową królową Wenecji, doño Estero – powiedział. – Pozostaniemy twoimi wielkimi dłużnikami.

5 KWIETNIA 1589 ROKU

**Cellat Çeşmesi**

Krew wciąż kapała na ziemię z leżących obok siebie na marmurowym stole odciętych głów gubernatora Rumeli Mehmeda Paszy, zwanego Sokolnikiem, oraz skarbnika Mahmuta. Właśnie wykonano na nich wyrok śmierci.

Ci, którzy dobrze znali szczegóły tragedii, nie czuli litości dla Mehmeda Paszy, ale wszyscy byli przekonani, że rachmistrz Mahmut stracił życie bez powodu.

Zdawało się, że wszystko zaczęło się przed sześcioma miesiącami, ale przyczyny tych wydarzeń zaistniały dużo wcześniej. W 1584 roku dwór osmański postanowił wprowadzić sikke<sup>[105]</sup>, a to oznaczało wypłacanie janczarom żołdu o zmniejszonej wartości. W tym samym roku rozporządzenie zostało wprowadzone w życie. Rząd, mając wydatki, w ten oto sposób starał się zaradzić trudnej sytuacji. Jednak janczarzy nie byli zadowoleni z takiego stanu rzeczy, co okazywali przy każdej okazji, a kilka razy nawet próbowali wszczynać bunt. Mennica biła z jednej okka<sup>[106]</sup> srebra tysiąc akçe zamiast pięciuset, a na rynku cena jednego dirhema<sup>[107]</sup> srebra wzrosła nagle z dwóch akçe do dziesięciu, a nawet dwunastu.

Od czasów Józefa Nasiego finanse Osmanów pozostawały w rękach Żydów. Od lat zarządzali oni mennicą. I to zachowanie jednego z nich doprowadziło skarbnika Mahmuta i Mehmeda Paszę do śmierci przez ścięcie głów.

Jak wieść niesie, ów osobnik przyszedł do skarbnika Mahmuta i pokazując mu sikke, „cienkie niczym liść migdałowca i lekkie niczym kropla rosy”, które miały być wynagrodzeniem janczarów, zaproponował za tę usługę dwa tysiące akçe w razie wyrażenia zgody. Mahmut natychmiast odrzucił propozycję, jak również kwotę. Wówczas ten Żyd z mennicy udał się wyżej, do Mehmeda Paszy, ulubionego urzędnika sułtana Murada. Pasza, nie widząc problemu, przyjął dwa tysiące akçe i rozkazał skarbnikowi natychmiastowe wydanie odpowiedniego rozporządzenia na bicie sikke. Oczywiście Mahmut nie miał innego wyjścia, jak tylko wykonać rozkaz.

Niemożliwością jednak było, by coś takiego przeszło bez echa. Gdy ta wiadomość dotarła do janczarów, sprowokowani przez paszów

Sinana i Ibrahima, natychmiast powywracali kotły. Bunt janczarów nie były dla Osmanów niczym niezwykłym, ale ten różnił się od poprzednich. Żołnierze otoczyli pałac, gdy obradował Dywan, i zaczęli krzyczeć: „Chcemy głowy Mehmeda Paszy i Mahmuta!”.

Gdy tylko wiadomość dotarła do pałacu, sułtan w panice wysłał im dodatkowe pieniądze. Mieszkanki haremu drżały z przerażenia, słysząc u bram dzikie wrzaski i przekleństwa żołnierzy. Ale okazało się, że przekazane pieniądze nie uspokoiły rozwścieczonych janczarów. Oznajmili, że „każdego, kto by ich dotknął, zabiją gołymi rękami”, i posunęli się nawet dalej, mówiąc, że jeżeli ich postulaty nie będą spełnione, dotrą do samego sułtana, czym napędzili stracha Muradowi.

Murad dla bezpieczeństwa kazał wszystkim w pałacu się uzbroić. Członkowie Dywanu, nie będąc w stanie wymyślić czegoś rozsądnego, czekali na bieg wydarzeń. I w końcu Murad, nie mając innego wyjścia, musiał nakazać egzekucję Mehmeda i Mahmuta. Paszy odczytano dekret sułtana, po czym odebrano mu sztylet, który miał przy pasie. Oznaczało to śmierć. Następnie gubernatora Rumeli wyprowadzono z posiedzenia Dywanu i przekazano katowi. Chociaż niewinny, skarbnik Mahmut musiał podzielić los swego pracodawcy.

Krążyły plotki wśród ludu, że gdy Safiye przekazała Muradowi na ucho, iż ten bunt był spowodowany prowokacją paru jego wezyrów, sułtan żałował, że także ich głów nie zażądał.

Niebezpieczeństwo chwilowo zażegnano. Było jednak jasne, że przyszłość będzie pełna podobnych wydarzeń. Janczarzy po raz kolejny przekonali się o swej mocnej pozycji. Pokazali własną siłę i słabość sułtana.

22 CZERWCA 1592 ROKU

**Ortaköy**

Kiedy Rejna Nasi oznajmiła, że czas przenieść drukarnię w inne miejsce, gdyż nie może już pokrywać kosztów, Mosze bez słowa zaczął zbierać księgi i maszyny. Miał świadomość, że była księżna Naksos ma rozmaite kłopoty i że wszystko dałoby się rozwiązać, gdyby zwróciła się o pomoc do jego matki... Ale był również przekonany, że doña Rejna nigdy by takiej pomocy nie przyjęła. Nowe miejsce znajdowało się

na jednym ze wzgórz dzielnicy Kuruçeşme. Dom stał nieopodal w ogrodzie pełnym czereśniowych drzew.

– Cieszę się, że nie będziemy już musieli cierpieć przez wilgoć ciągnącą od Bosforu – powiedział, starając się rozłożyć prasę drukarską.

Rejna uśmiechnęła się. Jak delikatny był ten Mosze.

– Nie spiesz się – odparła. – Mamy dość czasu.

– Ale dzisiaj jest najdłuższy dzień w roku, możemy pracować dłużej. Nieprawdaż?

– O, faktycznie. Och, Mosze, twoja wiedza mnie zdumiewa. Tak, dzisiaj jest najdłuższy dzień w roku.

– A także najkrótsza noc.

Słońce świeciło niczym najszlachetniejszy brylant ułożony na błękitnym aksamicie, starając się udowodnić wyższość dzisiejszego dnia nad wszystkim i wszystkimi. Zapach pobliskich zagajników był odurzający. Glicynie, drzewa judaszowe, bzy... Piękno w różach i fioletach tańczyło z błękitem wód Bosforu.

– Miszi dzisiaj nie przyjdzie?

– Sądzę, że jest teraz bardzo zajęty. Ale dołączy do nas, gdy tylko skończy pracę.

– Mosze, tak się cieszę ze względu na niego. Mam nadzieję, że jego przyszłość okaże się równie dobra, jak jego serce.

– Nie wierzę, by niebiosa odrzuciły twoje życzenia, doño Rejno.

Rejna uniosła ręce w geście wdzięczności, po czym kontynuowała przeglądanie stojącej przed nią sporej skrzynki pełnej listów i innych dokumentów. Czytała je z najwyższą starannością i segregowała.

– Mosze, nie wyobrażasz sobie nawet, jakie to ciekawe – mruknęła.

– To jest prywatne archiwum mojej matki. Większość to listy. Niektóre są od ważnych osób, inne od bardzo biednych.

– I zachowała wszystkie?

– Tak, większość jest tutaj... Moja matka miała ogromnie dużo współczucia dla ludzi.

– Żałuję, że nie było mi dane dobrze jej poznać, ale i tak mam o niej kilka bezcennych wspomnień.

– Bardzo cię lubiła, Mosze. – Reina przez chwilę rozglądała się zamyślonym wzrokiem, po czym wróciła do przerwanej czynności.



Mosze, chociaż przeszkadzała mu krótsza noga, starał się ustawić wszystko jak najszybciej. Kiedy pochylał się i prostował, jego garb na plecach to stawał się bardziej widoczny, to znów się chował. Czoło, przykryte czarnymi lokami, pokrywały wielkie krople potu. Twarz zmieniała się z młodzieńczej w bardziej dojrzałą, przez lata przybrał trochę na wadze. Ale ponieważ był drobnej postury, wciąż nie wyglądał na swój wiek. Bracia kilka razy próbowali go ożenić, lecz odrzucał ten pomysł tak stanowczo, że nikt nie próbował ponownie. Poświęcił swoje życie księgom. Cały jego świat ograniczał się do kontaktów z Miszim i dołą Rejną. Nie wychodził z drukarni, jeśli nie było to absolutnie konieczne. O życiu w Stambule dowiadywał się z drukowanych słów.

– Spójrz, to list sprzed prawie trzydziestu lat. Napisał go człowiek z Ferrary. Prosił moją matkę, by pomogła jego siostrze, chciał, by znalazła jej miejsce u porządnej rodziny.

– Sądziś, pani, że jego życzenie się spełniło?

– Moja matka zawsze starała się, jak mogła, wierzę, że jemu także usiłowała pomóc. Ona i mój mąż byli wyjątkowymi ludźmi.

Rejna ułożyła list wśród pozostałych. Oparła podbródek na splecionych dłoniach, jej oczy lśniły, jakby była w innym świecie. W świecie szczęśliwym, takim, o jakim marzyła...

– Wiesz, Mosze? – odezwała się. – Wciąż nie mogę uwierzyć w wieści, które nadeszły z Anglii.

– Dlaczego nie, doño Rejno? Ten człowiek przyniósł nam nawet zaproszenie.

– O, tak. Ale to takie zdumiewające, że mój umysł nie może tego ogarnąć. Nie mogę uwierzyć, że Marlowe napisał dramat inspirowany życiem Józefa...

– Don Józef osiągnął życie wieczne. Christopher Marlowe unieśmiertelnił jego i ciebie swoim dziełem.

– Nie mów tak, Mosze, nie mogę porównywać się z Józefem. On był niezwykłym człowiekiem. Zawsze przepelniały go wielkie idee i... marzenia.

– Pani, ty też jesteś taka. Dałaś ludzkości setki ksiąg. Wiesz, chętnie wydrukowałbym *Żyda z Malty*, dzieło Marlowe'a. Naprawdę chciałbym to zrobić.

– Ja także, Mosze. Tak, byłabym szczęśliwa, widząc je wydrukowane tutaj. Czy to możliwe, kto wie? – Rejna zamilkła, jej spojrzenie odpłynęło w nieznane. O czym myślała? Tego nie mógł wiedzieć nikt oprócz niej...

Westchnęła i znowu zabrała się za porządkowanie dokumentów.

– To też jest bardzo stara rzecz. List do mojej matki z Wenecji, z 1544 roku.

Kiedy powoli czytała list, Mosze wyniósł pudło niepotrzebnych papierów do ogrodu, do spalenia. Kiedy przyjdzie Miszi, mogą je spalić i wypić puchar wina, obserwując, jak pochłaniają je płomienie. Odstawił pudło, starał się złapać oddech, gdy nagle Rejna zawołała:

– Mosze, chodź tutaj, szybko!

Pośpieszył z powrotem do środka, powłócząc nogą.

Kobieta drżała z podniecenia.

– To... – wymamrotała – to jest takie dziwne, takie ważne!

Mosze wziął list, spojrział. Napisano go po włosku, miał trudności ze zrozumieniem.

– Co to...? – zapytał. – Coś dziwnego, myślę, że ma duże znaczenie...

– Mosze, może będziesz się ze mnie śmiał, ale... wierzę, że to dotyczy Misziego!

– O co tu chodzi? Nie rozumiem.

Kobieta zaczęła czytać list na głos.

– Tutaj jest napisane, że pełna szacunku, droga... tak, tak... To nieważne... O, tutaj... Przeczytam ci: *Piszę do Ciebie, Pani, ten list z Florencji. Pani, pragnę Cię prosić o pomoc. Jeżeli możesz, błagam, wyświadczyć mi tę przysługę. Jestem starą kobietą i całe moje życie upłynęło w bólu, smutku i żalu. Wiem, że jesteś Pani bardzo wspaniałomyślna. Jesteś moją ostatnią nadzieją, Signorina. Proszę Cię o pomoc w odnalezieniu kogoś, kogo spotkałam przed laty i z kim jestem wiecznie związana, mimo bardzo krótkiego czasu, jaki nas połączył. Pani, nigdy nie było mi dane mieć własnego dziecka, chociaż Bóg wie, ile się starałam i że byłam gotowa znieść każdy trud i ponieść wszelkie koszty, jednak niestety nie było mi to pisane. Osoba, o której piszę, była jedynie niemowlęciem, które trafiło do mnie, mając zaledwie tydzień.*

*Pokochałam je od pierwszego wejrzenia i nazywałam Krystianem... Mój zmarły mąż był wielce surowym katolikiem i widząc, że dziecko to było obrzezane, odrzucił je i zmusił mnie, bym je oddała. To jednak okazało się niemożliwe, gdyż jego nieszczęsna matka zdążyła już odjechać. Musiałam więc powierzyć chłopca służbie, a ta przekazała go żyjącej w wiosce Magnamata kobiecie zwanej Kora Ana. Planowałam wziąć go z powrotem po pewnym czasie, jednak musieliśmy opuścić tamto miejsce z powodu wojen, co Pani zapewne rozumiesz, a gdy wróciłam po sześciu latach, odkryłam, że wioskę zniszczyli tureccy korsarze i wszyscy mieszkańcy odeszli. Po długich staraniach dowiedziałam się, że Krystiana zabrał żeglarz, Kemal Reis, do Sztambułu. Przez wiele lat poszukiwałam go, ale nie natrafiłam na żaden ślad. Do teraz nie miałam o nim żadnych wieści. Moja droga Pani, czuję się tak winna i odpowiedzialna za to, co się stało. Przyrzekłam jego matce, Racheli de Toledo, że całe życie będę się opiekować jej synem. Nie mogłam tego spełnić. Niech mi Bóg wybaczy. Słyszałam, że masz Pani dobre stosunki z Osmanami, może Ty znajdziesz sposób, jak pocieszyć moje serce i uciszyć sumienie. Błagam Cię, pomóż...*

Rejna wzięła głęboki oddech. Mosze nie pojmował jeszcze do końca znaczenia tych słów, spoglądał na nią, siedząc nieruchomo.

Kobieta znowu zaczęła czytać:

*– Signora, może ta informacja w czymś dopomoże, dziecko miało u prawej rączki sześć paluszków. Nic więcej powiedzieć nie umiem. Będę niecierpliwie oczekiwała na Twą odpowiedź. Szczerze Ci oddana, Rafaella Miro, Florencja.*

– Ale ta opowieść zgadza się dokładnie z historią dziadka Misziego! – wykrzyknął Mosze. – To... To wnosi wiele nowego do tego, co o nim wiemy!

– Mosze, nie mogę w to uwierzyć. Zbadajmy tę sprawę. To bardzo ważne! Nie możemy popełnić błędu.

– Doña Rejna, uważasz, że twoja matka nawiązała kontakt z tą nieszczęsną kobietą?

Ze smutną miną odłożyła list na stół.

– Ten okres był w naszym życiu bardzo nieszczęśliwy, Mosze. Moja ciotka wydała nas jako Żydów. Musieliśmy natychmiast uciekać.

Tylko przypadkiem udało nam się umknąć Inkwizycji. Pojechaliśmy do Ferrary. Sądzę, że z powodu niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźliśmy, matka nie mogła jej wtedy pomóc. – Rejna ponownie uniosła ręce. – O mój Boże.

– Czy mogę na chwilę pożyczyć ten list? – zapytał Mosze drżącym głosem.

– Oczywiście, że tak.

Mosze założył kubrak, list schował starannie do kieszeni i ruszył do drzwi.

– Proszę, czy możesz nie wspominać Misziemmu o liście, gdyby przyszedł, nim wrócę? – poprosił na odchodnym.

Rejna skinęła głową; patrzył tak dziwnie, że nie mogła zapytać, dokąd się wybiera. To była z pewnością osobista sprawa; domyślała się, że chciał porozmawiać z matką. Zamierzał jej dowieść, że Miszi był jednym z nich. Ruszył przez ogród, powłócząc nogą. Rejna uklękła i pogrążyła się w modlitwie.

## Galata

Rejna Nasi nie myliła się, Mosze udał się prosto do domu w Galacie. Odpychając na bok sługę, który otworzył mu drzwi, pospieszył prosto do pokoju matki. Tak nagłe pojawienie się Mosze jednocześnie zaskoczyło Esterę i zaniepokoiło. Była pewna, iż ta nieoczekiwana wizyta musi oznaczać coś ważnego, inaczej jej syn nie pojawiłby się w jej domu dobrowolnie. W pośpiechu starała się wyprostować w fotelu, w którym drzemała, i zanim zdążyła otworzyć usta, Mosze wykrzyknął, podając jej list:

– Proszę! Weź to i przeczytaj prawdę!

Estera z zaciekawieniem chwyciła list. Co oznaczała ta stara, pożółkła kartka, o czym Mosze mówi? Nie miała pojęcia, ale dziwna ociężałość już ogarniała duszę starej kobiety. Oddychała z trudem.

– Przeczytaj, żebyś wiedziała, kim jest Miszi! – krzyknął znowu Mosze. – Mój jedyny przyjaciel, z którym mnie chciałaś rozdzielić bez potrzeby i bez skutku. – Gdy tylko wypowiedział to zdanie, wyszedł z pokoju jeszcze szybciej, niż się w nim zjawił. Estera została z pożółkłą kartką w ręku.

Co to miało być? Otworzyła list trzęsącymi się rękami i podeszła do okna, by lepiej widzieć. Przeczytała raz i drugi, aż w końcu wykrzyknęła z przerażeniem:

– Mój Boże!

Potem upadła. Usłyszawszy z góry niezwykły krzyk, słudzy wbiegli do pokoju i, widząc ją na podłodze, myśleli, że nie żyje, ona jednak znowu zawołała:

– Mój Boże!

Estera żyła, ale straszliwa prawda ugodziła w jej stare ciało i duszę niczym grom. Płakała i szlochała rozpaczliwie. Służąca pomogła jej dotrzeć do sofy.

– Uspokój się, pani, zaraz wyślę posłańca do twoich synów – powiedziała.

Estera pokręciła głową.

– Nie – szepnęła – nie chcę, żebyś kogokolwiek wzywała. Odejdź teraz i nie wracaj, dopóki cię nie zawołam. Idź! – Wielkie łzy spływały po jej pomarszczonych policzkach.

Służąca, która znała jej twarde i uparty charakter, wyszła cicho i czekała na korytarzu na zewnątrz. Siedziała tam długie godziny. Od czasu do czasu słyszała modlitwy Estery, mamrotanie i płacz. Niewolnica po raz pierwszy widziała Esterę płaczącą. Jej pani zawsze była jak kamień, nawet po śmierci siostry i męża. Co Mosze powiedział matce? Myślała, czy potajemnie nie wezwać Abrahama, który mieszkał niedaleko, ale zrezygnowała, bojąc się kary.

Po pewnym czasie zapadła cisza, więc czujność służącej się wzmogła. Po chwili ponownie usłyszała lamenty swej pani, przystawiła ucho do drzwi.

– Moja droga matka, moja biedna matka, moja nieszczęśliwa matka – powtarzała Estera.

Służąca, nie wiedząc, co począć, czekała, oparłszy się o drzwi.

Estera była do głębi wstrząśnięta. Przeczytała list już tyle razy, że pamiętała każde słowo, chociaż pojęła wszystko za pierwszym razem. Miała wrażenie, jakby przygniatała ją ogromna skała. Ten ból duszy był gorszy od cielesnego, bardziej niszczący niż tortury Inkwizycji. A więc całe życie przeżyła z niewybaczalnym grzechem. A więc była przeklęta.

Potępiona... Pochyliła się, płacząc:

– Dlaczego, Panie Boże? Dlaczego tak mnie karzesz? – Estera nie mogła unieść nieznośnego ciężaru wstydu i rozpacz, który spadł na nią, kiedy się dowiedziała, że była zakochana we własnym bracie. Jej starcza sylwetka kurczyła się, malała.

– Matko, mateczko, moja biedna mamó, przebac mi, przebac – szlochała znowu.

Jej pierś płonęła, jakby w żyłach krążyła trucizna, na którą nie było odtrutki. Miała za sobą długie życie, życie splamione grzechem. Nie mogła już oddychać z powodu tego wstydu, musiała się nim z kimś podzielić.

Kilka godzin przed końcem tej najkrótszej nocy w roku zawołała służącą i kazała przygotować palankin. Kobieta była zdumiona. Dokąd jej pani chciała się udać o tej porze, czyżby oszalała?

– Szybko – rozkazała Estera. – I nie patrz tak na mnie. Idź i zawołaj tragarzy. No idź!

Służąca wybiegła w panice, aby wykonać rozkaz.

## **Ortaköy**

Było wciąż ciemno, gdy Estera zapukała do drzwi drukarni w Ortaköy. Mosze także nie spał i natychmiast otworzył. Widząc matkę, cofnął się, by ją wpuścić. W jej bladej, zmęczonej twarzy oczy lśniły determinacją. Podeszła do ławki przy oknie. Przez chwilę matka i syn siedzieli w milczeniu. W końcu Estera zaczęła mówić, powoli, łamiącym się głosem:

– Przyszłam tutaj – powiedziała – przyszłam tutaj, bo... – trudno jej było zacząć.

– Nie musisz przeproszać – oznajmił Mosze. – Teraz znasz prawdę. Miszi jest Żydem, jak ty i ja. Czy to była dla ciebie jedyna istotna sprawa? Dla mnie to nieważne. Dla mnie nie ma różnicy między żydem, muzułmaninem i katolikiem. Wiara to wiara. Co za różnica, skoro się modlą w inny sposób i w innych językach do tego samego Stwórcy? Dla mnie to tylko Miszi, mój przyjaciel. Mój najbliższy i jedyny przyjaciel. – Nerwowo bawił się kulką z brązu, pozostałością kołatki z toledańskiego domu.

Estera przełknęła ślinę.

– To coś więcej, synu – powiedziała. Jej głos zdawał się czuły i pełny miłości dla Mosze, po raz pierwszy w jego życiu. – On jest ci bliższy, niż myślisz, mój synu, jest ci bliski...

Mosze nie rozumiał słów matki.

– Wyznam ci wszystko, synu, ze szczegółami – i rozpoczęła opowieść. – Nigdy nie miałeś możliwości poznać mojej matki, opowiem ci o niej, a potem o jej rodzicach. Opowiem ci o kraju naszych przodków, o Hiszpanii i o Toledo...

Estera mówiła, mówiła, mówiła. Mosze słuchał jej uważnie, nie odzywając się ani słowem. Kiedy skończyła, oboje płakali. Mosze wstał i, powłócząc nogą, podszedł do matki. Głowa starej kobiety była pochylona, jej podbródek drżał, dłonie także. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny okazały się najtrudniejsze w życiu prawie osiemdziesięcioletniej staruszki. Była zmęczona, wręcz wyczerpana i wyzuta z sił.

Mosze położył dłoń na jej plecach.

– Matko – szepnął ledwo słyszalnym głosem. – Matko, kocham cię.

Objęli się z tęsknotą, może po raz pierwszy w życiu, i zapłakali znowu, ale te łzy nie były już oznaką bólu. Każda kropla spływająca po ich policzkach była oczyszczająca, omywała ich dusze i leczyła rany. Tak się skończyła najkrótsza noc w roku. Niedługo potem pierwsze promienie słońca wschodzącego nad zaokrąglonymi wzgórzami Üsküdaru dotknęły kulki z brązu leżącej na stole i nadały jej oślepiającą jasność. Z pobliskiego meczetu rozległ się ezan:

– *Allah-u ekber, Allah-u ekber...*

V  
10 WRZEŚNIA 1592 ROKU

**Okmeydanı**

Wielkie miasto Stambuł wydawało się opuszczone. Ani jeden sklep nie był otwarty, ulice opustoszały, nawet koty znikły. Mieszkańcy żyjący po europejskiej stronie zebrali się w Okmeydanı, a mieszkańcy ze strony azjatyckiej – w Alemdağ. Wszyscy modlili się z rękami uniesionymi do nieba. Wszyscy prosili o to samo, muzułmanie, chrześcijanie i żydzi: o zdrowie i pokój.

Ogromne imperium od kilku już lat nękały różne problemy; nieprzynoszące pożądanych rezultatów wojskowe rozruchy, rozprzestrzeniające się epidemie z dżumą na czele, pożary, trudności gospodarcze i niekończące się bunty sprawiły, że lud stracił nadzieję na lepsze jutro. A teraz, zrozumiawszy, że sułtan nie potrafi rozwiązać tych problemów, ludzie poszli w góry i postanowili błagać niebios. Wszyscy powtarzali to samo: „Boże, litości!”.

Rzeczywiście, imperium osmańskie przeżywało trudne dni. Od trzech lat, począwszy od małych miasteczek, a na stolicy skończywszy, ciągle wybuchały rebelie. W Erzurumie, zaraz po zabiciu syna szacha Tahmasba, Ismaila, wraz z jego zwolennikiem, w Egipcie rozgorzały rozruchy przeciw Üveys Paszy, jednemu z zaufanych sułtana, gdyż lokalni żołnierze uznali dzienne wynagrodzenie za niewystarczające. Pasza ledwie uszedł z życiem. W Stambule natomiast pewien człowiek z Maghrebu o imieniu Mehdi ogłosił się mesjaszem i został niezwłocznie wbity na pal w podwórzu meczetu Beyazıtı.

Poradzić sobie z janczarami, którzy od czasu do czasu wznicali bunty, nie było łatwo. Ostatnio żołnierze wywołali nieopisany zamęt, żądając zmiany dowódców, ale jednak nie udało im się zmusić sułtana do przyjęcia ich postulatów.

Wydarzenia rozprzestrzeniły się na coraz większy obszar od Budy po Tebriz. Dwaj niewolnicy podejrzani o morderstwo gubernatora Budy Sinana Paszy, którego ciało znaleziono w jego domu, schwytani zostali dopiero po upływie czterdziestu dni. Ale też minął cały tydzień, zanim



zostali straceni. Prowadzono ciemne interesy. W zasadzie to, co miało się stać niebawem, było również dziełem żołnierzy. Nie uchroniono od śmierci następcy starego gubernatora. Strażnicy miejscy Pesztu i Budy, którzy zbuntowali się, twierdząc, że nie zapłacono im w porę należnego wynagrodzenia, zabili tego człowieka. Aby zastraszyć lud, wojska wysłane w celu stłumienia buntu powiesiły trzydzieści pięć osób w ciągu jednego dnia.

W Tebrizie janczarzy, którzy nie przyjęli swojej zapłaty w zdewaluowanych sikke, wybrali taki sam sposób protestu. Jednak tym razem Cafer Pasza, który potajemnie porozumiał się z kurdyjskimi bejami, całkowicie ich zaskoczył. Otóż pasza wraz z ludźmi bejów kurdyjskich wyciął w pień tysiąc ośmiuset żołnierzy.

Może najmniej szczęścia w tych niespokojnych dniach miał Sambuł. Ponieważ janczar, który wpadł w złość, natychmiast zabierał się do podpalania, codziennie wybuchał jakiś pożar. I tak na przykład zbuntowani żołnierze napadli pewnego dnia na dom gubernatora Diyarbakiru Ibrahima Paszy, brata ulubienicy sułtana Canfedy Kalfy. Za przyczynę podali fakt, że bezpodstawnie kazał zabić jednego z janczarów, kiedy sprawował władzę gubernatora w Erzurumie. Ibrahim, uciekając w jednej koszuli, z trudem uratował życie, nie zdołał jednak ocalić domu przed rabunkiem i dewastacją.

Sułtan, nie będąc w stanie położyć kresu tej przemocy, często wymieniał dowódców janczarskich, wezyrów, skarbników. Ale to nie mogło powstrzymać chaosu. Murat był załamany. Do reszty stracił humor, kiedy dowiedział się, iż ostatnio ludność miasta, straciwszy nadzieję, że zaprowadzi porządek, gromadziła się na wzgórzach, by się modlić do Boga o pomoc. Chociaż nigdy, nawet na piątkowy namaz nie opuszczał haremu, tym razem, by nie być świadkiem przerażającej ciszy panującej w opuszczonej stolicy, postanowił wyruszyć sułtańskim kayikiem<sup>[108]</sup> na objazd luksusowych pałacyków po obu stronach Bosforu.

## **Galata**

U Osmanów panował kompletny chaos, ale Esterze wydawało się, że w ostatnich latach życia odnalazła spokój, jakiego zawsze

poszukiwała. Po nocy, kiedy wyznała synowi prawdę, każdy dzień był inny niż dawniej, jakby anioł go dotknął czarodziejską różdżką. Ani Esterze, ani jej rodzinie nie brakowało pieniędzy. Gdyby nikt z nich nie pracował, nawet ich dzieci, bogactwa starczyłoby z górą dla wszystkich. Pieniądze wręcz same płynęły z interesów w Stambule i loterii w Wenecji. Jedyne, czego brakowało, to spokoju, ale i ten się w końcu pojawił. Abraham, Haim i Sami byli szczęśliwi, widząc Mosze i matkę w tak dobrych stosunkach, chociaż nie pojmowali przyczyny tej zmiany. Rodzina gromadziła się dość często. W spotkaniach czasami brał także udział Miszi, który dzięki wstawiennictwu Estery pracował teraz w skarbcu pałacu sułtańskiego.

Mosze wraz z matką postanowili nie wspominać o liście z odległej przeszłości. „By po latach nie wywrócić jego życia do góry nogami” – powiedziała Estera. Ale wnukowi starszego brata starała się pomagać, jak tylko mogła. Wyglądało to trochę tak, jakby usiłowała spłacić dawny dług.

W dniu, gdy wszyscy mieszkańcy Stambułu wspólnie modlili się do Boga o spokój imperium na Okmeydanı, Estera i jej synowie jedli razem obiad w najświetniejszym domu w dzielnicy Galata, którego mury nieprzywykły do wesołego śmiechu odbijającego się echem w marmurowych korytarzach. Nagle jedno z wnucząt wskazało na morze i zawołało ze zdumieniem:

– Spójrzcie, co się dzieje!

Ujrzeni bogato zdobioną, powiewającą różnokolorowymi proporcami sułtańską łódź Murata. Dziesiątki wioślarzy poruszały się w harmonii, niczym jedno ciało, by wprawić w ruch kayak przecinający błękitne wody Bosforu.

– To niespodzianka! – wykrzykiwał Abraham i wyszedł na balkon. Estera potwierdziła skinieniem głowy.

– I nie jest to dobry znak – rzekła.

– On nie jest typem mężczyzny, który powinien zostać sułtanem.

Wierzę, że gdyby miał możliwość, uciekłby, nie oglądając się nawet za siebie, w poszukiwaniu spokojniejszego życia – zauważył Haim.

– Zresztą to nie on rządzi imperium – przerwał mu Sami, nie podnosząc głowy znad talerza. – To Safiye, wszyscy o tym wiemy,

nieprawdaż, matko?

– Tak, i to od ilu lat?

Abraham uśmiechnął się.

– Czyli możemy powiedzieć, że w rzeczywistości rządzi nasza matka – dodał szeptem, pochylając się nad stołem.

Mosze nie podobało się ostatnie zdanie. Zmarszczył brwi. Estera spojrzała na niego kątem oka.

– Niech nas Bóg chroni – powiedziała. – Ja dbam tylko o swoje interesy. Safiye od czasu do czasu prosi mnie o radę, a ja staram się pomóc najlepiej, jak umiem. To wszystko. Przecież od dawna nie byłam nawet w haremie.

Miszi, siedzący w końcu stołu, stwierdził, że w dzisiejszych czasach to najlepsze, co można zrobić.

– Może się wydarzyć cokolwiek, w każdej chwili – oznajmił. – Z powodu tych wszystkich zmian wartości sikke janczarzy najwyraźniej stracili resztki zdrowego rozsądku. Wierzę, że teraz przyjdzie kolej na bunt kawalerzystów... Czy wiecie, że dzienne wydatki Safiye wzrosły do trzech tysięcy akçe? To oburzające. Myślę, że najlepiej będzie trzymać się przez pewien czas z dala od Seraju.

– Tak, matko, Miszi ma rację – dodał Abraham. – Jeżeli cię wezwą, wykręcisz się jakoś. Nie chodź tam przynajmniej przez jakiś czas.

Mosze uważnie obserwował matkę. Estera uciszyła ich.

– To nie jest pora ani miejsce na takie dyskusje. Przecież od dawna nie byliśmy wszyscy razem. Porozmawiajmy o czymś weselszym.

27 STYCZNIA 1593 ROKU

**Nowy Seraj**

Nie minęło wiele czasu, a słowa Misziego się sprawdziły. Bunt sipahów rozpoczął się dzień po tym, jak janczarom zapłacono w całości, ale im tylko w części. Zebrali się przed pałacem i godzinami wykrzykiwali: „Żądamy głowy skarbnika!”. Mediatorzy ze strachem wypisanym na twarzach biegali tam i z powrotem między nimi a Dywanem.

W końcu sułtan Murat, by nie nadawać sprawie większego

rozgłosu, wysłał wicherzycielom sto worków pełnych akçe. Żołnierze przeklinali i z uporem domagali się dalej:

– Chcemy jego głowy, żądamy jego głowy!

Niektórzy z wezyrów wyszli nawet z nimi rozmawiać i namawiali ich do zaprzestania buntu, jednak w odpowiedzi obrzucono ich kamieniami i na nic się zdała cała interwencja.

Miszi był w Seraju, w sercu wydarzeń, ale ponieważ jego zajęcia nie były dotąd zbyt znaczące, nie groziło mu niebezpieczeństwo. Obserwował otoczenie pełnym niepokoju wzrokiem. Kiedy w towarzystwie nowicjuszy z bractwa derwiszów przybyli imamowie<sup>[109]</sup> z meczetów Ayasofya i Süleymaniye na negocjacje z sipahami, Miszi jak inni odetchnął z ulgą, uważając, że ci dwaj z pewnością zdołają doprowadzić do pokojowego rozwiązania. Niestety, wszyscy się mylili. Po dwóch godzinach bezowocnych rozmów imamowie pośpiesznie opuścili Dywan. Główny skarbnik pałacu, którego głowy żądano, powiedział, że wyjdzie i odda się w ręce zbuntowanych sipahów, po czym włożył zielony turban. Wtedy wszyscy członkowie Dywanu ze łzami w oczach wstali, mówiąc:

– Nie oddamy cię tym chciwym grzesznikom. Dywan kieruje się zasadami honoru, nie wyjdiesz do nich.

Pełna napięcia atmosfera trwała do późnego popołudnia. Między stronami konfliktu, wśród wrzasków, obelg i rzucanych kamieni, krążyli także kolejni nieskuteczni posłowie. Kiedy wzywano na modlitwę, rozległ się nagle okrzyk „Uderzajcie” i wówczas ci wszyscy zdenerwowani, wyczerpani świadkowie zdarzenia, myśląc, że to wezwanie samego sułtana, zaatakowali kawalerzystów. Od wezyrów po służby pałacowe, ogrodników i kucharzy, wszyscy wybiegli, ściskając taką broń, jaką znaleźli. Kawalerzyści byli ogromnie zdumieni na widok ludzi atakujących ich żelaznymi sztchetami z ogrodzenia, pałkami, deskami, cedzakami, dużymi nożami kuchennymi i sierpami, i cofnęli się, a zupełnie przypadkiem drogę odcięły im wozy, które tego dnia dostarczyły do pałacu drewno. Trzystu pięćdziesięciu siedmiu żołnierzy zginęło w tym zamieszaniu z rąk mieszkańców Seraju. Nawet Miszi w obawie o własne życie obalił dwóch na ziemię.

Gdy sytuacja stała się niebezpieczna, na pomoc przybył dowódca

janczarów z oddziałem i odparłszy zbuntowanych kawalerzystów, przywrócił spokój i bezpieczeństwo w pałacu. Mimo jednak takiego obrotu sprawy trzeba było sipahom wypłacić żołd wyższy niż zazwyczaj. Natomiast ciała zabitych tuż przed budynkiem kuchennym nie zostały spalone, lecz zrzucone do morza z Sarayburnu ku przestrodze dla wojska.

28 WRZEŚNIA 1595 ROKU

## **Harem sultański**

Estera od lat nie widziała tak cichego i spokojnego pałacu. Jedynym dźwiękiem w mrocznych, kamiennych korytarzach było echo jej własnych zmęczonych kroków. „Co się tu dzieje?” – zadała sobie pytanie. Coś było nie w porządku, ale co? Czy to może spisek przeciwko niej? Zaniepokojonym wzrokiem rozejrzała się dokoła. Nie było tu nikogo, zresztą dlaczego Safiye miałyby spiskować? Przyspieszyła kroku. To była jej pierwsza wizyta w haremie po śmierci Murata i wstąpieniu na tron Mehmeda. Safiye od roku była Sułtanką Matką.

Wszyscy uważali ją za bezlitosną, ale Estera wiedziała, że to jedyny sposób na przeżycie w haremie. Gdyby dała swoim wrogom jakąkolwiek szansę, sama zostałaby zabita w jednej chwili. Zasady rządzące haremem były proste i surowe; być może nie różniły się wiele od zasad obowiązujących w pałacach innych władców na tym świecie.

Murat, zniewolony pożądaniem, otaczał się kobietami i zostawił po sobie dwadzieścia siedem córek oraz dwudziestu synów. Mehmed nie przypominał ojca. Murat krótko opłakiwał śmierć braci przez uduszenie, które wykonano zgodnie z prawem ustanowionym przez sułtana Mehmeda Fatiha. Natomiast w oczach jego syna Mehmeda nie pojawiła się nawet jedna łza, gdy rozkazał zakończyć życie swoich dziewiętnastu braci. Pozostałe po ojcu i innych księżętach wszystkie ciężarne niewolnice kazał wrzucić z kamieniem przywiązany do nóg w głębinę morza Marmara.

– Najbardziej bezlitosny i surowy sułtan – powiedziała do siebie Estera. – Czas pokaże, czy to wystarczy, aby był dobrym władcą.

Po ceremonii pogrzebowej księżąt Safiye, zastosowawszy się do rad Estery, odesłała wszystkie zarządczynie, Canfeda Kadın, córki

Murata z innych kobiet, łącznie z Haseki Sultan, niemowy, karły i pozostałą służbę z otoczenia poprzedniego sułtana, do Starego Seraju. Valide Sultan<sup>[110]</sup> musiała być sama, by jako jedyna wpływać na swojego syna. Jej działanie szybko okazało się korzystne. Mehmed robił wszystko, co mówiła mu matka.

– Kirâze, moja droga!

To była Safiye. Czekwała na Esterę na końcu korytarza, z szeroko rozłożonymi ramionami. Objęła staruszkę niczym własną matkę.

– Gdzie się podziewałaś, moja droga? Nie przyjdiesz, jeżeli cię o to nie poproszę? Czy zrobiłam coś, co cię uraziło?

– Ależ skąd, Safiye. Chyba zapominasz, ile mam lat. Jestem starą kobietą, bardzo starą. Mam osiemdziesiąt pięć lat, moja droga.

– Osiemdziesiąt pięć? – Safiye słodko podniosła brwi. – Kto by w to uwierzył? Nie wyglądasz na więcej niż pięćdziesiąt. – Pochyliła się, by ucałować pomarszczone policzki Estery.

– Co się tu dzieje, Safiye, dlaczego w Seraju jest tak cicho?

– Nie słyszałaś? Mehmed kazał wszystkim mieszkańcom Stambułu zgromadzić się i modlić na Okmeydanı.

Estera nie pytała, dlaczego, bo znała przyczynę. Pozycja Osmanów na Bałkanach nie była dobra. Po Varnie, Kili, Silistre, Ruszczuku i Bukareszcie stracili Estergon. Rebelie Dżelalów<sup>[111]</sup> w Anatolii sięgnęły zenitu. Naród imperium cierpiał. Kiedy pałac otaczał się luksusem, ludzie na ulicach nie mogli związać końca z końcem. Było pewne, że żołnierze czekali tylko na okazję, by znowu wszcząć bunt.

– Wszyscy urzędnicy, wezyrowie, nauczyciele i szajchowie poszli się modlić.

– Nie słyszałam o tym, wiesz, że zazwyczaj jestem w domu.

– Tym razem zaproszono tylko muzułmanów. Mój Mehmed jest bardzo religijny.

– Tak, wiem o tym. Słyszałam, że zakazał picia wina, i mówią, że jest bardzo surowy wobec tych, którzy nie przestrzegają prawa szariat. Kazał udusić kilka kobiet.

Safiye wzruszyła ramionami; prawdopodobnie dotknęły ją te słowa.

– Tylko kilka ladacznic – mruknęła.

Estera nie odpowiedziała. Nie było jej zadaniem naprawiać sytuację u Osmanów.

– Potrzebujesz czegoś ode mnie, Safiye? – zapytała.

– Jestem w bardzo trudnej sytuacji, Kirâze. – Jej twarz nagle spochmurniała. – Jak wiesz, mimo wszystkich moich wysiłków i starań, wciąż nie traktują mnie tutaj jako kogoś bliskiego. Wszystko, czego chciałam, to to, żeby imperium Osmanów było równe imperiom Zachodu. Może i nie zostałam dobrą muzułmanką, ale sama wiesz, że chrześcijanką też nie byłam najlepszą. Zaczęłam nawet budowę meczetu.

Estera uśmiechnęła się. Safiye wybrała na swój meczet miejsce przy wylocie Złotego Rogu, nad morzem. Może ze względu na nostalgię za Wenecją. Meczet jednak nadal był w budowie – już od dwunastu lat. Poza tym, gdy kładziono fundamenty, wiele się wydarzyło. Wszyscy Żydzi, Ormianie i Grecy, którzy tam mieszkali, zostali zmuszeni do przeprowadzki w inne miejsce. Tamtejsza ludność już zmieniła nazwę meczetu Safiye na Zulmiye<sup>[112]</sup>.

– Kirâze, pamiętasz plotki, jakie krążyły po Stambule z okazji tysiąclecia hidżry<sup>[113]</sup>?

Estera pokiwała głową, jakże mogłaby nie pamiętać? Przed trzema laty derwisze zaczęli wędrować wśród tłumów, mówiąc, że nadchodzi koniec świata. Głosili, że jego oznaką będzie chrześcijański władca muzułmańskiego imperium, sugerowali nawet, że chodzi o kobietę. I było oczywiste, kim miała być ta chrześcijanka, chodziło im o Safiye. Skrywana głęboko nienawiść powoli wychodziła na jaw. Wtedy wszyscy pragnęli śmierci Safiye. Naprawdę miała wrogów w imperium i poza jego granicami. Kirâze długo myślała, co zrobić, aby poruszyć serca muzułmanów. W końcu doradziła jej, by zamknąć wszystkie kościoły. Najważniejszy był pierwszy krok. Potem można będzie je znowu otworzyć. Nawet Safiye skrzywiła się, słysząc tę propozycję. Jednak po tym, jak jej plan się powiódł, obsypała Kirâze prezentami.

– Ale tamte dni mamy już za sobą, droga Safiye – powiedziała Estera.

– Tak, i dzięki za to Bogu, ale w tej chwili pojawiło się inne niebezpieczeństwo...

– Jakie?

– Wielki wezyr chce, by Mehmed wyruszył z wojskami.

– Wojna? Za czyje pieniądze? Mało jest kłopotów finansowych, by jeszcze wydawać na wyprawę?

– Zgadzam się z tobą, ale on nalega. Twierdzi, że lud tego pragnie, janczarzy codziennie oczekują tego od Mehmeda. Niektórzy wezyrowie dawali nawet do zrozumienia, że jest tchórzem w porównaniu ze starym Sulejmanem Prawodawcą, który mając lat siedemdziesiąt, wyruszył na pole bitwy. Czyżby zapomnieli, jak się to skończyło? Umarł tam, a jego ciało przywieziono tutaj czterdzieści dni po śmierci. Wiemy, co się dzieje z sułtanami, którzy rządzą imperium według widzimisię janczarów. Tylko głupiec może je cenić.

Estera czuła, że nie było to głównym problemem Safiye. Uważała, że syn nie może pozostać długo poza jej wpływem. Mógłby wrócić z dalekiej wyprawy jako inny człowiek, ta ewentualność wydawała się jej nie do zniesienia. Sułtanka Matka należała przecież do tych osób, które nie mogłyby nawet oddychać pozbawione władzy.

– A jak możesz go przed tym powstrzymać, moja droga Safiye?

– Nie wiem, nie wiem... Mam pomysł, ale nie chcę działać bez porozumienia z tobą.

– Powiedz zatem.

– Myślę, że gdybym rozpuściła plotkę...

– Jaką plotkę? – Estera słuchała z uwagą.

– Cóż, obie wiemy, że Mehmed jest głęboko wierzący... Pomyśl tylko, wstaje, ilekroć ktoś wymieni imię proroka.

– Tak...

– Jeśli więc rozpuszczę plotkę o buncie chrześcijan na ziemiach należących do Osmanów... Że w kilku regionach chrześcijanie podrywają gardła muzułmanom... Wtedy nie opuści miasta, nie wyruszy na wyprawę wojenną.

– Ale Safiye, to się może łatwo zmienić w masakrę.

– Moja droga Kirâze, myślę tylko, jeszcze nie podjęłam żadnego działania. I pamiętaj, że to ty mi poradziłaś ostatnim razem, by zamknąć kościoły.

– Ale Safiye, jest duża różnica między zamknięciem kościoła



a zabiciem człowieka.

– Mogę zachować nad wszystkim kontrolę.

Kirâze wstała.

– Widzę, że już podjęłaś decyzję, Safiye Sultan – powiedziała. – Rozumiem cię, walczysz o władzę i życie, ale nie zapominaj, że niczego nie można zdobyć, nie płacąc za to odpowiedniej ceny.

– Czyli uważasz, że nie mogę tego zrobić.

– Nie, nic takiego nie powiedziałam. Radzę ci się zastanowić jeszcze, pomyśleć o cenie, jaką zapłacisz, a potem zdecydować. Wiesz, że cię kocham jak własne dziecko. Chcę, żebyś zawsze była szczęśliwa i zdrowa.

– Ja też cię kocham. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła – Safiye ujęła staruszkę pod ramię i podeszły do drzwi, za którymi czekał palankin.

14 GRUDNIA 1596 ROKU

**Davut Pasza Sarayi<sup>[114]</sup>**

Masowe modły muzułmanów na nic się nie zdały, w rzeczywistości sprawy tylko się pogorszyły. Zaledwie osiem dni później północno-zachodnią częścią Anatolii wstrząsnęło potężne trzęsienie ziemi, które dosięgło nawet stolicy. Wiele domów i mostów się zawaliło, a gorące wody hamamów wyschły i trysnęły na powrót w innych miejscach. Nie było to trzęsienie ziemi tak potężne jak tamto za czasów Beyazita, ale katastrofa pozostaje katastrofą i wielu ludzi w niej ucierpiało.

Tragedia spowodowana gniewem natury nie była jednak tak straszna jak ta, którą planowała Safiye. Sułtanka Matka natychmiast zaczęła realizować swe plany, aby jej syn nie opuścił Stambułu. Nawet sułtan Mehmed był wstrząśnięty, słysząc od matki, że należy wymordować wszystkich chrześcijan. Safiye uargumentowała oczywiście swoją teorię wymyślonymi historiami, ale i tak nie doczekała się takiego poparcia, na jakie liczyła. Na koniec, by nie łamać matce serca, Mehmed III rozkazał wszystkim nieżonatym Grekom ze Stambułu opuścić miasto w ciągu trzech dni.

Sułtan, za namową wielkiego wezyra, nie dostosował się

do postulatów matki i wiosną wyruszył na wyprawę wojenną. Nie było go długie miesiące.

Ale oto nadszedł dzień jego powrotu. Mehmed III wracał jako sułtan-zwycięzca spod Mohacza. Wezyrowie i agowie nalegali, by pozostał i prowadził wojsko na kolejne bitwy. Uważali, że w Budzie lub Belgradzie należy spędzić zimę i wiosną kontynuować wyprawy, ale Mehmed był już zmęczony spaniem w namiotach i zajmowaniem się wojskiem. Według niego dowódcy wojskowi powinni poradzić sobie z tymi sprawami.

Podekscytowana Safiye przybyła do pałacu Davuta Paszy wraz z innymi kobietami i eunuchami z haremu i tam czekała na syna. Sułtan miał tu spędzić noc, a następnego ranka zamierzali razem wrócić do Stambułu.

By przywitać sułtana, wezyrowie, kaymakam pasza<sup>[115]</sup>, müftü<sup>[116]</sup> i pozostali wysocy urzędnicy ustawili się rzędami według rangi. Ulice przykrywały piękne dywany, jeden cenniejszy od drugiego; na każdym rogu palono kadzidła. Z każdego meczetu wybudowanego w imieniu sułtanów poświęcono do zabicia po trzy byki i dziesięć owiec, a z pozostałych po jednym byku i pięć owiec, aby je złożyć w ofierze podczas powrotu sułtana do Stambułu. Dwa tysiące kupców i cztery tysiące robotników portowych było gotowych na jego powitanie. Wokoło niosła się głośna recytacja Koranu.

Kiedy na horyzoncie pojawiły się zielono-czerwone sułtańskie flagi, tłumy zaczęły wiwatować radośnie, a na widok wielkiego białego turbanu sułtana niemal oszalały.

Safiye powitała swojego syna u wejścia mabeyin<sup>[117]</sup>. Miała na sobie zielony aksamitny kaftan oraz szarawary z morelowego jedwabiu. Jej jasne loki opadały na ramiona, przykryte welonem umocowanym do niewielkiego fezu, bogato haftowanego złotem. Jej palce, uszy i szyję pokrywały szmaragdy w kolorze jej oczu oraz kamizelki. Nikt by nie uwierzył, że miała czterdzieści sześć lat. I nie było trudno pojąć, dlaczego Murat, chociaż otaczało go tyle młodych i pięknych kobiet, nie potrafił się bez niej obejść. Ta mądra, atrakcyjna kobieta starała się teraz zamaskować niepokój, który miesiącami w sobie nosiła. Czy będzie miała na syna równie wielki wpływ jak przedtem?

Na widok Mehmeda uklękła natychmiast i ucałowała skraj jego kaftana.

– Niech cię Bóg błogosławi, nasz sułtanie, nasz panie – powiedziała głosem pełnym szacunku.

Sułtan ujął dłoń matki, pocałował i pomógł jej wstać.

– Tam, dokąd dotarliśmy, zaszliśmy ze świętą boską pomocą, i twoją, moja szacowna matko.

W tej samej chwili Safiye odnalazła spokój, za którym od miesięcy tęskniła. Syn nadal należał do niej.

– Dzięki Bogu – powiedziała głośno.

18 CZERWCA 1598 ROKU

**Nowy Seraj**

– Nie oddam im Kirâze, choćbym miała zginąć! – wykrzyknęła Safiye.

Sułtan Mehmed stał w milczeniu.

Zastępujący wielkiego wezyra kaymakam Halil Pasza błagał:

– Wasza Wysokość Sułtanko Matko, litości. Jeżeli nie spełni się żądań tych szalonych sipahów, będziemy zgubieni, w każdej chwili mogą wtargnąć do pałacu. Znajdujemy się w ogromnym niebezpieczeństwie. – Przełknął ślinę. – Nawet Wasza Wysokość...

– Ja... Tak, oczywiście, to znowu przeze mnie... Możesz mi, panie, powiedzieć, kiedy właściwie nie byłam w niebezpieczeństwie? – Podekscytowana Safiye krążyła tam i z powrotem. – Skoro muszą kogoś dostać, dlaczego nie tego germanofila Salomona, dlaczego akurat Kirâze? Czego chcą od ponadosiemdziesięcioletniej kobiety?

Zarówno sułtan, jak i gubernator zadrżeli na dźwięk imienia Salomona.

– Nie! To niemożliwe – odezwali się jednocześnie.

Safiye pobladła.

– Ale dlaczego, dlaczego? – krzyknęła.

– Niemiec jest dla nas niezwykle użyteczny. Nie możemy go oddać. Potrzebujemy go w naszych stosunkach z Europą, moja najdroższa Sułtanko Matko. Proszę, nie żądaj tego od nas.

Spojrzała na syna, oczekując wsparcia. Przygryzał wąsa

i przecząco pokiwał głową, nie dając żadnej nadziei.

– Czas ucieka, moja Sułtanko. Zawieszenie broni zaraz dobiegnie końca. Błagam, nie ze względu na mnie, ale na ciebie. Dla własnego zdrowia i bezpieczeństwa, dla ciągłości osmańskiej krwi, proszę, wezwij Kirâze.

Halil Pasza podszedł do okna i wyjrzał z niepokojem. W tej samej chwili kamień rozbił zielone szkło na kawałki. Sułtan cofnął się do drzwi.

– Nie mamy wyboru, ukochana matko. Niestety, nie mamy wyboru. – Odwrócił się do gubernatora. – Wezwijcie ją!

Safiye chwiejnym krokiem wyszła bez słowa, pochylona, jakby w ciągu kilku chwil dopadła ją starość.

Gubernator natychmiast wysłał dwóch eunuchów z jednym z bogato zdobionych palankinów haremu do Galaty, by przynieśli Esterę do Seraju.

Sipahowie rzeczywiście oszaleli. Tym razem zbuntowali się pod pretekstem, że dworskie urzędy rozdawano jako łapówki i domagali się głów kilku Żydów. „To ich wina” – twierdzili. Ale prawdziwą przyczyną były oczywiście pieniądze. Chcieli dostać więcej akçe ze skarbcza, nienawidzili Żydów, bo ci zarządzali majątkiem. Wokół Seraju zebrał się przerażający tłum. Nie krzyczeli wbrew oczekiwaniom, zamiast tego rozlegał się nieustanny, pełen wściekłości pomruk. Oczy wszystkich wpatrywały się w zakratowane okna haremu. Ci ludzie o oczach podbiegłych krwią rzeczywiście byli gotowi zabić nawet sułtana. Sułtana i każdego innego... Nie robiąc wyjątków dla płci ani wieku...

Służąca zbudziła Esterę z codziennej drzemki, mówiąc, że pilnie potrzebuje jej Safiye Sultan.

– Musi mieć wielkie kłopoty. – Kobieta natychmiast założyła suknię. – W przeciwnym razie, ze względu na mój wiek, nie wzywałaby mnie do siebie. – Zanim wyszła, powiedziała: – Moi synowie przybędą wkrótce, powiedz, żeby na mnie poczekali. Nie zabawię tam długo.

I wolno zeszła ze schodów, by wsiąść do czekającego palankinu. Wydawało się, że tragarze śpieszyli się bardziej niż kiedykolwiek, niosąc ją do pałacu, przed oblicze wielkiego wezyra, i sami szybko zniknęli. Estera odsunęła zasłonę i kiedy wyszła na zewnątrz, natychmiast

zrozumiała, że coś się za tym kryje. Niezręcznie, jakby była jeszcze w stanie uciec, próbowała się cofnąć, lecz bezskutecznie. Szabla zbliżającego się od tyłu kawalerzysty jednym cięciem oddzieliła głowę staruszki od reszty ciała. Wydał dziki okrzyk i uniósł ostrze z odciętą głową Estery. Potem dziesiątki sipahów rzuciło się na bezgłowe ciało kobiety, które wciąż wiło się w śmiertelnych konwulsjach.

Kilka minut po wyjściu matki z domu Abraham, Haim i Sami pobiegli za nią, gdy usłyszeli wieści od służącej. To Abraham pierwszy zobaczył odciętą głowę matki i zmarł na chwilę, wstrząśnięty. Nagle stanęło mu przed oczyma wspomnienie, o którym nigdy od tamtej pory nie myślał.

– Matka z wąsami... – wymamrotał.

To były jego ostatnie słowa. Oszalali kawalerzyści, rzuciwszy się na niego, cięli ciało na dwoje. Haima i Samiego spotkał ten sam okrutny koniec. Teraz tłum rozrywał ciała matki i synów na strzępy. Ich krzyki ścięły krew w żyłach wszystkim ludziom w mieście.

Safiye płakała w poduszkę.

– Kirâze, Kirâze... Zapłaciłam tę cenę!

Słyszając te wieści, nie znajdując nawet czasu na ubolewanie nad losem Estery i jej synów, Miszi przepełniony strachem i niepokojem co sił w nogach pobiegł do drukarni. Wszystkie drogi wydawały się dłuższe niż zazwyczaj.

Kiedy dotarł do budynku na jednym ze wzgórz Kuruçesme i dostrzegł u wejścia konie, pomyślał, że przybył za późno. Wbiegł do środka od strony ogrodu i zobaczył wszystkie prasy zniszczone, a księgi poszarpane i kartki rozrzucone na wszystkie strony, a pomieszczenie, gdzie trzymali archiwa, stało w płomieniach. Serce Miszego waliło, jakby miało zaraz wyrwać się z piersi. Z wnętrza dochodził głośny, szorstki śmiech i przekleństwa. I nie było wśród nich słychać Mosze.

Miszi zebrał wszystkie siły i wszedł do środka. Jego przyjaciel został wciśnięty w kąt przez pięciu kawalerzystów. Popychali go i kłuli ostrymi końcami szabli.

– Mów, ty mizerny Żydzie, gdzie są pieniądze? Mów! – krzyczeli. Po ramionach i twarzy Mosze spływała krew. – Ty obrzydliwy garbusie!

Powiedz! – krzyczeli dalej.

– Ty, kulawy, języka nie masz? – Jeden z nich uniósł szablę. – On nic nie powie! Obetnijmy mu głowę, skończmy z nim.

W tej chwili Miszi wrzasnął:

– Stój! Wstrzymajcie się!

Mężczyźni z wściekłością odwrócili się w stronę, z której dobiegał nieznany głos. Byli gotowi zabić kolejnego Żyda, ale przed nimi stał bogato odziany muzułmanin, do tego silny. Miszi rzucił Mosze porozumiewawcze spojrzenie.

– Przestańcie – powtórzył. – On też jest muzułmaninem. Nazywa się Kulawy Mustafa.

Sipahowie byli zdumieni. Miszi znowu spojrział na Mosze. Ten zaczął coś mamrotać z uwalanego krwią kąta, w który został wciśnięty. Zamilkli, żeby go usłyszeć. Głos Mosze przybierał na sile.

– *Eşhedüen la ilahe illallah... Eşhedüen la ilahe illallah...*<sup>[118]</sup>.

Żołnierze patrzyli na niego przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, co robić, w końcu schowali szable z powrotem do pochew i odeszli niechętnie.

Kiedy ucichł tupot koni, Miszi podszedł do swojego ukochanego przyjaciela i wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Chodź, przyjacielu.

Ruszyli przez ogród, dopasowując wzajemnie swoje kroki, jak w dniu, kiedy poznali się przed laty. Kiedy dotarli do roztrzaskanej bramy, Mosze się zatrzymał, wyjął z kieszeni małą kulkę z brązu i podał ją Misziemu. Młody mężczyzna przyjął ją z uśmiechem, pomyślał przez chwilę, po czym rzucił ją w powietrze. Mała kulka z brązu, która kiedyś stanowiła część kołatki w kształcie mosiężnej kobiecej dłoni z domu w Toledo, była teraz wolna. W świetle ostatnich promieni zachodzącego słońca wzbiła się wysoko, by zniknąć wśród liści czereśniowych drzew.

A w domu stojącym między nimi doña Rejna Mendes Nasi modliła się przez łzy:

– Proszę, Panie, chroń nas przed nami samymi.

## PRZYPISY

- [1] Bazylika Mądrości Bożej. Po upadku Bizancjum, w latach 1453–1935 zmieniona na meczet, dopóki decyzją Atatürka nie została przekształcona w muzeum (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).
- [2] Allah jest wielki (arab.). [3] Jedna z dzielnic Stambułu. [4] Dzielnica Stambułu, nazwę zawdzięcza sułtanowi Mehmedowi Zdobywcy (Fatih).
- [5] Dzielnica Stambułu. [6] Od placu Taksim do Tünel wielka aleja schodzi w dół wzgórza zwanego dawniej Pera. Obecnie jest to dzielnica Beyoğlu. [7] Dzielnice Stambułu. [8] Twierdza (Zamek) Siedmiu Wież. Za Osmanów zamek pełnił raczej funkcję koszar dla garnizonu strzegącego bram Stambułu. Zbudowany za panowania Mehmeda Zdobywcy, zastąpił dawną fortecę bizantyjską, łączącą umocnienia lądowe i nadmorskie. Służył kolejno jako miejsce, w którym chroniono skarb państwa, a następnie jako więzienie. [9] Dzielnica Stambułu. [10] Na europejskim brzegu Bosforu wznosi się Rumeli Hisarı (Twierdza Rumelijska), potężny fort, zbudowany przez sułtana Mehmeda Zdobywcę kilka miesięcy przed zajęciem Konstantynopola w celu kontrolowania Bosforu w najważniejszym miejscu. [11] Dzielnica Stambułu. [12] Dzielnica Stambułu, Cypel Pałacowy. [13] Turecki piecyk przenośny na węgiel drzewny. [14] Dzielnica Stambułu. [15] Wieża Panny o wysokości 200 m wznosi się na wysepce, strzegąc wejścia do Bosforu od azjatyckiej strony. [16] Dzielnica Stambułu. [17] Dzielnica Stambułu. [18] Zbrojownia. [19] Arsenał. [20] Sipahi (tur.) – w imperium osmańskim kawalerzysta, lennik sułtana, zobowiązany do udziału w kampaniach wojennych. [21] Egipski Obelisk jest najstarszym pomnikiem w całym Stambule (liczy 3,5 tysiąca lat). Został wzniesiony przez faraona Totmesa III ku chwale własnej i boga Horusa. Obelisk, sprowadzony do Konstantynopola ze świątyni w Karnaku przez Konstantyna Wielkiego, ostatecznie ustawił na hipodromie Teodozjusz I Wielki w 390 r. Monolit z porfiru, ważący 300 ton, miał pierwotnie 32,5 m długości. Dla ułatwienia transportu zmniejszono go do 20 m. [22] Dzielnice Stambułu. [23] Divan (tur.) – Sułtańska Rada Wyższa. [24] Teatr Cieni. [25] Beyazıt II (1448–1512) – ósmy sułtan osmański. [26] Mehmed II Fatih (1432–1481) – zdobywca Konstantynopola (1453). [27] Ciasto faszerowane, np. serem i pietruszką, mięsem lub szpinakiem,

różnych kształtów i rozmiarów. [28] Żydowska uroczystość podkreślająca wejście chłopca w wiek męski. [29] Siedmioramienny żydowski świecznik. [30] Zwitek pergaminu z wersetami Pięcioksięgu, zawieszany przez Żydów na drzwiach. [31] Modlitwa. [32] Rada Sułtańska. [33] Najwyższy autorytet religijny. [34] Brat Beyazita II. Po śmierci Mehmeda II nastąpił konflikt dynastyczny: wielki wezyr pragnął tronu dla Cema, lecz janczarzy obwołali sułtanem Beyazita, gubernatora Amasji. Janczarzy okazali się silniejsi, wielki wezyr zapłacił głową za wierność Cemowi, a tron objął Beyazit II (1481–1512). Cem otruty zmarł na wygnaniu w Neapolu w 1495 r. [35] Dukat. [36] Zarządca skarbcza sułtańskiego. [37] Szkoła w pałacu sułtańskim. [38] Posłaniec na służbie Wysokiej Porty (rządu osmańskiego). [39] Założycielem dynastii Nasrydów (1232–1492) był Muhammad ibn Jusuf ibn Nasr, powszechnie znany jako Ibn al-Ahmar, który wywodził się z potężnego szczepu Hazrag z Medyny. Stąd też pochodzi nazwa dynastii, Banu al-Ahmar. Ibn Haldun, który przez pewien czas rezydował w Granadzie (Andaluzja) i związany był z dworem jednego z następców Ibn al-Ahmara, przedstawia szczegółowy opis kariery Muhammada. Po upadku Almohadów, kiedy Kastyljczycy podjudzali przeciwko sobie poszczególnych przywódców muzułmańskich, a potem kolejno ich niszczyli, Muhammad zawarł przymierze z chrześcijanami i zdołał wykroić sobie naokoło Granady państwo, które w pewnym stopniu wskrzesiło i kontynuowało chlubne tradycje Sewilli i w ciągu następnych dwóch i pół wieku walczyło w obronie islamu przeciw rosnącej potędze chrystianizmu (zob. Philip K. Hitti, *Dzieje Arabów*, Warszawa 1969, s. 462–469). [40] Przełożony opiekunów pieczęci sułtańskiej (monogramu). [41] „Królewski patronat”, instytucja, poprzez którą monarcha hiszpański sprawował kontrolę nad Kościołem. [42] Cihannüma Kasrı. [43] Pawilon cesarski (sułtański). [44] Szambelan. [45] Tur. Inebahtı (Aynabahtı) – Lepanto na wybrzeżu greckim, miejsce słynnej bitwy (1499). [46] Brama sułtańska w pałacu. [47] Nowy Pałac. [48] Miejsowość w europejskiej części Turcji. [49] Tur. kalyon. [50] Wezwanie muzułmanów na modlitwę. [51] Wieczór organizowany w przeddzień ślubu dla znajomych (kobiet) przyszłej panny młodej. [52] Potrawa podawana podczas wieczoru henny. [53] Na Majorce



przechrzta. [54] Duży statek żaglowy z XV–XVI w., używany zarówno w celach wojennych, jak i handlowych, budowany głównie w Portugalii. [55] Miejscowość w Chorwacji. [56] Kontrakt małżeński u Żydów. [57] Cytat z książki Liz Behmoaras. [58] Joanna Szalona – infantka hiszpańska (1479–1555), córka królów katolickich. [59] Gówno, brud (hiszp.). [60] Uspokój się, dziecko... Cicho, tak... (hiszp.). [61] Mędrzec. [62] Wyznawcy muzułmańskiego systemu religijno-etycznego; odłam szyizmu. [63] Beylik (tur.) – księstwo. [64] Srebrna moneta używana w imperium osmańskim. [65] Łaźnia. [66] Filip I Piękny (1478–1506) z dynastii Habsburgów. [67] Sułtan Selim I zwany Yavuz (ok. 1470–1520). Dziewiąty sułtan imperium osmańskiego. [68] Jak Bóg da (tur.). [69] W imię Boga miłosiernego i litościwego (arab.). [70] Ozdobne okratowanie w oknie lub na balkonie. [71] Niech Bóg chroni (tur.). [72] W imperium osmańskim rozkaz, dekret, zarządzenie. [73] Książę, tytuł nadawany synom sułtańskim. [74] Średniowieczny heterodoksyjny ruch religijno-społeczny, zapoczątkowany w drugiej połowie XII w. przez P. Salda; ostatecznie przekształcił się w samodzielną grupę religijną. [75] Chodzi o prawa przyznane cudzoziemcom na terenie imperium osmańskiego. [76] Handlarka (tur.). [77] Kobieta, ulubienica sułtana. [78] Brama Wojny. [79] Brama Islamu. [80] Część domu używana wyłącznie przez mężczyzn. [81] Drewniana willa. [82] Służący. [83] Wieczorny posiłek w czasie postu. [84] Dbający o broń sułtana, miecznik. [85] Szef służby domowej na dworach sułtanów i główny degustator. [86] Branka. [87] Skarbnik. [88] Decyzja lub pozwolenie najwyższego autorytetu religijnego. [89] Fontanna Kata. [90] Wiatr wiejący od morza Marmara. [91] Wiatr wiejący od Morza Czarnego. [92] Rodzaj kruchych ciasteczek. [93] Nauczyciel książąt i sułtanów. [94] Znany korsarz z czasów imperium osmańskiego, żeglarz, admirał floty osmańskiej, kartograf. Autor *Bahriye*, przewodnika żeglarskiego po Morzu Śródziemnym, mapy świata (1513). [95] Europejczyk. [96] Naczelny jubiler pałacu sułtańskiego. [97] Pisarz, sekretarz. [98] Pani Kirâze. [99] Targ Niewolników. [100] Plac Koński. [101] Anioł Śmierci. [102] Prywatne apartamenty sułtana. [103] Nadmorskie miasta. [104] Jednostka monetarna Grecji do 2002 r. [105] Srebrna lub złota moneta używana w imperium osmańskim. [106]

Dawna miara wagi równa 1283 g; 400 dirhemów = 1 okka. [107] Srebrna moneta używana w krajach muzułmańskich, także jednostka wagi równa 3,207 g. [108] Rodzaj łodzi. [109] Duchowny muzułmański. [110] Matka sułtana. [111] Ruchy powstańcze przeciwko imperium osmańskiemu pod koniec XVI i na początku XVII w. [112] Tyrański, okrutny. [113] Według kalendarza muzułmańskiego; hidżra – wywędrowanie Mahometa z Mekki do Medyny, w roku 622, uznawane jest za początek ery muzułmańskiej i kalendarza. [114] Pałac Davuta Paszy. [115] Gubernator jednostki administracyjnej w imperium osmańskim. [116] Religijny przywódca regionu, miasta. [117] Prywatne pokoje w pałacu sułtańskim, pomieszczenie między częścią domu przeznaczoną dla kobiet a częścią dla mężczyzn. [118] Formuła: „Nie ma innego bóstwa... innego niż Bóg...”.



SOLMAZ KÂMURAN

## KIRÂZE

### Historia powierniczki dwóch sułtanek: Roksolany i Safiye

Kirâze, wywodząca się z rodziny sefardyjskich Żydów wygnanych z Hiszpanii, pracuje jako szafarka w haremie sułtańskim. Dzięki swojej ambicji, inteligencji i urokowi w niedługim czasie zdobywa przyjaźń żony Sulejmana Wspaniałego, słynnej Roksolany, a następnie zostaje powierniczką sułtanki Safiye, matki Mehmeda III. Kirâze przeżywa także namiętną i nieszczęśliwą miłość do jednego z dowódców floty osmańskiej.

Oparta na faktach historycznych akcja toczy się na przełomie XV i XVI wieku w imperium osmańskim i południowej Europie. Kreśląc wspaniały, a zarazem wstrząsający obraz, autorka ukazuje prawdziwe oblicza sułtanów i królów, starcia między Wschodem a Zachodem, powstania i bunty, mrozące krew w żyłach losy poddanych, śmiertelne intrygi, miłość i seks w haremie.



Książnica

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-245-8237-2

EAN 9788324582372

U.KS.HIS041.1.01.01

